

MARCIN MORTKA

MIECZ I KWIATY

TOM



fabryka słów
www.fabryka-slow.pl

w którym Gaston de Baideaux powoli uzmysławia sobie, że należy do obozu zwycięzców i że, niestety, ma to dla niego bardzo poważne konsekwencje

Gaston de Baideaux otworzył oczy. \Zt Oplatający mu szyję pas, jeszcze przed chwilą wrzynający się głęboko w skórę, zwiotczał w jego rękach wzniesionych nad głowę. Ciemny pokój tańczył

rozkołysany, zydeł drżał i dygotał pod jego stopami. Echo niesło odgłos pośpiesznych kroków biegnącego człowieka.

Gaston otworzył usta, zaczerpnął tchu. Zydeł zadygotał. Baideaux nie zdołał odzyskać równowagi i rymnął z całej siły o ziemię.

Przeszył go ból stłuczonego ramienia. Zwinął się z cichym jękiem, zaklął szeptem, a potem znów otworzył oczy. Ból wraz z brzmieniem własnego głosu momentalnie przywrócił mu umiejętność logicznego myślenia. Otworzył oczy, tym razem szerzej.

Leżał na kamiennej podłodze zasłanej żdźbłami przegniłej słomy. W strugach światła tryskających z wąskiego, zakratowanego okna widział przewrócony zydeł, zasłany szmatami barłóg oraz kubek, ani chybi na nieczystości. W dłoniach wciąż ścisnął kawałek gładko przeciętego pasa, tego samego, który jeszcze przed chwilą wgryzał się w jego szyję.

Uniósł brwi ze zdumienia.

To był jego własny pas rycerski.

Niespodziewanie zadarł głowę do góry. Wystraszony, rozchwiany wzrok utkwił w poprzecznym wręgu, na którym, za przyczyną osobliwego kaprysu losu, nadal wisiał drugi jego kawałek.

Potem spojrzał na przewrócony zydeł i podświadomie, targnięty mrocznym przecuciem, dotknął swej szyi. Wyczuł wyraźne wgłębienia w miejscu, gdzie pas wbijał się w skórę.

-

Co tu się stało? - wychrypiał, nie przestając się rozglądać. - Gdzie ja jestem?

Nie było odpowiedzi.

-

Czyja... Czyja chciałem się zabić?

Mocne, drewniane drzwi nabite żelaznymi ćwiekami milczały uparcie, drwiąc z oszołomienia rycerza.

-

Skoro tak, dlaczego mi się nie udało? - W jego ochryplym głosie pojawiła się wątła nutka buńczuczno-ści. - Dlaczego?

Bezwiednie przejechał palcem po krawędzi rzemienia.

„Ostro ścięte” - pomyślał.

„Kroki - przypomniał sobie nagle. - Kroki biegnącego. Ktoś to zrobił. Ktoś przeciął pas, uchronił

mnie przed śmiercią, którą sam sobie chciałem zadać, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego! Ktoś mnie ocalił...”

-

Hej! - wyskrzeczwał. - Hej!

Odrzucił resztki pasa, który plasnął w kącie niczym zdechła ryba, a potem jak wycieńczony biegacz przypadł do drzwi. Naparł na nie z desperacką siłą i aż krzyknął ze zdumienia, gdy te ustąpiły. Gaston, który podświadomie spodziewał się oporu, runął na ziemię i przetoczył się po podłodze. Gdy wreszcie usiadł i potrząsnął głową, jego oczom ukazała się niewielka komnata. Na dwóch jej ścianach znajdowały się drzwi identyczne z tymi, przez które właśnie przeleciał. Na trzeciej otwierały się schody, zalane teraz rdzawym blaskiem zachodzącego słońca. Nie namyślając się wiele, zerwał się do biegu. Potykając się, objając o ściany, parł ku górze. Ku słońcu i wolności.

Każdy krok zdawał się wyzwalać falę wspomnień z jego podświadomości. Vittorio, Bernard, Jakub. Bitwa pod Salib. Grób Rogera. Sara. Sara i mały Roger. Wieści o przybyciu królów Anglii i Francji.

Oszołomiony nagłą myślą, Gaston potknął się i uderzył boleśnie kolaniem o kamienny stopień.

„Tak! - myślał gorączkowo. - Tak! Wieść o przybyciu królów! Wtedy pożegnałem się z Sarą, spakowałem juki i wyjechałem! To... To ostatnia rzecz, którą pamiętam...”

Zacisnął powieki, próbując wydusić z obojętnej, oziębłej pamięci jakiegokolwiek wspomnienie, jakiegokolwiek skojarzenie. Nic. Cisza i martwota.

Ze zrezygnowaniem pokręcił głową i znów otworzył oczy. Jego wzrok niespodziewanie padł na człowieka leżącego na schodach, ledwie dwa stopnie wyżej. Gdyby się nie potknął, z pewnością wywróciłby się o niego.

Nieznajomy był nieprzytomny. Tego Gaston był pewien. Zdradzała to zarówno jego pozycja -

człowiek leżał na plecach z rozrzuconymi bezwładnie ramionami i hełmem nasuniętym krzywo na

oczy - jak i ogromny, paskudny krwiał, rozlewający się na prawej kości policzkowej. Nosił

zwykły pas, nie rycerski, choć wielu pasowanych mogłoby mu pozazdrościć pysznej kolczugi oraz miecza z dobrej stali, po który nie zdążył nawet sięgnąć. Coraz dłuższe, łapczywie wdzierające się do korytarza promienie słońca zamieniły jego wychudłą, pokrytą ciemnym zarostem twarz w upiorną maskę cieni.

De Baideaux wzdrygnął się, wstał z wysiłkiem i ignorując ból, pokuszył się ku wyjściu, oglądając się trwożliwie, jakby w obawie, czy nieprzytomny się nie ocknie. Wytoczył się na ulicę i skulił

oślepiiony rdzawym słońcem. Oparł się o chropowatą ścianę, a potem odetchnął głęboko. W jego nozdrza wtoczyła się cała masa zapachów.

Spalenizna. Końskie ścierwo. Parujący od słońca mocz. Gnijące owoce. Stęchła woda. Rynsztok.

Tysiące woni odbudowywało w jego świadomości obraz miasta, co nawet podziałałoby na niego uspokajająco, gdyby nie coś jeszcze, jakiś inny, wszechwładny i złowieszczy odór, który zawisł

nad pozostałymi zapachami i przykrył je płaszczem mroku.

Gaston zaniósł się kaszlem, aż poczuł w ustach żółć. Ulicą toczył się wózek zaprzężony w wychudłego muła. Za nim przemykał spłoszony kundel. W przeciwnym kierunku szło dwóch łuczników rozmawiających w cudzoziemskiej mowie, obok nich przemknął goniec, dreptał

mnich w rozdeptanych sandałach. Gdzieś nad głową Gastona, wysoko nad dachami, krzyczały mewy.

Jeden z żebraków kulących się pod ścianami kamienicy po drugiej stronie nagle poderwał się i ruszył ku niemu krokiem zbyt energicznym jak na zwykłego bezdomnego. Wyminął wózek, zignorował dwie trajkoczące piskliwymi głosami ladacznice, machnięciem dłoni odpędził

natarczywego kundla. Patrzył na Gastona. Szedł prosto na niego.

Ten zamarł, wręcz przykuty do ściany mocą spojrzenia mężczyzny. Znał je. Znał jego lodowatą, niezłomną moc. Teraz wyczuwał w nim dodatkowo niezmiernie pokłady gniewu. Po plecach spłynął mu dreszcz strachu, pierwszy od odzyskania przytomności.

-

Ja ciebie znam - wyjąkał.

Żebrek, jakby w odpowiedzi, odrzucił kaptur. Błysnęły oczy, niebieskie, przenikliwe, tchnące mrozem jakże kontrastującym z ogorzałą cerą. Wychudłą, obsypaną rzadkim zarostem twarz ściągnęła wściekłość.

-

Doprawdy? - warknął, prostując swą przygarbioną postać, rozkładając ramiona, ogromniejąc. W

dłoni ścisnął zebraczy kostur. - Bo ja ciebie nie.

-

Jakub? - zapytał oszołomiony, niedowierzający Gaston.

Zahuczało powietrze przecinane tępym kijem. Ladacznice zawrzęsły ze strachu. De Baideaux uchylił się ze zręcznością, która zaskoczyła nawet jego samego.

-

Jakubie! - krzyknął. - To ja, Gaston!

-

Wiem.

Kij przeciął powietrze tym razem z innej strony, znów trafił w próżnię, zawrócił, uderzył znowu.

Zakonnik w żebraczym stroju złapał kostur oburącz i tłukł bez opamiętania. Gaston skądś wiedział, że każdy z tych ciosów mógłby pogruchotać kości mężczyźnie o wiele potężniejszemu od niego. W każdy swój cios Jakub wkładał tyle siły, że jego oblicze aż spurpurowiało, ale jednocześnie nie zapominał o celności. Atakowany zaciekle de Baideaux wyślizgnął się spod ściany, by zyskać więcej przestrzeni i wił się jak fryga, cudem unikając uderzeń zakonnika.

-

Opamiętaj się! - krzyczał. - Jakubie, na litość boską!

-

Nie waż się powoływać na Jego imię, łajdaku! - syczał Jakub. - Nie waż się!

I parł, waląc niestrudzenie, a Gaston cofał się, z rozpaczą usiłując przemówić mu do rozsądku.

Świst kija rozrywał błagalne zdania, wokół krzyczeli ludzie, szczekały psy. Na czole de Baideaux perlił się pot.

Nagle jego plecy natrafiły na twardą przeszkodę. Gdzieś za nim ktoś jazgotał po ormiańsku, roztrzaskał się spadający garnek, smród ulicy przytłumił aromat gotowanej, mocno przyprawionej baraniny. Gaston kątem oka zauważył nadlatujący oręż Jakuba, zdołał przykucnąć, a ten wyrznął z trzaskiem o coś drewnianego. Znów zadziałał instynkt - de Baideaux sięgnął za siebie, natrafił palcami na jakąś tyczkę, zacisnął rękę, szarpnął. Coś spadło z trzaskiem. Jazgot Ormianina przybrał na sile, Gaston odskoczył w bok, z trzaskiem materiału uwalniając tyczkę, która podtrzymywała markizę. Drąg zahuczał w jego dłoniach, ze świstem trafił w łydkę Jakuba, potem drugim końcem w jego nerki i wreszcie w plecy, by ze stukotem potoczyć się po bruku.

Dopiero teraz Gaston pozwolił sobie na upust strachu, chwilowo przytłumionego adrenaliną.

Odrzuciwszy drąg, pędził przed siebie jak oszalały, byle dalej od swego więzienia, od miejsca, gdzie chciał odebrać sobie życie, byle dalej od przyjaciela, który gotów był go zakatować. Nie spojrzał nawet za siebie - wielokrotnie ćwiczył walkę Rozdział pierwszy

z Jakubem w Krak des Chevaliers, ale nigdy, przenigdy nie widział w jego oczach takiej pasji, takiej wściekłości. Zakonnik miał co prawda jedynie kij w rękach, ale Gaston skądś wiedział, że przyjaciel chciał go zabić.

Biegł, a strach przemieszany z rozpaczą dodawał mu skrzydeł. Roztrącał tłumy pieszych, wywołując eksplozje przekleństw po italsku, przebiegał obok kościołów rozbrzmiewających echem uderzeń młotków i pokrzykiwań murarzy, kluczył między wozami wyładowanymi dobytkiem i chmurami uwijającej się służby, pędził przed siebie, nie zastanawiając się ani gdzie jest, ani dokąd zmierza. Gdzieś między dachami mignął mu wyższy budynek, ozdobiony rzędem czarnych chorągwi szpitalników, gdzieś dostrzegł inne, o wiele barwniejsze, a wśród nich chyba chorągiew Konrada z Montferratu, ale go to nie zainteresowało. Wciąż gnał na oślep, pchany strachem i szokiem. Dopiero gdy nad dachami wyrosły mury miejskie, wciąż wysokie, lecz osmolone, wyszczerbione, strzaskane w wielu miejscach uderzeniami pocisków z katapult, oblepione rzędami rusztowań, po których uwijały się istne roje robotników, zaczął zwalniać.

Kiedy oczom Gastona ukazał się największy z bastionów, zatrzymał się jak wryty.

Cień fortyfikacji, rozciągnięty promieniami zachodzącego słońca, mierzył ku de Baideaux niczym grot gigantycznej włóczni, który wznosił się ku ciemniejszemu niebu, nadal strzelisty i niepokonany, choć ozdobiony chrześcijańskimi chorągwiami. Znał go doskonale. Swego czasu nienawidził go jak każdy, kto spędził pod murami Akki choć tydzień. Dotąd jednak Gaston patrzył na niego z daleka, ze zбочy wzgórza Turon.

Wieża Przeklęta.

Był w Akce.

Zacisnął powieki i potarł palcami skronie.

„Boże miłosierny - szepnął pośród otaczających go ciemności. - Boże litościwy, racz oddać mi zdrowy rozsądek. Oszalałem, ani chybi oszalałem”.

Gdy pozostawił Sarę i wyruszył w drogę pod Akkę, by dołączyć do oblegających wzmocnionych hufcami króla Francji i króla Anglii, oblężenie było w toku i nic nie wskazywało na rychły sukces. Nic. Choć wycęzał umysł, nie mógł sobie przypomnieć ani chwili dotarcia do armii oblegających, ani samego szturm, o dniach po nim już nie mówiąc. Bo przecież musiało wydarzyć się coś, przez co trafił do więzienia, a potem spróbował odebrać sobie życie. Musiało zdarzyć się coś, przez co znienawidził go Jakub.

Nic. Nie pamiętał niczego. Ktoś lub coś okradło go z dobrych paru tygodni, a może nawet miesięcy

życia.

Gdy otworzył oczy, niebo wokół Wieży Przeklętej wydawało się nieco ciemniejsze, jakby przesyciły je ciemne smugi dymu. Tuż nad zmasakrowanymi blankami unosiły się chmury ptactwa, łapczywe skwirlenie mew mieszało się z pełnym oburzenia krakaniem, tu i ówdzie przesyty ostrym krzykiem sokoła. Jednocześnie w jego nozdrza znów wniknął ów ohydny zapach, który wyczuł zaraz po wyjściu na ulicę, tu o wiele silniejszy, przesycony spalenizną.

Zemdliło go, ale opanował skurcze i ruszył ku najbliższej bramie miejskiej. Smród z każdym krokiem stawał się intensywniejszy, zarówno robotnicy na murach, jak i strażnicy przy bramie wydawali się nim odurzeni, wręcz zatruci. Kilku zwróciło uwagę na Gastona, lecz żaden go nie zatrzymał. Na twarzy któregoś z żołnierzy dostrzegł chyba politowanie.

Gdy przeszedł przez most zwodzony i wyszedł na równinę, rozciągającą się u murów miejskich Akki, w jednej chwili zrozumiał, że strażnik miał prawo tak pomyśleć. Jak okiem sięgnąć, ziemia poryta była przez ludzi i konie oraz zasłana szczątkami broni i wszelkimi innymi śmieciami.

Wzgardzili nimi nawet mało wybredni amatorzy łupów, którzy wpełzają na pola bitew, gdy ledwie ucichnie szcęk oręża. Lecz nie to przykuło jego uwagę. W odległości dwóch, trzech strzałów z łuku piętrzyły się stosy ciał ludzi oraz koni, niekiedy niknące w gęstych splotach tłustego dymu bijącego z trzech wielkich ognisk. Od czasu do czasu z tłumu wynurzała się jakaś postać i wolno, niczym cierpiętnik w pogańskim Hadesie, podchodziła do stosu i wyszarpywała z niego ludzkie zwłoki. Setki obsiadających ciała ptaków wzbijały się wówczas w powietrze, z furją bijąc skrzydłami, a człowiek włókł ciało do ognia i ciskał je w płomień. Dym buchał

gęściej, nienasycone płomienie rosły, ptaki krzyczały gniewnie, jakby nie mogły się pogodzić ze stratą.

Gaston wpatrywał się w to przerażające widowisko, jakby żywcem wycięte z sennego koszmaru o zarazie. Prócz ludzi palących trupy na równinie nie było nikogo, widoczne stąd wzgórze Turon, o zboczach porytych opustoszałymi już umocnieniami, wydawało się porzucone i zapomniane, jakby należało do innej, zakończonej już epoki.

Nagle Gaston odniósł wrażenie, że wśród ludzi palących zwłoki dostrzega znajomą postać.

Jego sercem naraz targnęła nadzieja. Nie czekał ani chwili. Zerwał się do biegu. Pędził pod sklepieniem roz-wrzeszczanego ptactwa, pod zatrutym dymami niebem, prosto ku żarłocznym ogniom, wokół których snuło się kilku przygarbionych troglodytów.

I jeden barczysty, brodaty kudłacz, przerastający pozostałych o przynajmniej pół głowy.

-

Bernard! - wysapał. - Bernardzie!

Olbrzym, dawny sługa rodu de Baideaux, puścił nogi ciągniętego po ziemi saraceńskiego trupa, wyprostował się i odwrócił powoli. Coś w jego postawie - oraz w jego spojrzeniu - ostudziło

radość Gastona, który zwolnił i w końcu zatrzymał się na kilka kroków przed nim.

-

Bernardzie? - zapytał nieśmiało.

Zmienił się. Skurczył, zmarniał, jego twarz wychudła, cera pożółkła. Wyglądał jak po długiej, ciężkiej chorobie. Jego spojrzenie, czyste i niezmacone, mówiło jednak, że nawet jeśli ucierpiało jego ciało, duch miał się doskonale. Przez kilka długich jak wieczność chwil patrzył na Gastona z całkowitą, bezbrzeżną obojętnością, po czym uniósł lekko krzaczastą brew, złapał zabitego Saracena za kostki i powłókł go w stronę stosu.

-

Bernardzie! - zawołał Gaston z rozpaczą w głosie. -Zatrzymaj się, proszę! Ja... Ja nie wiem, co się dzieje! Nie wiem, co tu robię! Niczego nie rozumiem! Zaczekaj, proszę!

Bernard zatrzymał się i odwrócił powoli. Gaston poczuł, jak na powrót płonie w nim nadzieja, lecz spojrzenie dawnego parobka rodu de Baideaux rozwiało jego złudzenia. Tym razem, miast obojętności, wyczytał w nim złość i obrzydzenie. Potem jego twarz zakrył kłęb ciemnego dymu.

Młodzieniec odwrócił spojrzenie, a potem odszedł.

Legat papieski Adelard z Werony ujął pucharek z winem, a drugą dłonią leniwie przywołał

służącego. Ten bez słowa wyrósł przy fotelu wysłannika rzymskiego i zabrał się za zbieranie naczyń. Jego towarzysz, równie cichy i dyskretny, ustawił wazę z owocami i podmienił karafkę z winem na pełną, a potem, jakby czytając w myślach swego suzerena, rozchylił szerzej okiennice.

Do wnętrza komnaty wpadł ożywczy, chłodny wiatr znad morza. Adelard zapatrzył się w widoczną ponad dachami toń morza, migotliwą, zalaną czerwienią zachodzącego słońca.

-

Cicho się zrobiło - powiedział, niespodziewanie przerywając ciszę.

-

Co rzekliście, Wasza Świątobliwość? - zapytał Ba-lian z Ibelinu i podniósł wzrok na dostojnika, z niechęcią otrząsając się z myśli o małżonce, której nie widział od wielu miesięcy.

Ramię noszone na temblaku zakłuło znanym bólem.

-

Że cicho się zrobiło. - Dłoń z pucharkiem wskazała wody przystani akkańskiej, na której unosiło się zaledwie kilka drobnych łodzi rybackich. - Jeszcze parę dni temu na tych wodach kotwiczyły statki

Anglików, kilku republik italskich, obu zakonów, a teraz? Ledwie król Ryszard na wojnę pociągnął, a miasto ogarnęła cisza. Gdy tylko zakończą się prace w kościołach, które Sara-ceni na meczety obrócili, chyba tylko na dziwki przyjdzie nam liczyć.

-

Wybaczenie, Wasza Świątobliwość, ale nie nadażam - zmarszczył brwi Balian. Pokręcił

głową i służący legata, który właśnie zamierzał napełnić jego puchar, skłonił się i odstąpił

płynnie, niemalże bezszelestnie. Baron z Ibelinu po raz kolejny obrzucił go ukradkowym, zaciekawionym spojrzeniem. Obaj usługujący im ludzie -ciemnowłosi, śniadoskórzy mężczyźni w trudnym do ustalenia wieku - natychmiast przykuli jego uwagę, ledwie wszedł do komnat zajmowanych przez papieskiego wysłannika. Twarze mieli zbyt harde i zacięte, a ruchy zbyt płynne, by byli tylko i wyłącznie służącymi. Jednocześnie w ich postawie brakowało typowej dla rycerzy nonszalancji, co jego zdaniem czyniło z nich niebezpiecznych przeciwników.

Wykorzystywał teraz każdą dogodną sytuację, by się im przyjrzeć i wychwycić jak najwięcej szczegółów.

-

No, ludzie mówią, że portowe dziwki już lamentują - z humorem oznajmił legat. - Ponoć król Ryszard zezwolił jedynie praczkom do swej armii dołączyć.

-

Potwierdzacie, Wasza Świątobliwość, że ze wszech miar zasługujecie na zaufanie, którym was Ojciec Święty obdarzył. - Balian starannie zamaskował ironię w swym głosie. -

Rzeczywiście znacie się na ludziach. Jak mało który sługa Kościoła.

-

Cóż - uśmiech Adelarda pogłębił się, co oznaczało, że ironię wychwycił. - Wy, baronie, jak na zwierciadło syryjskiego rycerstwa przystało, dziwek nie dostrzegacie?

- Ależ dostrzegam. I z bata strzelam, by mi z drogi zeszyły. Wybaczenie, Wasza Świątobliwość, zem niezbyt skory do rozwodzenia się w tej akurat sprawie. Pomyślałem, że zaprosiliście mnie tu w innym celu. Ważniejszym.

Zerknął przy tym kuso na legata, który uśmiechnął się nieznacznie. W trudny do określenia, niepokojący sposób przypominał mu służących, którzy zakończyli już sprzątanie ze stołu i znieruchomieli przy drzwiach. W niczym nie był podobny do duchownych swego czasu, którzy albo bez umiaru oddawali się uciechom życia doczesnego, albo pogrążali w skrajnej ascezie.

Podobnie jak jego ludzie, był człowiekiem szczupłym i wyprostowanym, w niemożliwym do

określenia wieku. Znać było po nim, że kryje w sobie wielką sprawność i siłę fizyczną, choć Balian nie przypominał sobie, by legat kiedykolwiek dobył broni podczas oblężenia Akki.

Długie, siwiejące włosy spinał srebrną klamrą, która zresztą stanowiła jedyny kosztowny element jego ubioru, składającego się z niewyszukanej szaty duchownej i zawieszzonego na piersi krzyża.

Bezustannie przygryzał wargi, co zwiastowało nieustępliwość i tłumione emocje, choć podczas niekończących się narad w kwestiach sukcesji, które ciągnęły się po upadku Akki, zawsze przemawiał łagodnym głosem i nigdy nie pozwolił sobie na wybuch. Znacznie bardziej niepokoiły jego oczy, czarne jak dwie krople atramentu, pozostające w ciągłym ruchu, nieustannie badające, przesywające. Baron Ibelinu, choć był wytrawnym politykiem i negocjatorem, cieszył się w duchu, iż legat papieski siedzi zwrócony do niego bokiem.

18 Marcin Mortka

-
Powiniennem był zapamiętać z naszych narad - powiedział w końcu - że nie zwykliście marnować czasu na zwykłe pogawędki. Coś mi mówiło, że ledwie król Ryszard opuści miasto, natychmiast powrócicie do kwestii, w której tak naprawdę sprowadziliście mnie z Rzymu.

-
Nie wydaje mi się, byśmy mieli wybór, Wasza Świątobliwość - rzekł Balian. Nagle pożałował, że odpędził służącego chcącego napełnić jego pucharek, ale uznał, że podczas rozmowy z Adelardem lepiej zachować czysty umysł. - Mam wrażenie, że z każdą upływającą godziną nasza sytuacja staje się coraz gorsza. Narady...

Urwał. Odwrócił się tyłem do rozmówcy. Kłótnie syryjskiego rycerstwa, mistrzów obu zakonów oraz krzyżowców z Europy z chwilą przybycia królów Anglii i Francji nabrały gwałtowności, tym bardziej że ich przedmiotem stała się kwestia sukcesji. Podczas jesiennej zarazy śmierć zabrała Sybillę, małżonkę króla jerozolimskiego, Gwidona de Lusignan, tym samym pozbawiając go praw do korony. Markiz Konrad z Montferratu, któremu sprzyjała większość rycerstwa syryjskiego, uznał to za dobrą monetę, zwłaszcza że mógł liczyć także na poparcie króla Francji, Filipa. Zamieszanie wywołał gwałtowny sprzeciw władcy Anglii, Ryszarda, który nie przepadał

za swoim francuskim sojusznikiem, a na dodatek był seniorem brata Gwidona, Gotfryda de Lusignan. Baronowie syryjscy poczuli się rozdarci między stronnictwem Konrada i Filipa, którego, nawiasem mówiąc, w większości uznawali za swego seniora, a stronnictwem Ryszarda, który potwierdził swą sławę doskonałego wodza najpierw podporządkowaniem sobie Cypru, a potem tryumfalnym zdobyciem Akki. Rudowłosy Anglik, w przeciwieństwie do umiarkowanego, mało przedsiębiorczego Filipa francuskiego, wszem i wobec obnosił się ze swoim zamiarem doprowadzenia krucjaty do odbicia Jerozolimy. Narady i kłótnie, ku rosnącej frustracji Baliana, trwały dobrych parę dni, aż wreszcie postanowiono, że Gwidon zatrzyma swe berło aż do śmierci, a następnie przejdzie ono na ród Konrada, który do tego czasu będzie panował w Tyrze, Bejrucie i Sydonie. Miał on również otrzymać wtedy połowę dochodów Gwidona.

Balian z ulgą doczekał tej chwili, lecz ledwie ustalono kwestię sukcesji, a między królami Francji i Anglii wybuchł kolejny konflikt - schorowany Filip postanowił bowiem wracać do kraju, twierdząc, że zdobywając Akkę, spełnił swój chrześcijański obowiązek, na co wojowniczy Ryszard nie chciał się zgodzić. Podejrzewał, nie bez podstaw, że Filip wykorzysta jego nieobecność, by atakować angielskie włości we Francji. Legat papieski z werwą zabrał się za godzenie zwaśnionych monarchów, a zgorzkniały, sfrustrowany Balian spędzał dni na modlitwach lub dzikiej jeździe konno po okolicy. Wreszcie Filip postawił na swoim i po podpisaniu stosownych paktów z Ryszardem, w których obiecał, że nie zaatakuje francuskich posiadłości Ryszarda, wsiadł na okręt, a rozgoryczony Anglik, uznawszy Francuza za tchórza i dezertera, stanął na czele armii, z którą wymaszerował w pole. Wtedy to Adelard z Werony przypomniał sobie o Balianie i sprawie, o jakiej napisał do Rzymu.

- Narady wydawały się nigdy nie skończyć, prawda? -zapytał legat papieski z jeszcze szerszym uśmiechem. -Zaiste, prędzej człowiek by ogień z wodą pogodził niż pokłóconych nobili.

Napatrzyłem się na wasze kuse spojrzenia, baronie, napatrzyłem. Zanim jednakowoż odsądzicie mnie od czci i wiary...

-

Wybaczcie, ale dość mam tych czczych gadek, Wasza Świątobliwość - warknął

niespodziewanie Balian, zaciskając pięści, aż w ranionym ramieniu odezwał się znów ból. -

Wierzcie mi, nasłuchałem się ostatnio słów i dość już ich mam. Mdli mnie od nich. Walczę o Outremer odkąd potrafię się na koniu utrzymać i nic mi z tego nie przychodzi, nic! Bo każdy sojusznik, na którego natrafiam, jedynie gadać potrafi! Gadać i wyklócać się! Więcej czasu zmarnowaliśmy na wzajemnych sporach niżli na walce z Salah ad-Dinem, Wasza Świątobliwość!

A teraz, gdy odkryliśmy wroga o wiele groźniejszego od wszystkich sułtanów, szejków i bejów razem wziętych, nawet wy, możny wysłannik następcy świętego Piotra, jedyny, na którego liczyć mogę, wolicie nobili godzić aniżeli...

Urwał, jakby mu tchu zabrakło, równie gwałtownie jak zaczął, i machnął zdrową ręką, odwracając jednocześnie głowę. W pełni uświadomił sobie bowiem znaczenie swych słów - w istocie, poza nim, tajemniczym delegatem papieża o niepokojącym spojrzeniu, ściągniętym błagalnymi listami do Stolicy Apostolskiej, nie znał nikogo, kto by mógł mu w tej walce pomóc.

Uśmiech Adelarda z Werony pogłębił się, jakby duchowny czytał w myślach Baliana.

-

Na szczęście dla nas wszystkich mylisz się, baronie... - zaczął głosem łagodnym, którym zwykł przemawiać do najbardziej wzburzonych rozmówców. Balian jednakże, który poznał go podczas niekończących się narad o przyszłość Outremer, nie dał się zmanipulować tak łatwo.

-

A może tu chodzi o coś jeszcze innego, Wasza Świątobliwość? - syknął, zniżając głos.

Jego oczy ziały teraz wściekłością. - Może wasi dostojni przyjaciele w dalekim Rzymie, z Ojcem Świętym na czele, wspólnie postukali się palcami w czoło, czytając niezgrabnie nakreślony list jakiegoś pulana, któremu najwyraźniej od słońca odbiło? Który śmiał przed diabłem w Ziemi Świętej ostrzegać? Może to właśnie dlatego nie chcieliście ze mną wcześniej rozmawiać, co?

Najpierw załatwmy sprawę sukcesji, potem pogódźmy monarchów, a na końcu, nim wrócimy do Rzymu, wyperswadujmy staremu baronowi jego zabobony! Tak to miało wyglądać?

-

Nie, bynajmniej - odparł legat papieski, wyraźnie rozbawiony wybuchem Baliana. - W

rzeczywistości, kilka osób z najbliższego otoczenia papieża odebrało wasze słowa jak majaki szaleńca, ale mnie poinstruowano, bym wziął je na poważnie.

-

Tak? Przykro mi, Wasza Świątobliwość, lecz nie udało się wam. Gaston de Baideaux zniknął kilka dni temu.

-

Nie. Nie zniknął. - Legat papieski upił łyżeczek wina, nie spuszczać wzroku z rycerza. -

Jest pod dobrą opieką. Moją opieką.

-

Co takiego? - osłupiał Balian.

-

Nie zarzucajcie mi beczynności, baronie. - Ade-lard odstawił pucharek i spojrzał prosto w błyszczące znużeniem oczy Baliana. - Nie zasypiam gruszek w popiele od chwili swego przybycia do Akki, panie. Zdołałem już kilka spraw rozgryźć; więcej, niż wam się wydaje.

Doprowadzę do zguby tego, kogo nazywacie wrogiem większym od wszystkich sułtanów razem wziętych.

Niespodziewanie drzwi uchyliły się i na progu stanął trzeci z ludzi legata, z pozoru podobny do pozostałych, ale rozczochrany, w kolczudze i z mieczem u boku. Na jego twarzy rozlewał się paskudny siniak, chwiał się, ale patrzył przytomnie, bez strachu.

-

Wasza Świątobliwość, więzień uciekł - powiedział bez wstępów.

Adelard nabrał głęboko tchu, jakby szykując się do zadania serii pytań, ale wypuścił powietrze ze świstem i spojrzał na Baliana.

-
Nazwałbym to boskim kaprysem, gdybym nie miał pewności, że Bóg w swej łasce i mądrości skrzętnie omija miejsca, po których stąpał Jego syn. Zbyt wiele na nich szaleństwa i namiętności. Nie lękajcie się, baronie. Nie wiem, w jaki sposób de Baideaux się wymknął, ale złapię tego skurwysyna. Złapię go, zanim doprowadzi do kolejnych, strasznych czynów.

Rozdział drugi

w którym nadchodzi wieczór, a wraz z nim namiętności. niestety, raczej z gatunku tych złowróżbnych

Gaston de Baideaux pędził przez noc.

Z każdym uderzeniem kopyt końskich zostawiał za sobą wszystko, co składało się na jego dotychczasowe życie. Zostawiał dwóch przyjaciół, których był pewien, a którzy niespodziewanie zwrócili się przeciwko niemu. Zostawiał godność i honor - bądź co bądź jechał na koniu, którego skradł z obozu kilku kupców, nie wpuszczonych przed zmrokiem do Akki. Zostawiał swój pas rycerski, przecięty nieznanym mieczem w nieznanym lochu, własne imię i wreszcie miejsce, które zdobył dla siebie na tym świecie.

Nad jego głową niczym nietoperze furkotały pytania, na które nie znał odpowiedzi. Co działo się przez te miesiące od opuszczenia Sary do wyzwolenia Akki? Dlaczego Jakub i Bernard odwrócili się od niego? Czym zasłużył sobie na ich nienawiść? Dlaczego trafił do lochu?

Gaston kręcił głową i ocierał łzy, nie wiadomo, czy wyciśnięte pędem końskiego biegu, czy rozpaczą.

Zaciskał zęby, z całej siły broniąc się przed kolejnym atakiem rozpacz.

Co się dzieje z Sarą? Czy ona i Roger są bezpieczni?

Uniósł głowę wysoko, ku gwiazdom rozsianym na wrześnieowym niebie.

- Boże, pomóż mi - wyszeptał przez wiatr, łzy i tętent kopyt.

Jakby w odpowiedzi, z ciemnych, obojętnych otchłani jego pamięci nadbiegł czyjś okrzyk:

„Jesteś żmiją, de Baideaux! Podłą żmiją o sercu czarnym jak piekło! Jesteś gorszym łajdakiem od samego de Rideforta!”.

Rozpoznał ten krzyk. To był głos Baliana z Ibelinu.

Skulił się nad końską grzywą i popędził zmęczonego już konia. Miał jeszcze do kogo się zwrócić na tym świecie. Miał jeszcze jednego przyjaciela, który postanowił trzymać się na uboczu wszelkich wydarzeń. Gastonowi pozostał cień nadziei, że przynajmniej on nie miał powodów, by go nienawidzić.

W tej samej chwili ten, który nienawidził go najbardziej, prowizor zakonu templariuszy Rupert de Saint Jerome, uchylił płachtę namiotu i wyjrzał w ciemność rozświetloną tysiącem niespokojnych ogni. Przez moment stał i nasłuchiwał niesionej wiatrem, niekończącej się pieśni obozów wojskowych, na którą składał się szmer niezliczonych rozmów, parskanie koni, trzask palonego drwa oraz szczęk broni. Na próżno byłoby jednak czekać na stały refren owej pieśni, jakim były wybuchy śmiechu i radosne śpiewy. Król Ryszard surowo zakazał wszelakich rozrywek, a zważywszy na jego nastrój od czasu wyjazdu z Akki, nikt nie ośmielał się podważyć jego woli.

W obozowisku templariuszy, tradycyjnie wzorowo uporządkowanym, podobne ekscesy nie miałyby miejsca nawet w czasach pokoju, nawet pod wodzą człowieka o wiele słabszego charakterem od króla Anglików. Nie to, co u szpitalników.

Usta Ruperta rozchyliły się w szyderczym uśmiechu. Dobrze wiedział o licznych przypadkach naruszenia reguły w Krak des Chevaliers, o pijaństwie, które zarządził i nadzorował tamtejszy kasztelan Henryk de Treviere. Kilku braci, których wysłał do papieża ze specjalnym listem w tej sprawie, powinno już stukać do bram Rzymu.

„Doskonale - pomyślał. - Utrę nosa temu pyszałkowi Garnierowi z Nablusu. Popamięta mnie, suczy syn... Och, jeszcze mnie popamięta”.

Oczy templariusza błyszczały dziko, odbijając blask najbliższych pochodni. Wbijał wzrok w ciemność, daleko poza namioty rycerstwa burgundzkiego i miejscowych baronów, tam, gdzie obozowali szpitalnicy. Patrzył z nienawiścią podsycaną bezsilnością, a jego dłoń bezwiednie gniotła rękojeść miecza.

Och tak, nienawidził ich. Nienawidził tych parwe-niuszy, którzy skradli regułę i metody walki templariuszy, przybłędów, którzy ośmielali się rywalizować z nimi zarówno w gromadzeniu bogactw, jak i wpływów, którzy bezczelnie podważali ich męstwo i z szyderczymi uśmiechami zajmowali odmienne stanowiska w każdej, dosłownie w każdej kwestii po zdobyciu Akki. I jeszcze mieli czelność nazywać to miasto swoim! A ten ich nowy mistrz, Garnier z Nablusu...

Rupert zacisnął zęby i pochylił głowę. Był człowiekiem mężnym i nieustępliwym, a osobliwy pakt, jaki ostatnio zawarł zakon, dodał mu tylko pewności siebie. Wszystkie te cechy gasły jednak w obliczu Garniera z Nablusu, człowieka śmiałego do szaleństwa, wyrachowanego niczym italski handlarz i bezczelnego jak sam Belzebub. Starczyło jedno jego słowo, jeden cyniczny komentarz czy złośliwy uśmieszek, by opanowanie Ruperta zniknęło jak płatek śniegu na rozgrzanej dłoni i nie wracało przez parę dni. Stary prowizor podświadomie wyczuwał w szpitalniku wielkie zagrożenie, którego nie umiał nazwać ani określić, na które nie potrafił się nawet przygotować. Za nic nie mógł uspokoić skołatanych nerwów, nie pomagało nawet przeglądanie się w lustrze, które do niedawna jeszcze stanowiło jego ulubione zajęcie.

Bezwiednie potarł dłońią policzek i pomacał zaskakująco jędrną skórę. Miał teraz długą brodę, ale nawet ona nie była w stanie zamaskować łagodniejących, coraz młodszych rysów twarzy. Za dnia nosił hełm, celowo garbił się w siodle, ale dobrze wiedział, że długo nie ukryje swej przemiany. Ich Pan dotrzymał słowa - stary zakonnik młodniał w oczach, jego oczy odzyskiwały blask, a sylwetka energię.

„Wielki jesteś, Panie, a jam Twoim mizernym sługą -westchnął w myślach. - Daj mi tylko kolejną szansę, by odpłacić się za Twą łaskę”.

I wbił wzrok, tym razem błagalny, w pocięte płomieniami ognisk ciemności, lecz te pozostały obojętne. Nie zgęstniały na tyle, by uformować sylwetkę, o której śnił i marzył. Postać ciemnowłosego mężczyzny, którego pojawienie się zawsze oznaczało nowe obietnice i wyzwania.

Pan nie odwiedzał ich od tygodni.

- Mistrzu - odezwał się ktoś za jego plecami. - Mistrzu, czas na spoczynek.

Ismail, jego pokorny saraceński sługa, który nigdy nie nauczył się prawidłowo wymawiać słów we frankij-skiej mowie, stał za jego plecami z pochyloną nisko głową, nie unosząc spojrzenia.

Rupert westchnął i pokiwał głową. Zasunął płachtę namiotu i usiadł na zydlu. Sługa zaczął

zdejmować szaty swojego pana, by natrzeć od-młodniałe ciało olejkami. Uniósł głowę dopiero, gdy znalazł się za plecami zakonnika. Jego ciemne oczy, gorące, przymrużone jak u pustynnego sokoła, niespodziewanie błysnęły furią zupełnie nieprzystającą do łagodności, z jaką wodził

dłońmi po karku templariusza.

Nie patrzył jednak przy tym na Ruperta. Pasja w jego spojrzeniu nie dotyczyła mistrza, a wypalała wspomnienie pewnego miejsca, z jakim związał się nieopatrnie, a które przekłęto go na wieki.

Starzec z Gór nie był szczególnie pijany, ale robił wszystko, by jego podwładni i współwyznawcy takie właśnie odnieśli wrażenie. Wielu z nich na własnej skórze doświadczyło, jak nieobliczalny i rozszalały bywa przywódca asasynów po wypiciu kilku kubków cypryjskiego wina, a ten nie miał nic przeciwko utrwalaniu takiego wizerunku. Skoro zniesiono szariat, który do niedawna nadawał sens życiu członków sekty, niechże zastąpi go strach.

I święta wojna.

Starzec trzasnął drzwiami, a echo pomknęło ciemnymi korytarzami Al-Kadmus, docierając do każdego, najmniejszego nawet zakamarka twierdzy, mroząc na ułamek sekundy serce każdego, kto w niej mieszkał. Udał, że przez swój gwałtowny gest niemalże nie stracił równowagi, złapał

się futryny, odkaszlnął, splunął i zaryczał:

-

Hasan!

Chrapliwy okrzyk pomknął przed siebie niczym głos rozbudzonego piaskowego dżina, a Starzec ciął ciemność swymi przekrwionymi oczyma.

-
Hasan, szakalu!

Minęły już czasy, kiedy przyjmował posłańców w swej wieży w Masjafie lub w Al-Kadmus, wpatrywał się w nich w milczeniu i przemawiał łagodnym głosem, zgoła niepasującym do jego surowych rysów twarzy. Minęły czasy, gdy modlił się całymi godzinami lub cierpliwie nauczał

swych wiernych. Teraz coś innego wypełniało jego umysł, kierowało czynami.

Hasan, którego wypatrzył przed paroma chwilami na dziedzińcu Al-Kadmus, pędził zdyszany, a ujrawszy straszliwe, przymrużone oczy Starca, natychmiast przypadł do zimnej, kamiennej posadzki. Trząśnięcie na całym ciele, bynajmniej nie z zimna.

-
Kiedy powróciłeś do Al-Kadmus, Hasanie? - wycharczał Starzec z Gór, biorąc się pod boki.

-
Ledwie... Ledwie co przyjechałem, sahib, ledwie...

-
Łżesz - parsknął Starzec. - Łżesz jak najpodlejszy handlarz wielbłądzim nawozem. Nawet szakale wyc zaczynają, gdy słyszą twoje kłamstwa, Hasanie synu Ibra-hima. Wróciłeś do twierdzy dobrą godzinę temu. Cóż sprawiło, że nie przybiegłeś wprzód pokłonić się mnie, temu, który ukochał was wszystkich? Temu, który z największym utęsknieniem oczekuje waszych powrotów?

-
Ja... Ja...

-
Stul pysk! A więc byłeś w Hamie?

-
I... I w Himsie, czcigodny, oby blask gwiazd...

Stul pysk! Znalazłeś ją?

-

Nie, sahib, znikła jak...

Starzec ryknął z wściekłością i z całej siły kopnął klęczącego Hasana w bok. Ten skulił się z głuchym jękiem, ale sędziwy nizaryta ponowił uderzenie, a potem wymierzył cios raz jeszcze.

Zdyszany, oparł się łokciem o chłodną ścianę, przymknął oczy.

„A może już nie potrzebuję wina? - pomyślał. - Może zburzyłem już mur, który oddzielał mnie od szaleństwa? Po kres swych dni przeklinać będę dzień, w którym zgodziłem się spotkać z tymi plugawymi Al-Farandż, z Balianem ibn Barzan i Al-Markish. To przez nich ją straciłem. Przez nich i swą głupotę. Gdybym nie uległ podszeptom Iblisa, nadal miałbym tę dziewczynkę, nadal byłbym panem losu, wiedziałbym wszystko, co kryje się w najciemniejszych zakamarkach tej krainy. Czuję, że z każdym dniem jest mi coraz trudniej oprzeć się szaleństwu. Może nie powinienem już się bronić? Może czas już zarzucić owe bezskuteczne poszukiwania i utopić ten świat we krwi? Przecież mogę to zrobić w każdej chwili...”

Uśmiechnął się blado, a jego ostre, zaskakująco białe zęby błysnęły w blasku gwiazd. Przez moment wpatrywał się w przyszłość, wyliczał w myślach swych zabójców, których pracowicie, z sumienną cierpliwością godną ogrodnika w ogrodach pałacowych bagdadzkiego kalifa, umieszczał we wszystkich miastach, zarówno pod władzą Salah ad-Dina, jak i Al-Farandż.

Starczyło, by rozesłał sygnał, a błysną noże wyszarpywane spod fałd burnusów, tryśnie krew na prażony słońcem pył ulicy, zatrzęsie się świat w posadach...

Lecz nie.

„Nie - napomniał sam siebie, w pijackim odruchu unosząc palec i grożąc ciemnościom. - Nie.

Póki co nikt o nas nie pamięta. Jesteśmy bezpieczni. Poczekajmy, aż się zakończy ta przepierka o Jerozolimę. Bez względu na to, który z tych psów zwycięży, będzie chciał uporządkować kwestię synów Nizara. Wtedy przedstawię psu niewiernemu nasze warunki i pokażę, co go czeka, gdy ich nie spełni”.

Ciszę panującą w korytarzu, przerywaną jedynie świstem chłodnego wiatru i pojękiwaniem Hasana, przerwało nagłe skrzypnięcie drzwi. Zza framugi wychynęła czyjaś głowa, kobieca, ozdobiona grzywą splełanych włosów. Jej właścicielka ujrzała go, ujrzała jego wściekły wzrok i cofnęła się czym prędzej. Drzwi zamknęły się z delikatnym cmoknięciem.

-

A to kto był? - warknął Starzec z Gór.

-

Ta frankijska suka, sahib, którą Ismail przywlókł swego czasu do twierdzy, sahib -

wyjąkał Hasan.

-
Niewiarygodne. - Starzec wydał suche, spękane wargi. - Cóż jeszcze tu robisz? Natychmiast ją wygnasz, Hasan. Osobiście. A potem zamkniesz się w swej celi na dobę, gdzie przemyślisz sobie, czy chciałbyś pokazać reszcie naszej sekty, jak wielce mnie miłujesz i rzucić się dla mnie z blanek wieży, czy może gotów jesteś odłożyć to na później, a w międzyczasie powrócić do poszukiwań... Do poszukiwań, wiesz kogo.

W błyszczących oczach Hasana widać było strach. Trzęsąc się jak liść na wietrze, otwierał i zamykał usta, bezskutecznie usiłując przekonująco dobrać słowa, ale Starzec z Gór nawet na niego nie patrzył.

„Tak, a póki co będę nadal jej szukał - pomyślał. - Niebo i ziemię przetrząsnę, a znajdę. Nie mogę bowiem tknąć przyszłości, gdy wciąż nie znam przeszłości. Ktoś musi ją odnaleźć”.

Miecz ze świstem przeciął powietrze, niewysoki, garbaty mężczyzna zatoczył się, bluznął krwią na gorący piasek. Jego towarzysz zdążył się poderwać i wyszarpnąć sztylet o wąskim ostrzu, ale zbrukane ostrze już wracało, niepowstrzymane, ciągnąc za sobą warkocz krwi. Wgryzł się głęboko w ramię, a potem cofnął, wydzierając z niego strumień posoki, pomknął ku górze i znów opadł, z chrzęstem zmiażdżył czaszkę. Sztylet, wypuszczony z martwych palców, upadł na ziemię, a miecz zatoczył łuk i dobił ranionego garbusa.

Wszystko to trwało raptem nie dłużej niż kilka uderzeń serca znużonego biegacza. Obyło się bez ani jednego wrzasku, ani jednego jęku. Tylko sęp, kołujący wysoko na tle spłowiałego, niebieskiego nieba, zakrzyczał przeciągle, jakby z radości.

Zielony Rycerz ze świstem wypuścił powietrze z płuc i przyklęknął, by otrzeć klingę miecza z krwi rąbkiem szaty jednego z zabitych przed chwilą ludzi. Czyścił ją powoli, metodycznie. Nie musiał się już spieszyć. W końcu wstał i wolnym krokiem wyszedł zza kępy skarłowa-ciałych akacji, odganiając pierwsze muchy, które zdążyły się już zlecieć nad zwłoki. Sęp zakrzyknął raz jeszcze, tym razem z ulgą.

Powietrze było rozedrgane od gorąca, ale Zielonemu Rycerzowi wydawało się, że widzi skromną lepiankę z niewysoką zagrodą dla kóz, przytuloną do spękanej od gorąca, dającej niewiele cienia skały. Zerknął na słońce -wyglądało na to, że zanim mężczyzna dotrze na miejsce, dolna krawędź

dotknie już horyzontu, a spłowiały błękit nieba nabierze głębi, zwiastując nadciągający chłód nocy. Nie przejmował się tym, zyskał właśnie trochę czasu.

Był zmęczony. Jak nigdy dotąd na tym padole.

Jako pierwsze dostrzegły go kozy. Wychudłe, kudłate cienie przyglądały mu się wytrzeszczonymi, przestraszonymi oczami, pobekując niepewnie. Przewodnik stada - stary cap o czarnej, postrzępionej bródce - zabeczał jękliwie, niemalże z oburzeniem, ale ledwie rycerz podszedł bliżej, a skwapliwie

usunął się na bok, a za nim całe stadko. Zielony Rycerz ujrzał

wówczas małą lepiankę, z bliska prezentującą się jeszcze gorzej niż z oddali, chylącą się ku ziemi zagródkę oraz Adalberta rozpalającego ogień na zewnątrz. Obok niego na rozestanej na ziemi skórze leżało małe kozłátko, z nóżką owiniętą brudnymi szmatkami. Spoza szmatek sterczały prowizoryczne usztywnienia, jakie nakładano przy złamanych kończynach.

Wtedy poczuł na sobie wzrok kogoś innego i uśmiechnął się lekko pod wąsem. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, kto obdarzył go swoim spojrzeniem. Nie miał wątpliwości, że to nie kozy dostrzegły go jako pierwsze. Przystanął i przez moment przyglądał się uwijającemu się, mamrocącemu coś pod nosem kapłanowi.

-
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekł w końcu.

Z prędkością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, Adalbert porwał oparty o ścianę lepianki kostur i odwrócił się jak fryga, przestraszony, wściekły, gotów drogo sprzedać swe życie. Jego wzrok desperacko omiatał okolicę.

-
Cóż to za czasy, że ludzie za kij chwytają, imię Chrystusa słysząc - powiedział Zielony Rycerz i pokazał puste dłonie. - W pokoju przybywam, Adalbercie. A twa podopieczna siedzi tam, na skale.

Były kapelan rodu de Baideaux zerknął we wskazanym kierunku i widocznie się rozluźnił.

Dziewczynka, nadal w swej zgrzebnej szarej szacie, z potarganymi kosmykami włosów, przesłaniającymi umorusane policzki, siedziała na kamieniu, opierając brodę na dłoniach wspartych o kolana, i wpatrywała się w obu mężczyzn.

Adalbert nie pozwolił sobie na dłuższe rozluźnienie.

-
Skąd znasz moje imię? - najeżył się, unosząc ponownie kij. - Czego od nas... ode mnie chcesz?

-
Od was - poprawił go rycerz i ignorując księdza, przykucnął przy ranionym kozłátku, które zabezpieczyło i polizało jego dłoń. - Co mu się stało?

-
Ześlizgnęło się ze skały i złamało... Hej, co to ma znaczyć? Dlaczego zmieniasz temat? I kim ty, na litość

boską, jesteś?

-

Nie zmieniam tematu - powiedział wążacz, gładząc kark zwierzęcia. - Przecież jeszcze go nie rozpocząłem. To, kim jestem, nie powinno mieć żadnego znaczenia. Istotne jest to, że jestem byłym towarzyszem Gastona de Baideaux.

-

To on cię przysłał?

-

Nie. Ale przybywam właściwie w jego imieniu.

-

Nie mam już z nim nic wspólnego - oznajmił Adalbert i odwrócił głowę. - Nie służę już rodowi de Baide-aux. Nasze drogi rozeszły się, gdy...

-

Gdy spotkałeś ową dziewczynkę, która potrafi odczytywać przeszłość - dokończył za niego rycerz. - Dzięki niej zyskałeś możliwość, by spojrzeć na grzechy popełnione za dawnych dni. Mogłeś choć na chwilę wrócić do Pikardii, w strony rodzinne i przyjrzeć się... Jak jej było?

Łucji?

Ciałem Adalberta wstrząsnął zauważalny dreszcz. Stał pobladły, z szeroko rozwartymi oczyma.

Jego wargi drżały, niezdolne do ułożenia zdania.

-

Precz, szatanie... - wyjąkał w końcu.

-

Nie jestem szatanem - zachnął się Zielony Rycerz i wstał. - Wręcz przeciwnie. Po prostu Bóg pozwala mi czasem ujrzeć pewne rzeczy. Wiem o Łucji, która miłowała się w twoich płomiennych kazaniach i melodyjnym śpiewie. Wiem o pewnej grobli, na której owa miłość zyskała materialną formę. Wiem o przerażeniu, z jakim zareagowałaś na wieść o tym, że Łucja jest brzemienią i o zapale, z jakim nagle zaczęłaś namawiać swego panicza de Baideaux do wzięcia udziału w krucjacie.

-

Jeśli przybyłeś tu, by mnie dręczyć czy potępiać... -Adalbert wyprostował się, a jego oczy zalśniły stałą.

-

Nie. Nie po to tu przybyłem. Opiekując się tą dziewczynką, Adalbercie, udowadniasz, jak bardzo żałujesz swego tchórzostwa. Prosząc ją, by ci pokazała, jak wyglądało ich życie wczoraj, tydzień, miesiąc temu, jedynie pogłębiasz swój żal. Być może o wiele prościej byłoby po prostu wrócić do Pikardii, ale póki co, mój drogi Adalbercie, cieszę się, że jesteś tutaj z nami. Bo dziecko, którym się opiekujesz, jest potrzebne nam wszystkim.

-

Nie oddam jej - wycedził Adalbert. - Złapał ją Starzec z Gór, ręce wyciągał po nią Konrad z Montferratu, Bóg jeden raczy wiedzieć, kto jeszcze zapragnie jej dla siebie. Nie oddam jej. Nie wypuszczę jej stąd. Jest tu bezpieczna.

-

Bezpieczna? - Zielony Rycerz zmarszczył krzaczaste brwi.. - Adalbercie, ty naprawdę nie doceniasz ludzkiej pomysłowości i determinacji. Udaj się z rana w kierunku owych wzgórz -

machnął ręką tam, skąd przyszedł. - Za kępą karłowatej akacji znajdziesz dwa trupy. Miejscowi, najprawdopodobniej nizaryci.

-

Co się z nimi stało? - zadrzał znów mnich.

-

Nic godnego uwagi. W każdym razie nie żyją.

-

Skąd wiedziałeś, że tam są?

-

Jak już mówiłem, Bóg w swej łasce czasem pozwala mi zobaczyć pewne rzeczy, choć rzadko kiedy przejmuję się wyjaśnieniem mi tego czy owego. Stąd też wiem, Adalbercie, że czas chowania się na pustkowiu minął. Nadchodzi okres decydujących zmagania i Gaston de Ba-ideaux będzie potrzebował każdej pomocy. Każdej. Musisz wziąć to dziecko za rękę, opuścić waszą kryjówkę i spróbować go odnaleźć.

Nagle rycerz urwał i znów ukucnął przy koźleciu. Powoli, z czułością drapał je pod brodą, aż zwierzę zamykało oczy. Adalbert milczał. Nad ich głowami ciemniało niebo, tu i ówdzie gwiazdy

przebijały się już na firmament.

-

Wiem, dlaczego nic nie mówisz - odezwał się po chwili rycerz. - Na pewno poprosiłeś małą, by ci pokazała przeszłość, prawda? Wiesz, co wydarzyło się pod Akką? Wiesz, co zrobił

Gaston?

Milczenie Adalberta było najlepszą odpowiedzią.

-

Miej świadomość, że to tylko część jego przewin. I to ta drobna.

Zielony Rycerz przestał pieścić koźlątko. Ujął je delikatnie i postawił na nóżki, a potem klepnął

w zadek. Koźlątko zabeczało i podskakując, rażno ruszyło w kierunku swego stada. Poruszało się rączo i sprawnie, zupełnie jakby złamana noga była jedynie wytworem wyobraźni Adalberta.

-

A mimo tego - podjął Zielony Rycerz - mimo tego trzeba mu pomóc. I twoja w tym głowa jak.

Było już grubo po północy, gdy skradziony koń zaczął się potykać, a Gaston uzmysłowił sobie, że od dłuższego czasu zaciera mu się granica między jawą a snem. W końcu zsunął się z grzbietu wierzchowca i na poły przytomny zaprowadził go między skały. Tam zmusił do położenia się, a sam wtulił twarz w spoconą sierść zwierzęcia i zanurzył się w świat majaków.

„Stałeś się zmiją, de Baideaux! Podłą zmiją!” - krzyczał dobrze mu znany głos, szlachetny, lecz ociekający nienawiścią, która raniła jego serce.

„A niech ich wszystkich szlag trafi! - grzmiał inny, potężny, wręcz stworzony do wykrzykiwania rozkazów na polu bitwy. - Niech ich piekło pochłonie! Masz rację, de Baideaux, pokażemy temu łajdakowi, że nie wolno mi grać na nosie!”

„A więc tak wygląda twój sekret - szeptał ktoś inny, zdumiony i oszołomiony. - Zaczynam powoli rozumieć, skąd twój pomysł na owo imię zakonne”.

„Ha, ha, dajże pyska, de Baideaux! - bełkotał jeszcze inny, ledwie zrozumiały z przepicia głos. -

Ty to wiesz, jak pokazać niewiernym ich miejsce! Jeszcze kilku takich jak ty i Jerozolima byłaby już nasza! Deus le volt!”

„Zdradziłeś nas wszystkich” - szepnął Jakub.

„Puść mnie! Puść mnie, skurwysynu!” - krzyczała Anna.

Rozdział trzeci

w którym dzielni rycerze popadają w poważne tarapaty.

Tym razem - wyjątkowo - nie z własnej winy Anzelm de Fidou uniósł głowę i rozejrzał się uważnie, zaintrygowany.

Słońce z wolna kończyło swą wędrówkę po znużonym, bladoniebieskim nieboskłonie i dotykało już postrzępionych szczytów wysokich skał, u stóp których tuliły się niewielkie domostwa.

Gromadka dzieci kopała, wrzeszcząc, skórzaną piłkę, niemalże niknąc w tumanach kurzu. Inne, starsze, spędzały kozy z lichych pastwisk, z niecierpliwością przepędzając rówieśników z drogi.

Przy studni trajkotało parę niewiast w zgrzebnych szatach, inne dźwigały już wiadra z wodą w kierunku obejść. Kilku starsuszków siedziało w milczeniu na progu największego z domostw, nieopodal którego majestatycznie kroczyły wychudzone kury.

Nic.

Anzelm odwrócił się i spojrział na trakt do Salib. Nic. Podobnie na szerokiej, ciągnącej się aż pod rozedrgany horyzont równinie, wyprażonej tygodniami upałów.

Mimo to coś było nie tak. Anzelm miał tę pewność. Jego wilcze, niemalże nadprzyrodzone zmysły nie stępiały w końcu aż tak bardzo. Byłby gotów przysiąc, że coś zakłóciło cichą harmonię owej małej, bezimiennej wioski, która, jak wiele innych, wyrosła niespostrze-

żenie na skraju wielkiego świata, gdy opadł kurz po walkach i ucichł szczeł oręża, i żyła ukradkiem, stanowiąc przystań dla wciąż nowych sierot i wygnańców. Gdy Anzelm przybył tu rok temu, w cieniu wielkiej skały mieszkało zaledwie kilka wystraszonych kobiet z gromadką dzieci. Dziś mógł naliczyć ponad stu mieszkańców.

Tym niemniej nie było ich wciąż na tyle, aby zaczęło go to drażnić, by najdrobniejsze nawet szczegóły przechodziły niezauważone. Przywykł nawet do wrzasków dziecięcych, które z początku uznawał za nie do zniesienia.

Właśnie zważył kątem oka punkcik rysujący się na horyzoncie.

Anzelm otarł pot z czoła - nawet pod wieczór upał był tu nie do wytrzymania - i oparł się na łopacie, wbijając wzrok w przybysza. Odniosł wrażenie, że to samotny jeździec, chwilę później nabrał pewności, że to mężczyzna lekkozbrojny lub zgoła bez broni, a potem, jeszcze nim ten wynurzył się z chmury pyłu, doszedł do wniosku, że go zna. Przyglądał mu się przez moment, by wreszcie wbić łopatę w kopany właśnie rów melioracyjny i wziąć się pod boki.

- No, no... - mruknął do siebie, a następnie podszedł do bukłaka, który zawiesił w cieniu ciernistego krzaka.

Jeździec ostro ściągnął wodze, aż wycieńczony, spieniony koń nieomal się przewrócił.

Mężczyzna zsunął się z siodła, zatoczył, w ostatniej chwili złapał za uzdę, ratując się przed upadkiem. Pył pokrył jego mokrą od potu twarz. Widać było tylko oczy - rozszerzone, szkliste z niewyspania i zmęczenia. Nie nosił broni, miał na sobie jedynie brudną, podartą koszulę, a przetłuszczone, zakurzone włosy zlepiły się w strąki. Anzelm jednakże rozpoznał go od razu.

-

No, no - powtórzył i rzucił mu bukłak. - Coś podobnego. Myślałem, że kiedyś mnie odwiedzisz, Gastonie, ale po prawdzie sądziłem, że los potraktuje cię o wiele lepiej. Ciebie, weterana spod Salib, w łachmanach zastać się nie spodziewałem.

Gaston nie złapał bukłaka, nachylił się po niego z trudem i z jeszcze większym wyrwał zeń korek. Potem pił, pił i pił bez końca, a krople wody złościły sobie szlak po brudnej skórze twarzy.

-

Jeśli chcesz, złapię cię za kostki i wsadzę łbem do studni - zaproponował krzywo uśmiechnięty Anzelm, ale wtedy Gaston oderwał bukłak od ust i zadał najdziwniejsze pytanie, jakie de Fidou kiedykolwiek usłyszał:

-

Anzelmie, co się ze mną działo?

Odmieniec zmarszczył brwi i założył ramiona na szerokiej piersi. Przekrzywił lekko głowę.

-

Nie sądzisz, że to ja powinienem zadać to pytanie? - odezwał się po chwili namysłu.

Gaston odetchnął, na poły z ulgą, na poły z rezygnacją. Przez moment tarł brudne od piachu powieki, aż w końcu uniósł zaczerwienione, załzawione oczy i spróbował się uśmiechnąć.

-

Czyli nic nie wiesz? - spytał.

-

Coś tam wiem. - Anzelm wziął od niego niemalże pusty bukłak i podał rękę swojemu rozmówcy. - Musisz się obmyć, przebrać w coś mniej złachmanionego i podjąć, przyjacielu.

Pogadamy, jak już zaczniesz przypominać człowieka, bo trzeba nam pogadać.

Wyblakłe od upałów niebo z wolna ciemniało, z ulgą poddając się chłodnemu tchnieniu nadchodzącej przy akompaniamencie szaleńczej symfonii cykad nocy. Robiło się zimno. Wokół

ust dwóch przyjaciół, opartych o glinianą ścianę chatki Anzelma, pojawiły się już kłęby pary.

Gdzieś niesło się niecierpliwe pokrzykiwanie jakiejś kobiety, przerywane oburzonym gdakaniem kilku kur, skądś niósł się perlisty śmiech dzieci, w dali zabeczała koza. Cicha, zapomniana wioseczka milkła pod delikatnym dotykiem nadciągającej nocy.

Gaston i Anzelm nie odzywali się ni słowem, trawiąc w myślach krótką, chaotyczną opowieść, którą wyrzucił z siebie de Baideaux.

-

Jasna cholera - wymruczał wreszcie odmieniec i pokręcił głową z niedowierzaniem. -

Wierzyć mi się w to nie chce.

-

Mnie też nie. - Gaston podciągnął kolana i oparł na nich brodę. - Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest pożegnanie z Sarą. A potem budzę się w celi, najwyraźniej kilka miesięcy później, próbując się powiesić. Dlaczego chciałem się zabić? Co się ze mną działo przez cały ten czas?

Dlaczego Jakub i Bernard odwrócili się ode mnie?

-

Nie mam pojęcia, Gastonie - przyznał Anzelm. - Mogę tylko przypuszczać, że powodem było coś naprawdę poważnego. Dwóch ludzi równie szczerych, jak ten szpitalnik i twój kudłaty milczący druh, ze świeczką można by szukać.

-

Nie pocieszasz mnie.

-

Wybacz. Nie wyściibiłem z tej wioski nosa od czasu naszej bitwy w obronie Salib i nie mam bladego pojęcia o wydarzeniach w wielkim świecie. Ci, którzy tu docierali, włączyli się po bezdrożach podobnych temu, a jedyne, czego szukali, to namiastki spokoju. Szczerze powiedziawszy, jestem zdumiony, że te lebie-gi Gwidonowe w końcu wzięły Akkę. Byłem przekonany, że będą oblegać tę twierdzę do dnia Sądu Ostatecznego.

-

Ech, kto się w tym wszystkim rozezna, Anzelmie -wzruszył ramionami Gaston. - Może ów dzień już nastąpił?

-

Nie miałbym w sumie nic przeciwko.

Znów milczeli przez chwilę, spoglądając na pierwsze gwiazdy przebijające się przez ciemniejący nieboskłon. Znad odległych wzgórz wypływał cieniutki księżyc.

-
Żałuję, że nie mogę ci pomóc - odezwał się wreszcie de Fidou. - Powinienem. Uwolniłeś mnie od mojego przekleństwa, jestem ci wiele winien.

-
Pomogłeś mi o wiele więcej, niż ci się wydaje. - Gaston zmusił się do uśmiechu. - To nic, że niewiele się od ciebie dowiedziałem. Może to i lepiej. Może jeszcze po prostu nie jestem gotów usłyszeć o tym, co się tak naprawdę stało. Póki co cieszę się, że mogę sobie pomilczeć w twoim towarzystwie. Jak dawniej.

-
Jak dawniej. - Anzelm również się uśmiechnął. - Wydawało nam się wówczas, że życie nie mogło być trudniejsze i bardziej skomplikowane, prawda? A tu masz...

-
Wygląda na to, że twoje jest dość proste. - Gaston skinął głową w kierunku niknących w półmroku zabudowań.

-
Tak - potwierdził Anzelm. - Proste. Dołożyłem wszelkich starań, by tak się stało.

Zakopałem swój miecz pod progiem tej chatynki, a potem znalazłem jakiś pług i wynędziałą szkapę po saraceńskim łuczniku, zamajstrowałem sobie łopatę i zakasałem rękawy. Pomagam tym ludziom jak mogę. Oram, kopię rowy nawadniające, uczę ich uprawy roli. Mam trochę uciulanego grosza. Chcę za to kupić parę drzewek oliwkowych. I jakoś czas płynie. Jestem szczęśliwy.

-
Większość z tych ludzi to kobiety. - Gaston uniósł lekko brew. '

-
A jakżeby inaczej - parsknął Anzelm. - Mężczyźni są przecież potrzebni wielkiej sprawie.

Trzeba rozbić tysiące głów zanim ludzie zrozumieją, że jedna religia gównem różni się od drugiej.

Miałem co innego na myśli.

-

A, o to ci chodzi? - Anzelm znów się uśmiechnął. - Nie, skądże. Zbyt wiele przeszedłem, by mieć ochotę na żeniaczkę. Kilka tutejszych pań najwyraźniej ma inne zdanie i coraz śmieiej zerka na mnie znad czadorów, ale odpowiadam jedynie uprzejmym uśmiechem. Nie. W

przeciwieństwie do ciebie, jak sądzę...

Gaston odetchnął. Wyobrażenie Sary, które tonęło gdzieś w natłoku jego myśli, niespodziewanie nabrało ostrości i przesłoniło mu cały świat. Widział ją, jak stoi na progu chaty i trzyma w swej dłoni rączkę Rogera, a drugą unosi, by pomachać mu na pożegnanie. Widział jej uśmiech, wymuszony, rozmazany przez łzy. Włosy, wyłuskiwane spod chusty przez wiatr. Niepokój na puciołowatej buzi Rogera, który co rusz spoglądał ku mamie, zadając jej nieme, wystraszone pytanie. Gaston poczuł, jak wilgotnieją mu powieki i z całej siły zacisnął pięści.

-

Tak - odpowiedział z trudem. - Ale akurat o tym nie chcę jeszcze rozmawiać.

-

W porządku - odpowiedział krótko Anzelm i spojrzał ku gwiazdom. Jego mądre, zielone oczy jaśniały spokojem, o który walczył tak długo, który tak bardzo sobie ukochał.

Księżyc płynął nad wzgórzami niczym kruchy okręt, pchany tchnieniem nocy, a dwaj krzyżowcy, wyrzuceni poza czas, siedzieli w milczeniu, ciesząc się swym towarzystwem. Ich myśli zaś błądziły po ścieżkach przeszłości, nieświadomie odnajdując tych, których zwali przyjaciółmi.

Rozpędzona galera rąbnęła w burtę ściganego statku z takim impetem, że Vittorio niemalże stracił równowagę. W ostatniej chwili złapał się jakiejś liny, zakołysał, machnął mieczem.

-

Naprzód! - wrzasnął nieco piskliwiej niż zamierzał.

Cieniutki rożek księżycy strząsnął z siebie chmury, zalał oba pokłady srebrnym blaskiem. Przez chwilę, krótszą od mrugnięcia, mężczyzna ujrzał nadlatujące bełty, czarne i śmiercionośne. Skulił

się podświadomie - jeden z wizgiem przemknął obok jego głowy - ale wtedy znad pokładu galery wyfrunęły liny z kotwiczkami, które z żarłocznym mlaśnięciem wgryzły się w burtę zatrzymanej jednostki. W ciemnościach sprawne dłonie wiązały sznury, inne napinały łuki, unosiły topory.

- Naprzód! - podjął jego okrzyk Harald. Olbrzymi Dun wskoczył na burtę, zachwiał się, gdy w jego kolczugę wgryzły się dwie strzały, ale po chwili już lądował na deskach zatrzymanego statku, a za nim kolejni, uzbrojeni po zęby, pijani żądzą walki, niepowstrzymani. Ciemne sylwetki najeżone

ostrzami, przygarbione, zalały pokład, pognały ku nielicznym obrońcom, nie zważając na słane w rozpaczy strzały.

Vittorio przeskoczył burtę, wylądował twardo z drapieżnym grymasem malującym się na twarzy i tym razem natychmiast złapał równowagę. Rozpędzone ostrze włóczy wychyło znikąd, godząc prosto w jego brzuch. Uskoczył, wykręcił piruet, z całej siły spuścił miecz na plecy szarżującego marynarza, wykręcił kolejny piruet, rozejrzał się gwałtownie. Jak zwykle, gdy ogłuszenie zgiełkiem bitewnym i hukem własnej krwi sięgnęło zenitu, budził się w nim szósty zmysł wojownika. Tam, gdzie inny dostrzegłby jedynie gęstą ciżbę mordujących się barbarzyńców, on dostrzegał emocje, intencje, nastroje. Nie dbał o to, że jedynym źródłem światła był wąziutki księżyc wspierany przez rozbujaną latarenkę, ani o to, że pod nogami kołysał się śliski od krwi pokład.

Był morskim wojownikiem. Znow był piratem.

Wpadł między walczących, między ledwie powłóczących nogami pielgrzymów, niczym upojony swą młodością tancerz. Parł przed siebie, zwinnie unikał zadawanych w rozpaczy ciosów, płaśał

między opadającymi ostrzami, samemu tnąc z rzadka, ale zawsze celnie. Co rusz przypadał do niego któryś z przeciwników, ale ich ciosy trafiały w próżnię za plecami Italczyka, napotykały na kolumnę masztu, traciły impet na linach czy płótnie żaglowym, a Vittorio, kierowany nieomylnym instynktem, odwracał się i w jednym płynnym wypadzie gasił blask prerażenia w oczach tego, który go zaatakował. Jakaś strzała ugodziła go w ramię, jednak ledwie to dostrzegł.

Prześlizgnął się pod opadającym toporem, ugodził w trzymające go ramię, a potem natychmiast zawirował, by wbić ostrze aż po jelec w plecy majtka walczącego z Haraldem. Wyszarpnął

miecz, uwalniając strugę czarnej krwi i już zwrócił się ku kolejnemu przeciwnikowi, gdy ten, ujrawszy dziki blask w oczach Vittoria, z wrzaskiem prerażenia rzucił broń, przypadł do burty i wyskoczył na zewnątrz.

Plusk wody otrzeźwił nielicznych ocalałych obrońców. Niektórzy rzucali broń na deski pokładu i unosili z drzeniem ramiona, inni przeskakiwali przez burtę. Nagle ucichły ochryple wrzaski w języku arabskim, italskim i w langue d'oïl i zapadła cisza, głęboka i kłująca w uszy. Słysząc było tylko chrapliwe oddechy najbliższych wojów i cichy plusk fal uwieczonych między kadłubami obu okrętów. Nocny wicher poruszył delikatnie obwisłym żaglem zdobytego statku, jakby przypominając rozjuszoną walką ludziom, że nadal znajdują się pośród obcego sobie żywiołu.

Vittorio wolno wypuścił powietrze z płuc i wsparł się na mieczu. Uniesienie bitewne, które przydawało mu szybkości i czyniło niewrażliwym na ból, ustąpiło szybko, oddając pole znużeniu i zniechęceniu. Jego wzrok również stracił na ostrości - Italczyk zamrugnął, przetarł dłonią oczy i odszukał wzrokiem swego zastępcę.

-
Haraldzie - odezwał się ochryplym głosem.

Dun uniósł kudłaty łeb i spojrział na niego z niechęcią, a potem splunął krwią.

-

Wiem - charknął. - Sprawdzić ładunek. Powiązać jeńców. Odesłać rannych na galerę.

Przydzielić nową załogę. Wiem, kurwa. Wszystko doskonale wiem.

Z wściekłym grymasem na zakrwawionej twarzy złapał za strzałę sterczącą z ramienia i nadal wbijając spojrzenie w Vittoria, ułamał ją jednym szarpnięciem. Przez jego dziką twarz nie przebiegła nawet najmniejsza oznaka bólu.

„Zrobiłbyś to samo, przybłędo?” - pytały jego lodowate, bladoniebieskie oczy, rozjarzone od tłumionej furii.

„Nienawidzi mnie - pomyślał po raz tysięczny Vitto-rio. - Nienawidzi mnie, bo zająłem jego miejsce u boku Konrada z Montferratu. Nienawidzi mnie, bo to ja teraz jestem najdzikszym ogarem naszego dzielnego markiza. Ja, nie on. Nienawidzi i zrobi wszystko, by mnie zakasować.

Prześcignie mnie w drodze na wrogi pokład, wyrwie sobie strzałę z rany przy ludziach, wypije każdą piwa tam, gdzie ja wychylę kufelek i wydyma tabun dziwek za każdą moją. Gdybym kiedyś przy nim wdepnął w gówno, to idę o zakład, że zaryje mordą w stertę gnoju”.

-

Wiem, że wiesz - uśmiechnął się krzywo. - Przecież osobiście wbiłem ci to do tej twojej zakutej pały, wygrywając przy tym zakład z markizem, który zaklinał, że więcej niż trzech poleceń naraz nie spamiętasz. Nie złość się - dodał, widząc, że twarz Duna purpurowieje. - W

tym tempie za rok będziesz w stanie spamiętać już pięć, a wtedy markiz w ramach zasług da ci nową kożę do rżnięcia. Chyba że się zanadto przyzwyczaiłeś do starej.

Harald ścisnął rękojeść miecza z taką furją, że na jego czole pojawiły się żyły. Widać było, że powstrzymuje się ostatkiem sił woli, by go nie użyć. Ludzie otaczali ich milczącym kręgiem - ich oczy wciąż błyszczały żądzą krwi, łaknęli kolejnego starcia.

„Po co ja to robię? - Vittorio zapytał się w myślach. - Po co drażnię tego olbrzyma?”

Westchnął i odwrócił wzrok ku księżycowi. Znał odpowiedź na to pytanie. Doskonale wiedział, dlaczego robi wszystko, by rozjuszyć tego ogromnego zbira, który potrafiłby zmiażdżyć mu czaszkę, ścisnąwszy ją dłońmi. Odkrył to podczas licznych ostatnio bezsennych nocy, w trakcie samotnego wychylania kolejnych dzbanów ty-ryjskiego wina. Doprowadzał Harald do furii, bo chciał zakończyć to wszystko.

Nie był pewien, co tak naprawdę chciał zakończyć. Bynajmniej nie życzył sobie śmierci z ręki ogromnego Duna - pomimo dręczących go wątpliwości nosił w sobie za dużo zdrowego rozsądku, by w tak oczywisty sposób dopraszać się o guza - ale marzył o czymś, co pozbawi go złudzeń co do

dalszej służby pod rozkazami Konrada z Montferratu. Gdyby kiedykolwiek zdobył

się na ułożenie listy największych osobistych błędów, zaproponowanie markizowi swych usług należałoby do ścisłej czołówki. Upojony sławą bohatera spod Salib, z pychą zażądał dla siebie godności przywódcy jego hufców, marząc o zwycięskich pochodach pod sztandarem słynnego rodu, a gdy ten uległ jego argumentom i w końcu się zgodził, Vittorio pozwolił sobie na chwilę przedwczesnego tryumfu. Nie przewidział tylko, że Konrad należy do najbardziej podstępnych i wyrachowanych graczy Outremer. Nie przewidział, że zajęty własnymi interesami, nie zgodzi się wesprzeć militarnie Ryszarda angielskiego i wraz ze swymi rycerzami pozostanie w Tyrze. Nie przewidział też, że jedynym awansem, jaki Konrad był mu w stanie zaoferować, było stanowisko szefa najemnej bandy zbirów, która z ramienia markiza zajmowała się „uczciwymi rycerskimi najazdami”, reperując w ten sposób wydatnie budżet przyszłego króla.

Nie tak sobie to wszystko wyobrażał. Zgorzkniał, sposępniał, przestał dbać o wygląd, chętniej pił

i wdawał się w awantury, a podczas walk dokonywał wprost cudów męstwa. W wirze walki czuł

się zresztą doskonale, bo wtedy znikwały jego wątpliwości, odepchnięte furią i uniesieniem bitewnym. Gdy tylko cichła wrzawa, ponownie przypelzało zwątpienie, wpijało się w jego serce, sączyło truciznę do krwi. Co rusz łapał się na tym, że wspomina szaleńczą włóczęgę u boku Gastona - choć uważał się za cynicznego oportunistę i bezwzględnego pragmatyka, tęsknił za niekończącym się wygnaniem, desperackimi ucieczkami i walką o nic. Wieści o zdobyciu Akki, a potem wyruszeniu armii Ryszarda, uczcił kilkoma nocami mrocznego, samotnego pijaństwa.

Tysiąc razy zastanawiał się, czy nie wypowiedzieć Konradowi służby i nie ruszyć w pole w poszukiwaniu szczęścia, ale

tylko raz zatrzymywała go wątpliwa nadzieja, że być może los da mu jeszcze szansę zdobycia sławy u boku markiza.

Potem doszły go wieści, które utwierdziły go w przekonaniu, że Gaston de Baideaux nie będzie już potrzebował jego towarzystwa.

-

Dajmy temu spokój. - Pokręcił głową i spróbował się uśmiechnąć. - Poniosło mnie, Haraldzie. Jeśli chcesz, strzel mnie w pysk i bierzmy się do roboty. Mam ochotę jeszcze dzisiaj znaleźć jakieś roztańczone dziewczę i przerznąć je za sułtańskie srebro.

-

To będziesz musiał jakiś inny statek zatrzymać - wyszczerzył żółtkę zębów Dun. - Chyba że ci zostało z innych napadów, italska moczomordo.

-

Co takiego? - Vittorio zmarszczył ciemne brwi.

-
Bo to nie sultańska krypa. Słyszałeś, by krzyczeli te swoje „Allah Akbar”? - Harald trącił nogą jakiegoś trupa i spojrział na Vittoria z szyderstwem.

-
To kogośmy zatem obrobili?

-
Asasynów! - roześmiał się złowrogo Harald. - Tych popaprańców Starca z Gór! Niezła kabała, nie?

-
Pies szczał na asasynów, Saracenów i całą resztę tych nieszczęsnych pomyleńców - warknął Vittorio. -Do roboty, Harald.

Odwrócił się powoli, by zademonstrować swą wyższość i wparł się obiema dłońmi w okrężnicę, tym razem tylko i wyłącznie po to, by utrzymać równowagę. Po jego trzewiach rozlewało się bowiem lodowate zimno, a kolana stały się dziwnie miękkie, jakby zaraz miał stracić przytomność. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w opromienione księżycową poświatą fale, gdzie wciąż widać było kilku pływaków.

„Tylko tego jeszcze brakowało - pomyślał oszołomiony. - O, kurwa mać. Szkoda, że cię tu nie ma, Gastonie. Przekonałbyś się na własne oczy, że ktoś inny zakasował cię w umiejętności wpadania w gówno...”

Gaston drgnął i usiadł gwałtownie wybudzony z nerwowego, niespokojnego snu. Blask gwiazd ukłuł go w oczy, zamrugał raz i drugi, lecz postać jego przyjaciela dopiero po chwili nabrała ostrości. I wtedy zrozumiał, że coś się stało.

Powieki Anzelma były przymknięte, przesłonięte mgłą, jakby wpatrywały się w jakiś punkt poza czasem. Jego ciało zastygło niczym posąg, nozdrza rozchylały się lekko, łapiąc niewyczuwalne wonie. Gaston odniósł wrażenie, że uwaga de Fidou skupia się na linii ciemnych mrocznych wzgórz na horyzoncie, skąd on sam przyjechał wcześniej tego dnia, i z niezrozumiałego powodu przeszył go dreszcz lęku.

-
Co się dzieje? - zapytał cicho.

-
Ktoś tu zmierza - odparł Anzelm i podniósł się jednym płynnym ruchem. - Pójdę zobaczyć, kto zacz.

A ty schowaj się w zagrodzie z kozami.

-

Co takiego?

-

Schowaj się.

-

Anzelmie, nie mogę się chować. Niewykluczone, że ten ktoś zmierza tu po mnie. Nie mogę narażać na niebezpieczeństwo ciebie i całej...

-

Zamknij się. I schowaj się. Natychmiast, Gastonie.

Podniósł się chłodny nocny wiatr, z gatunku tych, które ukochał sobie najbardziej, bo studziły jego myśli, gdy zbyt gęsto osaczały go wspomnienia z przeszłości. Stał wyprostowany, z ramionami założonymi na piersi, z twarzą przesłoniętą włosami, bez broni, ale niebezpieczny niczym gniew bogów. Samotny, ale niezniszczalny jak twierdza. Stał plecami zwrócony do zapomnianej wioski, spokojny o jej bezpieczeństwo, spokojny o siebie. Stał i wpatrywał się w nadciągające konie.

Jeźdźcy wychynęli z nocy i bez słowa, bez najcichszego nawet polecenia otoczyli go milczącym, niewzruszonym kręgiem. Bez emocji patrzył po ich twarzach, obojętnych, niezłomnych, skrytych w cieniu hełmów, aż w końcu przeniósł wzrok na tego, który zdawał się im przewodzić.

Jedynego męża bez hełmu, noszącego za to wielki krzyż na piersi. Ten odpowiedział spojrzeniem równie mocnym jak jego własne.

-

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wyrzekł dźwięcznym głosem.

-

I ja Go chwale - odparł spokojnie. - Kim jesteście, szlachetny panie, i w czym pomóc wam mogę?

-

Zwę się Adelard Cattaneo, jestem biskupem Werony i legatem papieża Klemensa III -

rzekł człowiek z krzyżem na piersi. - Zbiegłego więźnia poszukuję. To możny rycerz, zwie się Gaston de Baideaux.

-
Nie ma go tu, Wasza Wielbność.

-
Nie ma go tu - powtórzył legat i uniósł głowę, jakby delektował się smakiem kłamstwa. -

To ci dopiero.

Wszelkie ślady wiodły tu, do tejże wioseczki, a wy mi mówicie...

-
To mała wioseczka, Wasza Wielbność. Mysz się nie prześlizgnie, by ludzie gadać nie zaczęli. Nie ma tu tego waszego de Baideaux.

-
Doprawdy? - Adelard założył ramiona na piersi. Wpatrywał się w odmieńca ciemnymi, mocno zmrużonymi oczyma, a wiatr targał jego siwą kitą. - A jeśli skrył się gdzieś w wiosce? W

obórce, wśród zabudowań, pod kiecką jakiejś młódki?

-
Marnujecie swój czas, Wasza Wielbność.

-
Gaston de Baideaux wyrządził wiele zła. - Legat papieski pochylił się w siodle, wbijając wzrok w postać swego rozmówcy. - Bardzo wiele. Dołożę wszelkich starań, by go odnaleźć i choćbym miał do samego piekła za nim zejść, zrobię to i bynajmniej nie nazwę tego marnotrawstwem czasu. Dlatego też, dobry człowieku, zejdzicie mi z drogi i pozwolicie...

-Nie.

-
Wiesz, że oni - legat wystawił kciuki, wskazując swoich przybocznych - mogą cię złapać, powalić i oćwi-czyć jak byle kmiota?

-
Wiem, że mogą chcieć to zrobić. - Zielone oczy jego rozmówcy zapłonęły dziwnym blaskiem. - I najlepiej by było, aby na tym poprzestali. Bo w przeciwnym razie musielibyście, Wasza Wielbność, nowych przybocznych sobie poszukać.

Adelard wyprostował się w siodle, jakby dotknięty do żywego zniewagą. Któryś z jego ludzi sięgnął po bicz, ale legat niespodziewanie znieruchomiał i wstrzymał go uniesioną dłonią. Przez długą chwilę wpatrywał się w płonące, zielone oczy de Fidou.

-

Znam cię - powiedział wreszcie. - Rozpoznałem cię. Nazywasz się Anzelm de Fidou i jesteś przyjacielem de Baideaux.

-

Nazywam się Anzelm de Fidou i jestem przyjacielem wioski widniejącej za moimi plecami. Przysięgałem przed sobą samym, że będę jej bronić i zrobię to, bo zagrażacie jej spokojowi, Wasza Wielbność. Gastona zaś nie widziałem od czasu bitwy pod Salib.

-

Jesteś plugastwem, de Fidou. Samo twoje istnienie to obraza dla Boga.

-

Zatem daj znak swoim ludziom. Ukarz mnie. -Oczy Anzelma błyszczały zuchwale.

Adelard z Werony przymknął powieki, a gdy je otworzył, w jego spojrzeniu błysnęła drwina przemieszana z lodowatą obietnicą zemsty. Bez słowa zawrócił konia i umknął w mrok, a jego przybocznicy w ślad za nim.

Gaston nie mógł oderwać oczu od jeźdźców otaczających samotnego Anzelma. Widział wielu wojowników Ziemi Świętej, spośród których kilku otaczała już legenda -przyglądał się templariuszom, walczył u boku szpitalników, zetknął się z asasynami, spotkał się z niedobitkami tajnego oddziału zabójców utworzonego przez jego brata, miał okazję obserwować w akcji turkopoli, egipskich ma-meluków, tureckich najemników i syryjskich nobili - ale nigdy nie spotkał się z mężczyznami, którzy zrobiliby na nim takie wrażenie. Ciemności nocy przesłoniły ich sylwetki. De Baideaux wiedział jedynie, że mają na sobie kolczugi bądź zbroje lamelkowe, a głowy chronią hełmami, ale wiele szczegółów dopowiedziała mu intuicja. Skądś wiedział, że są bardziej ważni od zwykłych pachołków, ale to nie rycerze - wewnętrzny głos podpowiadał mu, że wzgardziliby takimi zaszczytami jak pas rycerski. W ich niewzruszonej, posągowej wprost wyniosłości kryła się niezmierna siła, od której Gastonowi co rusz przemykały dreszcze po plecach. Wpatrywał się w samotnego, otoczonego przez nich Anzelma i nieświadomie, z coraz większą rozpaczą szeptał modlitwy. Nie dbał o to, że wystraszone jego obecnością kozy beczą coraz głośniejsze, a niektóre próbują bóść go w plecy. Krył się za usypanym z kamieni ogrodzeniem i z bijącym mocno sercem żebrał u Boga o łaskę dla swego niespełna rozumu przyjaciela.

W chwili, gdy tajemniczy jeźdźcy zawrócili i pomknęli w mrok, jakby nagle Anzelm przestał być dla nich istotny, Gastona ogarnęła ulga tak ogromna, że nieomal stracił przytomność. Opary nieświadomości rozpędził głos Anzelma i stukot raciczek wystraszonych kóz.

-
Naraziłeś się Rzymowi, Gastonie - powiedział de Fidou, nawet nie maskując rozbawienia.

- Ciekawe, co by na to Vittorio powiedział.

-
Odjechali? - wyjąkał Gaston.

-
Tak, ale nie na długo. Ten klecha mnie rozpoznał. Wie, że cię ukrywam.

-
Skoro wie, to dlaczego odjechał?

-
Nie wiem - głos rycerza-odmieńca stwardniał. -Chodź, musimy się przygotować.

-
Co? Do czego?

-
Uciekajmy stąd.

-
Anzelmie...

-
Tak, wiem. Mają konie, jest ich wielu, wyglądają na zdecydowanych. Ale nie znają wszystkich ścieżek wśród tych wzgórz. Przy odrobinie szczęścia jutro koło południa dotrzemy do Baalbek.

-
Ja nie o tym. - Gaston pokręcił głową. - Wybrałeś dla siebie inne życie, Anzelmie, a ja nie mam prawa ci go teraz zabierać. Przez cały czas umierałem ze strachu, że któryś uniesie broń i...

-
I wstąpi we mnie szal? - skrzywił się Anzelm.

-
Nie. Że cię zabije.

-
Wzruszające. Wyłaż z zagrody. Zabierzemy, co trzeba i ruszamy w drogę.

-
Ja wyruszam. Ty zostajesz. Nie mam prawa...

-
Ten człowiek mnie rozpoznał - powtórzył Anzelm ze zrezygnowaniem i oparł się ciężko o kamienną zagrodę, aż zachręściły gorzej dopasowane głązy. - Nazwał mnie nawet plugastwem, do czego w sumie pretensji nie mam. Gorzej, że zwiastuje to kłopoty nie tylko dla ciebie. Jeśli istnieje na tym świecie coś podlejszego, bardziej podstępnego i spiskującego od zwykłego klechy, to jest to chyba tylko ambitny klecha. Ten zaś cuchnął ambicją na milę. Jestem pewien, że gdy już załatwi sprawę z tobą, wróci tu po mnie. Nie mam na co czekać. No, wyłaż już z tej zagrody.

-
Przepraszam.

-
Posłuchaj. - Oczy Anzelma zwężyły się niebezpiecznie. - Moje przekleństwo nie odezwało się przez ostatnich kilka miesięcy. Nie dało o sobie znać również podczas mego spotkania z wielbnym Adelardem, co mnie w sumie dziwi. Jednak obiecuję ci, de Baideaux, że jeśli jeszcze raz mnie przeprosisz lub bąkniesz coś o winie, strachu czy odbieraniu prawa, zobaczysz furję, jakiej świat nie widział. A jeśli zaraz nie wyleziesz z tej zagrody, obmacywanie kóz wejdzie ci w krew i Kościół będzie miał na ciebie kolejnego haka.

Widok z wierzchołka skały, na której siedział wąsaty ry-
cerz z zieloną, przewieszoną przez plecy tarczą, był nie najlepszy, ale obserwator bez trudu domyślił się, co zaszło. Pokręcił głową z podziwem na widok Anzelma, samotnie i bez broni wychodzącego naprzeciw kilku uzbrojonym jeźdźcom i odetchnął z ulgą, gdy ci zawrócili, a on skierował się spokojnym, powolnym krokiem w stronę wioski. Rycerz spoważniał, gdy de Fidou nachylił się nad zagrodą dla kóz i wyciągnął
prawicę, by pomóc wyjść Gastonowi. Domyślił się, co nastąpi dalej.

- Wiem, że nie zasługuję już na łaskę - szepnął do wiatru. - Wiem, że złamałem wszelkie zasady.

Jednakże ośmielę się, Panie, i poproszę Cię raz jeszcze o Twe wsparcie i błogosławieństwo.

Niebawem czeka mnie walka, być może ostatnia, o tych, których kocham. Pomóż mi, Panie, by nie

okazała się ona walką na marne. -Z tymi słowy pochylił głowę i zatopił się w modlitwie.

Wiatr troskliwie otulił go połami znoszonego, zakurzonego płaszcza.

W chwilę później uderzył nieco mocniej. Jego suchy posmak zwiastował rychłe nadejście burzy piaskowej.

Rozdział czwarty

w którym niebagatelną rolę odgrywa bukłaczek wina. i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ci krzyżowcy

Anzelm i Gaston nie byli jedynymi, którzy ucierpieli na skutek burzy piaskowej. Ledwie znaleźli się na trakcie do Baalbek, wyminęła ich nadciągająca z południa karawana wielbłądów. Zarówno zakurzona sierść zwierząt, jak i brudne od piachu pakunki przytwierdzone do ich grzbietów, mówiły, że kupcy mają za sobą ciężką noc. Oni sami zdążyli zmienić szaty na świeże, ale zdradzały ich wiecznie przymrużone, przekrwione oczy, które obrzuciły dwóch Franków niechętnym spojrzeniem, by natychmiast skierować się do przodu, tam, gdzie wśród porannych mgieł majaczyły już mury obronne Baalbek.

Ci zaś wędrowali niespiesznie, ciesząc się ową krótką chwilą, która oddzielała koszmarną, burzliwą noc od spiekoty dnia. Wyglądało na to, że wściekła burza, jaka rozpętała się w chwilę po tym, jak dwóch rycerzy wyruszyło w drogę, jakimś cudem oszczędziła żyzną dolinę Bekka oraz królujące nad nią miasto Baalbek. Na kamieniach prastarego traktu zalegała co prawda warstewka piasku, lecz tę naniósł nogi tysięcy wędrowców, zaś liście drzew oliwnych ciężkie były od rosy, a nie kurzu. Ciągące się naokoło sady i winnice, w których już roiło się od robotników taszczących wiklinowe kosze, zdawały się nie mieć końca, tonęły gdzieś w cieniu majających na horyzoncie ośnieżonych szczytów gór Antylibanu. W powietrzu wciąż unosiła się wonna, cudowna wilgoć żyznej ziemi, lecz ustępowała szybko pod bezlitosnym spojrzeniem wstającego słońca.

-

Dlaczego Baalbek? - zapytał Gaston. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od wyjścia z niewielkiej skalnej niecki, w której przespali parę godzin przed świtem.

-

A dlaczego nie? - wzruszył ramionami Anzelm. -To najbliższe miasto, poza tym całkiem spore. Łatwo będzie się w nim ukryć i zasięgnąć języka. Dowiemy się, co przeszkrobałeś, a potem coś wymyślimy. Masz w końcu paru możnych przyjaciół, prawda? Na przykład baron Ibelinu?

„Jesteś zmiją, podłą zmiją!” - zakrzyknął jakiś odległy, na poły zapomniany głos w jego głowie i Gaston przymknął lekko oczy.

-

Zapomnij o Balianie - wyszeptał.

Anzelm skrzywił się lekko, lecz nie odezwał się ani słowem.

Do bramy miejskiej dotarli, gdy słońce znalazło się w zenicie, a cienie skurczyły się do plamek pod ich stopami. Odpoczywający w cieniu murów strażnicy obojętnymi, szklistymi ze znużenia oczyma śledzili wlewający się do miasta pstrokaty tłum. Nikt nie zwrócił uwagi na dwóch ubogo odzianych Franków, którzy dla ochrony przed spiekotą narzucili kaptury na głowy. Prażeni upałem, duszeni pyłem drogi wędrowcy marzyli tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się wewnątrz miasta.

Mylił się jednak ten, kto spodziewał się znaleźć tam ulgę. Pod względem zabudowy Baalbek nie różniło się specjalnie od Tyru czy Akki - rozglądając się dookoła, Gaston dostrzegł strzegącą miasta masywną cytadelę i wznoszący się przy niej meczet, ujrzał także istny labirynt wąskich zaułków odchodzących od głównych ulic. Z doświadczenia wiedział, że rozciągnięte nad nimi markizy więżą duszny upał, miast chronić drogocenny, chłodny cień i aż jęknął z żalu.

-
Chodź! - Anzelm szarpnął go za ramię. Idący przed nimi staruszek postawił klatki z gdaczącymi kurami i obdarzył ich bezzębnym uśmiechem. Obok przemknęła gromadka uzbrojonych w patyki dzieci, których entuzjazm wydawał się niezmacony upałem. Gdzieś wyklócało się kilku przekupniów, wydzierała się jakaś kobieta, ktoś przygrywał na lirze i przyśpiewywał sobie ochryłym głosem.

-
Chodź - powtórzył Anzelm, ocierając pot z twarzy brudnym rękawem. W jego oczach migotały dziwne, niebezpieczne błyski. - Musimy się dostać na wzgórze świątynne!

Palcem wskazał rzędy kolumn wznoszących się nad dachami kamienic. Odurzony upałem Gaston kiwnął jedynie głową i popłynął naprzód, niesiony rozwrzeszcza-ną, podekscytowaną ciżbą ludzką.

Przez kilka chwil, które upłynęły od przekroczenia bramy miejskiej, Gaston nabrał przekonania, że nigdy dotąd nie widział większego tłumu. Kiedy spostrzegł

masy ludzkie przewalające się po wzgórzu świątynnym, przystanął jak wryty i otworzył szeroko oczy. Na ogromnym, rozgrzanym niczym patelnia placu, pośród dziesiątek trudnych lub zgoła niemożliwych do rozpoznania antycznych szczątków, na szerokich, ozdobionych zeszczeconymi rzeźbami schodach czy wręcz wśród niebotycznych, pozbawionych już ciężaru dachu kolumn, pulsowało życie miasta i całej doliny Bekka. Setki ludzi zdzierały sobie gardła nad koszami z kukurydzą, amforami z oliwą, workami żyta czy grzbietami wystraszonych kóz, usiłując przyciągnąć uwagę kupujących bądź wytargować najlepszą cenę. Zaimprovizowane stragany, z rzadka kryte wystrzępionymi markizami - miejsca w cieniu najwyraźniej przysługiwały jedynie najznaczniejszym sprzedawcom - uginały się pod ciężarem dyń, melonów, oberżyn i najrozmaitszych rodzajów ogórków, wokół nich stały worki z fasolą, soczewicą, kminem, bazylią, piołunem, koprem, anyżkiem i setkami innych ziół. Wory złocistej pszenicy i bielutkiego ryżu piętrzyły się obok skrzyń z urzetem, marzanną i szafranem. Dalej, tam, gdzie było więcej cienia, piętrzyły się stosy miejscowych rodzynek, oliwek i morwy, ogromnych sindżarskich cytryn i egipskich grejpfrutów, wznosiły się sterty łądyżek trzciny cukrowej i tykwy z miodem.

Tam, gdzie rozstawiono gliniane amfory z winem, pomimo surowych nakazów islamu, pokrzykiwania były najgłośniejsze, a wybuchy śmiechu najczęstsze. Nie ciszej było tam, gdzie cukiernicy zachwalali swą chałwę, miodowe wafle, pitny miód, ubity na pianę sorbet czy powidła z gruszek, jak również tam, gdzie kłócili się rzeźnicy otoczeni stertami mięsa, które tradycyjnie sygnowała ułożona tuż obok urznięta głowa zwierzęcia. Z rozstawionych wśród ruin namiotów buchały zapachy ostro przyprawionego, gotowanego mięsiwa, ścierając się ze smrodem uryny, zwierzęcych odchodów i gnijących odpadków. Z innych sączyły się intensywne wonie palonego opium bądź haszyszu, z produkcji których dolina Bekka słynęła od zawsze. Tak oto biło serce prastarego miasta, które przetrwało wiele stuleci i wielu władców, aż doczekało się nadejścia emirów damasceńskich, a za ich sprawą dawne dzieje utonęły w surowym cieniu meczetu.

Świątynia Baala, pamiątka po fenickich założycielach Baalbek, została rozebrana. Z powstałych w ten sposób materiałów wzniesiono strzegącą miasta cytadelę, a świątynie Jowisza, Wenus i Bachusa, pozostałości po czasach, gdy nosiło ono jeszcze rzymską nazwę Heliopolis, podupadłe i pozbawione stropów, były dziś areną niekończących się, zaciekłych targów muzułmanów.

Natłok barw, zapachów i hałasów na rozgrzanych od słońca placach momentalnie przyprawił

Gastona o ból głowy. Dopiero po chwili usłyszał, że Anzelm coś do niego krzyczy.

- Co takiego? - zawołał.

De Fidou błysnął wściekle oczyma i wskazał mu schody najmniejszej z trzech świątyń, a potem odwrócił się i zniknął w ludzkiej cizbie. Gaston chciał śledzić go wzrokiem, ale plecy druha w mig przesłonił rząd ciemnoskórych niewolników taszczących zwinięte kobierce. Wzruszył

ramionami i ruszył we wskazanym kierunku.

Parł przez tłum, kryjąc twarz w kapturze, manewrując między żebrakami i sprzedawcami wody, których nieustępliwość wydawała się wzrastać wraz z żarem i duchotą. Wpadł na obwieszonego dzwoneczkami muła sprzedawcy wachlarzy, cofnął się, wyminął kilku cyrulików siedzących z miskami brudnej wody wprost na splekanym bruku, przeszedł za plecami rozwrzeszczanych kibiców walki kogutów i już znalazł się na schodach. Przez chwilę jego uwagę przyciągnęło dwóch wesołków, wokół których gromadził się coraz gęstszy tłum. Strojni w liche ubrania imitujące bogate szaty i zbrojni w drewniane miecze biegali po niewielkim placu i fechtowali się hadith - anegdotami - które musiały być niezwykle zabawne, gdyż otaczający ich ludzie pękali wprost ze śmiechu; nawet na twarzach znużonych strażników widać było uśmiechy.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jeden z wesołków naśladuje Salah ad-Dina, a drugi króla Ryszarda.

Wyżej, nad morzem turbanów i dżelabij, powietrze było chłodniejsze i przynosiło ulgę, ale rycerz, zamiast usiąść i zaczekać na Anzelma, zwrócił uwagę na kolejny rząd straganów ustawionych w cieniu częściowo zachowanego stropu świątyni, u podstaw masywnych kolumn.

Kręciło się tam wielu ludzi, ale zgiełk był o wiele mniejszy, jakby zarówno kupujący, jak i

sprzedający obawiali się podnieść głos. Owa nietypowa dla tego miejsca cisza wydawała się intrygująca, przyciągała jak magnes. Niewiele się namyślając, ruszył w tamtym kierunku.

Ledwie wszedł w obręb cienia, a natychmiast zrozumiał przyczyny panującej tu ciszy. Na zaimprovizowanych straganach piętrzyły się stosy najprzeróżniejszych ksiąg, pisanych najrozmaitszymi, w większości nieznanymi mu językami, obok nich leżały pęczki talizmanów, amuletów, cyrkli, flakonów, tablic astrologicznych dostrzegł nawet kilka lunet. Sprzedający zaś nie mieli nic wspólnego z motłochem przewalającym się u stóp świątyni - mierzyli swych klientów spokojnymi spojrzeniami i cicho odpowiadali na ich pytania, ci zaś kłaniali się częściej niż zwykle, jakby tu, w cieniu popadającej w ruinę świątyni Bachusa zapominali o swej typowej wrzaskliwości. Zapachy targowiska również pozostały daleko. Chłodne powietrze przepajała niepokojąca woń kadzideł.

Zafascynowany Gaston przeszedł dalej, aż dotarł na sam skraj dziedzińca świątynnego, gdzie kończyły się stragany. Pośród gruzów, na podobieństwo prastarych bożków, zasiadało kilkanaście osób, a wokół każdej z nich kłębił się tłumek przestępujących z nogi na nogę, wystraszonych interesantów, ściskających sakiewki. Półmrok tego miejsca rozpraszały złociste strumienie światła słonecznego, wbijające się przez dziury w dachu i młody rycerz wyraźnie widział, jak siedzący najpierw milczeli, jakby zastanawiając się głęboko, a potem tłumaczyli coś swym interesantom, posiłkując się bogatą gestykulacją i sugestywnymi spojrzeniami. Ci zaś wciskali im w dłonie monety, dziękowali wylewnie i wychodzili pospiesznie, najczęściej poruszeni do żywego lub z widoczną ulgą malującą się na obliczu.

„Wróżbici” - pomyślał Gaston z niedowierzaniem.

Niespodziewanie ogarnęła go dzika, irracjonalna chęć, aby podejść do któregoś z nich i poprosić, by ten rozsunął opary przyszłości i objaśnił mu, co ma dalej począć ze swym życiem. Przygryzł

spierzchniętą wargę i pokręcił głową.

„Nie mam ani denara - pomyślał z rozbawieniem. - Poza tym, nie znam ni słowa w ich języku.

Wszystko

Niespodziewanie ciąg myśli przerwało mu jakieś nowe doznanie. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Gaston wzdrygnął się, rozejrzał z niepokojem i nagle dojrzał wróżbitę siedzącego po turecku ledwie kilka kroków od niego. Miał na sobie spłowiałą, czerwoną szatę i przybrudzony turban, a jego skóra nosiła nieco inny odcień od widzianego dotychczas, lecz nie różniłby się niczym od rzeszy sobie podobnych, gdyby nie oczy, niemalże czarne, emanujące intensywnym magnetyzmem. Jego twarz pozostawała nieruchoma, jakby wykuta była z jednego kawałka skały, lecz dłoń niespodziewanie uniosła się i przywołała de Baideaux oszczędnym ruchem.

Gaston czuł, że musi podejść.

Bąknął nieśmiało na poły zapomnianą powitalną frazę po italsku, której ongiś wyuczył go Vittorio, z jakiegoś powodu uznając, że mówienie po italsku w arabskim mieście nie pociąga za sobą

poważnego ryzyka.

Dłoń skinęła raz jeszcze, tym razem energiczniej.

Młody rycerz szedł ku wróżbicie, z każdym krokiem nabierając pewności siebie, aż wreszcie przykucnął, a wtedy w kamiennej twarzy ujrzał pierwszą rysę. Wróżbita zamrugał niepewnie oczyma, jego usta poruszyły się, jakby wypowiedział kilka niemych słów, a dłoń zauważalnie zadrżała. Jakby wbrew sobie złapał gwałtownie Gastonową głowę i przycisnął ją do piersi, zaciskając mocno powieki.

Trwał tak przez dobrych kilka sekund, a potem przez jego ciało przeszedł potężny dreszcz. Z całej siły odepchnął Pikardyjczyka od siebie i zerwał się na równe nogi.

Kucający Gaston stracił równowagę i wylądował na mozaice, wzbijając tumany pyłu. Zdążył

jednak dostrzec poszarzałą twarz wróżbity i jego oczy, które utraciły swój magnetyzm, a teraz emanowały jedynie zwierzęcym strachem. Potem ciszę dziedzińca świątynnego przerwał klekot obutych w sandały stóp i łopot szat uciekającego człowieka. Interesanci, skupieni wokół

wróżbitów, odwrócili się na krótką chwilę, lecz natychmiast powrócili do swoich spraw. Na Gastona, podnoszącego się powoli i otrzepującego odzienie, nikt nie zwrócił uwagi.

Oszołomiony rycerz rozejrzał się i z prawdziwą ulgą dostrzegł Anzelma, który wchodził w obręb cienia, rozglądając się za towarzyszem.

-

A, tu jesteś - oznajmił z podejrzanym rozluźnieniem. - Ciekawe miejsce, no nie?

Musiałbyś tu zajrzeć wczesną wiosną, gdy cała ta banda - machnął ramieniem w kierunku sprzedawców - sprzedaje almanaki na nowy rok. Wspaniała lektura, łączone dzieło ludzkiej pomysłowości i majaków opiumowych. Więcej...

-

Nie mów tak głośno - syknął Gaston.

-

Bo co? Więcej tu rejwachu niż w gospodzie pełnej tancerek. Szacowni kupcy wywlekają się stąd za brody...

-

Bo jesteśmy Frankami. I trwa wojna.

-
Dla tych ludzi to obojętne - Anzelm zachichotał. - Możemy być Frankami, a na dodatek wilkołakami czy sługami Diabła, bylebyśmy kupowali. I dobrze płacili.

Ale racja, chodźmy na zewnątrz. Jeszcze nas tu zaraz jakieś lichy oblezie.

Znów oślepiło ich słońce, uderzyła fala gorąca wespół ze ścianą zgiełku. Po chwili odnaleźli wolny stopień i rozsiedli się, naciągając kaptury, by ochronić oczy przed blaskiem.

-

Wina? - spytał Anzelm, unosząc chlupoczący bukłak. - Coś blady jesteś.

-

Co? - ocknął się Gaston. - Nie, dzięki.

Dopiero teraz dostrzegł, że zielone oczy przyjaciela

połyskują rozbawieniem, a słowa gubią swoje końcówki. Anzelm czknął z błogością i unosząc jedną brew, otaksował wzrokiem kotłujące się targowisko.

-

Kiedyś... - czknął - kiedyś przyjadę tu i kupię mnóstwo nasion. Będę miał sad i ogród...

Znam się na tym, wiesz? Jak tylko skończę kopać te rowy, zabiorę się za rośliny... Czy masz świadomość, co się tutaj robi, gdy na polu pojawi się kąkol? - zachichotał nagle. - Trzeba, żeby po polu przebiegła naga panna z jasnymi włosami, koniecznie trzymająca koguta! Kąkol znika w okamgnieniu!

-

Bredzisz od rzeczy - burknął Gaston. - Odstaw lepiej to wino.

-

Lepiej się przyzwyczaj - czknął znowu Anzelm i pociągnął tęgo. - Irytuje mnie ciżba, tyle ci powiem. Cholernie irytuje. Mam wrażenie, że ledwie zdążyłem kupić ten bukłak.

-

Czyżby twoje przekleństwo cię nie opuściło?

-

Nie wiem. Jak dotąd nigdy nie powróciło, ale to nic nie oz... oznacza. Przebywanie w tłumie, w

każdym razie, ja... jakoś nie pomaga. Wolę się znieczulić, tak na wszelki wypadek. To co, golniesz sobie?

-

Dawaj.

Siedzieli w milczeniu i podawali sobie buklak, wpatrując się w połykacza noży, wokół którego zgromadziła się grupka zadziwionych widzów. Wino natychmiast uderzyło Gastonowi do głowy.

Świat niespodziewanie zmętniał i utracił ostre kontury. De Baideaux zawiesił wzrok na leżącym nieopodal bloku gruzu, na którym zachowało się wyblakłe malowidło nagiego młodzieńca trzymającego łuk. Im dłużej się w nie wpatrywał, tym zabawniejsze mu się wydawało.

-

To od czego zaczynamy? - zapytał nieco bełkotliwie.

-

Nie wiem - wzruszył ramionami Anzelm. - Może od ustalenia, kto cię śledzi?

-

Co? - Gaston poczuł, jak dobrotliwy wpływ alkoholu opuścił go w jednej chwili, zastąpiony lodowatym tchnieniem strachu.

-

Gdy się rozdzieliliśmy, zobaczyłem, jak jakiś mężczyzna skręca i podąża za tobą.

Chciałem ruszyć za wami, ale wtedy obaj znikliście mi z oczu. Ujrzałem go dopiero po chwili, na schodach, kilka kroków za tobą. Chyba Saracen. Kawał chłopca, w każdym razie.

Gaston przeniósł wzrok na połykacza noży, którego sztuczki wieńczyły coraz głośniejsze oklaski i paplanina podekscytowanych widzów. Zdążył już zdusić w sobie lęk i zasłonić się obojętnością.

Pokręcił głową i splunął siarczyście.

-

Ktoś mnie śledzi - oznajmił niemalże normalnym głosem. - Jesteś tego pewien?

-Nie.

-

Mam nadzieję, że tak. Przynajmniej jedna rzecz na tym świecie nie uległaby zmianom.

No cóż, skoro mnie śledzi, jego pech. Dokończmy ten bukłaczek, Anzelmie, a potem znajdziemy tego mężczyznę i spuścimy mu łomot.

-

Ja nie mogę. Wiesz, jeszcze mi się spodoba.

-

Dobra, to ja spuszczę mu łomot, a ty go docucisz i wypytasz. Może być?

-

Może.

Słońce wiszące nad Ty rem prażyło równie zaciekle jak nad Baalbkiem, lecz jego mordercze promienie studziła łagodna bryza znad morza. Vittorio opierał się plecami o kamienny słup pamiętający jeszcze czasy rzymskie i wystawiał swą ogorzałą twarz ku słońcu. Stał z przymkniętymi oczyma wsłuchany w nawoływania robotników portowych i krzyki krążących wysoko mew, podsycając swą wyobraźnię skrupulatnie odmierzaniem łykami wina. Mógłby tak stać do końca życia, ciesząc się ciepłem słońca i znajomymi sobie odgłosami, wyznaczającymi jego miejsce na świecie. Mógłby nigdy nie otwierać oczu.

Wiedział, co zobaczy, gdy to zrobi.

Wiedział, że ujrzy Konrada z Montferratu, który stoi przy trapie i niczym najchciwszy z kupców pizańskich osobiście odnotowuje każdą skrzynię i baryłkę zniesioną ze statku zdobytego zeszłej nocy. Wiedział, że ujrzy pogardliwy, ociekający złościwością wzrok Duna Haralda, stojącego tuż za plecami swego pana. Wiedział wreszcie, że od tej pory będzie widział świat innym, niż postrzegał go dotychczas - będzie on dlań pełen zakamarków, zaułków i cieni, w których mógł

się kryć zamachowiec, będzie pełen ludzi o tajemniczych, nieprzeniknionych twarzach, z których każdy mógł nosić przy sobie ostrze przeznaczone dla niego. Będzie pełen asasynów.

„Jesteś idiotą, Vittorio - ofuknął się w myślach. - Nawet gdyby nizaryci mieli pieprzone latające dywany, upłynęłoby sporo czasu, nim powiadomiliby Starca z Gór, a ten wysłał swoich fidai, aby poderżnąć ci gardło w zemście. Spokojnie, masz jeszcze trochę czasu. Możesz do woli oddawać się pijaństwu”.

t

Parsknął gorzkim śmiechem i pokręcił głową, jakby wciąż nie dowierzał temu, co się stało.

Mimowolnie wrócił myślą do owych długich, niekończących się miesięcy sprzed paru lat, kiedy to został omotany przez Jo-scelina de Royes. Przeklęty templariusz nastraszył go zemstą asasynów, którzy rzekomo pozostawali na usługach zakonu, i przymusił w ten sposób do służby.

Vittorio nie zaznał odtąd ni chwili szczęścia. Nie opuszczał go mroczny lęk przed zamaskowanym zabójcą. Bezustannie truł każdy radosny moment, odbierał sen, zniechęcał do spotkań z przyjaciółmi. Gdy Vittorio przejrzał blef de Royesa, uczuł niezwykle szczęście.

Teraz ów strach powrócił. Mocniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, bo prawdziwy.

Vittorio pociągnął długi łyk wina i znów parsknął śmiechem.

- Co cię tak bawi, Scozzi? - usłyszał za sobą twardy głos, lekko ochrypły, nawykły do wydawania rozkazów.

Jeszcze parę tygodni temu wyprostowałby się i odwrócił nonszalancko, ale z posłuszeństwem.

Teraz zwlekał nawet z otwarciem oczu.

-

Życie, hrabio - parsknął. - A raczej geniusz tego, który mi je zaprojektował. Dodam, iż nie sądzę, by stał za tym Bóg. Zbyt wiele w tym złościwości jak na Niego.

-

Aha - mruknął markiz Montferrat. - A mógłbyś mi wyjaśnić, skąd przyszło ci do głowy, by zacząć użalać się nad sobą, rycerzu bez skazy? Bohaterze spod Salib?

-

Skąd? - skrzywił się Vittorio. - Ciekawe pytanie. Zakładam, że przyjął pan, hrabio, do wiadomości, czyj statek wypatroszyliśmy?

-

Przyjąłem. I co z tego?

-

Co z tego? - Italczyk wyprostował się i odwrócił powoli. - Ano, to z tego, że niniejszym przez przypadek zadarliśmy z asasynami.

Konrad z Montferratu uśmiechnął się krzywo i przeczesał dłonią przydługie włosy, których nieskazitelną czerń poznały już paski siwizny, pamiątki po licznych troskach i niejednym dniu spędzonym pod palącym syryjskim słońcem. Ów szatański blask w jego oczach opierał się jednak czasowi, wręcz wydawał się przybierać na intensywności. Teraz markiz zatknął kciuki za szeroki pas rycerski i przekrzywił lekko głowę, jakby szykując się do zasypania Vittoria stekiem szyderstw.

-

Po pierwsze, nadal nie widzę powodu do zmartwień z tego tytułu... - wycedził.

-

Doprawdy? - wybuchnął Genuńczyk. - Nie pamiętacie, hrabio, jaki los spotkał Rajmunda trypolitańskiego? Asasyni zasztyletowali nieszczęśnika w bramie jego własnego miasta, mimo że jechał z eskortą! Aż tak was chciwość zaślepiła? Nie wiecie, jaki los asasyni gotują tym, którzy wejdą im w drogę?

-

...a po drugie, kto ci powiedział, że napadliśmy na nich przez przypadek? - dokończył markiz i uśmiechnął się złośliwie.

-

Co takiego? To znaczy, że wiedzieliście...

-

Tak, Scozzi. Wiedziałem, że statek, na który macie napaść, jest własnością asasynów.

Chyba masz świadomość, że nie ma wielu rzeczy w Outremer, które da się przede mną ukryć.

Wiesz, dlaczego kazałem wam go zatrzymać?

-

Boście się szaleju obzarli? Bo zbyt wiele czasu na słońcu żeście spędzili? Bo paliliście opium i...

-

Bo poznałem Starca z Gór, Scozzi. I wiem, że to tylko złośliwy, obmierzły dziadyga, wyschnięty padalec, który doskonale prosperuje na dokonaniach swych poprzedników. Ci, którzy rządzą tą sektą przed nim, wyrobili sobie, słusznie bądź nie, opinię bezlitosnych okrutników i nasz drogi Rashid ad-Din Sinan wie, że dzięki niej wygodne, bezpieczne życie, będąc poważanym zarówno przez chrześcijan, jak i przez Salah ad-Dina. Skoro jest taki groźny - głos Konrada ociekał wprost jadem - to powiedz mi, Scozzi, dlaczego nigdy nie odważył się wyrzucić zemsty na templariuszach, których asasyni mają wręcz obowiązek nienawidzić? Nie, Scozzi.

Asasyni nie są groźni. Wmówili to jedynie całemu światu, podobnie jak ty mi wmówiłeś, że przyjęcie ciebie na służbę to dobry pomysł. To tylko banda łykowatych, żalonych pastuchów, rozkochanych w swej heretyckiej wierze, których trzeba kopniakami zapędzić do przynależnego im miejsca, oćwiczyć batem i wytłumaczyć, że żyją tylko dzięki łasce innych!

Ptaki morskie wydawały się ciszej krzyżeć, chlu-pot fal i pokrzykiwania tragarzy niemalże ustały.

Oszołomiony Vittorio wpatrywał się w poczerwieniałego z wściekłości, zaciskającego pięści Konrada i obawiał się odezwać, by nie wyzwolić kolejnego wybuchu.

-

Zresztą, za to, co zrabuję, wystawię trochę zbrojnych - ciągnął Konrad ciszej. - Ci zaś, jak Bóg da, pognębią Salah ad-Dina, którego za wroga mają. Nie będą tak do końca stratni na tym interesie. A co do ciebie, Scozzi - w oczach markiza błysnęła stal. - Póki tylko chlałeś, było dobrze. Póki żarłeś się z Haraldem, też było w miarę dobrze. Ale teraz zaczynasz się mazgać.

Wiesz, co ci rzeknę? Dobrze ci zrobi kilka miesięcy z dala od Tyru.

-

Jakże to, hrabio?

-

Normalnie. Obejmiesz dowództwo nad poczem rycerskim, który w przezorności swojej posyłam w sukurs królowi Ryszardowi. Żeby potem nie gadali, iż przysły król Jerozolimy palcem nie kiwnął celem jej odbicia. Wyruszasz z rana, Scozzi. Hamadańskie pijesz?

-

Tttak.

-

Dawaj łyka.

Wtopili się w rozwrzeszczany tłum niczym dwa drapieżniki, czujni, spięci, rozglądający się na boki. Uzbrojeni jedynie we własną determinację i podsyconą winem buń-czuczność parli przed siebie, rozgarniając tych, którzy stawali im na drodze. Rozchylone nozdrza wdychały pył ulicy niosący tysiące zapachów tętniącego życiem bazaru, przymrużone, przekrwione od kurzu i słońca oczy przenikały ludzką ciżbę, chciwie poszukiwały jakichkolwiek śladów zagrożenia, dłonie instynktownie zaciskały się w pięści.

Gaston czuł, że jego serce bije jak szalone. Przedzierał się między ludźmi i rozglądał bezustannie, wreszcie pozbawiony lęku i wątpliwości, skupiony na działaniu. Przybył do Baalbek, by odszukać jakieś ślady ze swej przeszłości, teraz całkiem nieoczekiwanie poszukiwał zagrożenia, które najprawdopodobniej z ową przeszłością miało związek. Krew pulsowała w jego żyłach, wypite wino rozmazywało kontury, ponaglało do działania, oddalało wszelkie dylematy.

Szczerbaty Beduin cuchnący wielbłądzią sierścią. Ormianin pachnący gorącym syropem. Arab o orlim nosie. Inny z twarzą przeciętą bladą blizną. Tłuscioch z zaaferowaną miną wyklócający się piskliwym głosem. Starzec o policzkach spękanych niczym wyschnięta pustynia. Umorusany ulicznik. Nic. Ani śladu zagrożenia.

Szli przed siebie miękko, cicho, jakby to mogło pomóc przedostać się niezauważenie przez rozwrzeszczany tłum. Rozglądali się. Ich oczy płonęły, serca biły, pięści zaciskały się. Ramię w ramię przemierzyli rynek. Drugi raz obeszlą wszystkie świątynie i zawrócili w stronę bocznych uliczek.

- Tam! - zawołał nagle Anzelm i wskazał coś ręką.

Gaston zdołał jedynie dostrzec przemykający pod ścianą cień, ale natychmiast zaufał intuicji przyjaciela.

Obaj rzucili się biegiem przed siebie. Pędzili, roztrącając targujących się Saracenów, budząc burzę oburzonych wrzasków za swoimi plecami, desperacko próbując oszacować drogę ucieczki nieznanego. Wyminęli krąg wozów i stado mułów, rozgonili tłumek przyglądający się w skupieniu połykaczowi szabel, przebiegli przez miniaturową jadalnię, nieomal wywracając gar z harissą, skręcili w odrapany zaułek...

-

De Baideaux! - wrzasnął ktoś za nimi.

Gaston stanął jak wryty. Anzelm przebiegł jeszcze kilka kroków siłą rozpędu i również zahamował. Obaj odwrócili się, jeden z niedowierzaniem, drugi z niepokojem malującym się na twarzy

Człowiek, który biegł za nimi, był bez wątpienia fran-kijskim rycerzem. Zdradzała to zarówno blada, zaróżowiona cera, nieudolnie zawinięty turban, spod którego wysuwały się rzadkie kosmyki rudych włosów przyklejające się do spoconego czoła, jak i ciężka przeszywanica, której nie założyłby żaden saraceński wojownik, chyba że czekałaby go bitwa. Biegł niezgrabnie, potykał się, ale śmiał się rubasznie i wymachiwał mięsistymi dłońmi.

-

Na świętego Jerzego, przecież to ty, de Baideaux! -sapał. - Już myślałem, że we łbie mi się pomieszało od tych upałów, ale zaraz... zaraz sobie pomyślałem: No, aż taki to głupi nie jesteś, stary Cedryku! No i proszę, Gaston de Baideaux jak żywy!

Znieruchomiały Anzelm patrzył nań pytająco. Oszołomiony Gaston rozłożył lekko ręce i pokręcił

głową, a w międzyczasie Frank zdołał podbiec do niego, objąć mocno i przycisnąć z całej siły do piersi. Cuchnął potem, a wzrok jego małych, załzawionych oczu był rozmyty, jakby rzeczywiście ucierpiał mocno od promieni słonecznych.

-

Co ty tu robisz, chłopie? - wysapał mu prosto do ucha.

-

Co ty tu robisz, Cedryku? - Ostatkiem siły woli Gaston zmusił się do okazania serdeczności nigdy niewidzianemu człowiekowi, który na dodatek nie budził jego sympatii.

Skądś wiedział, że nagle pojawiła się przed nim szansa odkrycia otaczającej go tajemnicy - pod warunkiem, że nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

-

To długa historia i nie aż tak istotna, wierz mi! -Cedryk z Rochester machnął dłonią i złapał za turban, który niemalże zsunął mu się z głowy. - Najważniejsze, że cię odnalazłem, drogi przyjacielu! Wszyscy cię szukają!

-

Naprawdę? - Gaston z trudem udał zdumienie.

-

A czego się spodziewałeś, mój ty skromniutki Ga-lahadzie? - Grubas poufale uszczypnął go w policzek. -Cóż za pokaz skromności, oto cały de Baideaux!

Niespodziewanie mocno dał mu kuksańca w bok.

-

Na koń, de Baideaux! - huknął. - Wracaj tam, gdzie twoje miejsce! Król ciągiem o ciebie pyta, obiecał nagrodę temu, kto cię sprowadzi!

-

Król? - Gaston nagle zrozumiał, że nie jest w stanie dalej prowadzić tej gry, ale Cedryk się nie spostrzegł.

-

Król, a któż by inny! Król Ryszard! He, he, he, dajże pyska, de Baideaux! Przecież ty wiesz najlepiej, jak pokazać niewiernym ich miejsce! Deus le volt!

- Deus le volt... - powtórzył Gaston i przymknął oczy. Świat na krótką chwilę zakryła ciemność, a gdy znów rozwarł powieki, pamiętał już, skąd zna Cedryka z Rochester.

I przeraziło go to do granic.

Rozdział piąty

w którym w najróżniejszej formie powracają wspomnienia. w większości niechciane wyjechali z

Baalbek późnym wieczorem, kiedy zachodzące słońce zalało żyzne pola i winnice doliny purpurową poświatą. Cienie rozciągnęły się leniwie po starym, pamiętającym jeszcze rzymskie czasy trakcie, a w ostudzonym powietrzu czuć było upajające zapachy wieczoru. Z oddali niosło się wesołe pokrzykiwanie chłopów kończących dzienną harówkę, dookoła rozlegał się zgodny chór cykad.

-

I co się tak gapisz, świniopasie? - wrzasnął nagle Cedryk z Rochester na Araba w ciemnym burnusie, zmierzającego w stronę Baalbek na osiołku. Wystraszone zwierzę zastrzygło uszami, a jeździec mało nie zleciał z jego grzbietu. Rycerze angielscy zarechotali zgodnym chórem, a Cedryk, ubawiony własnym dowcipem, śmiał się, aż mu się wielkie brzuszysko trzęsło.

-

Poczekaj tylko, a skończy się swobodne szwenda-nie! - ryknął w ślad za Arabem przerażonym nagłym wybuchem wesołości surowych, uzbrojonych po zęby Al-Farandż. - Skończy się szczanie na krzyż i gnębienie dobrych chrześcijan, skończą się te wasze psie modły w Świętym Mieście! Słyszałeś o królu Ryszardzie, świniopasie?

Zwymyślany Arab pogonił osiołka i znalazł się daleko za plecami Franków. Cedryk, kończąc swą tyradę, musiał się odwrócić, a wtedy ujrzał poważne twarze trzymających się z tyłu Gastona i Anzelma. Na widok tego pierwszego, na różowej, spoconej twarzy Anglika pojawił się jeszcze szerszy uśmiech.

-

Już my pokażemy tym psom, gdzie jest ich miejsce, prawda, Gastonie?

-

Nie sądzicie, że takie zachowanie nie przystoi chrześcijańskiemu rycerzowi? - nie wytrzymał Anzelm. - Że jest poniżej godności każdego, kto ukochał sobie honor rycerski?

-

Honor? - parsknął Cedryk z Rochester. - Honor zostawię dla równych sobie, dobry panie de Fidou. Dla chrześcijan! Te psy warte są jedynie splunięcia. A jeśli obawiacie się o swe bezpieczeństwo, tedy wiedzcie, że jestem posłem królewskim. Nikt z tych świniopasów nie ma prawa mnie tknąć!

I odwrócił się. Anzelm zerknął na Gastona.

-

Niezłych przyjaciół się dorobiłeś pod Akką - szepnął.

-

Daj mi spokój.

Jechali dalej. Końskie kopyta stukwały na trakcie, Anglicy żartowali niewybrednie, obojętne na cały świat cykady kontynuowały swą symfonię. Gaston przymykał oczy i na nowo odtwarzał wspomnienia, które uruchomiło spotkanie z angielskim posłem.

Świst wiatru w uszach, drgająca z wysiłku końska szyja. Iplecy uciekających Saracenów przesłonięte okrągłymi tarczami na wypadek, gdyby któryś z Al-Farandżporwał za łuk, coraz mniejsze, coraz odleglejsze.

Ściągnął wodze, opanował wycieńzonego konia. Sa-raceni mieli lżejsze, bardziej wypoczęte wierzchowce, nie sposób było ich dogonić. Zaklął z pasją, splunął, ściągnął rękawicę i otarł spocone czoło. Jeszcze raz zmrużył oczy, próbując wypatrzeć uciekających.

I wtedy dostrzegł jednego z nich, jak zatrzymuje się, ześlizguje z siodła, przypada do przedniej nogi swego konia, potem ogląda się w jego kierunku. Czuł strach mężczyzny - wyraźny, niemalże materialny.

- Dajmy temu pokój, de Baideaux - usłyszał za sobą zdyszany głos Cedryka z Rochester. -

Szkoda koni. Będzie jeszcze wiele okazji, by pokazać tym małpom, gdzie ich miejsce, a póki co...

Nawet nie spojrzał na Cedryka i pozostałych rycerzy, których zostawił w tyle podczas pościgu.

Wbił ostrogi w spocone końskie boki, poderwał zwierzę do ostatniego, szaleńczego natarcia.

Saraceński jeździec dostrzegł go i jego strach stał się jeszcze wyraźniejszy. Wskoczył w siodło, próbował pogonić konia do ucieczki, ale ten przebiegł ledwie kilka kroków i znów zatrzymał się, obojętny na krzyki, ostrogi i uderzenia bicia.

Pędził, przeciwnik był coraz bliżej. Zeskoczył ze swego feralnego wierzchowca. Stał teraz na trasie szarży, ważąc w dłoni włócznię, zmagając się z paraliżującym go lękiem.

Uśmiechnął się.

Szarpnął wodzami, unikając desperackiego pchnięcia saraceńskiej włóczni, a potem nagłym, niespodziewanym ruchem przerzucił miecz do lewej dłoni i spuścił ostrze na jej drzewce.

Usłyszał trzask pękającego drewna i natychmiast osadził wycieńzonego konia w miejscu.

Ześlizgnął się z siodła. Zasłużył sobie na tę chwilę i miał zamiar wykorzystać ją w pełni.

Szedł szybkim krokiem w kierunku oczekującego go Saracena, młodego chłopaka o czarnych kędziorach wysuwających się spod hełmu. Szedł i wbijał w niego ciężkie, nieubłagane spojrzenie. Machnął mieczem raz i drugi, niczym żmija poruszająca głową w prawo i lewo przed ostatecznym

uderzeniem. Ten ani drgnął, wiedząc, że na ucieczkę już za późno.

Pierwszym ciosem strzaskał mu tarczę, drugim wytrącił miecz z dłoni. Przerażony, popielaty na twarzy młodzieniec cofał się krok za krokiem, bełkocząc po arabsku i pokazując nagie dłonie.

Wiatr świstał, tętniły kopyta koni Anglików.

-

Dobij suczego syna! - krzyczał piskliwie Cedryk. -Dobij go, na co czekasz!

Młodzieniec opadł na kolana, złożył dłonie, błagał, modlił się. Cisnął mu pod nogi własny sztylet.

-

Dobij go!

-

Zamknij pysk, tłusciochu.

I dobił go. Powoli.

Huk setek bełkotliwych głosów, ryk toastów, łopot płomieni pochodni. Czerwone z upału i opilstwa twarze rycerzy krzyżowych, od wielu dni upojonych własną potęgą.

-

Uciekali niczym zajęce! - charczał Cedryk, waląc kuflem w marmurową ławę. -

Widzieliście? Ilu nas było? Sześciu? Ledwie sześciu! Tamtych zaś było trzy, może nawet cztery tuziny! I co? Czmychali jak zajęczki! Bóg z nami, bracia! Pogonimy tych kurwich synów z powrotem do ich nor pod Bagdadem! Co nie, de Baideaux?

Nie miał ochoty wrzeszczeć jak Cedryk i inni. Irytowała go ta cała sytuacja. Miał ochotę opuścić ów pałacyk zajęty przez angielską bandę pasowanych zbójów i od paru dni systematycznie obracany w perzynę. Czuł w sobie dotkliwy niedosyt, z każdą chwilą coraz dotkliwszy, zupełnie jak wygłodniały człowiek, któremu pozwolono ugryźć kromkę chleba, a potem pozostawiono samemu sobie na długie godziny bez stawy. Jednakże rycerz z Rochester, nie dostrzegając jego mrocznej miny, z całej siły klepnął go w plecy.

-

Dziękujmy Bogu, że pozwolił nam się spotkać! - wybełkotał Cedryk, przysuwając się bliżej. Od jego cuchnącego oddechu aż mdliło. - Aleś rozciągnął dzisiaj tego głupca, co odważył

się stawić ci czoło! I tak trzymać, bez litości dla wrogów Pana! Ty to wiesz, jak pokazać niewiernym

ich miejsce! Jeszcze kilku tobie podobnych i Jerozolima byłaby już nasza! Deus le volt!

-

Deus le volt! - podjęło kilka pijackich głosów. Z piętra pałacyku dobiegły chóralne chichoty dziwek, a potem łomot, jakby przewrócono jakiś wielki mebel. Młody, drżący ze strachu służący o ciemnych kręconych włosach i brązowych, wręcz sarnich oczach w pośpiechu zbierał puste dzbany z ich ławy.

Przeniósł na niego swe spojrzenie ciężkie niczym bramy piekieł. I niespodziewanie uśmiechnął się.

Jego dłoń wystrzeliła z nienacką, złapała młodzieńca za biały chałat i z całej siły cisnęła nim o blat ławy, roztrzaskując naczynia. Pijani Anglicy aż podskoczyli, a Cedryk zaśmiał się nerwowo.

-

Coś ty znów umyślił, szalony szpitalniku? - zapytał, przytrzymując się blatu.

-

A nic takiego - uśmiechnął się w odpowiedzi. Czuł, że znalazł sposób na zaspokojenie swego głodu.
- Przyszło mi do głowy, by jeszcze kilku niewiernym pokazać ich miejsce.

Podobno nieźle mi to idzie, nieprawdaż, Cedryku?

Powietrze nocy było słodkie niczym wspomnienie ukochanej, a jednocześnie zimne jak lęk przed śmiercią. Zdrożeni upałem rycerze angielscy ułożyli się do snu natychmiast po lekkiej wieczerzy, jedynie Cedryk z nieszczerą troską wypytał o powody, które przywiodły Gastona aż do Baalbek bez konia, zbroi i czeladzi, ale zadowolili się skleconą naprędce historyjką o beduińskich zbójcach, którzy porwali go dla okupu. Z widoczną ulgą wpełzł do namiotu, skąd po chwili dobiegło jego basowe chrapanie. Anzelm i Gaston zarzucili na plecy ciepłe koce i skulili się nad ogniem, nieruchomi, milczący. Cykady już umilkły, wiatr poświstywał cicho, gdzieś w oddali chichotały hieny.

-

Przypomniałem sobie parę rzeczy - odezwał się w końcu Gaston.

-

Coś ważnego?

-

Nie wiem. Okaż mi wielkoduszność, Anzelmie, i nie pytaj o szczegóły, ale wygląda na to, że wyrządziłem wystarczająco dużo zła, by zaskarbić sobie podziw takich glist jak ten tłusty Anglik. Coś mi mówi...

Przerwał, jakby coś nagle ścisnęło go za gardło.

-

Coś mi mówi, że to dopiero początek. Że niechęć Bernarda i nienawiść Jakuba są w pełni uzasadnione. A to z kolei... Nieważne. Mniejsza o to. Anzelmie, czas porozmawiać o tobie.

Chyba pora, byś wrócił do swej wioski.

-

Co takiego? - Na twarzy Anzelma, dotychczas nieruchomej i zastygłej, jakby zasłaniała ją woskowa maska, pojawiło się szczere zdumienie.

-

Wyjechałeś wraz ze mną, aby mnie chronić - ciągnął de Baideaux. - I nigdy ci tego nie zapomnę, ale... Ale właśnie okazało się, że wyrobiłem sobie, w ten czy inny sposób, szacunek u króla Ryszarda. W jego armii będę więc bezpieczny przed tą papieską kanalią, a ty... Cóż, Ryszard wojuje z Salah ad-Dinem. Prędzej czy później czeka nas walka i...

-

Chcesz uchronić mnie przed moim przekleństwem? - zaśmiał się gorzko Anzelm. - Nie chcesz, by powróciło? Dobry z ciebie przyjaciel, Gastonie, ale zapomniałeś o czymś bardzo istotnym. Zalażem temu Ade-lardowi za skórę i to chyba porządnie. Przy pierwszej możliwości wróci i rozprawi się ze mną. Mam zatem wybór między samotnym oczekiwaniem na legata a toczeniem piany z pyska pod sztandarem króla Anglii. Co byś wybrał na moim miejscu?

-

Anzelmie, ja... - Gaston zamrugał nagle oczami.

-

Zamknij mordę, de Baideaux. Powiesz choć słowo o winie czy przebaczeniu, a walnę cię w mordę, przysięgam.

-

Chyba kogoś widziałem... - Pikardyjczyk podniósł się szybko. Jego oczy błyszczały, a policzki pałały. Mimowolnie namacał rękojeść miecza podarowanego mu jeszcze w Baalbek przez Cedryka z Rochester. - Tam stał... Stał, a teraz już go nie ma! Znikł... Postawny mąż, z wąsami. Wyglądał trochę jak... jak...

-

Jak Zielony Rycerz? - Anzelm wszedł mu w słowo.

-

Ten wąsacz z zieloną tarczą? Ten, który mówił z hiszpańskim akcentem? Tak, chyba ten sam...

-

Co robił?

-

Widziałem go tylko kątem oka, ale... ale chyba stał i kiwał ręką...

Obaj Frankowie spojrzeli po sobie, odrzucili pledy i cichaczem wymknęli się z obozowiska pochrapujących Anglików. .

Miecz nie wyróżniał się niczym szczególnym, poza tym, że jego klinga była wypolerowana tak bardzo, iż w blasku gwiazd lśniła niczym żywe srebro. Lśnienie przygasało jednak miejscami ze względu na kolczaste łodygi róży, które oplatały ją na podobieństwo wężowych splotów.

Krwistoczerwone kwiaty rozchylały swe pąki nad szerokim jelcem i wyżej, nad głównią, chciwie spijając wilgoć nocy.

Anzelm uklęknął i dotknął zroszonej rosą zielonej tarczy, wysłużonej i pogiętej od setek wrogich uderzeń, a potem podniósł wzrok i spojrzał na Gastona.

-

Czy to... - zapytał ochrypłym głosem.

Gaston uśmiechnął się ze smutkiem.

-

Podobne wyrosły nad grobem mego brata - powiedział cicho. - Piękne, czerwone, kwitnące pomimo mrozu. Tak, Anzelmie. To chyba jedyna legenda Outremer, która się sprawdza. Miecze tych, których szczególnie ukochał sobie Pan, w istocie oplatają róże, dar niebieski. Szkoda tylko, że dopiero po śmierci.

-

Zielony Rycerz nie żyje? - Anzelm gwałtownie pokręcił głową. - To niemożliwe, Gastonie. To po prostu niemożliwe.

-

A jednak. Ten okrutny świat.

-

Ile trzeba okrucieństwa, żeby zabić anioła? -W oczach odmienca błysnęła zdradziecka łza.

-

Anioła? - Gaston otworzył szerzej oczy i pokręcił głową ze zdumieniem.

-

Nie dziw się. Jest więcej legend, które okazały się prawdą. Nie wiem, z jakich powodów trafił on na ten nieszczęsny padół, ale chyba uczynił to wbrew woli Zbawcy. Najpierw, jeszcze przed przybyciem Konrada, jako Zielony Rycerz walczył o Tyr, a potem podjął bój o ludzkie dusze. O moją, twoją i pewnie wiele innych. Nigdy mi tego wprost nie powiedział, ale spędziliśmy razem wiele czasu, wędrując z karawaną beduińską, a ja mogłem się sporo domyśleć.

-

Naprawdę był aniołem? - Gaston poczuł, że głos mu zadrżał.

-

Przez cały czas kierował naszym przeznaczeniem -ciągnął Anzelm. - Doprowadził do naszego spotkania, bym mógł pozbyć się swego przekleństwa. I byśmy mogli uratować tych nieboraków pod Salib.

-

Sprawił, że Bernard opowiedział mi prawdę o Rogerze - zamyślił się Gaston. - A teraz go nie ma. Odszedł. Czyżby Stwórcy spodobało się wezwać go do siebie? A może sprzykrzył mu się ten padół?

-

Nie - zatrząsł się nagle de Fidou. - Nie. Nigdy tego wprost nie powiedział, ale skądś wiedziałem, że pokochał ziemię śmiertelników. Mógłby już dawno wrócić na łono Pana, ale został. Dla nas, Gastonie. Dla bandy błędzących mizeraków. Został zabity.

-

Przez kogo?

-

Nie wiem, ale to kolejny powód, dla którego nie wrócę do domu. Pojadę z tobą, Gastonie, i będę walczył tak długo, aż dowiem się, kto ośmielił się odebrać tej znękaney krainie ostatnią nadzieję.

-
A ja ci w tym pomogę.

Uklęknęli obaj na zimnym, zroszonym piasku i modlili się długo', żarliwie, wpatrując się w opleciony różami krzyż, aż świat rozmazały ich łzy.

Wtedy to z oddali dobiegł krzyk kobiecy.

Kilkakrotnie widywała już im podobnych.

Wiedziała, że tak naprawdę zrodziła ich krucjata. Ruch, który miał przynieść Ziemi Świętej wyzwolenie i wytchnienie od saraceńskich ciemieżców, a dał jedynie zamęt oraz niepewność.

Pośród pozostawionych przez krucjatę zgliszcz, pośród mroków i zagubienia rodzili się właśnie tacy jak oni - obojętni na Boga, którego dotychczas wyznawali, zbyt ubodzy, by wrócić do ojczyzny i zbyt zdziczali, by znaleźć sobie nową. Dawni krzyżowcy, a dziś zwykli rabusie, czyhające wśród szlaków hieny, obdarte, wiecznie wygłodniałe szczury polujące na jakikolwiek łup, którego zdobycie nie wymagało ani pomysłowości, ani odwagi.

Dwukroć o mało by ją dopadli. Za pierwszym razem ocaliło ją kilku żydowskich kupców, którzy wędrowali ze zbrojną asystą, za drugim zdołała znaleźć schronienie w porzuconej, smaganej wiatrami wiosce beduińskiej i zagrzebać się w stercie łachmanów. Tym razem jednakże czuła, że musi pożegnać się z nadzieją. Nie zmyliły ich ni żebracze łachmany, ni rozsmarowane po policzkach błoto. Pędzili za nią z wytrwałością wygłodniałych szakali, dyszący pożądaniem, straszliwi, nieubłagani.

Potknęła się, krzyknęła głośno, gdy ostry kamień ranił ją w łokieć, potem drugi raz, głośniejsze, gdy najszybszy z jej prześladowców złapał ją za ramię, przewrócił na plecy i przygniótł kolanami jej nogi. Usiłowała dosięgnąć jego oczu. Jej połamane paznokcie złościły brudną gębę prześladowcy, lecz ból zdawał się tylko dodawać mu sił. Wykręcił jej rękę, aż chrupnęło w stawie i przybliżył

usta do jej ust, bełkocąc coś po italsku. Jego ślina skapywała na jej twarz. Z każdym jego oddechem kobietę owiewał niewysłowiony smród. Kopła, walczyła z desperacją, ale był

silniejszy od niej, nieugięty niczym dzikie zwierzę.

W oddali słyszała pospieszne kroki innych i chrapliwe, tryumfalne pokrzykiwania.

-
Puść mnie, kanalio - wydyszała.

Przygniatający ją napastnik zaczął ściągać złachma-

nioną szatę. Kobieta wykorzystała chwilę nieuwagi i niemalże się wyslizgnęła, ale wtedy zatrzymało ją siarczyste uderzenie w policzek. Jej głowa uderzyła o kamienie, świat zmętniał, ból stał się mniej

istotny.

-

Boże, bądź litościw... - zdążyła pomyśleć.

O dziwo, był.

Italczyk o cuchnącym oddechu nagle uniósł się w górę, jakby poderwała go nieznana siła.

Uderzył w ziemię gdzieś obok - jego ofiara nie widziała gdzie - aż zachrząściły kamienie, a potem zaskowytał z bólu. Jak przez mgłę kobieta ujrzała, jak zrywa się, a potem znów pada na ziemię podcięty kopniakiem nieznanego przybysza, niewyraźnego niczym senne widziadło. Jego ciosy jednakże były aż nader prawdziwe - przypadał do rzezimieszka i kopał go bez litości, aż ten wreszcie znieruchomiał, rżąc i szlochając. Po pozostałych prześladowcach nie było ani śladu.

Nie wiedziała, kim był ten, który ją uratował. Nie dbała o to. Chciała tylko, by jej koszmar wreszcie się zakończył.

-

Dość już tego, Gastonie - powiedział ktoś tuż nad nią. - Dość tego.

Gastonie?

-

Wiem - odparł tamten.

Znała ten głos. Och, jak dobrze go znała... Jakże często słyszała go podczas bezsennych, przepełnionych rozpaczą nocy w zimnej komnacie Masjafu, kiedy to sen zlewał się z jawą.

-

Wiem - powtórzył człowiek nazwany Gastonem, mówiący jego głosem. - Ja po prostu...

-

Nic już nie mów. Spójrzmy, co to za jedna. Może potrzebuje pomocy?

„Boże, litościwy, miłosierny Boże, nie pozwól, by był to kolejny sen...”

-

Nie, nie potrzebuję... - wyjąkała, bezskutecznie usiłując się podnieść. - Gastonie, czy to ty? Czy to naprawdę ty?

-

Vivienne de Grenier?

Powrót do obozowiska zabrał im sporo czasu. Usadzili hrabiankę przy ogniu i troskliwie okryli jej plecy ciepłymi kocami, a potem bezceremonialnie przetrząsnęli juki angielskich rycerzy w poszukiwaniu wody, owoców i chleba. Trzymający wartę giermek próbował zaprotestować, ale spojrzenie Anzelma stanowczo zniechęciło go do dalszego sprzeciwu. Potem usiedli naprzeciwko Vivienne i patrzyli w milczeniu, jak je, usiłując przywołać resztki godności. Ogień trząsał

wesoło, nad nimi migotały beztrosko gwiazdy, a echo przywołało chichot hieny. Gaston poczuł, jak ogarniają go dreszcze.

Nie chciał na nią patrzeć. Nie żywił do niej niechęci, wręcz przeciwnie - zbyt wiele upłynęło czasu, zbyt wiele przebył mil, zbyt wiele doznał i doświadczył, by nadal mógł się na nią gniewać.

Czas zatarł wszelkie rany; przemyślna, chytra intryga Vivienne to teraz tylko obojętne wspomnienie. Liczyła się teraźniejszość, a ta okazała się wystarczająco skomplikowana i okrutna. Gaston nie miał pojęcia, co spotkało hrabiankę de Grenier, ale jej przejścia niemalże obrabowały ją z urody. Jej twarz, ongiś budząca zachwyt nawet u najtrwalszych ascetów, była jedynie zaskorupiałą maską brudu i znużenia. Rude włosy zwisały w postrzępionych, pozlepianych lokach, dolną wargę szpecił czarny strup, drżące dłonie były poranione i powalane ziemią.

Nie chciał na nią patrzeć. Miał wrażenie, że przyglądając się Vivienne, daje jej poczuć, że dostrzega jej stan i brzydotę. Przenosił spojrzenie wysoko nad ramieniem kobiety, ku gwiazdom, ku niewidocznemu jeszcze wążutkiemu księżycowi.

-

Co za noc - powiedział cicho.

Vivienne, skubiąca skórkę chleba, uśmiechnęła się lekko, po raz pierwszy od chwili, gdy przyprowadzili ją do obozowiska.

-

Jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy -powiedziała cicho. Jej głos, poza lekką chrypką, nie zmienił się wcale. - Mój orszak napadli Saraceni i wtedy też przybyłeś mi z pomocą.

Pamiętasz?

-

Nie chodzi mi o ciebie - parsknął wściekle Gaston. Miał wrażenie, że jej słowa zburzyły ów niezwykły nastrój, w którym trwał od chwili modlitwy nad grobem Zielonego Rycerza. - Nie chodzi...

Jego nabierającą mocy tyradę przerwała dłoń Anzelma, która niespodziewanie opadła na jego ramię.

-
Daj spokój - powiedział miękko odmieniec. - Ona przecież nie wie, co się dzisiaj zdarzyło, ale... Ale coś mi mówi, że nie odnaleźliśmy jej bez powodu. Jest częścią planu.

-
Może - sapnął Gaston i odwrócił wzrok. - Tak czy owak, nie godzi się porzucać niewiasty w potrzebie.

-
Ano właśnie - stwierdził Anzelm i wstał z westchnieniem. - Jeszcze kilka takich, a dorobisz się własnych kwiatów na mieczu. Dobrej nocy, Gastonie. Dobrej nocy, hrabianko.

-
Tam jest mój namiot - powiedział szorstko de Baideaux, gdy Anzelm zniknął we wnętrzu swojego. - Połóżcie się spać, pani. Ja zdrzemnę się przy ogniu.

-
Gastonie, ja...

-
Pani, tej nocy pożegnałem dobrego przyjaciela, a w zamian los zesłał mi was, co, zważywszy na naszą przeszłość, trudno uznać za korzystną zamianę. Okażcie więc odrobinę współczucia i zostawcie mnie w świętym spokoju.

Tej nocy śniła mu się Sara.

Rozdział szósty

w którym Gaston wraz ze swymi towarzyszami ma do przebycia daleką drogę z baalbek aż na wybrzeże, dlatego też niemalże na początku pozostawiamy go własnym myślom i odwiedzamy tych, którym los również dostarczył wielu trosk

ranek nastał zimny i ponury, zdrętwiali od wilgoci

rycerze angielscy przeklinali i ze złością poganiali swych pachołków. Niektórzy omietli ciekawym spojrzeniem Vivienne, która ze wstydem i wściekłością próbowała rozczesać swe włosy, ale jej obecność skomentował dopiero Cedryk z Rochester, na którego rubasność żadna pogoda nie miała wpływu

Ha, ha, ha! - zaśmiał się głośno, biorąc się pod boki. Vivienne drgnęła z przestachu i Gaston instynktownie poderwał się, chcąc ją zasłonić. - Oto i cały Gaston de Baideaux! Spuść chłopca na moment z oczu, a już ci młódkę przywlecze. Niezła sztuka, ha, ha, ha! Zapuszczona, jakby się w kupie gnoju chowała, ale widać, że liczko nadobne...

-

Zawrzyj gębę, de Rochester - wycodził zimno Gaston. Paru najbliższych Anglików zamarło, wszelkie rozmowy ucichły, a giermek trzymający koleczkę Cedryka wybałuszył

szeroko oczy. De Baideaux kątem oka dostrzegł, że Anzelm wstaje i podchodzi bliżej.

-

Jakże to tak, do druha takimi słowy? - Grubas spąsowiał i uniósł nieco brwi. Jego ton nadal miał żartobliwy odcień, ale widać było, że Cedryk walczy ze wzburzeniem. - Razem ześmy Akkę dobywali, razem ześmy hulali i dupczyli, i nagle tak się do mnie odzywasz?

W załzawionych, świńskich oczkach Anglika błysnęło ostrzeżenie.

„Uspokój się - Gaston napomniął sam siebie. Jak dawniej znowu to poczuł: ostrożność w jego sercu jeży sierść i prycha ostrzegawczo. - Jedziesz na koniu tej grubej świni, nosisz odzienie jego kompana, nawet miecza własnego nie masz. To nie pora, by smagnąć w pysk swego darczyńcę.

Jeszcze nie".

-

Do kogoś innego w ogóle bym się nie odezwał, Ce-dryku - uśmiechnął się złośliwie. -

Cofnąłbym się i patrzył, jak idiotę z siebie robi.

-

Jakże to?

-

Poznaj hrabiankę Vivienne de Grenier, bliską krewną Renalda z Sydonu, którego mieliście okazję poznać.

Vivienne wstała i spojrzała na grubego Anglika z nieoczekiwanym dostojeństwem, jakiego nawet brud i łachmany nie zdołały osłabić.

-

Panie - oznajmiła wyniosłym tonem i pochyliła lekko głowę, przywołując dopracowany do perfekcji

gest z czasów dworskich, idealnie łączący wzdgarę z szacunkiem.

-

Ja... Ja nie poznałem... - bąknął speszony Anglik. -Wybaczcie, pani, ja... jestem...

-

Nieważne - uciał Gaston. - Oddasz pani, mam nadzieję, jednego z luzaków?

Cedryk skwapliwie skinął głową i odwrócił się do swego pachołka. De Baideaux zerknął na Vivienne, która już pochylała głowę, pozwalając, by skołtunione włosy przesłoniły jej twarz. Nie mógł nie dojrzeć jej drżących dłoni i wiedział, że ta demonstracja kosztuje ją o wiele więcej niż mu się z początku wydawało. W duchu poprzysiął, iż będzie starannie wystrzegał się pytań o to, co zdarzyło się od chwili zniknięcia hrabianki. Czuł, że tak wypada.

Wiatr niósł obietnicę zmiany pogody. Cedryk kłął i z furią okładał pięściami swego giermka.

Anzelm wpatrywał się w Gastona z lekkim uśmiechem, jakby znał jego myśli. De Baideaux westchnął.

Czekało ich wiele dni jazdy.

Pogoda w istocie się zmieniła. Niebo nad stalowosza-rą taflą morza było pochmurne i niespokojne jak oczekiwanie na wieści o bitwie. Podobne chmury zresztą kłębiły się w głowie Konrada z Montferratu, który stał oparty o parapet i wpatrywał się w horyzont nad dachami kamienic Tyru.

-

Nie - powiedział cicho. .Jego czoło przecięła głęboka, mroczna bruzda. - Nie ma mowy.

Siedzący za jego plecami goście westchnęli ciężko. Balian z Ibelinu obrzucił postać Konrada niechętnym spojrzeniem. Hrabia miał na sobie chainse, tunikę z cienkiego płótna spadającą aż do stóp, nie założył nawet kaftana, który nakładało się pod kolczugę, zupełnie jakby chciał pokazać pozostałym, że nosi oręż tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Renald de Grenier z Sydonu najwyraźniej dostrzegł to samo, bo skrzywił się i jednym haustem wychylił zawartość trzymanego w garści kielicha, a pulchny, dziarski biskup Beauvois pokiwał w milczeniu głową.

-

A wiecie dlaczego? - zapytał Konrad, odwracając się gwałtownie. - Bo nie mam w tym interesu! Nie poprę Ryszarda dopóty, dopóki hołubi on tego popaprańca de Lusignan. Nie i basta!

Balian odchrząknął. W komnacie zapadła cisza -wszyscy, nawet wzburzony Konrad, zamilkli w oczekiwaniu na słowa barona z Ibelinu, którego mądrość i doświadczenie nie miało sobie w Outremer równych. Ten dał przez moment na siebie czekać, lecz gdy wreszcie otworzył usta, miast długiego wykładu z jego ust padły jedynie dwa słowa.

-
Jesteś głupcem.

Renald uniósł wyżej brwi i rozsiadł się wygodnie, jakby w oczekiwaniu na ciekawy spektakl.

Biskup przeżegnał się pospiesznie i spojrział na Konrada z lękiem, spodziewając się wybuchu wściekłości. Markiz odetchnął jednak głęboko, zdusiwszy w sobie narastający gniew, i odezwał się niemalże normalnym głosem:

-
Oczywiście, Balianie. Od ciebie innej odpowiedzi spodziewać się nie można. Wedle ciebie każdy, kto żyw, winien chwycić za miecz, włócznię czy choćby zwykłą drewnianą łagę i popędzić pod sztandar Ryszarda. I walczyć, jeśli nie o Jerozolimę, to przynajmniej o honor rycerski. Nie rozumiesz, że twoja szlachetna, jakże honorowa potyczka z Salah ad-Dinem o Jerozolimę już dawno dobiegła końca. Nadeszła chwila o wiele poważniejsza! Musimy ułożyć przyszłość dla królestwa, baronie, a to wymaga o wiele więcej niż tylko umiejętności złożenia kopii!

-
Zalibyśmy nie ułożyli już przyszłości? - zapytał lekko drwiącym tonem Renald z Sydonu, tradycyjnie biorąc stronę Baliana. - Wraz z biskupami i wielebnym Adelardem ustaliliśmy przecież jeszcze w Akce, że Gwidon koronę zachowa jedynie do czasu swej śmierci, a ty będziesz sprawował seniorat Tyru, Bejrutu i Sydonu, a także dzielić z Gwidonem dochody królewskie. Po śmierci Gwidona twój ród, Konradzie, władzę obejmie. Księżniczkę Izabelę ci nawet na tę okoliczność wyswataliśmy, z trudem niemałym zresztą, bo strasznie się ku sobie z młodym Onufrym z Toronu mieli. Co gorsza, ślub nawet wzięli, a...

-
Daj że spokój! - Wystarczyło, by ktoś wspomniał imię jego świeżo poślubionej małżonki, a Konrad już tracił panowanie nad sobą. Był najwidoczniej tego świadom, gdyż pomiarkował się i zmusił do chytrego uśmiechu. - Ryszard to gracz, Renaldzie, który przed niczym się nie zawaha, by dopiąć swego. Jestem przekonany, że przez cały czas knuje wraz z Gwidonem, jak by się mnie pozbyć...

-
I właśnie dlatego twierdzę, że jesteś głupcem! - huknął niespodziewanie Balian, aż pozostali podskoczyli wystraszeni. - Powinieneś tam być! Jechać po jego prawicy, pierwszym witać go z rana i ostatnim go żegnać, a przez cały czas ostrymi słowy kwitować bełkot Gwidona!

Powinieneś przestać snuć te swoje cholerne intrygi,

a po prostu wbić temu rudowłosemu pyszałkowi do łba, że Gwidon nie nadaje się do niczego, a do królowania już w ogóle! Ty tymczasem obraziłeś się na cały świat i zamknąłeś w Tyrze, by w

spokoju łupić karawany i narzekać na niesprawiedliwość świata tego.

-

Poznałeś Ryszarda równie dobrze jak ja! - odciął się Konrad. - Nie liczy się z niczym zdaniem, rozstawia ludzi niczym pionki na szachownicy. Nie mam zamiaru stać się jego chłopcem na posyłki!

-

Ale staniesz się! Zostałeś tu sam jak ten kołek, Konradzie! Cesarz niemiecki, najmożniejszy z twych krewnych, nie żyje, jego syn nijak posłuchu nie ma, a król Francji zaraz po upadku Akki zwinął manatki i odpłynął do ojczyzny. Został za to Ryszard, który jest ci wrogiem, a na dodatek dowodzi całkiem liczną armią! Gwarantuję ci, że jeśli odniesie nad Salah ad-Dinem zwycięstwo, czego życzę mu z całego serca, podzieli królestwo wedle własnego uznania, w poważaniu mając układy z Akki. Wiesz, gdzie się wtedy znajdziesz? Tu, gdzie teraz.

W tym twoim Tyrze.

Stalowszarskie niebo przecięła żyłka błyskawicy, gdzieś zagrzmiało, jakby burza zaciskała pięści, zbierając siły do uderzenia na świat śmiertelników. Powietrze stało się duszne, niemalże lepkie.

Po skroni dyszącego ciężko Konrada płynęła kropla potu.

-

Ja też życzę Ryszardowi zwycięstwa - wycharczał. - I w Bogu pokładam nadzieję, że je osiągnie, ale nie dam się wyłączyć z gry, nawet pomimo tego, że zostałem w Tyrze. Wiesz, co donoszą moi szpiedzy, Balianie? Salah ad-Din mógł okazać łaskę tobie, mógł ją okazać Gwidonowi, memu ojcu, a nawet tej kanalii Gerardowi de Ridefort, ale nie okaże jej Ryszardowi.

Będą ze sobą walczyć jak dwa wściekłe psy, aż któryś z nich padnie z przegryzionym gardłem.

-

Czy to aby nie sprawka naszego drogiego przyjaciela Gastona de Baideaux? - wtrącił

Renald.

-

Bez wątplenia - podjął gładko Konrad, starając się zignorować mroczne spojrzenie Baliana. - To, co stało się pod Akką, na zawsze wpłynie na układy Ryszarda z Salah ad-Dinem.

W tej sytuacji to ja, drodzy przyjaciele, staję się mniejszym złem.

-

Chcesz podjąć rozmowy z Salah ad-Dinem za plecami Ryszarda? - zdumiał się biskup Beauvois.

Renald uśmiechnął się półgębkiem, jakby sam się tego domyślił.

-

Niech no zgadnę... - Uniósł lekko brew. - Nie tyle chcesz, co już je podjąłeś?

Konrad w odpowiedzi wykrzywił wargi w grymasie.

-

Z tego, co wiem, Ryszard sam usilnie dąży do podjęcia rozmów z sułtanem. Wysłał nawet do niego tego tłustego durnia, Cedryka z Rochester, ale temu najwyraźniej kariera pierwszego moczymordy nadwornego bardziej pasuje niż posła, bo gównem działał. Nikt z otoczenia sułtana nie chciał się z nim zobaczyć. Tymczasem moi ludzie ustalają już miejsce i treść spotkania, a ja, by uniknąć oskarżeń o kunktatorstwo i chcąc okazać znak dobrej woli, wysyłam jutro Ryszardowi zbrojny poczet pod wodzą Vittoria Scozzia. I co, Balianie? Nadal uważasz mnie za głupca?

-

Tak - odpowiedział ochryple zagadnięty, wstając. - Wiążąc się z kimkolwiek, kto wprzód miał jakiś związek z Gastonem de Baideaux, zdradzasz skrajną głupotę.

I wyszedł. Trzaśnięcie drzwi zgrało się z odległym uderzeniem pioruna, nad coraz ciemniejszą taflą morza zamigotały kolejne błyskawice. Prawdziwy mrok jednak zasnuł oczy Konrada.

-

Nie masz pojęcia, Balianie, co jestem gotów zrobić, by osiągnąć swój cel - wysyczał, lecz jego słów nie usłyszał ani Renald z Sydonu, ani biskup Beauvois.

Ta sama burza, która z furją uderzyła na Tyr, ruszyła na południe, z każdą milą wytracając swój impet. Do ziem leżących za Cezareą, gdzie rozłożył się ze swą armią król Ryszard, dotarły zaledwie jej strzępy pod postacią porywistego, niespokojnego wiatru. Płachty namiotów falowały, proporce wodzów frankijskich łopotały, co rusz rozlegał się trzask pękającego drzewca.

Ogniska migotały niczym błędne ogniki, a pokrzykiwania straży gubiły się pośród podmuchów i powracały zniekształcone niczym nawoływania mamunów. Armia krzyżowa, wyczerpana do cna wędrówką pośród nieznośnych upałów i nieustających podjazdów muzułmanów, próbowała nabrać sił przed kolejnym męczącym dniem.

Król angielski Ryszard stał na niewysokim wzgórzu i wpatrywał się w ciemnofioletowe smugi na horyzoncie, ostatnią pamiątkę po zachodzącym słońcu. Wyteżywszy wzrok, usiłował wypatrzeć cokolwiek, co świadczyłoby o nadciągającej flocie, ale nie dostrzegł ani śladu żagli. Westchnął

ciężko i otulił się mocniej płaszczem.

- Mam nadzieję, że burza nie zatrzyma okrętów -mruknął na poły do siebie, na poły do stojącego tuż przy nim Gwidona, lecz nie zdziwił się, gdy ten nie odpowiedział. Król jerozolimski już od dawna niechętnie uczestniczył w jakichkolwiek rozmowach.

„Nie od tak dawna - pomyślał z goryczą. - Ściślej mówiąc od chwili, gdy utracił swe prawa dynastyczne. Trudno mu się zresztą dziwić”.

Ryszard westchnął raz jeszcze i założył ramiona na szerokiej piersi. Był ogromnym mężczyzną, nie bez przesady zwanym olbrzymem, zwłaszcza w porównaniu ze szczupłymi Saracenami. Miał

rozumną, przystojną twarz, ale wiecznie zmrużone, lodowato zimne błękitne oczy zdradzały gwałtowną, porywczą naturę, a spłowiałe od słońca-rude kędziory i gęsta broda przydawały jego wyglądowi barbarzyńskości. Nawet w tej chwili jego postać emanowała niepokromioną, dziką siłą, a szerokie ramiona zdradzały, że nie należy do przywódców, którzy kierują przebiegiem bitwy z bezpiecznego wzgórza. W rzeczy samej, liczył sobie trzydzieści trzy lata, a od dawna już zdobywał sławę podczas rozlicznych kampanii na północy Francji, zaś jako krzyżowiec zdążył

najpierw rozwikłać kilka problemów sukcesyjnych na Sycylii, bez skrupułów zdobył bizantyjski Cypr, a w końcu zgniótł opór Saracenów broniących Akki. Był ostatnim z frankijskich monarchów, który kontynuował wojnę o wyzwolenie Ziemi Świętej i tak naprawdę jedynym, mającym szansę doprowadzić ją do końca.

Teraz jednakże, gdy patrzył ku wciąż fioletowemu niebu nad ciemniejącym morzem, w jego oczach pojawiła się mgła tęsknoty, którą mało komu udawało się dojrzeć.

-

Ile to jeszcze... - wyszeptał.

-

Niedługo - ocknął się nagle Gwidon. - Wiatr był silniejszy, ale przecież dął we właściwym kierunku. Ręczę, że ujrzymy okręty nad ranem.

-

Nie o to mi chodziło - machnął dłonią Ryszard. -Zastanawiałem się, jak długo przyjdzie nam jeszcze walczyć. Najpierw Sycylia, potem Cypr, w końcu Akka... W każdym z tych miejsc zmarnowałem sporo czasu, a tego mam coraz mniej. Zwłaszcza z chwilą wyjazdu Filipa jego upływ zaczął mieć dla mnie podwójną wagę. Ten cholerny chuderlak poprzysiągł, że oszczędzi moje ziemie do chwili mego powrotu z krucjaty, ale za grosz mu nie ufam...

-

A gdybyście to wy wrócili do siebie, a on został w Ziemi Świętej, panie? - zapytał

nieoczekiwanie Gwidon. - Mielibyście wzgląd na przysięgi? Powstrzymalibyście się przed

zaatakowaniem jego terytorium?

-

Pewnie tak - burknął Anglik bez przekonania. -Choć z trudem. Ja, Gwidonie, słowa dotrzymuję i przysięg dopełniam. Czego dowód macie tu i teraz.

De Lusignan ukłonił się lekko, by okazać szacunek wobec królewskiej decyzji, ale Ryszard na niego nie patrzył. Odwrócił się na południowy wschód, tam gdzie pośród cieni nocy, daleko, daleko za horyzontem kryła się Jerozolima. I znów westchnął.

-

Jeśli jest coś, czego wam zazdroszczę, Gwidonie -odezwał się po chwili - to tego, że chodziłeś po ulicach Świętego Miasta jako człowiek wolny. I nigdy, naprawdę nigdy nie zrozumieć, jak mogłeś zaprzepaścić to wszystko.

-

Mówiłem już wam, miłościwy panie. Dałem się omotać temu templariuszowi, Gerardowi de Ridefort -zgrzytnął zębami Gwidon. - Niech go w piekle...

-

A ja dałem się omotać wam! - wybuchnął niespodziewanie Ryszard i de Lusignan zamilkł, wystraszony. -Tobie, templariuszom i szpitalnikom! Chciałem iść na Jerozolimę, a wy wszyscy wybiliście mi to z głowy!

-

Jerozolima jest daleko, panie - ośmielił się odpowiedzieć Gwidon. - Nie wątpię, że pokonalibyście niewiernych i odbilibyście Święte Miasto, lecz nie utrzymalibyście jej długo.

Wolna Jerozolima byłaby niczym chrześcijańska wyspa pośród morza muzułmanów. Bez oparcia w miastach nadmorskich, bez bezpiecznych traktów... „

-

Dość - uciał Anglik. - Słyszałem tę waszą śpiewkę aż nader często.

Pokręcił głową, jakby nagle zrozumiał bezsens swego wybuchu sprzed chwili, i zacisnął na moment powieki.

-

Na tyle często, by uznać jej słusność - wycedził. -Bo widzicie, Gwidonie, różnica między mną i tobą polega na tym, że ja słucham tylko dobrych rad. Choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje.

Ogołociłem me królestwo z pieniędzy i pozostawiłem na jego czele brata, któremu nie ufam, a teraz jeszcze muszę znosić świadomość, że mój największy rywal wraca na swe włości, podczas gdy ja dalej walczę w Ziemi Świętej. I co to za bój? Nie mogę iść prosto na Jerozolimę, by dopełnić swych ślubów, a wróg, którego podziwiam i szanuję, nie chce ani ze mną paktować, ani zmierzyć się ze mną w polu. Od chwili wyjścia z Akki depta nam po piętach. - Zacisnął

ogromne pięści, jakby poskramiając kolejny wybuch. - Wysłała tych swoich cholernych łuczników, dziesiątkami ubija mi konie i znika, nim ktokolwiek zdoła miecz z pochwy wyszarpnąć. Kto zamarudzi za strażą tylną, tego zaraz łapią, przesłuchują, a potem ubijają jak zwierzę, a nie dobrego chrześcijanina! W cholerę z taką krucjata!

-

Nie wińcie ich, panie - wtrącił chłodno Gwidon. - Mszczą się za Akkę. Twierdzą, że zawsze ino dobrych rad słuchacie, ale to, panie, co wam de Baideaux nakładł do głowy...

-

Zawrzyj pysk, de Lusignan - warknął Anglik. - Jesteś ostatnią osobą w całym Outremer, ba, w całym chrześcijańskim świecie, której wolno byłoby mnie napominać. Zamilcz dla swego własnego dobra.

Wygnany król upadłego królestwa zacisnął wargi i uklonił się ponownie, tym razem sztywno i o wiele oszczędniej.

-

Powiedz mi, Gwidonie, ale szczerze - odezwał się Ryszard nieoczekiwanie łagodnym głosem. - Mówiono mi przed wyruszeniem do Ziemi Świętej, że tym krzyżowcom, którzy zasłużą się najbardziej i wielkich czynów dokonają, Bóg okazuje łaskę, obsypując ich oręż kwieciami. Wierzysz w to?

-

Nie - bąknął de Lusignan.

-

Ja też nie. - Ryszard znów spojrzał w ciemność, jakby nad migotliwymi płomieniami ognisk, nad łopoczącymi na wietrze sztandarami szukał niewidzialnej, skrytej w ciemnościach armii muzułmańskiej. - Wygląda mi na to, że prędzej człowieka szlag tu trafi niż czegoś wielkiego a pobożnego dokona.

Wiatr przycichł, chorągwie otuliły dźwigające je tyczki, ogniska rozjarzyły się mocniej, jakby w sercach znużonych frankijskich wojowników nagle ożyła nadzieja. W ciszy poniósł się psalm, płynący z obozowiska templariuszy.

„Zrzucę cię z góry do tych, którzy już zeszli do dołu, do ludu dawnego, i każę ci mieszkać w krainie

podziemia, w wiecznej pustyni..." - śpiewał cicho Rupert de Saint Je-rome, a jego głos tonął w mocnym, zdecydowanym chórze męskich głosów, który przepelniał namiot-kapliczkę i niósł się daleko w noc. Ludzie milkli, zasłuchani, odurzeni jego mocą, niektórzy mimowolnie przyłączyli się do śpiewu, inni wykonywali znak krzyża i układali się na posłaniach, z ufnością myśląc o nadchodzącym dniu. Stary templariusz jednakże, podobnie jak jego bracia klęczący na twardej, niewygodnej ziemi, nie rozumiał przesłania pieśni z Księgi Izajasza. Dla zakonników był to jedynie pozbawiony treści rytuał, którym maskowali swe prawdziwe posłannictwo.

Stary Rupert śpiewał, lecz oczy miał zamknięte. Nie patrzył na prosty krucyfiks otoczony świecami, ani na swych braci w białych szatach zdobionych czerwonym krzyżem. Śpiewał, lecz jego myśli uciekały do tego, który ich porzucił.

„Gniewasz się na nas, Panie? - szlochał w myślach. -Minęły już całe miesiące od chwili, gdy zaszczyciłeś nas swą obecnością. Całe miesiące! Czyżbyśmy postąpili wbrew Twej woli?

Czyżbyśmy uchybili Ci w czymś? Jeśli tak mniemasz, Panie, tedy niesłuszne Twe podejrzenia!

Trwamy w uległości wobec Ciebie, wielbimy Cię, kilkaset ostrzy wznosi się co rano ku Twej chwale! Od chwili wyruszenia z Akki jedziemy w straży przedniej, ginimy i zabijamy dla Ciebie! Nawiedz nas, daj nam znać, że wciąż nas miłujesz..."

Nie śpiewał już, spuścił nisko głowę, włosy, wciąż siwe, ale mocniejsze niż niegdyś, przestłoniły mu twarz. Zacisnął pięści z taką siłą, że paznokcie nieledwie przebiły mu stwardniałą skórę dłoni.

Czuł, że musi czegoś dokonać, czegoś wielkiego, bo w przeciwnym'razie utracą Jego łaskę na zawsze.

A już zaczęli ją tracić.

Zrozumiał to w pełni godzinę później, po zakończeniu modłów, gdy spojrzął w lustro podane mu przez sa-raceńskiego służącego. Ujrzał zmarszczki w miejscach, gdzie zdążyły już zniknąć.

Konrad z Montferratu szedł korytarzami swej tyryjskiej cytadeli, a w jego oczach kotłowało się piekło. Przyjaciele i służba, pasowani i zwykli pachołkowie, chrześcijanie i ludzie innych wyznań, wszyscy jednakowo usuwali mu się z drogi, nawet nikt z najbliższych nie znalazł na tyle odwagi, by złapać go za ramię, odwrócić ku sobie, wejrzeć w oczy i spytać o powody tak wielkiej wściekłości. Niepowstrzymany przez nikogo, markiz wypadł na ulicę, którą bezkarnie hulał wiatr znad morza, herold nienarodzonego jeszcze sztormu. Łopocząc połamami płaszcza, wpadł do najbliższej tawerny.

Stał w progu, ciężko oddychając, delektując się nabożną, pełną przestachu ciszą, jaką wyzwoliło jego wejście. Wolno przesuwiał wzrokiem od jednej zalanej gęby do drugiej, z obrzydzeniem omijając umalowane twarze portowych dziwek, aż wreszcie odnalazł tego, kogo szukał.

-

Scozzi - warknął. - Na zewnątrz.

I wyszedł, nie zastanawiając się, jak Genuńczyk uwolni się od trzech wtulających się w niego dziwek z oczami umalowanymi aż po skroń ani jak po powrocie rozwiąże kwestię własnych monet, które po jego wyjściu niewątpliwie zasilą kupkę usypaną przez siedzących przy jego ławie zbirów. Odczekał chwilę i gdy już miał ponownie wejść do tawerny i tym razem wywlec Vittoria za włosy, drzwi otworzyły się z hukiem i markotny Genuńczyk stanął obok niego.

-

Aleście sobie wybrali moment, panie, niech mnie... -wymamrotał, jednak Konrad nie dał mu skończyć:

-

Gdy tylko dołączysz do armii Ryszarda, Scozzi -mówił ochrypłym szeptem, patrząc w noc - i pokłonisz się rudzielcowi, udaj się do Garniera de Milly z Nablu-su. Wiesz, kto to?

-

Mistrz szpitalników, o ile dobrze kojarzę.

-

Tak. Powiedz mu - Konrad nabrał tchu i przełknął ślinę - powiedz mu, że się zgadzam.

-

Tylko tyle?

-

Tylko tyle. Zrozumie. No, wracaj. Dziwki stygną. I drożeją.

Mały ogieniek niewiele dawał ciepła, ale skulony, nakryty kocem Adalbert doskonale widział

twarz swej drobnej podopiecznej. Dziewczynka wyglądała na nieco wymizowaną, ale uśmiechała się nieodmiennie, gdy tylko na nią spojrział. Łakomie pałaszowała ryż z kawałkami baraniego mięsa, który właśnie zagotował nad ogniskiem, i co rusz popijała wodę z małego drewnianego kubeczka. Wyglądała tak niewinnie i beztrąsko, że były kapelan rodu de Baideaux gotów był plasnąć dłońmi o uda i wybuchnąć głośnym śmiechem.

„Na litość boską, jakaś ty dzielna - pomyślał. - Wędrujemy od dwóch dni, a ty nadal uśmiechasz się, jakby to była zabawa”.

Nie chciał tego przyznawać przed sobą, lecz miał wrażenie, że owa drobna dziewczyna z szarymi, nierówno obciętymi włosami nadawała się do podróży po pyli-stych traktach o wiele lepiej od niego. Stracił wiele owej tuszy, z której ongiś z taką pasją prześmiewał się Italczyk Scozzi, lecz nadal

wędrówka w pałącym słońcu szła mu nieskoro, nawet mimo tego, że naprawił

swe sandały, postarał się o porządną kostur i zamienił budy ciężki habit na lżejszą szatę.

„Jestem Twoim pielgrzymem, Panie - modlił się. -Z radością znoszę cierpienia dla Ciebie”.

Przesunął nieco nogę i aż syknął, gdy odezwał się ból spowodowany licznymi odciskami.

Dziewczynka spojrzała na niego znad miseczki, więc błyskawicznie zmusił się do uśmiechu.

-

Nic to - machnął dłonią i żeby szybko zmienić temat, dodał: - Jeśli utrzymamy tempo, jutro znajdziemy się w miasteczku Al-Dżawani. Założę się, że jest tam gospoda i zatrzymamy się w niej, nawet jeśli mają tam więcej wszy niż słomy w siennikach. Obiecuję ci, moja droga. Z

tego, co mi wczoraj mówiłaś, Gaston wyjechał z Baal-bek i zmierza na zachód, może do Akki.

Znajdziemy go, to pewne. Święty Krzysztof, a on jest patronem podróżnych, na pewno nas nie zawiedzie.

Dziewczynka skinęła głową i odłożyła miseczkę, a potem wyczekująco spojrzała na duchownego.

-

Nie, jesteś wyczerpana - pokręcił głową Adalbert. - Nie wolno mi, nie wolno... Nie mogę prosić cię o to, byś pokazała mi przeszłość, powinienem o ciebie dbać, a nie...

Mocna, opalona rączka dziewczynki złapała jego własną. Adalbert westchnął ciężko i odwrócił głowę.

-

Jest coś, co mnie dręczy - powiedział półgłosem. -Zielony Rycerz nakazał nam odnaleźć Gastona, tłumacząc, że to ważne. Tymczasem nie powiedział nawet dlaczego. Nie mam pojęcia, co się z nim działo przez te wszystkie miesiące, zupełnie o nim zapomniałem. Boże, jak ja mogłem..

„Pokażę ci” - mówiły poważne, szeroko otwarte oczy dziewczynki. Uścisk jej dłoni się wzmocnił.

Adalbert przymknął oczy, jak zawsze podczas projekcji przeszłości, i przez chwilę siedział

spokojnie, nieruchomo, oddychając miarowo. Niespodziewanie jednak jego oddech zaczął

przyspieszać, na czole zaperlił się pot, oddech przerodził się w świszczące chrapanie, a rumieniec na policzkach pochłonęła bladość. Z okrzykiem przerażenia wyrwał swą dłoń, aż przestraszone dziecko odskoczyło do tyłu, i przez chwilę nie mógł złapać tchu.

-
O Boże... - szeptał oszołomiony. - To niemożliwe, Boże drogi, to niemożliwe... Gastonie, chłopcze drogi, nie mogę w to uwierzyć...

Dzień siódmy wędrówki przez spustoszone wojną, prażone słońcem ziemie Outremer z pozoru nie różnił się niczym od poprzednich, z tym wyjątkiem, że wiatr niósł posmak słonej wilgoci.

Zbliżali się już do wybrzeża, a to oznaczało, że lada chwila mogą natknąć się na muzułmańskie oddziały zwiadowcze. Jakkolwiek Cedryk z Rochester święcie wierzył w moc swego aman, przykazał towarzyszom, by mieli się na baczności, i zwiększył tempo.

Zagrożenie jednak nie czaiło się przed nimi, lecz daleko za ich plecami.

Pierwszy wyczuł je Anzelm. Zatrzymał konia i długo wpatrywał się w rozedrganą od upału linię wzgórz, a potem kopnął konia piętami i podjechał do Gastona. Starczyło jedno zaniepokojone spojrzenie przyjaciela, by de Baideaux zrozumiał powagę sytuacji.

-
Biskup Werony? - zapytał z przekąsem.

Odmieniec kiwnął lekko głową i przeniósł wzrok na

Vivienne, która siedziała w siodle po męsku, od początku podróży nie odzywając się ani słowem, nawet nie unosząc spojrzenia.

-
Jasna cholera - Gaston przymknął oczy. - Daj mi chwilę.

Z tymi słowami popędził lekko konia i zrównał się z hrabianką.

-
Pani - odezwał się cicho. - Musimy wraz z Anzelmem odłączyć się od orszaku.

-
Co takiego? - wychrypiała Vivienne, jakby nagle ocknęła się z głębokiego snu.

-
Wybacz - szepnął i zerknął za siebie. - Trzymaj się tych Anglików i powołaj się na swe pochodzenie, gdy tylko dotrzecie do armii krzyżowej. A my... Cóż, musimy rozwiązać pewien problem.

-

Gastonie, o co chodzi? Co się stało? - pytała wystraszona. Chciała go pochwycić za rękę, lecz ten odsunął się.

-

Nieważne - mruknął. - Zresztą i tak nie umiałbym wam odpowiedzieć, pani. Przekażcie sir Cedrykowi, że przy najbliższej okazji oddamy mu konie. Lub raczej ich równowartość. Niech Bóg ma was w swej opiece.

Spiął konia. W chwilę później gnali z Anzelmem na oślep przed siebie, ścigani warkoczami pyłu i spojrzzeniami zdumionych angielskich rycerzy, byle dalej od maleńkich czarnych punkcików, które pojawiły się już na horyzoncie.

Rozdział siódmy

który udowadnia ponad wszelką wątpliwość, że Gaston ma pecha do wielkich bitew i miast prać pohańca jak należy, zawsze musi rozstrzygać inne konflikty Pędzili wśród wzgórz niczym potępione dusze po labiryntach piekieł. Bez litości poganiali wierzchowce, z rosnącym przestachem uświadamiając sobie, że te z wolna opadają z sił. Co rusz któryś z jeźdźców oglądał się za siebie, ale zdradliwe wzgórza zasłaniały widok i nie można było dostrzec ścigających. Ba, Gaston i Anzelm nie mieli nawet pewności, czy Adelard wciąż za nimi goni - nie chcąc przyciągać jego uwagi, starali się przemykać u stóp co większych wzniesień i żaden nie odważył się wjechać na górę. Pędzili naprzód, w głębi serca przeczuwając, że gdy wpadną w ręce legata i jego ludzi, nie będzie dla nich ucieczki.

W końcu jednak koń Gastona zaczął zwalniać. Młody Pikardyjczyk z rozpaczą smagnał go kilkakrotnie po zadzie, ale wierzchowiec jedynie zarżał z bólu i wierzgnął bezsilnie, ale zwalniać nie przestał. W końcu zatrzymał się i zanurzył łeb w wysokich aż po kolana trawach, obojętny na wściekłość jeźdźca.

Znaleźli się w samym środku płytkiej dolinki, otoczonej zewsząd niewysokimi wałami wzgórz.

Znów natarł wiatr, spłynął po zboczach, z przeciągłym szelestem przeczesał gęste, suche trawy.

Po bladoniebieskim niebie sunęły chmary rozkrzyczanego ptactwa. Powietrze wibrowało niepokojem. Zdyszany Gaston obejrzał się za siebie i zaklął bezsilnie.

Anzelm osadził swego rumaka kilkanaście metrów dalej i zawrócił w kierunku towarzysza.

-

Co się dzieje? - zakrzyknął.

-

Zawzięło się bydlę! - Młodzieniec rozłożył ręce. -Prędzej zaćwiczę, niż zmuszę, by drgnął. Trzeba pieszo uciekać!

-
Akurat! - parsknął de Fidou i wskazał niewysoką przełęcz, z której właśnie zjechali. Po zboczu spływały dwie równiutkie szczyrby wyrwane wśród traw przez kopyta ich koni. - Pieszko daleko nie umkniemy!

-
Wcale nie! - zaprzeczył Gaston. - Pieszko nie traw i ukryje się w byle dziurze!

Dalej, zeskakuj! Musimy...

-
Ciszej f - warknął nagle Anzelm i odwrócił się gwałtownie.

Gdzieś spośród traw wystrzelił spłoszony ptak i z głośnym świergotem pomknął ku niebu.

Gaston przymknął powieki i odniósł niejasne wrażenie, że ziemia drży lekko, jakby gdzieś nieopodal pędziły ciężkie wierzchowce.

-
Masz ci los - wyszeptał Anzelm.

Na przeciwległej przełęczy, w którą wbijał wzrok, wyłoniły się sylwetki jeźdźców, czarne na tle rozgrzanego słońcem nieba, najeżone oszczepami.

-
Legat? - zmarszczył brwi de Baideaux, namacaw-szy rękojeść miecza.

-
Nie, za nic w świecie nie wyprzedziliby nas aż tak bardzo - mruknął Anzelm, osłoniwszy oczy dłonią. - To nie legat. To chyba nasi. Cqż, a raczej twoi.

Nadciągający jeźdźcy sprawnie, jakby posłuszni podświadomemu odruchowi, uformowali szyk.

Błysnęły wznoszone ostrza włóczy, zakwitł rząd czarnych tarcz z białymi krzyżami, za którymi kryły się poważne, surowe twarze rycerzy zakonnych. Wlokąc za sobą warkocz pyłu, zwarty oddział szpitalników spływał w dół zbocza niczym złowieszczą kometa.

Gaston zamrugał. W jego umyśle zaczęły pojawiać się obrazy, niewyraźne, zamazane, bezkształtne, jednakże był pewien, że znajduje się tylko o krok od rozwikłania kolejnej zagadki zapomnianych kilku miesięcy.

Znał rycerza, który wysforował się na czoło.

-

Uciekamy? - wykrztusił, samemu nie wierząc w to, co mówi.

-

Chyba oszalałeś - parsknął Anzelm. - W tej sytuacji pozostaje nam jedynie walka, mój drogi przyjacielu.

-

Walka na nic się nie zda - szepnął Gaston. - Nie z nim, w każdym razie.

Czas nagle zwolnił.

Otwartymi szeroko oczami patrzył, jak ciśnięty zza blanek gład, czarny niczym oko śmierci, mknie prosto na nich, na garstkę desperatów uczepionych kruchej, wspartej o wrogi mur drabiny.

Patrzył jak zahipnotyzowany, doskonale wiedząc, co się zaraz stanie. Trzask pękającego drewna, ryk rannych, wrzaski lecących na spotkanie usłanej trupami ziemi. Krótki jak uderzenie bicia świst wiatru.

Wiedział, że tym razem dobrze wycelowali. Kamień nie mógł chybić.

Pnący się przed nim Tankred de Halle zasłonił się tarczą.

„Idiota - zdążył pomyśleć. - Zmiażdży go jak...”

I wtedy nie wytrzymał, zamknął oczy.

Głuche stęknienie szpitalnika złało się ze zgrzytem metalu zderzającego się ze skałą. Policzki owiał mu gwałtowny podmuch, jakby coś śmiertelnie ciężkiego przemknęło tuż obok jego twarzy.

-

Naprzód! - wychrypiał de Halle.

Drabina zadrżała, gdy ludzie ruszyli znów, wrzeszcząc jak opętani.

Otworzył oczy w porę, by ujrzeć, jak szpitalnik odrzuca wygiętą tarczę i pnie się ku górze z dzikim rykiem. Oba jego ramiona wyglądały na zdrowe.

„Odrzucił ten głaz! Odrzucił go tarczą...”

Na rany Chrystusa, toż to wy, bracie Gerardzie! -wykrzyknął tubalnym głosem Tankred de Halle z tym samym zgrzytliwym niemieckim akcentem co zawsze. Osadził spienionego, drżącego rumaka i na moment znikł w welonie rozpędzonej kurzawy. Nim ta odpłynęła, niesiona wiatrem, Anzelm z Gastonem spostrzegli, że ewsząd otaczają ich rycerze-szpitalnicy, surowi, srodzy, lecz rozradowani.

Ogromnie się cieszę, widząc was w dobrym zdrowiu, bracie! - śmiał się de .Halle. -

Zwłaszcza w takim dniu i miejscu! Gdy zniknęliście zaraz po wybiciu tych...

Ja również się cieszę! - udał entuzjazm Gaston, choć jego ciało w regularnych odstępach przesywały lodowate dreszcze, mimo upalnego słońca. - A cóż to za dzień szczególny, rzeknijcie?

Ho, ho! - wykrzyknął Tankred de Hajle. - Sułtan niewiernych odważył się bitwę nam wydać! Król Ryszard szyki sprawia nieopodal, a my wzgórza przepa-trujemy, czy Saraceni zasadzki jakiejś nam nie gotują! W porę żeśmy się odnaleźli, bracie Gerardzie! Wracajmy do naszych, w mig wam jakąś kolczugę zacną znajdziemy. Wam i waszemu towarzyszowi...

Niemiec zmarszczył lekko brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

Znam was skądś - oznajmił, mierząc palcem w skórzanej rękawicy w pierś Anzelma.

Temu na twarzy nie drgnął nawet mięsień, choć arogancja szpitalnika była aż nadto czytelna.

Jechałem pod Akkę w orszaku barona Ibelinu -rzekł. - Przyłączyliście się do nas w dzień po potyczce z Saracenami, w której odniosłem ranę.

Tedy, panie, nie wątpię, żeście mężnym rycerzem - kiwnął głową zakonnik. - Prosim pod nasz sztandar.

-
Dziękuję, nie skorzystam.

-
Wybaczcie, nie dosłyszałem. - De Halle wychylił się przez łęk siodła, mierząc Anzelma zimnym spojrzeniem. - Coście rzekli?

Rycerz-odmieniec, nadal niewzruszony niczym skała, przekrzywił lekko głowę i już nabierał tchu, by odciąć się szpitalnikowi, gdy niespodziewanie wtrącił się Gaston:

-
Mój towarzysz, bracie, złożył śluby. Darujcie mu. Nie chciał wam uczynić afrontu.

-
Wiem, że nie chciał - burknął de Halle. - Nie wygląda na idiotę. Dajcie Gerardowi luznego konia w miejsce tego zdechlaka.

Bez słowa zawrócił rumaka, a w ślad za nim zrobili to samo pozostali rycerze. Uniesiona dłoń w skórzanej rękawicy, ledwie widoczna pośród pylistej kurzawy, nakazywała obu przyjaciółom jechać prosto za zakonnikami. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

„Bracie Gerardzie?” - pytało Anzelmowe.

„O nic nie pytaj, błagam” - odpowiedziało Gasto-nowe.

Słońce paliło, gorący wiatr owiewał twarze, sunące górą ptactwo wrzeszczało, czując niepokój nadchodzącego starcia. Gaston cwałował, nie otwierając oczu.

Na twarzy mistrza Garniera z Nablusu, poznaczonej zmarszczkami przez bezlitosne słońce i ociosanej pustynnym wiatrem, widniała konsternacja. Przeczesał siwawe, rzadziejące włosy i odetchnął ciężko, a potem długo przebierał w drewnianej miseczce z figami.

-
Nie jestem człowiekiem przesądnym - powiedział w końcu, ważąc owoc w dłoni.

Spojrzenie jego siwych oczu wreszcie omiotło postać rozmówcy, z niechęcią, jakby rozstrzygnięcie takich dylematów było poniżej jego godności. -

Wierzę, że moc Pana naszego chroni nas, rycerzy Chrystusa, przed złem wszelakim, jednakowoż... Jednakowoż nie rozumiem, dlaczego chcielibyście, rycerzu, przybrać imię owiane złą sławą?

-
Złą sławą? Z tego, co wiem, nosiło je paru świętych.

-
A także poprzedni mistrz templariuszy, de Ridefort -skrzywił się Garnier i odłożył figę, jakby nagle stracił apetyt. Ściany namiotu zafalowały poruszone oddechem wiatru. Z zewnątrz dobiegały dźwięki blaszanej kołatki, znów nadchodzili grabarze zbierający trupy kolejnych ofiar zarazy. - Ten kozi syn, który wsiadł na ambicję Rogerowi de Moulins, mojemu dzielnemu, acz nieszczęsnemu poprzednikowi, i pociągnął go do szarży na oddziały Kuk-buriego pod Cresson, kilkakrotnie liczniejsze od naszych. Nie wiem, co za demony sprawiły, że to akurat on wyszedł z tej masakry cało, skoro ledwie kilka miesięcy później poprowadził króla Gwidona na wzgórze Hittinu. A co się tam wydarzyło, wiecie, rycerzu, doskonale.

-
Wiem. Bóg miał tego dnia kiepski dzień.

-
Khm, no. Wybaczcie więc, ale wolałbym, byście sobie wybrali inne imię zakonne. Brat Gerard brzmi... no, cokolwiek pechowo.

-
Będę się upierał, mistrzu, lecz bynajmniej nie po to, by wam przykrość wyrządzić. Chcę bowiem zdjąć złą sławę z tego miana. Dobrze wiem, że de Ridefort był niegorszym skurwielem, a do tego jeszcze templariuszem - nawet Bóg miłosierny wzdraga się na takie połączenie - ale pożytecznym skurwielem. Wielce pożytecznym.

-
Co macie na myśli, rycerzu?

-
Za wcześnie, by o tym mówić, mistrzu.

Gdyby nie to, że siedział właśnie zakuty w zbroję na potężnym destrierze, za sobą mając równy szyk najznakomitszych rycerzy zakonu szpitalników świętego Jana Chrzciciela, mistrz Garnier z Nablusu zapewne nuciłby sobie jakąś sprośną śpiewkę o urokach płci przeciwnej, które przed przyjęciem święceń zakonnych wielbił na równi z honorem i sławą. Oddawszy włócznię oraz ciężki hełm giermkowi, ujął się pod boki i niemalże z rozbawieniem rozglądał się dookoła siebie, wdychając gorące, przesycone końskim potem powietrze niczym najbogatsze z pachnideł.

Czuł, że to będzie jego dzień. Czuł, że zbliża się chwila, o której marzył i o którą się modlił.

Serce było mu szybko, a całe ciało wprost rozsadzała ledwie tłumiona energia.

- Tak, tak... - mrucał z zadowoleniem.

Najpierw pojawił się ten zielony z przepicia Genuńczyk, pies na służbie markiza Montferratu, który z rana przekazał mu upragnioną wiadomość, a potem rozległy się trąby króla angielskiego, wzywające do sprawienia szyku bojowego, zwiastujące rychłe starcie z Saracena-mi. Czy można sobie życzyć czegoś więcej?

Po raz kolejny z upodobaniem przyglądał się równym szeregom pikinierów, którzy niczym bastion otaczali chrześcijańską konnicę, wraz z chroniącymi się za ich plecami italskimi kusznikami i angielskimi łucznikami, gotowych bronić jej przed atakami wrogiej piechoty. Przez chwilę napawał oczy widokiem rygoru, jaki zaprowadził w ich szeregach rudy Anglik, a potem spojrzał na prawo, gdzie nad głowami zamartwych w oczekiwaniu jeźdźców łopotwały różnobarwne, dumne chorągwie chrześcijańskich panów. Wyzywająco powiewał sztandar w ukośne błękitne i złote pasy, należący do Hugona, syna Eudoksjusza, hrabiego Burgundii, który z rozkazu Filipa Augusta pozostał w Ziemi Świętej, by dowodzić pozostawionymi tam oddziałami francuskimi.

Ledwie kilka dni temu prowadzona przez niego tylna straż wojsk krzyżowych została odcięta nagłym atakiem sił saraceńskich i niemalże wygubiona, lecz Hugo wraz ze swymi rycerzami zdołał odepchnąć nieprzyjaciela przed przybyciem odsieczy Ryszarda. Chodził teraz w chwale zwycięzcy, w przeciwieństwie do nieszczęsnego Gwidona de Lusignan, którego sztandar powiewał nad rycerstwem z Gujenny. Widział złoto-czerwony sztandar hrabiego Jakuba z Avesnes, który przewodził hufcom Flamandów i Fryzów, widział chorągwie andegaweńskie i bretońskie, widział wreszcie najdumniejsze ze wszystkich, trzy złote lwy na czerwonym tle, sztandar króla Anglii - Ryszarda.

Chorągwi templariuszy, chroniących prawą flankę, nie było zgoła widać, co niezmiernie go ubawiło.

Zachichotał, ale jego radość trwała zaledwie chwilę, gdy natychmiast przeniósł wzrok dalej, tam gdzie w cieniu wyschniętych wzgórz i nieodległych lasów, rozlewały się na równinie czarne plamy formacji saraceńskich. Strojne w złoto chorągwie Ajjubidów, wyczekiwały Franków z obelżywym spokojem, świadome swej przewagi, przekonane o swej wyższości. Pomimo zgiełku rozmów i pokrzykiwań, pomimo rżenia koni, szczęku oręża i łopotu sztandarów, Garnier z Nablusu był przekonany, że słyszy ich przenikliwe trąby. Miał w dłoniach rzemienie uzdy, jego oblicze ściągnęła zawziętość, oczy spochmurniały. Ciężki rumak stąpał w miejscu i targał łbem, jakby wyczuwał gęstniejące emocje jeźdźca.

-

Ruszą się w końcu? - zapytał ktoś z otoczenia mistrza, a Garnier nawet się nie odwrócił, by sprawdzić, kto go indaguje.

-

Ruszą - odpowiedział nagle niskim głosem, nie spuszczać oczu z przeciwnika. - Już to zrobili.

Gaston de Baideaux nie miał pojęcia, której z mocy tego świata zawdzięczać ocalenie.

Gdy niewielki oddział rycerzy zakonnych wspiał się na ostatnie wzgórze dzielące ich od sił frankijskich, rozmiar przedstawienia, jakie przyszło im ujrzyć, odebrał śmiałość wszystkim.

Nawet zuchwały Tankred de Halle ściągnął wodze i wybałuszył oczy. Ku ledwie widocznym szeregom jazdy frankijskiej, obwiedzionym żałośnie cienkim murem piechoty, gnały nieprzeliczone oddziały muzułmańskie. Tysiące kopyt waliło w prastarą, obumarłą równinę, tysiące grzyw końskich powiewało w tym samym rytmie co łopoczące nad ich głowami zielone sztandary z wersetami Koranu, tysiące stożkowych hełmów odbijało palące słońce. Dzikie, przymrużone oczy ajjubidzkich jeźdźców płonęły, usta zakryte płótnem dla ochrony przed pyłem wykrzykiwały ochryple klątwy. Niczym niesione szalonym wiatrem korabie, skąpani w kurzawie i oślepiającym blasku wojownicy Salah ad-Dina pędzili na pozycje Franków upojeni pędem, przekonani, iż własnym ciężarem rozbiją ów stalowy falochron, jeśli nie tym razem, to następnym. Niczym nadciągająca burza czerniały masy beduińskiej i nubijskiej piechoty, najeżone ostrzami włóczni, zębatymi łukami i dzirydami.

Powietrze drżało od trąb, ziemia oddawała tętent kopyt. Ptaki wrzeszczały, unosząc się coraz wyżej.

Tankred wreszcie pozbierał myśli, krzyknął coś, machnął mieczem. Gaston nie dosłyszał jego słów, ale wymowa gestu była czytelna.

„Boże” - zdążył pomyśleć.

Pędząc w dół zbocza, nabrali prędkości i po chwili wskoczyli między oddziały Saracenów niczym kolejny grzywacz na rozhukanym, pylistym morzu. I choć zakrawało to na cud, nikt ich nie spostrzegł, nikt nie zawrócił, by stawić im czoło. Zapatrzeni w cel swej szarży muzułmanie nie rozglądali się na boki, gdzie przecież galopowali ich sojusznicy, przyjaciele, wierni słowom Proroka. Żaden nawet nie spojrzął na rozpędzony stalowy klin, na garstkę odważnych do szaleństwa rycerzy szpitala, którzy wmieszali się do ich świętej szarży.

Tankred zrozumiał to od razu. Kolejne machnięcie mieczem było równie czytelne jak poprzednie.

„Jak pod Salib” - pomyślał Gaston i obejrzał się na Anzelma.

Rycerz-odmieniec gdzieś znikł.

Nie było czasu, by odszukać go wzrokiem. Cel, który wybrał de Halle, znajdował się zbyt blisko.

Prowadzący nie zdążył nawet odebrać kopii od giermka, dwóch czy trzech rycerzy nie zdołało nawet ich złożyć. Nie miało to jednak większego znaczenia - przedarli się przez szeregi saraceńskie niczym niszczycielski wicher przez lepianki z błota. Miecz Tankreda de Halle wyrywał zygzaki na tle bladoniebieskiego nieba, z każdym uderzeniem serca coraz bardziej purpurowe, wokół trzaskały pękające kopie, wrzeszczeli przerażeni, zabijani Saraceni.

Zaskoczeni, odwracali się za późno, zasłaniaли zbyt słabo.

-
W imię Boga! - ryczeli ochryple szpitalnicy.

-
Allah Akbar!

Gaston jakby ożył. Widok lekkich jeźdźców muzułmańskich, ich szerokich rękawów łopoczących niczym skrzydła wyrosłe u osłoniętych kolczugą pleców, stożkowych hełmów obwiedzionych barwną tkaniną, okrągłych kałkanów i długich, lekko wygiętych bułatów, odpędził wątpliwości i przemyślenia, a błyszczące przerażeniem oczy przeciwnika wyzwoliły w de Baideaux furie, jakiej nie doznał od dawna. Wdarł się w szeregi wroga niczym drapieżny ptak między zaskoczone lisy. Tłukł, ciął i pchał, prowadząc rozhukanego, odurzonego zgiełkiem konia coraz głębiej w szyki nieprzyjaciela. Miecz tańczył w jego dłoni jak żywa istota, jak magiczna zabawka, w którą życie tchnął dzin.

„Nie, to nie miecz - uświadomił sobie nagle. - To ja...”

Nigdy dotąd, nawet gdy kierował nim Diabeł, nie walczył z tak niewysłowioną precyzją. Odbijał

ciosy, których nie miał prawa nawet zobaczyć, sam ciął oszczędnie, lecz zawsze celnie, nigdy na darmo. Zdawało się, że nie marnował żadnego, najmniejszego nawet ruchu. Ramię zbrojne w miecz otoczyło go śmiertelnościami młyna stali i rozbryzgiwanej krwi.

Na podziwianie własnych czynów nie było czasu. Tankred de Halle przebił się bowiem na czoło wrogiego szyku, rąbiąc zarówno ludzi, jak i konie, a potem z nadludzką siłą ściał głowę prowadzącemu oddział. Pozostali rycerze parli za nim, wyszarpując krwawą, coraz szerszą wyrwę we wrogiej formacji. Jeszcze kilka pchnięć, jeszcze parę cięć i już znaleźli się na otwartej przestrzeni, cwałowali ku najeżonym ostrzom szeregów frankijskiej piechoty, zostawiając za sobą przetrzebiony, rozproszony, zwalnający właśnie oddział Saracenów. Skrwawieni, wycieńczeni, lecz ze sztandarem łopoczącym zuchwale nad głowami, ścigani przez nieliczne, niepewne strzały, pędzili ku swoim.

- Otwierać szyk! - ryk Tankreda niósł się nad tętentem kopyt.

Gaston strzepnął z klingi ostatnie krople krwi, wsunął miecz do pochwy i pochylił się nad końską grzywą. Wśród piechurów zapanowało zamieszanie, jakiś rycerz krzychał, uderzał płazem miecza. Gaston przeniósł wzrok wyżej, ujrzał las kopii i targane wiatrem sztandary, w tym biały krzyż na czerwonym tle, symbol szpitalników.

I nagle poczuł, że wie, której z mocy tego świata zawdzięczać ocalenie.

Garnier z Nablusu był bliski furii.

Patrzył na luźne, kąśliwe niczym szerszenie, lekkie oddziały jazdy saraceńskiej, które wbijały się w szeregi frankijskiej piechoty, siejąc spustoszenie swymi bułatami i toporami, i ściągał wodze, aż jego rumak znów zaczął rzucać łbem. Przeklinał przemykające w kurzawie sylwetki wrogich jeźdźców, obrzucając ich takimi słowami, że otaczający go rycerze, pomimo napięcia, patrzyli na niego z lękiem i zgorznięciem. Gdy jeźdźcy wreszcie ustąpili, przetrzebieni, ale nie pokonani, a ich miejsce zalały masy nacierającej piechoty, wściekłość mistrza ucieleśniła się.

-

Dość tego! - ryczał purpurowy na twarzy. Jego wzrok, ciężki od nienawiści, rozchwiany i szalony, smagał otoczenie, dusił odwagę w najśmielszych. - Dość tych zniewag! Do szarży!

-

Nie wy tu dowodzicie, mistrzu! - Czyjaś potężna dłoń schwyciła uzdę jego rumaka, oszalałe spojrzenie Garniera ostudził lodowaty wzrok marszałka zakonu, brata Baldwina. - Król nakazuje utrzymać szyk!

Ryk nacierających muzułmanów zdawał się rozdzierać powietrze, poruszać ziemię. Nieprzebrane tłumy synów Mahometa napierały wściekle, lada chwila grożąc rozerwaniem szeregów wycieńczonej piechoty chrześcijańskiej. Skryci w tumanach kurzu, z twarzami zasłoniętymi szmatami dla ochrony przed pyłem, ciemnoskórzy Beduini i hebanowi Nubijczycy wydawali się diabłami uwolnionymi z czeluści piekielnych. Ci, którzy znaleźli się na przedzie, wściekle napierali włóczniami, inni zasypywali pozycje krzyżowców gradem strzał i oszczepów. Słyszając wrzask rannych i umierających, stojący beczynnymi rycerze drżeli wprost ze wstydu i niecierpliwości.

-

Zaraz pękną! - zgrzytał zębami mistrz. Jego oczy były czarne z nienawiści. - Zaraz pękną!

Zrobi nam się z tego drugi Hittin, jak Bóg miły!

-

Nie wzywajcie, bracie, Boga! - warknął Baldwin. - Bo jeszcze usłyszysz.

W zgiełku walki poniósł się kwik ranionego konia, potem kolejny. Strzały i dziury spadały teraz na pozycje chrześcijańskiej kawalerii, w szeregach szpitalników i stojących najbliżej Flamandów zapanowało zamieszanie, z trudem opanowywane przez rycerzy.

-

Powrócił brat Tankred! - wrzasnął któryś z walczących. - Cały i zdrów! Odnalazł brata Gerarda i...

-

Niech szlag trafi Tankreda! - huknął Garnier. Z przegryzionej wargi spływała mu krew. -

Słać do Ryszarda! Musimy uderzać, w przeciwnym razie...

Reszta jego słów utonęła w przenikliwym kwiku konia brata Baldwina. Ciśnięty z furją dziuryt wgrzył się w muskularną pierś rumaka, który wspiął się na tylne nogi, o mały włos nie zrzucając oszołomionego jeźdźca. Ten wiedział, że nie ma po co walczyć o odzyskanie kontroli -

błyskawicznie zsunął się z siodła, odskoczył, zatoczywszy się i skinął na giermka. Chłopak doskoczył, rąbnął berdyszem, koń z rozdzierającym kwikiem padł na ziemię, gdzie został dobity.

W przekrwionych oczach marszałka zakonu błysnęła furia.

Garnier splunął. Machnął na braci służebnych, którzy błyskawicznie podprowadzili marszałkowi luzaka.

W chwilę później obaj zakonnicy pod gradem pocisków pędzili tam, gdzie nad przebiegiem bitwy czuwał król Ryszard.

Gaston de Baideaux miał otwarte oczy, choć świat wokół niego kołysał się i wirował. Ledwie słyszał okrzyki i rżenie koni wokół siebie, ledwie czuł, że bracia służebni pospiesznie wciągają nań kolczugę. Oślepiiony ostrym blaskiem słońca, chwiał się w siodle, wciąż przeżywając to samo wspomnienie, które niczym potworna macka wychynęła z otchłani niepamięci i oplotła jego szyję.

Ten sam namiot, tylko że przyobleczony nocną ciszą, rozświetlony pojedynczym ogarkiem.

Twarz Garniera z Na-blusu blada, niczym utkana z pergaminu. Jego dłoń, zawsze mocna, teraz lekko drgająca na powierzchni stolika.

I ta cisza niespostrzeżenie mierzona uderzeniami serca.

-

A więc tak wygląda twój sekret - odezwał się w końcu. - Zaczynam powoli rozumieć, skąd pomysł na owo imię zakonne. Doprawdy złośliwy żart.

-

To nie żart, mistrzu. Gerard de Ridefort nie był złym człowiekiem. Był oddany swemu zakonowi, to wszystko.

-

Oddany? Był zaślepiiony! Chory z ambicji! Niemalże zniszczył wszystko, co zbudowali jego poprzednicy.

-

W istocie, popełnił błąd. Nawet wiele błędów. Wy, panie, bez trudu ich unikniecie. A zważcie na to,

co rzekłem - jeśli przyjmiecie mą propozycję, panie, nadal będziecie służyć Bogu i Ziemi Świętej, jeno potężniejsi. Bardziej niepokonani.

Mistrz Garnier z Nablusu odetchnął ciężko, aż zatrzepotał promyk ogarka.

-
Nie unoście się. Nie myślcie o Gerardzie de Ridefort. Myślcie o Bogu, o zakonie. I o tym, czego pragniecie najbardziej. To bowiem będzie wam dane.

Po długiej, niekończącej się wprost chwili szpitalnik skinął lekko głową i spuścił wzrok, jakby przestraszył się swej decyzji. Gdyby znajdował się na zewnątrz namiotu, ujrzałby, jak na chwilę krótszą od uderzenia serca gwiazdy ciemniej na niebie. Potem półmrok w kącie namiotu ukształtował postać mężczyzny o ciemnych, kręconych włosach.

Ryszard przypominał wyglądem herosa z pogańskich opowieści. Z nagim mieczem w dłoni, bez hełmu galopował na potężnym, zlanym potem rumaku i ryczał rozkazy, które półboską mocą niosły się nad zgielkiem walczących i wrzaskiem rannych. W rozwianym, długim płaszczu uwieźla jakaś strzała, brodaty policzek obryzgała krew, krople potu żłobiły sobie drogę wśród brudu. Król pędził wzdłuż szeregów piechoty, wspierając walczących i rozstawiając cofających się strzelców, niepomny na błagania i klątwy rycerzy przybocznych, za nic mając własne bezpieczeństwo.

Oszalałym wzrokiem toczył po coraz cieńszych szeregach piechoty, bezwiednie prowadząc konia, nieustannie szukając oznak wyłomu. Obu szpitalników dojrzał dopiero, gdy mistrz Garnier zajechał mu drogę.

-
Nie wydolimy! - ryknął szpitalnik. - Nie wydolimy, panie! Konie padają, ludzie się chwieją! Do szarży trzeba!

-
Gówno, nie do szarży! - parsknął wściekle Ryszard. - Trzeba zmęczyć tych skurwysynów! - Machnął mieczem w stronę nacierających muzułmanów. - Przetrzebić i zmęczyć! Potem...

-
Wybaczcie, panie, ale jeszcze trochę i nie będzie żadnego potem! - zripostował Baldwin.

-
Na stanowiska! - wrzasnął Ryszard, aż drobinki śliny przysły na twarze zakonników. - I trzymać szyk! Ruszymy wszyscy, gdy tylko Salah ad-Din podciągnie główne siły! Na mój znak pójdziemy!

I odwrócił się, zaniepokojony głośniejszymi wrzaskami na prawym skrzydle. Nie dojrzał przez to spojrzeń, które mistrz Garnier wymienił z marszałkiem Baldwi-nem tuż przed tym, jak zawrócili

konie i pognali ku swoim.

Garnier z Nablusu stanął w strzemionach i uniósł kopię.

-

Bóg i święty Jerzy! - huknął.

-

Bóg i święty Jerzy!

-

Naprzód! Naprzód!

Rycerze szpitala świętego Jana Chrzciciela, jeszcze przed chwilą walczący z wątpliwościami, przerażeniem i własnymi rumakami - pomimo żmudnych ćwiczeń nawet te, które nie odniosły jeszcze ran, zaczęły z wolna ulegać panice - niespodziewanie ujrzeli nadzieję. Wiatr przybrał na sile, tchnął życie w chorągwie zakonne, zadudniła ziemia, zabiły serca.

-

Bóg i święty Jerzy!

Nie bacząc na królewskie rozkazy, broczący krwią, zakuty w stal hufiec szpitalników pochylił

włócznie. Uformowany w szyk conrois, z ciasno zgrupowanymi, ciężkozbrojnymi jeźdźcami na przedzie i giermkami z tyłu, kwiat rycerstwa zakonnego ruszył do szarży.

Ryszard jak oniemiały wpatrywał się w nabierający prędkości hufiec szpitalników, gnający prosto na zaskoczonych, rozpraszać się oddziały piechoty

-

O, kurwa - szepnął zdruzgotany, z szeroko otwartymi oczami.

-

Panie, trzeba nam... - wykrzyknął któryś z rycerzy przybocznych i wyciągnął rękę, jakby chciał złapać króla za ramię.

Ten smagnął go spojrzeniem, przyboczny cofnął się jak oparzony. W oczach króla niespodziewanie znów zapłonął ogień. Rozejrzał się kilkakrotnie, przygryzł wargę, bezwiednie stracił strzałę, która uwięzła w jego kolczudze i odwrócił się ku towarzyszącym mu rycerzom.

-

De Scilly! - ryknął. - Pędź do templariuszy! Niech objadą naszą piechotę i wałą na Saracenów! De Mon-teignau, Barham, de Roineau! Walcie do króla Gwidona, hrabiego Jakuba i hrabiego Hugona! Niech idą w ślad za nimi!

Ostatnie słowa wykrzyczał, dziabiąc końskie boki ostrogami i zawracając rumaka.

-

A wy, panie? - wykrzyknął rozpaczliwym głosem któryś z przybocznych.

-

A ja zorganizuję na powrót piechotę! - wrzasnął rozradowany monarcha. - A potem powiodę waszych! Spotkamy się w samym sercu bitwy, de Roineau! Niech was Bóg prowadzi, chłopcy!

Z przyczyn, które zaczynał powoli rozumieć, bracia zakonnicy przepuszczali go coraz dalej, aż wreszcie Gaston de Baideaux znalazł się tuż za mistrzem. Nie do końca pojmował, co się wokół

niego dzieje, nie wiedział, dlaczego szpitalnicy rzucają się do miażdżącej szarży, ani jakie ma to znaczenie dla całej armii. Wszelkie logiczne myśli przyćmiła i zdusiła nienawiść, wielka nienawiść podsycana coraz większym wstydem.

No, otwórz przede mną swe serce, młodzieńcze. Czego pragniesz?

Gnali gdzieś, dokądś, nie dbał o to, dokąd. Wokół świstały strzały, migotały dziiryty. Kątem oka dostrzegał umykających na boki piechurów. Falowała końska grzywa, plecy mistrza unosiły się i opadały, ostrze Ga-stonowej włóczni, dziwnie lekko, skierowało się między jego łopatki.

Starczyło pchnąć. Wiedział, że musi to zrobić.

Niczego nie pragniesz? Naprawdę? No cóż, tym lepiej dla mnie. „•

Napiął mięśnie, pochylił się, wycelował. Był naprawdę blisko, gdyby tylko uderzył wystarczająco mocno...

Myślcie o Bogu, o zakonie. I o tym, czego pragniecie najbardziej. To bowiem będzie wam dane.

Uniósł głowę, rozejrzał się, jakby chciał raz jeszcze przyjrzeć się światu przed popełnieniem zbrodni, swej drugiej zbrodni na świętym zakonie. Może spodziewał się ujrzeć postać ciemnego jeźdźca o smagłej twarzy i kruczoczarnych lokach, może chciał samym wzrokiem rzucić mu wyzwanie, ale go nie zobaczył. Miał tego ujrzeć morze ciemnych twarzy, las wzniesionych włóczni, migoczące bułaty, unoszone tarcze...

To bowiem będzie ci dane...

Chciał pchnąć, nie zdążył. Ostrze włóczni przeszło gardziel jakiegoś nubijskiego piechura, potem

obaliło kilku następnych prosto pod kopyta jego rumaka. Gaston z rozpaczą poszukał

wzrokiem mistrza. Odnalazł go dalej, za daleko, otoczonego tłumem napastników, szarpiących go jak ogary osaczonego dzika. Przez moment miał szaleńczą nadzieję, że go zmoją, ściągną z siodła, ubiją, ale wtedy na pomoc skoczył mu Baldwin Carew, Tankred de Halle i paru innych.

Potyczka szybko przerodziła się w rzeź słabiej uzbrojonych pieszych muzułmanów.

A potem sam musiał walczyć o życie. Ciął, tłukł, parował, ale bez serca, bez gniewu. Wstydził się swej świętej furii, która ogarnęła go podczas szaleńczej szarży u boku Tankreda de Halle.

- Odstąpcie... - szeptał, odbijając wrogie ciosy. - Nic od was nie chcę... Zostawcie mnie...

Walczył i płakał, aż postacie napastników zaczęły się rozmywać, roztapiać.

Nawet nie wiedział, czyj cios posłał go w niebyt.

I znów, tak jak pod Akką, stracił wiele wspaniałych chwil. Nie widział miażdżącego natarcia wojsk chrześcijańskich na obozowisko saraceńskie, nie widział rozpaczliwego, nieskutecznego kontrataku przegrupowanych hufców Salah ad-Dina, nie widział bohaterskiej śmierci hrabiego Jakuba z Avesnes, który padł otoczony kilkunastoma saraceńskimi trupami z okrzykiem:

„Ryszardzie, pomścij moją śmierć!”. Nie widział dzikiego tryumfu mistrza szpitalników i ledwie tłumionej wściekłości prowizora templariuszy, nie widział euforii Ryszarda. Leżał nieprzytomny.

Nieświadom, że losy wojny odwróciły się na dobre.

Rozdział ósmy

w którym opada kurz po bitwie, a na świat łaskawym okiem spoglądają wszyscy święci od szczęśliwych spotkań

Szedł między namiotami wolno, niespiesznie. Czarna tunika rycerza zakonnego powstrzymywała jakiegokolwiek pytania wartowników i zatrzymywała w pół kroku wszystkich tych, którzy szukali kompana do pijatyki i -co było ze sobą ściśle związane - do oskubania podczas gry w kości.

Cieszył się z tego, bo potrzebował samotności, a o tą w wiecznie rojnym, zatłoczonym obozie wojskowym było zawsze trudno.

Potrzebował samotności, by napawać się wspomnieniem tego, czego właśnie był świadkiem.

Patrzył na mury wciąż niepokonanej Akki odcinające się od rozgwieżdżonego nieba i oddychał

głęboko, wciągając wonne, orzeźwiające powietrze pustyni. Śledził wzrokiem liczne ogniki pochodni, niczym drobne robaczki świętojańskie uwijające się między blankami, a jego usta wykrzywił zły uśmiech.

- Mistrz Garnier z Nablusu - szepnął do siebie. - Marszałek Baldwin Carew. Komandor Tankred de Halle.

I jeszcze kilku innych, znaczących, zasłużonych. To chyba dość, jak na jeden tydzień, nieprawdaż, Panie?

Ten, którego nazwał Panem, nie odezwał się ani słowem, ale wyczuwał jego aprobatę w delikatnej pieśczoście wiatru. Przymknął oczy i jeszcze raz wywołał wspomnienie Garniera, ostatecznie ulegającego pokusie i proszącego o to, by nikt nigdy nie oparł się jego rozkazom. I Baldwi-na, błagającego, by samym spojrzeniem wywoływać dziki strach w ludziach. Tankreda, który spocony, rwącym się z przejęcia głosem prosił o nadludzką siłę. Zły grymas przeszedł w pusty śmiech.

-

Głupcy! - parsknął, kręcąc głową. - Czym więcej zasad, czym surowsza reguła, tym słabszy umysł, wątłej-sza wola. Człowiek, którego zasady są niewzruszone, jest o wiele silniejszy od tego, którego w swej łasce obdarzy Pan. Ale wy nie musicie tego wiedzieć. Bawcie się swymi nowymi zabawkami do woli, bylebyście wypełnili jego wolę. Bylebyście wiernie służyli.

-

Bylebyście wiernie służyli - powiedział jakiś głos za jego plecami.

Odwrócił się błyskawicznie, jednym płynnym ruchem wyszarpując miecz z pochwy. Brat Jakub stał w niedbalej pozie, z dłońmi przewieszonymi przez jelec miecza, przekrzywił lekko głowę i wpatrywał się w niego uporczywie.

-

Zważywszy na to, co się ostatnio dzieje w zakonie, nie mówisz zapewne o Bogu, bracie Gerardzie.

Ostatnie słowa niemalże wypluł.

-

Czyżby w zakonie działo się coś, o czym nie wiem? - odpowiedział z udawanym zdziwieniem, nie opuszczając ostrza.

-

Człowiek, którego zasady są niewzruszone, dostrzega wszystko, co jest z nimi sprzeczne -

powiedział Jakub. - Człowiek, którego wiara jest silna, wie, że trzeba z tym walczyć.

-

A przeciwko czemu chcesz walczyć, Jakubie?

-
Przeciwno tobie. Bo zdradziłeś nasz zakon. Zdradziłeś nas wszystkich - wyszeptał.

I uniósł miecz.

Gaston odkaszlnął i podniósł nagle głowę. W ustach czuł potworną suchość, między zębami trzeszczał piach, z trudem rozwarł sklezione powieki tylko po to, by ujrzeć rozmazany kontur czarnej zjawy przyglądającej się mu z zaciekawieniem z sąsiedniego kopczyka. Zaciśnął powieki, aż zapiekły go oczy, a gdy je znów rozwarł, zjawa nabrała ostrości i przerodziła się w wychudłą wronę. Ta zakrakowała z zawodem i rozłożyła skrzydła. Kopczyk, na którym siedziała, okazał się trupem z głową zawiniętą w brudny od krwi turban.

-

To cud, że żyjesz - oznajmił czyjś głos.

Gaston chciał się odezwać, powiedzieć cokolwiek, lecz głos uwiązł mu w gardle i ujawnił się pod postacią ochrypłego syku.

Coś wylądowało przed jego twarzą, oślepiając go na moment pyłem. Pochwycił łapczywie, zabulgotało. Woda! Bukłak z wodą!

Pił chciwie. Opamiętał się dopiero w ostatniej chwili, nim żołądek zaczął się buntować. Wylał trochę wody na dłoń, przetarł zapiaszczone oczy, zamrugał raz jeszcze i skupił spojrzenie.

Doskonale znał młodego człowieka, który siedział nieopodal na trupie rozsiekanego Nubijczyka.

Znał jego zacięte spojrzenie i lodowato zimne, przenikliwe oczy, pamiętał osobliwy akcent. Znał ostre rysy jego wychudłej od trudów wojny twarzy, dłonie tak doskonale władające mieczem. Nie znał tylko owego osobliwego uśmiechu, w którym ulga mieszała się ze wstydem, z niewielką dawką pobłażliwej irytacji.

-

Jakub? - wychrypiał, siadając.

-

Właściwie to mam na imię Jan, Gastonie - oznajmił tamten. - Jakub to moje imię zakonne, którego, cóż... Którego nie mam chyba prawa już nosić.

-

Co się stało? - zapytał Gaston, patrząc na przyjaciela z mieszaniną niedowierzania i niepokoju. - Jak

mnie tu znalazłeś? I... I...

-

I dlaczego nie rzuciłem się na ciebie z mieczem, jak wtedy w Akce? - zapytał z gorzkim uśmiechem Jakub i uniósł spojrzenie ku niebu purpurowiejącemu obietnicą nadejścia nocy. -

Cóż, chyba tylko dlatego, że przejrzałem na oczy. Powinienem być od razu zorientować się, ale zaślepiła mnie nienawiść. Biegłem za tobą, krzychałem... Pamiętasz?

-

Nie. Nic nie pamiętam - Gaston pokręcił głową. - Jakubie, nie pamiętam niczego, co wydarzyło się od opuszczenia Sary do mojej ucieczki z celi. No, ostatnio zacząłem już kojarzyć pewne fakty, ale wciąż za mało, wciąż zbyt wolno. Wiem, że masz swoje powody, by mnie nienawidzić, i zrobisz ze mną, co ci się żywnie podoba, ale wiedz jedno - nie odpowiadam za nic, co wydarzyło się w tym czasie.

-

Wiem - kiwnął głową były zakonnik i westchnął ciężko. - Teraz już wiem. Powinienem być to jeszcze zrozumieć w Akce, kiedy tylko spojrzałem ci w oczy. Były oszołomione i przestraszone, a nie ziejące mrokiem jak dotychczas. Powinienem być zrozumieć, że nagle na powrót stałeś się sobą.

-

Nagle stałem się sobą - powtórzył Gaston. - Rzeknij mi tedy, kim byłem wcześniej?

-

Potworem.

Obaj szli wolno przez ogromne pobojuwisko ciągnące się aż po ciemniejące na horyzoncie lasy.

Trupy najgęściej leżały wokół miejsca, gdzie spadł z konia Gaston, gdyż to tam, jak opowiadał

Jakub, szpitalnicy walczyli zazarcie o odepchnięcie naporu muzułmańskiej piechoty. Czym dalej, tym trupy stały się rzadziej i wędrówka stawała się łatwiejsza. Mimo późnej pory słońce nadal przygrzewało mocno. Wiatr zelżał i roje much, oszalałe od gorąca i zapachu krwi, napępiały duszne, stęchłe powietrze głośnym bzyczeniem. Na skraju pobojuwiska czaiły się sfory hien i dzikich psów, w górze kołowały sępy, póki co uznając wyższość ludzkich padlinożerców, których bandy włóczyły się po polu i odzierały trupy ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Gaston był przekonany, że ich oczy błyszczą tym samym pożądanym zwierzęcym blaskiem, co ślepie czekających na swą kolej zwierząt.

-

Wielkie zwycięstwo - burknął w końcu kwaśno, zdecydowany przerwać ciszę. Zatrzymał

się i pomasował pęczniejący guz na potylicy, pamiątkę po ciosie drzewcem włóczni, który zrzucił go z siodła.

-

Jeszcze pół roku temu padłbym na kolana i żarliwie dziękował Bogu za szansę utoczenia krwi Jego wrogom - oznajmił Jakub. Podniósł z ziemi kamyk, zważył go w dłoni i rzucił nim w stado wron przyglądających się im nienawistnym, gadzim spojrzeniem. Ptaki niechętnie, ociężale zerwały się do lotu, pozostawiając zwłoki sara-ceńskiego jeźdźca z wyżartymi oczodołami.

-

A teraz?

-

Teraz nie wierzę już w słuszność tego, co robimy. Nie po tym, co stało się z zakonem.

-

Co tak naprawdę się stało, Jakubie?

-

Opowiem ci o wszystkim już wkrótce. Póki co jednak, pora, byś się z kimś zobaczył.

-

Z kim?

-

Uzbrój się w odrobinę cierpliwości. Widzisz te namioty?

Rozłożone na skraju lasu, niemalże skryte w aksamitnym cieniu wielkich cedrów, nie były rycerskimi kwaterami, jak się tego z początku spodziewał Gaston. Jego uszu, miast pokrzykiwania żołdaków i szczęku oręża, dobiegły bowiem niekończące się jęki, przecinane przeraźliwymi wrzaskami, a między namiotami zamiast uzbrojonych po zęby mężów ujrzał

uwijających się pospiesznie mnichów. Na placyku, w samym środku lazaretu, stała skromna, sklecona z kilku desek kapliczka, osłaniająca pozłacany krzyż z cierpiącym Jezusem. Krew ściekająca z rany pozostawionej przez włócznię Longinusa, wyglądała niezwykle realistycznie, lecz wrażeniu ogólnego cierpienia przeczył wyraz twarzy syna boskiego, który był bliższy zniechęceniu.

-

Cóż to za miejsce, u licha? - zapytał Gaston półgłosem.

-

Szpitalik braci lazarytów - uśmiechnął się lekko Jakub. - Tych, którzy nie wahają się przyjść z pomocą wszystkim, którym nie było dane posiadać ani majątku, ani zdobyć pasa rycerskiego. Coś mi się wydaje, że na tę chwilę to jedyne miejsce w Outremer rzeczywiście miłe Bogu. Wyjąwszy ową rzeźbę, którą, na szczęście, zakryli deskami.

-

Dlaczego mnie tu przywiodłeś? Mam lekko stłuczony łeb i z tysiąc skaleczeń, ale to chyba za mało, by mnie golone łby dratwą cerowały!

-

A jednak nie myliłem się. Spójrz tylko tam!

Przed najbliższym z namiotów stał samotny rycerz,

wysoki, barczysty, z ciemnymi włosami spiętymi w koński ogon. Włosy były jednak w nieładzie, podobnie jak płaszcz i tunika herbowa - podarte i zakurzone, a jego twarz zakrywała gruba warstwa brudu i zakrzepłej krwi. Mężczyzna bynajmniej nic sobie z tego nie robił i co rusz pociągał tęgo z utrzymanego w garści bukłaka, fałszywie, ale za to głośno wyśpiewując jakąś piosenkę po italsku. Jego donośny głos beztrąsko mieszał się z krzykami rannych, a Gaston w trakcie swych wędrówek poznał italski na tyle, by wiedzieć, że jej obsceniczne przesłanie stoi w sprzeczności z charakterem tego miejsca.

Nie to jednak było najważniejsze.

-

Na miły Bóg! - Gaston wykrzyknął zdumiony. - Przecież to on! Przecież to Vittorio!

Vittorio Scozzi!

Rozśpiewany Italczyk umilkł na chwilę i odwrócił się.

-

De Baideaux? - zawołał. - Na bramy niebios, a mówiono mi, że diabły, zaraza i klęski żywiołowe do świętych miejsc wstępu nie mają!

-

Ty cholerny, genueński moczymordo!

Słońce naraz zajaśniało mocniej, jego promienie przejrzały się w złoceniach krzyża. Trzej przyjaciele ściskali się i poklepywali po plecach, rycząc z taką radością, że z namiotów wyglądały zaniepokojone, umazane krwią twarze mnichów, a ranni, ułożeni w rzędach na ziemi, na moment zapominali o swych cierpieniach i przyglądali się scenie powitania z dobrotliwymi uśmiechami na bladych, umęczonych obliczach.

-

Co tu robisz? - wyjąkał wreszcie Gaston de Baideaux, ocierając łzy szczęścia.

-

Nic takiego - wzruszył ramionami Italczyk, wyzwajając się z objęć przyjaciela. - Popijam wino, śpiewam sobie, zakochałem się właśnie w takiej jednej... Co tam jeszcze, się działo? Aha, dziś rano rzuciłem służbę u markiza Montferratu.

-

Co takiego?

-

Rzuciłem służbę u Konrada z Montferratu - powtórzył cierpliwie Vittorio i przepłukał

usta winem. -Razem z całym sobą ją rzuciłem. Z siodła prosto na ziemię. Od rana popijałem winko, by w decydującej chwili dodać sobie wiarygodności, a gdy ci popierdoleni szpitalnicy -

wybacz, Jakubie - puścili się do szarży, wyłopa-łem pospiesznie resztę, żeby się nie zmarnowało, a potem w odpowiednim momencie zatknąłem sobie strzałę pod pachę, ryknąłem, aż się wszyscy anieli na ziemię obejrzeli, i runąłem z siodła na spotkanie wolności.

Przypieprzyłem, aż się poniosło, ale hufiec, który przywiódłem królowi Ryszardowi z pomocą, gnał już w wroga i nikt się nie obejrzał. Niniejszym więc jestem martwy. Nie wyszła mi ta inwestycja u Konrada, przyznam się wam, chłopaki. Przechodzę na własny interes. A co u was?

-

Długo by mówić - uśmiechnął się Gaston.

-

Oj, nie brzmi to zachęcająco - stęknął Vittorio. -Ze szpitalnikami, jak widzę, zdążyłeś się już pogodzić, co z kolei oznacza, że u templariuszy masz dalej przerabane. U asasynów pewnie też, bo z nimi się nieco trudniej pojednać. No, to kogo tym razem do siebie zraziłeś?

-

Wybacz, Vittorio - skrzywił się lekko Gaston. -Naprawdę nie chcesz chyba, bym gadał o tym tutaj?

Z namiotu wynurzył się pobladły, chudy mnich, dźwigając zakrwawione prześcieradło, z którego sterczało kilka amputowanych ramion i nóg. Vittorio pozdrowił go, unosząc bukłak, a potem uśmiechnął się nagle i zawołał:

-

Hej, całkiem bym zapomniał! Muszę przecież przedstawić wam mą miłość! Cecylia!

Cecylia, bywaj tu, skarbie! Przedstawię ci moich drogich przyjaciół...

-

Ile razy mam cię prosić, Vittorio, byś zamknął gębę? - Z namiotu niespodziewanie wynurzył się Anzelm de Fidou, blady, umazany krwią, przepasany brudnym fartuchem. W rękę dzierżył instrument do piłowania kości. - Po pierwsze, Cecylia ślubowała czystość i posłuszeństwo Bogu, po drugie, ma dopiero trzynaście lat, a po trzecie, nawet gdyby była starsza i ślubów nie złożyła, na pewno nie wyszłaby do tego, kto jeszcze pół godziny temu wyśpiewywał

serenady dla innej! Zresztą, też mniszki!

Zbaraniały Gaston wysłuchał tyrady do końca, dopiero wtedy zdołał wykrztusić z siebie jakiegokolwiek słowo.

-

Widziałem już ciebie jako rycerza, barda i chłopca -zaczął, kręcąc głową - ale nigdy bym się nie spodziewał zastać cię w szpitalu!

-

Wbrew pozorom nadaję się tu bardziej od większości z tych psalmowycjów - rzucił

Anzelm, pokazując zakrwawionym kciukiem pobladłego nowicjusza, który wymknął się z namiotu za jego plecami i łapczywie wdychał duszne, rozgrzane powietrze, walcząc z torsjami. -

Przynajmniej wiem, jak ciąć, żeby odciąć - machnął trzymaną w rękę piłką. - Poza tym, jak myślisz, Gastonie? Do kogo waliły kobiety w mej wiosce, gdy dziecko nogę złamało? Lub gdy przyszło rodzić?

-

Przyjmowałaś porody? - wybałuszył oczy Vittorio. - No tak, oto cały ty. Wszystko na opak. A nie mógłbyś się zająć początkowym etapem poczęcia? Niekoniecznie ostatnim?

-

Próbowałem - uśmiechnął się rozbijając Anzelm. - Ale w szczytowym momencie porastałem sierścią i... Eee, mniejsza o to. W każdym razie, nie dziw się, Gastonie. To właściwe miejsce dla mnie. Przynajmniej mogę spróbować ograniczyć spustoszenia, jakie na chwałę Pana szerzycie z bandą sobie podobnych.

Vittorio, który właśnie dopijał ostatnie krople wina z puścijącego bukłaka, zamachał gwałtownie rękami.

-

O, wypraszam sobie! - czknął. - Ja zleciałem z konia, zanim kogokolwiek tknąłem.

-

A ja nie zdążyłem na bitwę - rzucił Jakub. - Zresztą i tak bym nie wiedział, kogo tłuc.

-

Ja natomiast trochę roboty ci dostarczyłem - westchnął Gaston. - Czy to, że tłukłem bez przekonania, łagodzi moją winę?

-

Popytaj wśród Saracenów - odparł Anzelm. -Zresztą...

Urwał nagle i zmarszczył brwi, po czym nagle odwrócił głowę. Odnalazł wzrokiem lukę między dwoma namiotami, patrzył daleko, aż po linię wzgórz, gdzie przemykał niewielki orszak, wlokąc za sobą huragan pyłu. Zamrugnął kilkakrotnie, oblizał wyschnięte wargi i spojrzał na Gastona. W

jego wzroku czaiło się ostrzeżenie.

De Baideaux przymknął oczy. Natychmiast zrozumiał, co Anzelm chce mu przekazać.

-

Niech no zgadnę - odezwał się Jakub. - Kłopoty, tak? Kolejny możny, któremu udało ci się nadepnąć na odcisk, Gastonie? Któż to tym razem?

Między namioty wślizgnął się cichy, ciepły wiatr, niczym westchnienie coraz czerwieszego, nabrzmiewającego słońca. Jego szum przytłumił rozdzierające jęki rannych i umierających, poruszył ścianami namiotów i niczym dla żartu sypnął grudkami piasku w twarz cierpiącego Jezusa. Gaston westchnął ciężko.

-

Legat papieski - powiedział.

O ja pierdole... - jęknął Vittorio i jak stał, usiadł na piasku.

Vivienne uniosła wyżej głowę i rozciągnęła wargi w lekkim uśmiechu.

Tym razem udało jej się wytrzymać w tej pozycji prawie minutę. Jej ciało, bite i wygłodzone, z trudem powracało do zachowań, które jeszcze nie tak dawno, na dworze tyryjskim, były dla niej tak naturalne, że wręcz nie zwracała na nie uwagi. Jej duch, wielokrotnie upokorzony, wręcz okaleczony, przyzwyczajał się do nowej sytuacji o wiele wolniej. Wciąż nie mogła uwierzyć, że nie jest już znieważaną niewolnicą frankijską w asasyń-skiej twierdzy ani cierpiącą głód i pragnienie uciekinierką na syryjskich bezdrożach. Nadal w nocy kuliała się pod kocami niczym wystraszony kociak, a o świcie zrywała się, słysząc byle odgłos, i długo, długo nie mogła potem uspokoić walącego szybko serca. Nadal drgała nerwowo, dostrzegłszy jakąkolwiek postać kątem oka, spuszczała wzrok, rozmawiając z mężczyzną, nadal kuliała się, usłyszawszy głośniejszy okrzyk.

Owych kilka miesięcy wśród asasynów całkiem ją złamało. Najpierw jej godność zdeptał Ismail, a potem jej resztki starła samotność, która uczyniła z niej bezbronne, wiecznie wystraszone, głodne zwierzątko. Czowała, że powrót do tego, kim była, zabierze jej mnóstwo czasu.

„Ale uda mi się - pomyślała, zaciskając drobne dłonie na końskiej uździe. - Uda mi się.

Nazywam się Vi-vienne de Grenier i ten świat jeszcze o mnie...”

Któryś z koni zarżał głośno. Vivienne z trudem powstrzymała odruch skulenia się w siodle.

Zacisnęła mocno zęby, zmusiła do wyprostowania sylwetki i ponownie rozciągnęła wargi w uśmiechu.

Wtedy poczuła na sobie czyjś wzrok.

Powoli, z największą godnością, na jaką było ją stać, odwróciła głowę i natrafiła na spojrzenie ciemnych, nieprzenikniętych oczu Adelarda, biskupa Werony. Poznała go ledwie kilka godzin temu i była mu w duchu wdzięczna. Nie mogła bowiem nie zauważyć, że jego obecność onieśmieliła Cedryka z Rochester do tego stopnia, że przestał opowiadać jej o swoich przewagach wojennych. Nie mogła też oprzeć się wrażeniu, że ów tajemniczy duchowny dysponuje władzą i kontaktami, które szybko pomogą jej wrócić na szczyt. Tak, była tego niemalże pewna.

W końcu, czyż nie była kiedyś jedną z największych intrygantek Outremer? Niemożliwe, by jej instynkt całkiem zanikł w niewoli.

Uśmiechnęła się, tym razem niemalże naturalnie. Przez usta legata papieskiego, który leciutko skinął głową, również przemknął uśmiech. Vivienne, prawie pewna swego, odwróciła głowę ku zachodzącemu, lecz wciąż gorejącemu słońcu, wystawiając policzki na jego wciąż ostre promienie.

Nie widziała nawet, gdy przemknęli obok namiotów braci lazarytów. Zagubiona w rozmyślaniach, nie usłyszała niecichnących wrzasków rannych. Odwróciła się dopiero w chwili, kiedy na tle

płonącego nieba załopotowały dumnie, zwycięskie sztandary króla Ryszarda. I znów się uśmiechnęła.

Nad pobojuwiskiem rozciągała swe objęcia noc.

Abdula od zawsze nazywano szalonym i dobrze o tym wiedział. Nie miał zresztą nic przeciwko, zachował na tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że opinia szaleńca, w przeciwieństwie do opinii głupka, przynajmniej budzi respekt. Starannie więc pielęgnował swą reputację człowieka niezrównoważonego emocjonalnie, średnio raz na miesiąc dając wszystkim mieszkańcom Masjafu powód do obrzucania go kusymi spojrzeniami i komentowania szeptem za jego plecami.

Nie wykazywał się szczególną pomysłowością - zdarzało mu się zatłuc kijem zbłąkanego kota, kiedy indziej pobił ciężko przygłupiego beduińskiego pasterza, który zaplątał się w okolice twierdzy, raz też napadł na grupę bezbronnych syryjskich pielgrzymów. W swoich pozorowanych szaleństwach pamiętał tylko o tym, by nie zależeć za skórę wielkiemu przywódcy sekty, Rashidowi ad-Din Sinanowi, bo to mogłoby się źle dla niego skończyć.

Miano szaleńca, które utrzymywał z taką konsekwencją, miało bowiem zamaskować to, że tak naprawdę zasługiwał na miano głupka. Nigdy nie pojął skomplikowanych zasad wyznaniowych sekty, nigdy nie wyuczył się choćby dwóch wersów jakiegokolwiek sury Koranu; nawet powtórzenie pierwszej z brzegu modlitwy stanowiło dla niego spore wyzwanie, właściwie z góry skazane na niepowodzenie. Wielkie przemiany, związane z zarzuceniem sza-riatu, w związku z tym właściwie go nie obeszły, natomiast z rzadko spotykaną w sekcie skwapliwością zaczął

korzystać z nowego prawa do picia wina.

Być może właśnie z tych względów - z powodu nadmiernego spożycia wina połączonego z niewielką błyskotliwością - uznał misję przydzieloną mu przez Rashi-da za największe wyróżnienie, jakie mogło spotkać skromnego syna Nizara. Wyjechał z Masjafu na czele grupki podobnych sobie z rozkazem wtopienia się w społeczność Al-Dżawani - niewielkiej miejsciny przydrożnej, która z chwilą wybuchu wojny stała się kamieniem milowym na trasie wielu uchodźców, dezertersów, najemników i awanturników wszelkich religii i narodów. Wyjechał

przeświadczony, że zasłuży sobie na łaskę Allacha i odnajdzie tych, których nakazał mu znaleźć szejka -frankijskiego księdza i podróżującą w jego towarzystwie małą dziewczynkę.

Najął się do roli pomocnika w miejscowym, dość lichym karawanseraju. Po dwóch miesiącach zajmowania się końmi i noszenia wody stracił nadzieję, że szybko wypełni swe zadanie, po dwóch kolejnych, że nastąpi to w ogóle, a po kolejnym zdarzało mu się zapomnieć, dlaczego właściwie w Al-Dżawani się znalazł. Aż do tego popołudnia w karczmie czciwego Jusufa.

Ów wychudzony człowiek z zapadłymi policzkami, lecz oczyma płonącymi żarem spotykanym tylko u chrześcijańskich imamów, bez wątpienia był tym, 0

którym opowiadał Rashid. Tym bardziej że przez cały czas nie spuszczał wzroku z zakapturzonej dziewczynki, która pałaszowała talerz baraniny, a jeśli to czynił, to tylko po to, by omieść niespokojnym wzrokiem tłum woźniców, poganiaczy wielbłądów, żołnierzy i rzemieślników

najrozmaitszych fachów, który kłębił się w karczmie, napełniając ją gwarem chrapliwych rozmów.

To byli oni.

Abdulowi starczyło na tyle intelektu, by wykręcić się od kolejnej tury gry w kości, dopić kufel prosowego piwa i powoli, lekko chwiejnym krokiem wyjść na zewnątrz karczmy, gdzie jak zwykle zasiadał Saleh, który podobnie jak on do tego stopnia nawykł do roli żebraka nagabującego klientów przybytku czcigodnego Jusufa, że dawno zapomniał już o swym zadaniu.

Teraz drzemał w pyle podwórza, naciągnawszy na głowę postrzępiony kaptur. Abdul wymierzył mu potężnego kopniaka, rozejrzał się, czy nikt im się nie przygląda i przykucnął szybko.

-

Hej, dlaczego... - wyjęczał tamten, zaskoczony, unosząc się na łokciu.

-

Jest tu ten ichni imam i dziecko - wysyczał mu do ucha. - Zbieraj ludzi i czekajcie na mój sygnał. Dorwiemy ich za miastem.

Niewielki, kamienisty wąwóz niecałą milę za miastem idealnie nadawał się na zasadzkę; to Abdul wiedział od dawna. Resztki kamiennego murku biegnącego jego szczytem oraz cień karłowatych, poskręcanych drzewek oliwnych zapewniał wystarczającą osłonę, by banda zbójów mogła ukryć się przed wzrokiem niczego niespo-dziewających się wędrowców i w dogodnym momencie złapać ich w zasadzkę. Tak w końcu załatwili tego Ormianina wędrującego z synem, tak też rozprawili się w zeszłym tygodniu z trójką Żydów.

Mieli wprawę.

Nic jednak nie mogło ich przygotować na wściekłą obronę frankijskiego księdza. Salehowi, który zeskoczył jako pierwszy, pociągając lawinę drobnych kamieni, klecha niemalże rozbił łeb kosturem. Solidnie poturbował eż potężnego Mustafę i nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby najprzytomniejszy z nich, Masoud, nie pchnął go i nie ogłuszył kijem. Abdul przypadł zaś szybko do dziecka, złapał je za rękę i obrócił ku sobie.

Aż zatoczył się, oszołomiony głębią brązowych oczu dziewczynki. Jej twarz i sylwetka sugerowały, iż liczy sobie ledwie kilkanaście lat, lecz spojrzenie, poważne, przenikliwe, zdawało się ponadczasowe. Doznanie trwało zresztą jedynie chwilę. Dziewczynka natychmiast odwróciła głowę ku nieprzytomnemu księdzu, nad którym właśnie pochylał się uzbrojony w kij Mustafa, rozwarła usta w bezgłośnym krzyku, szarpnęła się wściekle. Abdul jednakże trzymał ją mocno.

-

Mustafa! - warknął. - Pędź do Masjafu, jakby cię stado ifrytów goniło! Przekaż wielkiemu szejkowi, że jego wierny sługa Abdul ibn Ibrahim znalazł jego zgubę! A my wracamy do Al-Dżawani!

-
Nie powinniśmy wszyscy ruszać do Masjafu? - zaproponował Masoud. - A co jeśli...

-
A co jeśli opadną nas Beduini? - warknął Abdul. - Albo Frankowie? Chcesz ryzykować, Masoudzie? To proszę! Udasz się razem z Mustafą!

-
Ale ja...

-
Ktoś jedzie drogą! - wrzasnął Saleh. - Jeźdźcy, kilku jeźdźców! Chodu!

Czwórka nizarytów wraz z szamoczącą się dziewczynką zniknęła z wąwozu jak garstka liści wywianych wiatrem na długo, nim wsunęły się do niego wydłużone zachodem słońca cienie syryjskich handlarzy wielbłędami.

Stary, niepisany zwyczaj wszelkich zmagających wojennych mówi, że o ile przy trupie nie ma nic wartościowego, należy się od niego odwrócić. Przy ciele Adalberta nie znajdowało się nic, dosłownie nic, co można by porwać - chudziutką sakiewkę zapobiegliwie a skrycie uniósł

uciekający Mustafa - tak więc liczba ludzi, którzy obojętnie obok niego przejechali, szła w dziesiątki. Dopiero późnym wieczorem, gdy wąwóz zasnuł mrok ciężki od aksamitnych zapachów, ogłuszony ksiądz uniósł wreszcie głowę i oblizał zaschnięte wargi.

- Ja żyję? - wyjąkał z niedowierzaniem. - Wciąż żyję. Dzięki ci, Panie. Lecz dziecko... Ojciec Przenajświętszy, gdzie dziecko?

Wonnym, nocnym powietrzem i poskręcanyymi pniami oliwek targnął wrzask rozpaczliwej idącej prosto z serca. Potem postać chrześcijańskiego duchownego, zakrwawiona i obszarpana, bardziej podobna upiorom cmentarnym niżli ludziom, ruszyła naprzód, zataczając się i potykając co chwila. Ciało drżało z bólu i wysiłku, bezwładne stopy co rusz natrafiały na przeszkody, lecz duch płonął.

Duch pierwszych krzyżowców.

Rozdział dziewiąty

w którym zapada zmierzch, a po świetle snują się zmyły, upiory, ludzkie żądze i mroczne opowieści

Zmrok rozlał się nad światem niczym krople czarnej krwi wnikające w bladoniebieską toń.

Powietrze, do tej pory ciężkie, duszące i mdlące od smrodu trupów, nagle ostygło, litując się nad znużonymi krzyżowcami, lecz wtedy, jakby czuwający nad armią aniołowie nieustępliwie sprawdzali

męstwo we frankijskich sercach, znad pola bitwy dobiegły nowe, straszliwe odgłosy.

Padlinożercy, snujący się do tej pory niecierpliwie na skraju pobojuwiska, wreszcie objęli nad nim władzę. Histeryczne chichoty hien, ochryple krakanie ptactwa i poszczekiwanie szakali, przechwycone przez echo nocy, wyolbrzymione i zniekształcone, sprawiały, że nie tylko przybysze z Europy, ale i miejscowi rycerze i ich pulańscy towarzysze obracali głowy i usiłowali przeniknąć wzrokiem ciemności kryjące nieodległe pole bitwy. Najstarsi, najbardziej doświadczeni wykonywali ukradkiem znak krzyża na piersi, jakby doszukali się w tej upiornej symfonii dźwięków naprawdę nienależących do tego świata, i z udawanym entuzjazmem przepijali do swych kompanów, chcąc ową nienaturalną wesołością dodać sobie otuchy. Gwar obozującej armii krzyżowej niósł się przez noc raz głośniejszy, to znów ciszej, przypominając szum monstrualnej, niszczącej fali.

Jakub rozpałił ognisko bez niczyjej pomocy. Vittorio, którego wreszcie zmógł upał i wypite wino, spał na rozłożonej byle jak derce, Gaston siedział pod samotnym drzewem cedrowym i wpatrywał się nieprzytomnie w dal, Anzelm nadal uwijał się wśród braci lazarytów. Odnalazł

swych towarzyszy późno, dopiero gdy cieniutki rożek księżycy zaplatał się w rozłożyste, poskręcane gałęzie cedru. Usiadł ciężko na ziemi i rzucił Jakubowi sakwę, z której dobiegały smakowite zapachy mięsa i chleba.

-

Mam nadzieję, że jesteście głodni - powiedział ochryłym, zmęczonym głosem. -

Braciszku nalegali, bym to wziął. Jako zapłatę.

-

Przez cały dzień odrąbywałeś ludziom ręce i nogi za worek żarcia? - zdumiał się rozbudzony Vittorio. - Nie powinieneś zażądać jakiejś bardziej, hmmm... konkretnej zapłaty?

-

Nie - burknął Anzelm. - Po pierwsze, nie zatrzymałem się w ich obozie dla zapłaty, a po drugie, chyba tylko Genuńczyk byłby w stanie wycenić ilość odrąbanych członków. Rzygać mi się chce na samą myśl o...

-

Nie kłóćcie się - odezwał się niespodziewanie Gaston i podszedł do ognia. Ukucnął, wyciągnął zmarznięte dłonie nad płomieniami. Milczał przez chwilę, a jego twarz, jeszcze przed kilkoma miesiącami emanująca życiem, energią, emocjami, przypominała woskowe oblicze znużonego starca. Założył kosmyk splątanych, wystrzępionych włosów za ucho i spojrzał na przyjaciół. Jego oczy były puste, matowe.

-

Trzeba nam pogadać - powiedział cicho, z wysiłkiem. - To znaczy, mi tego trzeba.

Wreszcie ułożyłem sobie kilka spraw we łbie i zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wiem tylko, jak mam to zakończyć i jaka niby miałyby być wasza w tym rola.

-
Gastonie, tylko znowu nie zaczynaj... - zaczął Anzelm, ale de Baideaux uciszył go jednym gwałtownym potrząśnięciem głowy.

-
Mówię to tylko po to, by was do siebie zniechęcić -oznajmił. - By uświadomić wam, że tkwię w czymś paskudnym. W czymś, co nie dość, że was nie dotyczy, to jeszcze może was drogo kosztować. Z jakiegoś powodu zostałem obdarzony przekleństwem, ale nie pozwolę, by któryś z...

-
Dobrze, Gastonie - wtrącił Anzelm. - Dobrze. Opowiedz nam o wszystkim.

Młody de Baideaux odetchnął głęboko i jakby dla dodania odwagi ułożył sobie miecz na kolanach. Vittorio podszedł do ognia, usiadł, a Jakub wyciągnął bukłak z winem i podał

Anzelmowi. Wiatr cichutko zaświstał w konarach cedru, które odpowiedziały lekkim poskrzy-
pywaniem. Noc zamilkła na moment, zasłuchana, zaciekawiona.

-
To długa historia i do tego cholernie skomplikowana - zaczął zapatrzony w płomienie Gaston. - Nie wszystko też udało mi się zrozumieć. W każdym razie, zaczęło się od templariuszy.

-
Dobrze, że nie od Italczyków - burknął Vittorio, ale nikt się nie roześmiał. Skrzywił się i wyjął Anzelmowi bukłak z ręki.

-
Król Baldwin I z początku przydzielił zakonowi część swego pałacu, dawnego meczetu Al-Aksa, gdzie ci urządzili swą siedzibę - ciągnął Gaston. - Tak się złożyło, że dawnymi czasy wznosiła się tam świątynia Salomona, a Bóg jeden raczy wiedzieć, co za skarby zalegały w jej podziemiach. I tak oto dawni kamraci Joscelina de Royes wygrzebali coś, czego nigdy nie powinni wydobywać na światło dnia - pierścień Salomona, zwany też Pieczęcią Salomona.

Jakaś hiena zachichotała niemalże przy ognisku, jakby na wspomnienie imienia Joscelina. Jakub zwęził powieki, Anzelm wyszczerzył lekko zęby, Vittorio pociągnął z bukłaka i skrzywił się.

-
Słyszałem kilka legend na ten temat - czknał. - Ponoć dawał królowi Salomonowi władzę nad demonami czy jakoś tak.

-
W każdym razie, dał mu władzę nad największym spośród nich - nad Asmodeuszem -

westchnął de Baide-aux. - Salomon użył pierścienia, by spętać tego bydlaka i zmusić do służenia mu, a potem uwolnił Ziemię Świętą od jego wpływu raz na zawsze. To znaczy do czasu, gdy pierścień znaleźli templariusze.

„Tego dnia tedy zdarzyło się, że Sara córka Rague-ła w Rages także usłyszała urąganie od jednej służebnicy ojca swego; była bowiem wydana za siedmiu mężów, a czart imieniem Asmodeusz pomordował ich” - powiedział zamyślony Anzelm. - Czy jakoś tak. Księga Tobiasza, Stary Testament.

-
Co to? - Vittorio otworzył szeroko oczy. - Księdzem też bywasz?

-
Nie. Ale umiem czytać. I nie wstydzę się robić z tego użytku.

-
I tu zaczyna się najtrudniejszy moment owej historii - ciągnął Gaston, nie zważając na sprzeczkę przyjaciół. - Wygląda bowiem na to, że tym pierścieniem można było Asmodeusza zarówno poskromić, jak i przywołać. Któryś z templariuszy, chyba ich pierwszy mistrz, popełnił

ów błąd, a demon nie zmarnował okazji. Rychło omamił zakonnika i roztoczył przed nim wizję przyszłej potęgi. Obiecał, że pomoże osiągnąć wielkie znaczenie templariuszom i zdobyć wielką moc, jeśli tylko mistrz i cały zakon będą wiernie mu służyć.

-
Zakon miałby służyć demonowi? - uniósł brwi Anzelm. - A niby jak?

-
Przelewając krew w jego imieniu - odparł głucho z goryczą Gaston, wbijając wzrok w płomień. - Demon powstał osłabiony, my powiedzielibyśmy, że ledwie żywy. Z każdym człowiekiem zabitym w jego imieniu zyskiwał coraz więcej mocy, z czasem nabrał umiejętności obdarzania szczególnie zasłużonych wielkimi darami. Nigdy nie zastanawialiście się, dlaczego Joscelin potrafił rozkazywać hienom? Skąd wiedział o wszystkim, co dzieje się w Outremer?

-
Co wydarzyło się potem? - zapytał zaintrygowany Jakub.

-
Nie wiem. Wygląda na to, że templariusze z początku oszczędnie korzystali z dobrodziejstw demona, choć ten pomagał im, jak umiał. Jak to się, Vittorio, nazywa? Właśnie, inwestycja długoterminowa. Dzięki niemu pierwsi mistrzowie potrafili bez trudu rozgryźć ambicje i pragnienia możnych, u których kwestowali, by wyciągnąć z nich najwięcej nadań i przywilejów. Pomógł im też omamić paru papieży, jak sądzę. Pierwszym, który był na tyle chciwy, aby całkiem oddać się we władzę Asmo-deusza, był Gerard de Ridefort.

Gaston zamilkł. W ognisku strzeliła jakaś szczapa. Nad ich głowami przemknął nocny ptak, łopocząc głośno skrzydłami, symfonia padlinożerców nabierała mocy, lecz żaden z trzech przyjaciół nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Oczy całej trójki wbijały się w Gastona.

-
Czyli Hittin... - zaczął ostrożnie Jakub.

-
Klęska pod Hittinem była jedną wielką ofiarą złożoną bestii! - wybuchnął de Baideaux. -

Dzięki niej demon nabrał ogromnej mocy, wystarczającej, by móc podporządkować sobie zakon bez reszty, a potem rozpocząć poszukiwanie kolejnych ofiar.

-
A twój brat, Gastonie? - odezwał się cichym, mądrym głosem Anzelm. - Coś mi mówi, że miał z tym wiele wspólnego, nieprawdaż?

-
Miał - gorzko odpowiedział młody de Baideaux. W jego oczach zadrżały łzy. - Był

jedynym, który nie dał się omamić, jedynym, który zrozumiał, że nie Salah ad-Din jest prawdziwym wrogiem w tej bitwie. Ukradł templariuszom Pieczęć Salomona i wywiózł ją w nieznane miejsce, mając nadzieję, że kiedyś znajdzie się ktoś, kto zdoła za jej pomocą okiełznać demona. Nie przewidział tylko tego, że demon zgromadził już taką potęgę, iż pierścień mu niestraszny. Zakonnicy szukali mojego brata, szukali, a jakże. Przysporzyło mi to sporo kłopotów, pamiętacie zresztą - templariusze sądzili bowiem, że przybyłem do Ziemi Świętej tylko po to, by pomóc Rogerowi - ale w pewnym momencie Asmodeusz zdecydował, że lepiej skupić się na innych celach. Zaczął przygotowywać się do kolejnego zamachu.

Skąd to wszystko wiesz? - zapytał z niedowierzaniem Jakub. - Kto ci to powiedział?

-

Nigdy byś nie uwierzył - powiedział ze smutnym uśmiechem Gaston.

Bernard otulił się kocem i spojrzał ku niebu.

Powietrze na tej wysokości było zimne, rozrzedzone, a gwiazdy, przesłonięte lekką mgłą, migotały niczym okruchy lodu zatopione w aksamicie nieba. Chudy księżyc spoglądał smętnie na posrebrzone zbocza skał. Szeroki trakt był pusty.

Cisza obezwładniała, wręcz przeszywała.

Bernard poklepał kark swego wierzchowca, a zwierzę odpowiedziało cichym parsknięciem.

Znużony długą drogą i ciężarem jeźdźca koń zwiesił nisko łeb, lecz były pacholek rodu de Baideaux popędził go z delikatnością zaskakującą u tak ogromnego człowieka.

Znów ruszyli, powoli, bez pośpiechu, zatopieni w nocnej ciszy gór.

Minęła dłuższa chwila, nim Bernard dostrzegł, że ponownie jedzie po prawej stronie traktu, zupełnie jak za dawnych czasów, gdy jeszcze podróżował u boku Gastona de Baideaux. Nie namyślając się wiele, zawsze zajmował tę stronę właśnie, chcąc chronić swego pana przed wszelkim niebezpieczeństwem.

„Czyja się nigdy od niego nie uwolnię?” - pomyślał, szarpiąc wściekle za wodze, aż koń zaprotestował głośnym parsknięciem. Sprowadził go na lewą stronę drogi i popędził.

Gdy mężczyzna znów uniósł głowę ku niebu, migoczącym na niebie gwiazdom odpowiedziały dwie srebrne łezki, toczące się po zarośniętym, kosmatym obliczu.

Polano strzeliło głośno w ognisku i Vittorio aż podskoczył. Pozostała trójka ani drgnęła. Italczyk spojrzał na nich z wyraźną niechęcią. Noc wokół nich skowytała, wyła i chichotała, cedr poruszał

konarami niczym przestraszony sędziwy dziad opędzający się od dokuczliwych prześladowców.

-

Czyli wszystko zaczęło się od templariuszy - powtórzył Jakub. W lodowato błękitnych oczach byłego zakonnika tańczyły płomienie podobne tym, które pożerały polana w ognisku. -

Od tego przekłętego de Ri-deforta...

-

Z tego, co powiedział Gaston, zaczęło się wcześniej - poprawił go Anzelm, wyjmując z ręki Vittoria

bukłak. - Jak nazywał się ich pierwszy mistrz?

-

De Payns. Hugon de Payns - rzucił nieprzytomnie Jakub. - Zgoda, może i de Payns wdepnął w to ścierwo jako pierwszy, ale to de Ridefort naprawdę uległ własnej chciwości.

Wiecie, że gdyby nie ten kurwi syn, nie byłoby nas tutaj? Nie byłoby tej krucjaty i bitwy, tego pobojuwiska?

-

Masz na myśli krążącą plotkę, jakoby to de Ridefort namówił króla Gwidona, by ten ruszył na Hittin? -zapytał Vittorio.

-

Plotkę? - Jakub przeszył go wzdurliwym spojrzeniem. - Wszyscy o tym wiedzą, Italczyku. Gwidon de Lusignan ruszył na spotkanie Salah ad-Dina z największą armią, jaką kiedykolwiek wystawiło Królestwo Jerozolimskie. Ponad tysiąc rycerzy, zarówno świeckich, jak i zakonnych, prawie drugie tyle lekkiej jazdy, Bóg jeden raczy wiedzieć, ile piechoty... To była prawdziwa potęga, która rozniosłaby armię muzułmańską na cztery wiatry! Tylko wodza jej zabrakło, stanowczego, pewnego siebie wodza, obojętnego na pokusy czy podszepty. Gdyby nie de Ridefort, de Lusignan usłuchałby hrabiego Trypolisu oraz barona Ibelinu i nigdy nie ruszyłby z Seforii, gdzie miał w bród wody, cienia i paszy! Nigdy! Wyczekałby, aż sułtan znuży się wojną i zmusiłby go do paktów bądź rozbiłby jednym uderzeniem...

-

Mówią, że honor rycerski się w nim obudził -uśmiechnął się gorzko Anzelm. - Ponoć z odsieczą Tyberiadzie chciał iść, oblężonej małżonce hrabiego Rajmunda pomóc...

-

Sam Rajmund odradzał mu wymarsz! - zacisnął pięści Jakub. - Wyobrażasz sobie? Nawet on, mąż miłujący! A ta gadzina, ten smoczy bękart de Ridefort zakradł się w nocy do królewskiego namiotu, napłócił Gwidonowi bzdur o konieczności ratowania baronowej z opresji! I oto, czym skończyła się głupota naszego króla! Starczył dzień marszu w upale, by Saraceni rozpedzili armię królewską jak pastuszkowie stado gęsi. Starczyło kilka szeptów opitego ambicjami drania, by dało gardło dziesięć tysięcy ludzi, przepadł Jedyne Krzyż, a królestwo wpadło w ręce niewiernych! Kilka szeptów, na Boga!

-

Przynajmniej teraz wiemy, dlaczego tak się stało -pokiwał głową Anzelm. - Mamy świadomość, kto jest prawdziwym wrogiem. Skoro templariusze są jedynie kukiełkami w rękach demona...

Przerwał mu straszliwy, głuchy ryk, który wstrząsnął nocą i przerwał symfonię upiornych dźwięków. Przerażony Vittorio sięgnął po miecz, Gaston również się wyprostował, ale Jakub machnął tylko dłonią.

-

To jedynie lew - wycedził, wpatrując się w płomienie. - Prawdziwe bestie, jak się okazuje, nie ryczą.

Przymrużone ślepie drapieżnika odbijały odległe ognie. Potrząsnął wściekle grzywą i zaryczał raz jeszcze, ukazując ogromne, ociekające śliną kły. Stał na szeroko rozstawionych łapach, nisko pochylał łeb i grzmiał niczym nadciągająca burza, a każdy mięsień w jego ciele podrygiwał.

Ghul wychynął znad nadjedzonego trupa muzułmańskiego piechura niczym śliska, biaława salamandra i zasyczał ze złością. Jego błękitne, pozbawione źrenic oczy zajaśniały blado, z gardzieli buchnął smród trupiej zgnilizny.

Drapieżnik cofnął się, bijąc wściekle ogonem o ziemię. Ghul uniósł się wyżej, wbijając szpony w kolczugę pokrywającą korpus martwego Saracena.

Biały cień wychynął zniecka. Zafurkotał płaszcz, błysnęła wznoszona stal, świsnęło przecinane powietrze.

Ghul cofnął się, złapał szponiastymi łapami za rozprute gardło, ale wtedy klinga wbiła się w brzuch, cofnęła niczym atakująca kobra i znów błysnęła w nocnym powietrzu. Głowa trupojada zwisła na pasemku skóry, ciało miękko zważyło się na pożeranego trupa.

Brat Rupert de Saint Jerome obrócił miecz i wbił go z rozmachem w ziemię, jakby utworzony w ten sposób krzyż miał go obronić przed furią drugiego drapieżnika. Zdyszany, złapał obiema dłońmi za jelec i wbił gorejący wzrok w gotowego do starcia lwa.

Ten wytrzymał go tylko przez chwilę. Niespodziewanie skulił ogon, odwrócił się i zniknął w ciemnościach, jakby wiedział, że jest jedynym zwierzęciem, na którego templariusze posłuszni regule mogą polować. Uśmiech prowizora zakonu stawał się coraz głębszy, coraz bardziej krzywy, aż w końcu znikł, zastąpiony maską niechęci. Templariusz rozdeptał głowę zabitego ghula i splunął, aż go w klatce piersiowej zakłuło.

Dyszał ciężko. Walka trwała ledwie kilka sekund, ale włożył w nią wszystkie swe siły, a do tego musiał jeszcze przebiec dobrych kilkanaście kroków. Siły, których jeszcze przed kilkoma dniami miał pod dostatkiem, z wolna zaczęły go opuszczać. Już nie tylko pogłębiające się zmarszczki mówiły, iż na powrót staje się starcem.

Stał oparty o swój miecz i pokasływał. W tej chwili był jedynie wyczerpanym, bezsilnym starym człowiekiem w tunice zakonu, zagubionym pośród upiornego pola bitwy. Wściekłość i frustracja, które go tu przywiodły, wyparowały równie szybko, jak jego zapach do walki.

- Starzejesz się - odezwał się głos pośród nocy.

Rupert poderwał głowę, odgarnął siwe włosy, przetarł załzawione oczy.

-

Panie? - zapytał z nadzieją.

Już go widział. Ciemna postać z burzą loków nadchodziła wolno, klucząc między trupami. Czuł wzrok jego lekko skośnych, brązowych oczu, czuł, jak w jego sercu ponownie budzi się życie.

Opadł na kolana, pochylił głowę.

-

Starzejesz się - powtórzył ten, którego nazywali Panem. - Kiepska sprawa, nieprawdaż?

-

Jeślim ci w czymś zawinił, Panie... - wybełkotał Rupert. - Jeślim zawiódł twe oczekiwania, pozwól mi...

-

Przestań skamleć - warknął ten, którego nazywali Panem. - Nie wypadłeś z moich łask.

Gdyby tak się stało, odebrałbym ci mój dar w jednej chwili, bez zastanowienia. Od kilku dni odbieram go częściowo, powoli, by cię ostrzec i przypomnieć o mej władzy. By zmusić cię do skutecznego działania.

-

Co mam uczynić, Panie? - spytał żarliwie templariusz. - Co mam dla ciebie uczynić?

-

Okazuje się, że musisz dokończyć pewną sprawę - rzekł ten, którego nazywano Panem. -

Przybliź się, to ci powiem.

I uśmiechnął się, tego Rupert był pewien.

Noc falowała niczym niespokojne morze, przynosząc to jęki rannych, złożonych w namiotach braci lazarytów, to gwar rozmów przy ogniskach armii krzyżowej, to nawet echa jakiejś hucznej zabawy. Padlinożercy, bez względu na to, czy zrodzeni w tym świecie, czy w innym, bardziej mrocznym, nadal toczyli swe wściekłe walki, przeganiając ciszę kakofonią upiornych odgłosów.

Czterech rycerzy zaś siedziało u stóp sędziwego cedru, wpatrując się w dogasające płomienie, milcząc.

-

Prawdziwe bestie nie ryczą - podjął Gaston. -W rzeczy samej, Jakubie. Nie przypominam sobie bowiem żadnego ryku, gdy Asmodeusz przejął nade mną władzę.

Vittorio zadrżał lekko i otulił się kocem. Jakub pokiwał głową z krzywym uśmiechem.

-

Kiedy rozstaliśmy się po bitwie pod Salib, wyruszyliśmy z Bernardem do pewnej górskiej wioski, gdzie pochowany jest Roger - opowiadał de Baideaux. - Poznałem tam całą prawdę o jego życiu. Ujrzałem... Ujrzałem piękny krzak dzikich róż, które oplatały miecz wbity w grób mojego brata. Kwitły, mimo śniegu.

Vittorio otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili odwrócił głowę.

-

Dowiedziałem się też - nie pytajcie jak - że pierścień Salomona ukryty jest w jego grobie, lecz byle śmiertelnikowi nie wolno próbować go użyć. Asmodeusz nabrał bowiem zbyt wielkiej potęgi i tylko najwięksi magowie mogliby spróbować go okiełznać. I przyznam wam - uniósł

bladą, zmęczoną twarz. - Przyznam, że popełniłem błąd. Powinienem był kogoś takiego poszukać. Powinienem był wyruszyć na poszukiwania jakiegoś cholernego czarodzieja, póki jeszcze był czas, nim demon zdołał powiększyć swą siłę. Ale nie zrobiłem tego, bo... Bo w tej wiosce spotkało mnie szczęście.

Spuścił wzrok. Ów gest był aż nadto wymowny, nikt nie zapytał, czym owo szczęście było ani jakie nosiło imię. Jakiego koloru miało oczy.

-

Jednakowoż nawet i tam docierały wieści, i tak oto dowiedziałem się któregoś dnia, że pod Akkę przybyli królowie Anglii i Francji. Wtedy to przypiąłem miecz, wsiadłem na konia i pojechałem walczyć o Grób Święty. Sam, bez Bernarda. Może to był błąd, bo ledwie opuściłem wieś, a straciłem panowanie nad sobą. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, był ów półmaterialny jeździec, którego widywałem już wcześniej, ten, który jest ziemską manifestacją Asmodeusza.

Nie wiem... - głos Gastona lekko zadrżał. - Nie wiem, w jaki sposób dotarłem pod Akkę ani co tam robiłem. Nie pamiętam nic aż do pewnej chwili, gdy ocknąłem się w więziennej celi, próbując powiesić się na własnym pasie rycerskim.

-

Tedy ja wszystko opowiem - odezwał się ochryplym głosem Jakub. - Trudno mi opisać radość, która mnie ogarnęła, gdy ujrzałem, jak wjeżdżasz do naszego obozowiska w tunice zakonnej, z dłonią na rękojeści miecza. Starczyło jednak, bym wejrzał w twe oczy, by moja radość znikła, a zastąpił ją lęk. Nie ujrzałem w nich Gastona, mego przyjaciela, brata zakonnego, towarzysza walk. Ujrzałem coś ciemnego, zimnego, niewyobrażalnie złego. Patrzyłeś na mnie z niechęcią, wręcz pogardą. Gdy zobaczyłem, jak wchodzisz do namiotu naszego mistrza, brata Garniera, mój lęk przerodził się w przerażenie. I nie pomyliłem się, Gastonie. Wprowadziłeś zło do zakonu.

-

Nie przesadzasz aby, Jakubie? - skrzywił się Vittorio. - Braciszkanie nagle zaczęli ziać ogniem przy komplecie? Siarką capiało na jutrznię?

W ciemnościach wokół ogniska coś zachichotało upiornie. Śmiech przeszedł w przeciągły syk i ucichł. Z oddali odpowiedziały mu rozdzierające wrzaski.

-

Nie, to nie tak - machnął dłonią Jakub, jakby wziął niewybredne żarty Genuńczyka na serio. - To nie było nic namacalnego, widocznego. Po prostu nagle odczułem, że w życiu zakonnym czegoś zabrakło. Pieśni, msze, modlitwy, wszystko naraz utraciło swój sens, swą świętość. Były tylko puste słowa, wyuczone, martwe rytuały, zupełnie jakby ogarnął nas wszystkich jakiś mroczny cień. Jednocześnie... - przełknął ślinę. - Jednocześnie zaczęły się złe sny. Bracia budzili się w środku nocy, krzyczeli coś o kruczowłosym demonie... Wielu braci zaczęło zaniedbywać swe obowiązki, dyscyplina upadała. Wybuchaly sprzeczki i bójki, złapani Saraceni ginęli w brutalnych mękach, coraz częściej zdarzało się, że ktoś nie posłuchał mistrza czy marszałka i postąpił po swojemu. Straszne dni, wiercie mi. Zupełnie jakby zabrano wam ukochanych rodziców i zastąpiono ich bandą łotrów bez krzty sumienia. Dopiero gdy powiesił się brat Gotfryd... Dopiero wtedy wszystko ucichło, skończyło się. Powinienem właściwie odetchnąć z ulgą, ale tak się nie stało. Zrozumiałem bowiem, że od tej chwili zakon jest całkiem pod władaniem Złego.

-

I wtedy uciekłeś. - Gaston nie spuszczał z niego oczu.

-

Tak. Wyrzuciłem tunikę, ukradłem jakąś broń i poprzysiągłem sobie w duchu przed Bogiem, że cię zabiję, Gastonie. Myślałem bowiem naiwnie, że z twoją śmiercią przekleństwo zniknie, do zakonu znów zawita świętość i porządek, jak dawniej. Patrzyłem, jak w każdej bitwie otaczasz się murem trupów, jak prowadzisz cały zakon do szturm i pierwszy wdzieras się na mury, jak bez strachu siejesz spustoszenie wśród obrońców. Nienawidziłem cię nawet mimo tego, że walczyłeś przeciwko naszym wrogom. Patrzyłem, jak czynisz okropieństwa w towarzystwie tego gbura z Rochester, jak puchniesz i zadzieras nosa w towarzystwie mistrza Garniera i króla Ryszarda, i w myślach wykrawałem ci serce. Nie odpuściłem sobie nawet po tym, jak uwięził cię ten biskup. Dzień w dzień czyhałem pod twoim więzieniem, czekając, aż...

-
Co ty powiedziałeś? - zapytał nagle Gaston. - Kto mnie uwięził?

-
Ten biskup. Legat papieski, Adelard z Werony bodajże. Wierz mi, zabiłbym cię tego dnia na ulicy Akki. Gdybyś tylko...

-
Gdybym tylko nie zachował owej niebywalej sprawności, którą zresztą ani chybi obdarzył

mnie As-modeusz - burknął Gaston. - Sam siebie zaskoczyłem, przecież władasz mieczem o wiele lepiej ode mnie. Niezbadane są wyroki boskie, Jakubie. W każdym razie, przyjaciele, chyba posklejaliśmy już tę historię do kupy. Dziś na własne oczy widziałem, jak zakon szpitalników wyrwał się z szyku i runął do szarży bez wątpienia po to, by spowodować jak najwięcej zamieszania w obu armiach i przelać jak najwięcej krwi w imię Asmodeusza. Gdyby nie król Ryszard i jego talenty wojenne, bitwa ta mogła stać się drugim Hittinem - kolejną ogromną ofiarą dla tego przeklętego demona. Na moje oko, przyjaciele, Asmodeusz znów zbiera swą moc. Nie wiem, ile zgromadziły jej dla niego oba zakony, ale jestem pewien, że dobrze ją ulokuje. Tylko patrzeć, aż opęta następną, znaczącą osobę i wykorzysta ją, by pchnąć kolejne siły przeciwko sobie. Krew poleje się gęściej.

-
Ile czasu zostało? - zapytał z nagłym ożywieniem Vittorio, unosząc się lekko. - Jak sądzisz, bardzo urósł w siłę?

Jakub i Anzelm wpatrywali się w zamyślonego de Baideaux, żaden z nich nie spojrział na Vittoria, który skulił się, jakby zawstydzony swą reakcją, i opadł na miejsce.

-
Pojęcia nie mam - wrzucił ramionami Gaston, również nie patrząc na Genuńczyka. -

Zresztą, chyba właśnie powiedziałem wszystko, co wiem. Nie mam bowiem pojęcia, co należy dalej czynić. Nie wiem, dokąd jechać, z kim rozmawiać, jak walczyć. Nie wiem, jak pokonać Asmodeusza. Nie wiem też, po co zwierzyłem się wam z tego wszystkiego. Bo to moja wojna, moja krucjata. Nic wam do tego. Nic im wszystkim do tego!

Jego drżący palec wskazał rojowisko ogni tam, gdzie obozowała i biesiadowała zwycięska armia krzyżowa.

Dziwna to była uczta.

Zamiast marmurów i mozaik była tu ubita ziemia i rzędy pochodni, zamiast rzeźbionych sklepień roje

gwiazd na niebie, miast złożonych mis pełnych wschodnich pyszności cynowe półmiski z najprzeróżniejszymi wiktuałami, które były tylko odrobinę lepsze od racji obozowych. Lecz wszędzie wokół znać było radość i uniesienie, jakich na próżno było szukać podczas przyjęć w Jerozolimie czy Tyrze, które nierzadko stanowiły jedynie kanwę dla rozlicznych intryg i politycznych przepychanek. Skrzące podnieceniem spojrzenia, wybuchy gromkiego śmiechu i niekończące się pieśni minstrelki napełniały noc owym szczególnym oczekiwaniem, które odnajduje w sobie krzyżowiec na początku swego szlaku, gdy odrąbał już jedną smoczą łapę i nabiera pewności, że pozostałym też da radę.

Vivienne czuła to doskonale.

Płynęła przez zebrane wokół Ryszarda towarzystwo, w zdecydowanej większości męskie, i chłonęła wyrazy podziwu, jakie odnajdowała w oczach duchownych, baronów i rycerzy. Nie pamiętała już, że ma na sobie zwykłą, skromną suknię, podarowaną przez biskupa Adelarda, jakże różną od przetykanej złotem purpury, zdobionej przy szyi złotą lamówką i przepasanej skrzącym od klejnotów pasem wokół talii, którą nosiła w Tyrze. Nie pamiętała też o uczuciu upokorzenia, jakie jeszcze kilka godzin temu przeszywało ją na wskroś, oblepiało niczym warstwa cuchnącego błota. W blasku pochodni, wśród spojrzeń Franków i ich zachwyconych szeptów rozkwitała niczym zdeptana róża polana wodą życia.

Płynęła z rozpuszczonymi, złocistymi włosami, z błyszczącym spojrzeniem i niespotykaną gracją. Wyzwolona z okowów wstydu, uśmiechała się do tych, których pamiętała, kłaniała z gracją przed tymi, których rozpoznawała. Mijała tych, którzy uctowali w koleczugach i skórzanych kaftanach, tych, którzy znaleźli czas na utrefienie włosów, skropienie się pachnidłami i założenie trzewików z wygiętymi noskami, mijała pobladłych rannych, a także tych, których powoli zmagало już wino w złożonych kielichach. Oddychała pełną piersią, wreszcie ocalona, wolna. Wreszcie w swoim żywiole.

-

Vivienne! - Renald z Sydonu, jej wuj, pochwycił ją za rękę, zaskoczony jak rzadko, ale wyrwała ją, nawet na niego nie patrząc.

Nie, jego bynajmniej nie potrzebowała. Przybyła tu po to, by odbudować swoje życie, obojętnie, w jaki sposób, sama dla siebie, bez niczyjej pomocy. Wyczuwała owo szczególne drżenie powietrza i wiedziała, że jeśli kiedykolwiek miałyby tego dokonać, ta noc będzie jej sprzyjać.

Pamiętała bowiem z dawnych lat, że światło dnia należy do mężczyzn, lecz mrok nocy do kobiet i czym znaczniejsze zwycięstwo osiągną oni za dnia, tym bardziej one skorzystają na tym w nocy.

Król angielski, Ryszard, ogromny i barczysty, mignął jej gdzieś wśród tłumu rycerzy.

-

Niech wszyscy usłyszą o wielkim zwycięstwie pod Arsufem! - grzmiał, potrząsając pięścią. - Niech cały świat...

Instynktownie skręciła w jego kierunku, lecz wtedy ujrzała barona Baliana z Ibelinu, zatrzymującego go, perorującego coś dobitnie, gestykulującego obandażowanym ramieniem.

Zobaczyła, jak oblicze królewskie pochmurnieje i znikną błysk z jego błękitnych oczu. Zatrzymała się, zacisnęła zęby, stłumiła przekleństwo. Z trudem zmusiła się, by obdarzyć uśmiechem Hugona burgundzkiego. Ten otaksował ją wzrokiem z delikatnością doświadczonego bywalca burdeli, gdy nagle dostrzegła kogoś na uboczu.

Gwidon de Lusignan, ostatni król jerozolimski, który najpierw stracił swą armię i królestwo, potem resztki szacunku swych baronów, a ze śmiercią żony Sybilli prawo do tronu Jerozolimy, stał przy pochodniach wyznaczających teren uczyty i wpatrywał się w ciemność. Dłoń, w której trzymał kielich z winem, drżała lekko; gdy pił, kropelki czerwone niczym krew wsiąkały w gęstwinę czarnej brody. Był wychudzony i garbił się, jakby przejścia ostatnich lat wyssały zeń resztę sił witalnych.

Vivienne ponownie się skrzywiła. Nie znosiła swego wuja i nienawidziła wprost Baliana z Ibelinu, ale jako dumna, niezależna Frankijka, hrabianka z walecznego rycerskiego rodu, podświadomie przejęła ich niechęć do feralnego monarchy, który doprowadził Królestwo Jerozolimskie do zguby. Krwiak na policzku Gwidona mówił, że nie oszczędzał się podczas popołudniowej bitwy, ale mimo tego wydał jej się kimś niepotrzebnym, zbędnym, psującym ogólne wrażenie.

-

Oto jeden z największych problemów króla Ryszarda - szepnął jej do ucha Adelard z Werony.

Vivienne aż podskoczyła i odwróciła się wystraszona. Zapomniała o biskupie, nie spodziewała się, że będzie szedł za nią krok w krok. Jego przymrużone, brązowe, lekko uśmiechnięte oczy przenikały ją na wskroś.

-

Wybaczenie, ojczy - prychnęła, udając wzburzenie, choć jej serce nadal biło pospiesznie. -

Doprawdy nie wiem, jak ten mydłek może stanowić czyjkolwiek problem. Przecież to Gwidon de Lusignan, najbardziej skompromitowany król, jakiego nosi święta ziemia.

-

I to właśnie stanowi dla Ryszarda problem - uśmiechnął się legat papieski. - Bo ów mydłek, jak raczyłaś go nazwać, pani, jest Ryszardowym krewniakiem. Zaprzepaścił królestwo, wygubił jego armię, stracił poparcie większości miejscowych nobili, a na koniec jeszcze doczekał

śmierci żony, dzięki której dysponował prawem do korony królewskiej. Nawet zginąć jak bohater w bitwie nie potrafił. I co tu z takim zrobić?

-

Spodziewacie się, że wam podpowiem? - spytała zaczepnie, wygładzając fałdy sukni.

-
Nie. Nie spodziewam się. Skądże znowu. Po prostu współczuję głośno królowi Ryszardowi, którego pokochałem jak przyjaciela i którego troski są mi bliskie. Sądzę jednak, że niedługo trzeba będzie czekać, aż podejmie właściwą decyzję. Daleko, za horyzontem, kryje się bogata wyspa, Cypr, którą zdobył podczas rejsu do Ziemi Świętej. Ponoć chciał ją sprzedać templariuszom, ale nie wydaje mi się, by wytrwał w swej decyzji. Czy nie jest to idealne lenno dla skompromitowanego krewniaka?

-
Nie rozumiem, Wasza Wielbność, dlaczego rozmawiacie ze mną o Gwidonie de Lusignan! - Vivienne wyduła usta, zagojone już, nie kryte co prawda karminem, ale i tak piękne i zmysłowe.

-
Nie rozumiecie, pani? - Adelard z Werony uśmiechnął się lekko, lecz jego oczy nagle rozbłysły. Czyżby drwiną? - Nadobny, niestary, łatwy do manipulowania, a do tego pan na bogatej udzielnej wyspie, położonej na tyle daleko od Saracenów, by nie był w stanie niczego spieprzyć...

-
Chcecie żebym... - Vivienne nagle spurpurowiała.

-
Ja nic nie chcę. - Oczy legata błysnęły stalą. -Spójrzcie, pani, na siebie. Budzicie zachwyt szlacheckich rycerzy, którzy rozwodzą się nad waszym wdziękiem i urodą. I pewnie będą się nią jeszcze parę lat zachwycać, póki starość nie poznaczy was zmarszczkami, bo - za wybaczeniem -

nic innego wam nie zostało. Wasz majątek, wpływy, kontakty, wszystko to przeszłość. Nie wróćcie do tego, pani. Nie własnymi siłami. Nie z reputacją saraceńskiej ładaczniczki znalezionej na szlaku. Starczy, by historia o waszym odnalezieniu rozeszła się wśród rycerstwa, a wnet zniknie zachwyt w ich oczach. Wiecie, co będą sobie o was myśleć, prawda?

-
Przecież ja... - Zielone oczy Vivienne wezbrały łzami, głos zadrżał. - Przecież mnie nikt...

-
Znacie ludzi, pani. Wiecie, że chętnie sami dopowiedzą brakujące szczegóły, takie, jakie będą im pasować. Będą chcieli ujrzeć w was ładacznicę, to ujrzą, nawet jeśli tydzień cały przeleżycie w Bazylice Grobu Świętego i poddacie się tysiącowi sądów bożych. A w dyskrecję tego bydlaka, Cedryka z Rochester, nie wierzyłbym ani chwili. Chciałem was jedynie ostrzec, pani. I zaproponować rozwiązanie waszej sytuacji.

Mam oczarować Gwidona z Lusignan? - wyrzuciła z siebie z goryczą. - Nie wiecie, panie, czego ode mnie żądacie!

-

Wiem - odparł krótko i uśmiechnął się samymi ustami. - Po prostu bądź sobą, Vivienne. A ja już załatwię resztę.

Hrabianka niespodziewanie wyprostowała się i otarła łzy wierzchem dłoni. Potem przymknęła oczy, a gdy znów je otworzyła, zaśnił w nich lód.

-

Oczywiście będę wam winna pewną przysługę, tak? - wycodziła.

-

A jakże - uśmiechnął się Adelard z Werony. Tym razem niemalże naturalnie.

Ostrze miecza trzymanego na Gastonowych kolanach odbiło najpierw czerwień dogasającego ogniska, a potem srebrny pył gwiazd. Z cichym młaśnięciem wbiło się w skropioną krwią ziemię.

Rękojeść zakołysała się lekko, przypominając krzyż bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

-

Ślubuję Ci, Panie - szeptał klęczący Gaston de Baideaux. - Ślubuję Ci, że naprawię zło, które sprowadziłem na ten świat. Nie cofnę śmierci, jaką zadawano z mojej przyczyny, nie przywrócę do życia tych, których zabrało moje szaleństwo, ale dopóki bije w mej piersi serce, dopóki patrzę na świat stworzony przez Ciebie, dopóki moje ramię trzyma miecz i końską uzdę, dopóty starać się będę zwalczyć demona, którego napasłem.

Kolejny miecz wbił się obok pierwszego, długi, z klejnocikiem w głowicy, istne cacko rodem z italskich kuźni.

-

A ja Ci ślubuję, że nie pozwolę temu samolubnemu draniowi zdobyć całej sławy -

wyrzekł dźwięcznym, lekko drżącym głosem Vittorio. - Nie po to zrezygnował z intratnej posiadki u boku markiza Montferratu, nie po to pokazowo walił się z konia w samym środku szarży, by teraz byle niedojda z Pikardii na moich oczach fundował sobie porządną krucjatę i zgarniał wszystkie zaszczyty w Regnum Dei. Niedoczekanie!

Obok wgrzył się w głąb trzeci, prosty, zwykły miecz rycerza zakonnego.

-

Jam przysięgał, że ziemi tej bronić przed złem będę, póki mi tchu starczy - powiedział

cicho Jakub. - Nie muszę tedy nic powtarzać. Niech czyn przemówi miast słów.

I niech się niedojda z Pikardii nawet nie odzywa, bo go słuchać nie będziemy.

- Nie będziemy, to racja - rzekł łagodnie Anzelm i uklęknął obok Gastona, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Pomodlimy się natomiast za niego i za siebie, bo coś mi mówi, że skoro świt wskoczymy w siodła i popędzimy co koń wyskoczy. A wtedy to na modlitwę czasu już nie starczy.

Gwiazdy migotały dobrotliwie, a odpływający powoli księżyc spoglądał na czterech klęczących, modlących się przyjaciół-rycerzy. Opromienione jego blaskiem rękojeści mieczy lśniły niczym najczystsze złoto. Po policzkach niedojdy z Pikardii toczyły się równie złote łzy.

Wkrótce nadeszła ta pora nocy, kiedy to senność ogarnia nawet najwytrwalszych, a demony przestają zawodzić wystraszone wizją rychłego nadejścia świtu. Sędziwy cedr, dotychczas rozkładający swe konary niczym sękatę ramiona, jakby chciał chronić śpiących u swych stóp rycerzy, zadrżał nagle, przeszyty zimnym wiatrem. Na skraju niewielkiego obozowiska pojawiła się samotna, szczupła postać z łukiem i niewielkim tobołkiem. Rozejrzała się szybko i pospiesznym krokiem podeszła do koców, którymi otulił się Gaston. Szybko odłożyła wszystko, co niosła i zrzuciła opończę.

Blask dogasających węgli w ognisku przemknął po strudze rudych włosów.

Nie budząc młodzieńca, wślizgnęła się pod koce. Odgarnęła włosy z jego twarzy, ucałowała powieki i wtuliła .

Rozdział dziesiąty

w którym pewien templariusz znajduje powód do radości, a szczytne słowa i jeszcze szczytniejsze przysięgi idą w niepamięć w zderzeniu z rzeczywistością. na szczęście jest komu przywalić w mordę

Brat Wilhelm du Triere, rycerz-templariusz, były komandor Tyru, oddychał głęboko, miarowo.

Uśmiechał się.

Rozmowa z prowizorem Rupertem de Saint Jerome wcale nie należała do przyjemnych i to nie dlatego, że brat Rupert miałby coś przeciwko jego prośbie. Wręcz przeciwnie, zareagował

wyjątkowo przyjaźnie. Wilhelm miał wręcz wrażenie, że to, iż jeden z jego rycerzy chce odejść na odległą placówkę, tak naprawdę zupełnie nie obchodzi mistrza. Wydawał się osobliwie zaaferowany, pochłonięty własnymi myślami, z trudem skupiał wzrok na byłym komandorze tyryjskim, z jeszcze większym koncentrował się na jego słowach.

I to właśnie odstręczało Wilhelma du Triere najbardziej.

Doskonale znał przyczyny rozterek brata Ruperta. Wiedział też, dlaczego ten blisko siedemdziesięcioletni starzec obnosi się z obliczem człowieka o wiele młodszego i kipi niespożyta

energiją. Dobrze wiedział o chorobie toczącej zakon, o złym duchu panującym wśród templariuszy.

Ba, należał nawet do tych, którzy skorzystali z czarcich „błogosławieństw”.

W przeciwieństwie do Ruperta de Saint Jerome, Jo-scelina de Royes i innych, którzy ofiarnie służyli temu, kogo nazywali Panem, Wilhelm tak naprawdę nigdy się przed nim nie uniżył. Od początku wyczuwał niebezpieczeństwo płynące z podporządkowania zakonu prastarej, chciwej istocie, lecz nie umiał się mu przeciwstawić, nie wiedział, jak to uczynić. Poprzysiął więc wierność demonowi, lecz w głębi serca obiecał sobie, że nigdy mu jej nie okaże.

On zaś - na szczęście dla Wilhelma - nigdy dotąd jej nie zażądał.

Komandor du Triere jednakowoż zdawał sobie sprawę, że lada dzień, lada moment może się to zmienić. Co dzień modlił się skrycie, by Robert de Sabie, ten, który objął przywództwo nad zakonem po śmierci nieszczęsnego, złowieszczego Gerarda de Ridefort, zdołał złamać klątwę. I choć jego zmijowe oczy, wiecznie przymrużone i ziejące niechęcią do świata, wydawały się niezdolne do ronienia łez, w duchu gorzko opłakiwał jego zaginięcie.

Od tego czasu wypełniał polecenia swych zwierzchników, lecz czynił to wstrzemięźliwie.

Walczył pod Akką, ale gdy tylko mógł, powstrzymywał się od mordów. Stawał też pod Arsufem, jednak nie zabił ani jednego bezbronego. Walczył, ale nie wierzył w Pana. Nie był mu wierny.

W zastępstwie modlił się do swego poprzedniego Pana, tego, dla którego kilkadziesiąt lat wcześniej, jako młody akwitański rycerz, wstąpił do zakonu urzeczony pięknem szeregów zakonnego rycerstwa i potęgą bijącą od ich sztandaru. Modlił się długo i żarliwie, być może jako ostatni spośród tych, którzy ongiś go przyjęli w swe szeregi.

Wszystko jednak wskazywało na to, że złe dni minęły, a przynajmniej przestały go dotyczyć.

Prowizor zakonu zaczął bowiem dziwnie się zachowywać. Następnego dnia po bitwie wezwał du Triere do siebie i nakazał mu, by wraz z garścią rycerzy, giermków i służących opuścił szeregi armii krzyżowej i pojechał objąć odległą komandorię Aigle de la Montaigne. Z chytrą miną rozkazał mu powrócić do tego, do czego zakon został stworzony - opieki nad wędrowcami i pielgrzymami - a potem przyciszonym głosem dodał, że chodzi o Gastona de Ba-ideaux.

Wilhelm du Triere miał zatem zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, by wytropić, a potem pojmać lub zabić szalonego Pikardyjczyka. Znowu.

„Akurat - pomyślał, wychodząc z namiotu brata Ru-perta. - Akurat dam się wam wciągnąć w te wasze intrygi. Za stary już na to jestem”.

Jechał teraz w palącym słońcu, lecz nawet nie zdjął hełmu, nie odwiesił tarczy. Uśmiechał się, choć jego twarz, sucha i ponura, przypominająca spękaną w słońcu skałę, do tego również wydawała się niezdolna. Z dala od prowizora i reszty zakonników wreszcie czuł się wolny.

Niespodziewanie ten błogosławiony stan zakłócił jakiś ruch na skraju pola widzenia. Wilhelm kątem

oka dostrzegł samotną postać, mającą w rozedrganym powietrzu drogi.

-

Kto to? - zapytał cichym, suchym głosem, przypominającym osypywanie się piasku w szczelinach skały, wskazując postać palcem w skórzanej rękawicy.

Któryś z giermków wysforował się naprzód, aż spod kopyt końskich podniósł się tuman pyłu.

Okrzyknął samotnego wędrowca, rzucił mu manierkę i w te pędy zawrócił ku komandorowi. Ten oczekiwał go z nieruchomą twarzą.

-

To chrześcijański ksiądz! - zawołał giermek podekscytowanym głosem. - Ranny, ledwie żywy! Mówi, że zbójcy mu podopieczną porwali, dziecko nieledwie! Do Al-Dżawani ponieśli, sam słyszał.

Wilhelm du Triere starannie poprawił rękawice, odetchnął głęboko i spojrzał na słońce.

-

A daleko to Al-Dżawani? - spytał mocnym głosem. I znów niemalże się uśmiechnął.

Ustępujące mgły świtu odsłoniły pobojuwisko po nocnym apogeum wielkiej bitwy. Tysiące czarnych, osowiałych z przejedzenia ptaszysk obsiadło obżarte, poszarpane trupy i ponurymi spojrzeniami śledziło pierwszych ludzi. W większości byli to grabarze, którzy z wolna, niczym trzecia po wojownikach i trupojadach zmiana aktorów dramatu, obejmowali władanie nad polem bitwy. Stada czarnych ptaków co rusz niechętnie wzbijały się pod stalowoszare niebiosy, głośnym krakaniem oznajmiając swoje oburzenie, a sine poranne mgły zatruwał czarny dym znad stosów, na których palono ciała.

-

Gaston! - Zziębnięty Vittorio, desperacko usiłujący rozpalić ogień, uniósł wreszcie głowę i wściekłym ruchem związał sobie włosy rzemieniem w koński ogon. - Gaston! Wstaniesz w końcu czy chcesz, by twa krucjata odbyła się bez ciebie?

-

Nie drzyj się - burknął zagadnięty. - Już wstaję.

-

Nie powiem, żebym szczególnie tęsknił za twoim kosmatym giermkim, ale do palenia ognia miał facet dryg jakich... Eee... Gaston? Czyja mam...

-

Omamy? Nie, nie masz. Monopol na omamy i przywidzenia mają tu święci i pustelnicy.

Niepijący - rzucił zgryźliwie młody rycerz, ale odwrócił się, chcąc ukryć rumieniec. W

przeciwieństwie do Vivienne de Grenier, która sprawnie zasznurowała giezło, otuliła ramiona opończą i usiadła, by śmiało spojrzeć na zszokowanego Italczyka, który zamarł z rozwartymi ustami.

-

Miło mi ujrzeć was w dobrym zdrowiu, rycerzu Scozzi - uśmiechnęła się, spinając włosy rogową kłamrą. Na jej palcu błysnął srebrny pierścień. - Dawnom o was nie słyszała, lecz tuszę, iż nadal bez wahania spieszycie z pomocą niewiastom, którym grozi niebezpieczeństwo?

-

Ja pierdolę... - wyjąkał Vittorio, mrugając oczami.

-

Język ci zubożał, Scozzi - stwierdził Anzelm, wyjmując z jego rąk hubkę i krzesiwo.

-

Zdaje się, że to jeden ze skutków trzymania z Ga-stonem - wybełkotał Vittorio i wstał. - I dotyczy tylko mnie, bo po tobie i Jakubie, jak widać, raczej spływa to, że de Baideaux ostatnio zadarł z Rzymem, a teraz...

-

A teraz co? - warknęła Vivienne tak ostro, że Jakub, modlący się na kolanach kilka kroków dalej, uniósł z zaintrygowaniem głowę.

-

Wybaczcie, szlachetna pani, ale nie nazwę tego wprost - parsknął Italczyk. - I to nie dlatego, by nie urazić waszej czci - bo tu nie ma o czym mówić - ale żeby się nasz szpitalnik w modlitwie nie kropnął. Teraz to potrzebujemy wstawiennictwa boskiego bardziej niż...

-

Skończ już, Vittorio - Gaston usiadł przy ogniu, nakrywając się kocem. - Proszę.

-

Dobrze - zgodził się tamten. - Jasne. Skończę, ale najpierw odpowiedz mi na jedno proste pytanie - co będzie dalej? Z twojego posłania wylazła Vivienne de Grenier, ongiś dumna hrabianka, a teraz, niech no pomyślę... Oto zagubiona niewiasta bez czci i majątku, już odrzucona przez swój poprzedni świat,

ale wciąż zbyt piękna i zbyt dumna na zwykłe łajdaczenie się. Czyli chyba trzeba będzie ją ocalić, no nie? Uratować przed pohańbieniem, przyjąć do kompanii, otoczyć opieką?

-

Tak, zostałam odrzucona przez swój poprzedni świat! - warknęła Vivienne. Nadal rozczochrana, z przekrzywioną głową i błyszczącymi wściekle oczyma przypominała lwicę gotującą się do ataku. - Nikt nie chciał nawet zamienić słowa z byłą hrabianką, która przez rok przebywała w niewoli u pustynnych rozbójników! Mam przed sobą wybór, dobry rycerzu Scozzi

- albo poproszę o opiekę was, albo najbliższą burdelmame!

-

Cóż, jeśli chcecie, pani, naprawdę przydać się światu... - zaczął Vittorio, ale wtedy Gaston uniósł głowę i spojrzał na niego z taką złością, że bezczelny Italczyk urwał zdanie. Odetchnął

głęboko, uspokoił się i zaczął raz jeszcze:

-

Gaston, jesteś człowiekiem honoru i masz dobre serce, ale są chyba jakieś granice! Ta cała de Grenier to cholerna intrygantka! Chyba nie pamiętasz, kto nas wpieprzył...

-

Pamiętam - sucho stwierdził Gaston. - Pamiętam wszystko, co wydarzyło się przed moim powrotem pod Akkę. Pamiętam także, że wczoraj przysięgałeś, iż nie opuścisz mnie podczas tej krucjaty. A krucjaty, z natury rzeczy, nie są łatwymi przedsięwzięciami. Trzeba podczas nich znosić różnorodną niedolę. Zastanów się więc, czy chcesz swej przysięgi dotrzymać. Zjemy coś i ruszamy.

-

Chcę dotrzymać tej przysięgi. - Vittorio wyprostował się. - I dotrzymam. Chodzi mi tylko o to, Gastonie, że interesujesz się niewłaściwymi kobietami! Najpierw...

-

Dość! - Gaston również się wyprostował. Jego twarz, kiedyś delikatna i nadobna, przypominała teraz maskę wykutą w skruszałym wapieniu, a otaczające ją loki wydawały się bardziej siwe niż jasne. - Wyświadcz mi przysługę, Vittorio, i nie mów już nic. Wysił natomiast swój spryt i znajdź jakiegoś konia dla hrabianki de Grenier.

Vittorio spojrzał najpierw na Anzelma, który był tak skupiony na wlewaniu wody do garnka, jakby to było najważniejsze zadanie w jego życiu, a potem na Jakuba, który nadal klęczał z zamkniętymi oczami, bijąc się w piersi. Obrzucił jeszcze spojrzeniem Vivienne i wydawało mu się, że dostrzega w jej spojrzeniu uśmiech. W końcu wzruszył ramionami i wstał.

Niebo nad ich głowami rozbrzmiewało kruczym krakaniem.

Nie licząc okazjonalnych przekleństw Vittoria, przez cały dzień nikt nie odezwał się ani słowem.

Ich pochód prowadził Anzelm, najlepiej znający nadmorskie okolice. Od czasu do czasu odwracał się ku Gastonowi i bez słowa wskazywał dłonią kierunek, na co jadący tuż za nim de Baideaux odpowiadał jedynie skinieniem głowy. Za nim jechał Jakub o twarzy spokojnej i pogodnej jak nigdy, a na końcu złorzeczący pod nosem, ponury Vittorio. Vivienne, milcząca wyniośle od czasu porannej sprzeczki, trzymała się jak najbliżej Gastona. Dla ochrony przed pyłem przesłoniła twarz ciemną woalką, znad której co rusz strzelało ciekawskie, nieco zaniepokojone spojrzenie.

Okolica, przez którą przejeżdżali, wydawała się bowiem zrodzona w snach człowieka pogrążonego w czarnej rozpacz. Pobojowisko, wraz z czarnymi słupami dymów bijących znad stosów, zostawili za sobą już dawno, lecz tu i ówdzie wśród karłowatych krzewów wciąż natrafiali na rozwłócone w kurzu ciała saraceńskich jeźdźców, których wczoraj dosięgła strzała lub ostrze włóczyń ścigających Franków. Hieny i szakale, nie niepokojone tu przez grabarzy, szczyrzyły zakrwawione kły i warczały, sępy wyginały łyse szyje i trzepotały wystrzępionymi skrzydłami. Vivienne kulila się podświadomie. Vittorio pluł i przeklinał. Reszta milczała.

Wkrótce Anzelm nakazał kolejny skręt i jeźdźcy zaczęli oddalać się od miejsc ostatnich walk, a zagłębiać w okolice, gdzie wojna trwała już tak długo, że krew przepoiła tu powietrze i wniknęła do gleby. Mijali wypalone gaje i sady, gdzie szerniały pnie wyrastały prosto z zasp popiołu, mijali opuszczone wioski i domostwa o zapadniętych dachach i ślepych oknach, mijali zagrzebane w piasku szkielety ludzi i zwierząt. Wdychali wiatr przesączony spalenizną, wsłuchiwali się w ciszę, w której zastygła śmierć. Anzelm wskazywał kierunek. Jechali.

Przed opuszczeniem obozowiska Anzelm rozmówił się z pewnym wesolutkim, wciąż nieco pijanym rycerzem normandzkim, który po przełomowej szarzy, miał ruszyć do pościgu, zabrał

się za łapanie saraceńskich rumaków. Wedle jego słów, Saraceni wcale nie ponieśli wielkiej klęski, a już ponoć sprawili szyki i czekali na kolejny ruch armii króla Ryszarda gdzieś na północnym wschodzie. Anzelm wybrał więc szlak, który wiódł możliwie najdalej od skupiska wrogich wojsk, ale zawsze jednak istniała szansa natknięcia się na jakichś maruderów.

Podróżujący zachowywali więc wielką czujność i nawet nie myśleli o zdejmowaniu oręża.

Gaston nosił zwykły hełm z nosalem i kolczugę jeszcze z darów Cedryka z Rochester, Jakub założył pogięty kapalin i uszkodzoną w kilku miejscach kolczugę, którą Anzelm ściągnął z jakiegoś trupa w lazarecie, dla siebie odkładając skórzany kaftan z nanizanymi kółkami.

Najlepiej chroniony był Vittorio, który tunikę Montferratów odrzucił z ochotą, ale z pyszną kolczugą z nogawicami i kutym w Italii hełmem rozstawać się nie miał najmniejszego zamiaru.

Każdy miał miecz, wielką tarczę ze ściętą poziomo krawędzią i lekką włócznię, a Vivienne dodatkowo przytoczyła do siodła łuk. Byli więc gotowi na najgorsze, co nie oznaczało, że mieliby ochotę się z kimkolwiek mierzyć. Anzelm prowadził ich umiejętnie, dolinami wzgórz i skrajami

cedrowych lasów, unikając wszelkich ewentualnych zagrożeń.

Vivienne rozglądała się coraz częściej. Jakub znakiem krzyża żegnał spalone wsie. Vittorio parsknął i kłął. Gaston milczał. Pędzili.

Zbliżał się już wieczór, gdy rycerz-odmieniec ściągnął wodze, rzucił coś o konieczności sprawdzenia poprzęgu i został z tyłu. Jadący w straży tylnej Vittorio natychmiast stanął z nim strzemię w strzemię.

-

Rozumiesz coś z tego? - syknął.

-

Z czego? - Anzelm zwrócił ku niemu swe mądre, zielone oczy i pogładził ciemną brodę.

-

No, najpierw przystaje do nas ta zdzira de Grenier, a Gaston, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, nie ma nic przeciwko temu. Teraz zasuwamy przez jakieś pustkowia, znów nie wiem ani gdzie, ani po co! Anzelmie, o co chodzi?

-

No właśnie. Domyślasz się może?

-

Nie - rzucił Italczyk. Jego koń parsknął i grzebał ziemię, chcąc gnać za pozostałymi. -

Mam natomiast kilka spostrzeżeń. Historyjka o swej dramatycznej decyzji, jaką nam zasunęła, nie trzyma się kupy. Widziałeś jej opończę i pozostałą część stroju? Widziałeś jej pierścień?

Widziałeś ten łuk? To dobra walijska broń, naprawdę sporo warta. Ta cholerna sekutnica nie przystąpiła do nas wiedziona rozpaczą, ma w tym jakiś zamysł. Ktoś dobrze przygotował ją do drogi.

-

Widziałem. I wierz mi, Gaston też widział.

-

Nie byłbym tego taki pewien. Ten chłopak ma nadal pstro we łbie - oznajmił z goryczą Genuńczyk. - Zrobi wszystko dla byle podwiki.

-

A ja ci powiem, Vittorio, że jesteś mu winien więcej szacunku. Gaston dostrzega dużo, nawet bardzo

dużo. Kto wie, czy nie najwięcej od nas wszystkich razem wziętych. Każdy z nas odznacza się czymś szczególnym, przyjacielu. Darem Gastona jest to, że sporo dostrzega. Ty dużo gadasz, Jakub wiele się modli, a ja... Ja czuję.

Italczyk zmarszczył brwi. Uświadomił sobie, że Anzelm, choć nie przerywał rozmowy, nie spojrzał na niego od dłuższej chwili. Lustrował pustkowie, które właśnie pokonali. Spojrzał w tym samym kierunku, co on, ale krajobraz był szary, martwy, taki, jakim pozostawiła go wojna.

-

I co wyczuwasz? - spytał, instynktownie zniżając głos.

-

To, co zwykle - uśmiechnął się kwaśno Anzelm. -Ktoś za nami jedzie.

-

Pieć i szatani! - zaklął Italczyk. - Kto? Saraceni? Asasyni? Templariusze, szpitalnicy? A może kompani biskupa? Wątpię, czy to pełna lista, bo ostatnio...

-

Daruj sobie - rzucił Anzelm, zawracając konia. -Nie wiem. A co do tego, dokąd właściwie zmierzamy, naprawdę się nie domyślasz?

Nawet jeśli Anzelm zaraz po rozmowie z Vittoriem przekazał Gastonowi niepokojące nowiny, ten nie dał tego po sobie poznać. Nadal nie odzywał się ani słowem, wytrwale gnał za przewodnikiem, a gdy zaczęło zmierzchać, pojedynczym skinieniem głowy przystał na propozycję przenocowania w bezimiennej, opuszczonej przez mieszkańców wiosce.

Drobne gliniane chatynki powitały ich pełną zawstydzoną ciszą, kilka kruków zerwało się z muru ogradzającego spalony do cna gaj oliwny i zerwało się do lotu. Anzelm sapnął ciężko i poklepał spocony kark koński.

-

Odwykłem - powiedział na poły do siebie, na poły do pozostałych. - Jak nic odwykłem od takiej galopady. Tamta chata zda mi się największa, co wy na to?

Gaston znów skinął głową, nawet nie rzuciwszy okiem na towarzyszy. Jego spojrzenie było nieobecne, przygryzał też wargę, jakby w duchu zmagając się z ważkim problemem. Jakub i Vittorio, nie szczędząc zarówno syknięć, jak i co dosadniej szych określeń, zsunęli się z siodeł i w ślad za Anzelmem poprowadzili konie ku wskazanej chatynce, usiłując rozprostować zeszywniałe kości. Vivienne, równie wymęczona i obolała co mężczyźni, przez moment czekała, aż ktoś zaoferuje jej pomoc przy zsiadaniu z konia. W końcu, rozczarowana i wściekła, ześlizgnęła się sama i pokuszyła w ślad za swymi towarzyszami.

Chata składała się z trzech izb, z których największą jej byli właściciele ani chybi przeznaczyli dla swego bydła. Krzyżowcy wprowadzili tam swe konie i pomimo zmęczenia troskliwie się nimi zajęli. Rozsiodłali je, napoili i nakarmili, rozczesali sierść, obejrzeliby kopyta i za przykazaniem Anzelma ponownie osiodłali.

-

To nic przyjemnego, wiem, śliczności moje - Vitto-rio objaśnił Anzelmowy pomysł

swemu karoszowi, który patrzył na niego z wyrzutem i targał łbem. - Ale to kraj wojny i nikt nie wie, co się przez noc przytrafi. A ucieczka na oklep na pewno nie wyszłaby mi na dobre. Tobie zresztą też, bo równie zacnego tyłka, który by ci odgnia-tał plecy, długo mógłbyś już nie doświadczyć.

Anzelm pokręcił głową, Jakub parsknął rozbawiony, a Gaston uśmiechnął się i wychodząc, klepnął kompana w łopatkę. Nagle wydał się odważniejszy, bardziej zdecydowany. Przeszedł

przez izbę główną, gdzie nadal obrażona Vivienne rozpalala ogień w palenisku, złapał kilka koców i pochylając się, wniknął do najmniejszej izdebki, którą dawni gospodarze zapewne przeznaczyli na swą alkowę. Następnie z pietyzmem rozścielił je na podłodze.

Niespodziewanie blask płomieni, których cienie igrały na ścianach izdebki, przygasł. Gaston nie musiał się odwracać, by wiedzieć, kto stanął na progu.

-

A przysięgłabym, że zapomniałeś - Vivienne szepnęła mu do ucha kocim, lekko ochryłym głosem. - Gotowani była przysiąc, że uznałeś naszą minioną noc jedynie za odległą, niemożliwy do spełnienia sen...

-

Tak? - zapytał, nieruchomiejąc. Jej dłonie musnęły jego policzki, wsparły się o jego ramiona. Na jego policzek opadł niesforny rudy lok.

-

To nie sen, Gastonie, a jawa. Jestem tu, przy tobie, gotowa obdarowywać cię całą miłością i jechać u twego boku choćby na koniec świata.

-

Intrygujący pomysł, pani - odparł sucho, delikatnym, lecz stanowczym gestem strącając jej dłonie. - Sam bym nigdy na to nie wpadł. Tu będziecie spali. Nikt wam nie będzie zawadzał.

-

Jak to? - Mimo półmroku dojrzał, jak zielone oczy Vivienne zamigotały furją. - Jak to ja?

Myślałam, że... Myślałam, że miniona noc coś dla ciebie oznaczała!

-

Tak. - Gaston zatrzymał się na progu. - Oznaczała i to wiele. Przypomniała mi o kobiecie, którą kocham i obudziła we mnie mnóstwo żalu. Dobrej nocy, pani. No, chyba że zechcecie pomóc nam w przygotowaniu wieczerzy. Wypadałoby, bo zająłem się waszym rumakiem.

Gdy wszedł do głównej izby, Anzelm, Vittorio i Jakub zajmowali się warzeniem stawy, ale ich nienaturalna gorliwość zdradzała, że przed chwilą wszyscy czatowali przy drzwiach, by nie uronić ani słowa z rozmowy de Baideaux i Vivienne.

-

Po prostu mam już dosyć - rzekł półgłosem Gaston, siadając przy ogniu. - Mam, kurwa, dosyć tego, że ktoś bez przerwy mną manipuluje. Pora narzucić temu światu własne zasady.

-

Wiesz co? - podniósł się Vittorio, odkładając nóż. -Gdzieś miałem jeszcze bukłaczek cypryjskiego wina. Zasłużyłeś na parę łyków, bracie.

Noc minęła bez przygód. W dalszą drogę wyruszyli wczesnym świtem, gdy po ziemi ścieliły się jeszcze si-noblade, postrzępione całuny mgieł, lecz jechali już spokojniej, nie forsując rumaków.

Szaleńcza gonitwa z dnia poprzedniego dała się wszystkim we znaki, a ponadto Anzelm, który jak się okazało, czuwał przez większą część nocy, zasypiał w siodle. Tak więc nim słońce stanęło w zenicie, Gaston zasugerował godzinny popas nad strumieniem, który przecinał gaik zdziczałych drzewek pomarańczowych. Pozostali rycerze przytaknęli skwapliwie, nawet Vivienne, która twarz zasłoniła woalką i otoczyła się murem nienawiści do całego świata, wydawała się uradowana z propozycji.

W drużynie nadal panowało milczenie. Nikt nie żartował ani nie pokrzykiwał dla wiwatu. Gaston zdołał jednakże zamienić kilka słów z Anzelmem, nim ten z ulgą wyciągnął się na derce i zasnął, a następnie porozmawiał przez moment z Jakubem i Vittorioem. Potem stał przez dłuższą chwilę i wpatrywał się w kierunek, z którego przybyli, aż wreszcie pokręcił głową z dezaprobatą i usiadł

nad strumieniem, by napełnić bukłak.

Pogrążona we własnych myślach, trujących i przesiąkniętych nienawiścią, Vivienne nie dostrzegła żadnego z zachowań Gastona. Nie widziała również i tego, że Jakub wstał, podszedł

do niej i uklonił się nisko, a jego pytanie dosłyszała dopiero wtedy, gdy powtórzył je po raz trzeci.

-

Co takiego? - warknęła nieprzyjaźnie.

-
Wasz łuk, pani - powtórzył rycerz bez cienia irytacji w głosie. - Czy zezwolicie mi, bym go obejrzał?

-
Po co ci on? - spytała ze wzgardą. Chciała przesycić swój wzrok maksymalną dawką niechęci, lecz lód w oczach młodego szpitalnika wydawał się skutecznie radzić sobie z każdą trucizną. Nie poprawiło to jej nastroju. - Od kiedy to dzielni rycerze Jana Chrzciciela z łukami w pole chadzają? - parsknęła.

-
Nie chadzają - odpowiedział uprzejmie zapytany. - Włóczniami i mieczami kośćbę czynią, ku radości Pana. Nim jednak jeden z drugim zostanie rycerzem zakonu, ima się różnych zajęć. W tym polować musi.

-
Polować? - zagadnęła Vivienne i wymownym spojrzeniem omiotła juki. - Przewidujecie, rycerzu, że tak długo przyjdzie nam podróżować?

-
Nie mam pojęcia, pani - odparł Jakub ze szczerą troską w głosie. - Wszystko w rękach Boga, jednakże już jutro będziemy wiedzieć więcej. Zaraz po tym, jak zobaczymy się z...

Urwał nagle, wystraszony, i obejrzał się na towarzyszy. Anzelm spał jak zabity, pochrapując, Gaston stał kilkanaście metrów od nich i nadal wpatrywał się w dal, a Vittorio z rosnącą irytacją przebierał wśród gałęzi w poszukiwaniu co dorodniejszych owoców. Vivienne z wprawą poskromiła uśmiech.

-
Nie mówcie, panie - szepnęła cicho i dotknęła jego dłoni, zasłaniając oczy rzesami, wciąż długimi mimo miesięcy niedoli i tułaczki. - Wiem, czym jest słowo rycerskie i nie chcę przyczynić się do jego złamania. Proszę, oto mój łuk.

-
Dziękuję, pani - szpitalnik ujął podaną mu broń i skłonił się nisko, nieco za nisko jak na tę okazję. - I wybaczenie. Chciałem jeszcze powiedzieć...

Nie dokończył. Wymamrotał coś na swe usprawiedliwienie i wyprostował się, by odejść na przeciwny skraj małego obozowiska, gdzie zabrał się za osvajanie z nową bronią. Vivienne powiodła za nim wzrokiem i znów poskromiła uśmiech. Nagle odniosła wrażenie, iż pomimo tego, jak została potraktowana przez Gastona, być może zrealizuje wolę swego mocodawcy.

Tym razem nie powstrzymała rozmarzonego uśmiechu. Wizja przyszłości, nagle znów bliższa, ogarnęła ją do tego stopnia, że nie dostrzegła kilku rzeczy.

Choćby tego, że rozbawiony Vittorio, całkiem skryty wśród gałęzi pomarańczy, z trudem powstrzymuje parsknięcie.

Słońce znów niemiłosiernie prażyło, wypijając z ziemi ostatnie skrawki wilgoci. Rozciągnięci w długi szereg krzyżowcy jechali jałowymi drogami i bezdrożami wnętrza kraju, pnąc się coraz wyżej wśród wzgórz i płaskowyżów. W miarę jak powietrze nocą stawało się coraz zimniejsze, a za dnia coraz suchsze, pozbawione litości, ożywienie Gastona rosło. Wiecznie niespokojny, wiercił się w siodle, oglądał za siebie, miażdżył rękojeść miecza. Jego oczy błyszczały dziko niczym u szalonego wilka, którego rozsadza żądza krwi. Pozostali trzymali się z daleka, jakby wyczuwając nieznaną sobie, niepokojącą aurę rycerza z Pikardii.

Suchy, pylisty trakt, dawnymi czasy wiodący karawany kupieckie do Nablusu, z trudem opierał

się naporowi czasu i stał się teraz ścieżyną ledwie, snującą się nieśmiało wśród obłych zwalisk piaskowca. Bywało, że biegł wśród wątłych, przysypanych piachem traw, drżących pod naporem wiatru, bywało, że piął się ku przełęczom, zębatym, zbrojnym w pokruszone skały. Tym Gaston przyglądał się najbaczniej, mrużąc oczy i spluwając śliną ciężką od piachu.

Aż wreszcie, gdy spływali w dół kolejnego zbocza, uskrzydleni porwanymi przez wiatr połami płaszczy, jego wzrok padł na kolejną przełęcz, której strzegły dwa okrzesane żywiołami, monumentalne bloki piaskowca. Wrył rumaka, aż spowiły go tumany pyłu.

-

Anzelmie! - krzyknął de Baideaux ochryple jak każdy, kto choć kilka dni wędruje wśród piasków.

Rycerz z Ar-Ramli uniósł głowę. Choć twarz miał przesłoniętą tkaniną, Gaston przysięgłby, że się uśmiechnął.

-

No, to do dzieła - rzucił na poły do siebie, na poły do reszty i uderzył końskie boki piętami.

Pojawił się dopiero wieczorem, gdy zerwał się już nocny wiatr, niespokojny jak bicie serca straceńca. Jechał wśród roztańczonych, to kurczących się, to znów pęczniejących obłoków kurzawy, przypominających karłowate dziny, nie zwracając na nie w ogóle uwagi. Nie przesłonił

nawet twarzy chustą, a jego potężny, kary ogier kwitował każdy atak wichru lekceważącym machnięciem ogona. Zbliżał się wolno, a jego ciemne, przymrużone oczy zdawały się przyglądać każdej szczelinie w zboczu piaskowego masywu.

-

To jeden z ludzi biskupa - szepnął Vittorio. - Dobrze główkowałeś, Gastonie.

-
Nie mów, że sam na to nie wpadłeś - mruknął tamten, pieszcząc obnażone ostrze.

-
Jak do tej pory, kiepsko im ta intryga wychodzi. Stajemy się... Jak to się mówi?

Szczwanymi lisami?

-
Raczej bandą cynicznych łajdaków.

-
Spod znaku krzyża.

Obcy jeździec był coraz bliżej. Wyżynny wicher targał nieustępliwie czarnymi kędziorami wystającymi spod stalowego hełmu z nosalem, i szarpał zwykłą, szarą jaką, która zastąpiła tunikę z herbem biskupa Werony. Vittorio obliznął spękane wargi.

-
Ja biorę jego konia - oznajmił.

-
A bierz, co chcesz - szepnął Gaston. - Już jest na idealnej pozycji... Jakubie, co z tobą?

Wychylił się lekko zza skały, za którą się kryli i spojrzął ku przeciwległemu masywowi, gdzie przyczał się szpitalnik z wyłudżonym od Vivienne łukiem.

Kapryśne słońce błysnęło na grocie strzały cofniętej aż po policzek.

Jeździec zatrzymał się wśród tumanów płasających między kopytami jego rumaka.

Furkocząca strzała Jakuba wgrzyła mu się niemalże idealnie w nagą, niechronioną pancerzem grdykę. Jeździec zachwiał się, bluznął krwią na koński kark, zwiśł w siodle, ukazując grot, który wyszedł z drugiej strony i wyrzucił nieco kolczugę na plecach. Koń grzebał niecierpliwie kopytem, targał łbem, jakby zachęcał jeźdźca do aktywności. Wiatr się wzmagął.

Gaston i Vittorio spojrzeli po sobie, spięci, zaskoczeni.

„To tyle? - mówiły ich przestraszone spojrzenia. - Już po wszystkim?”

Ostrożnie zsuwali się w dół zbocza, wśród poszarpanych skalnych wraków, ku szalejącym z coraz większą zuchwałością piaskowym wirom. Z łopoczącymi płaszcami, mrużąc oczy wobec nawałnicy,

szi w kierunku samotnego rumaka, nieruchomego niczym pogański po-sąg, dźwigającego martwego jeźdźca. I trzymali w dłoniach miecze, nie wiedzieć po co.

Z naprzeciwka nadchodził Jakub. Z napiętym łukiem, również nie wiedzieć po co.

Naraz koń grzotnął kopytem, potrząsnął łbem. Martwy jeździec uniósł głowę, splunął krwią, szarpnął za wodze.

- O Boże - zdążył szepnąć Gaston.

Strzała Jakuba chybiła. Ziemia już dygotała pod kopytami rozpędzonego rumaka, ostrze włóczni uniosło się ku piersiom obu krzyżowców, zalaną ciemną krwią twarz biskupiego ochroniarza wykrzywił spazm, a strzała przebijająca gardło nadal unosiła się z każdym ruchem jego głowy.

Jego oczy zalała całkowita ciemność.

Furkocząc płaszczami, odskoczyli na boki, uciekli poza zasięg śmiertelnej włóczni, zatoczyli się, gdy wiatr uderzył ich w twarze garściami piachu. Gaston przetarł oczy rękawem, zamazanym wzrokiem dojrzał, jak upiorny jeździec zawraca, znów unosi włócznię i pędzi prosto na nich.

Jakub wyrósł jak spod ziemi. Przyskoczył do boku końskiego, rąbnął po nodze jeźdźca, chciał poprawić, lecz natrafił na tarczę. Człowiek biskupa jednym zamaszystym pchnięciem odrzucił

szpitalnika na skalną ścianę, potem sprawnie przerzucił włócznię nad łbem końskim i rzucił się do szarży, niechybnie chcąc go przygwoździć prosto do skały.

Mimo mas piachu ciskanych przez wiatr, Gaston dostrzegł, jak oczy Jakuba przymykają się, jakby rycerz tracił przytomność, jakby zderzenie wybiło zeń życie.

Sam nie wiedział, kiedy i jak znalazł się w jego ręku kamień. Cisnął ze wszystkich sił, z rozpaczą człowieka, którego tylko ułamki sekund dzielą od tragedii.

Trafił.

Strącony hełm z nosalem zniknął między końskimi kopytami, ostrze włóczni skrzesało iskry po chropowatej skale, drzewce wygięło się, trzasnęło sucho. Upiorny jeździec odwrócił się, rozwarł

usta jakby do krzyku, lecz znów buchnęła z nich krew. Z przeciągłym zgrzytem wyrwał miecz z pochwy, uniósł tarczę, kopnął konia. Już nie pamiętał o Jakubie.

Ruszyli do ataku, piesi, lecz skrzydlaci prastarą bitewną furiją, obojętni na rany i na śmierć.

Przypadli do niego jak dwa wygłodniałe sokoły, z obu stron, zasypali gradem wściekłych ciosów.

Jeździec jednak stawiał im czoło niczym olbrzym z legend. Każde z jego ramion walczyło samo, niezależnie od drugiego, ale wyglądało na to, że więcej uwagi poświęcał Vittorio, który nacierał z

prawej strony. Czarne, zaszłe mrokiem oczy śledziły każdy krok Italczyka, który co rusz doskakiwał i ciał, a jego długi miecz przechwytywał ataki równie łatwo, jak wąż łapie muchy w powietrzu. Gaston, który dwoił się i troił z drugiej strony, nie mógł przebić się przez tarczę biskupiego ochroniarza, która poruszała się jak obdarzona własnym życiem. Koń parsknął i tupnął

wściekle, wiatr bezustannie ciskał żwirem w trzech walczących.

W pewnym momencie Vittorio rzucił się naprzód z wyciągniętym mieczem, jakby chciał przybić nogę jeźdźca do końskiego boku. Ten szarpnął za wodze, rumak z dzikim rzeniem uskoczył w bok, prosto na Gastona, który również przypadł, wznosząc miecz do ciosu znad głowy.

Pikardyjczyk zawahał się, cofnął stopę, w ostatniej chwili unikając zmiżdżenia jej przez końskie kopyto, zatoczył się, potknął o kamień. Człowiek biskupa, łapiący równowagę w siodle, dostrzegł

to i wykorzystał.

Lewe ramię zarysowało łuk z taką siłą, że powietrze aż zaświstało o krawędzie tarczy. Gaston nigdy nie spodziewałby się, aby tarczą tak wielką i niewygodną, że na czas podróży przytraczano ją do pleców bądź powierzano giermkom, można było wykonać cios tak szybki i nieoczekiwany.

Próbował się uchylić, lecz uczynił to zbyt powoli. Tarcza przeciwnika grzmotnęła go prosto w głowę.

Świat eksplodował. Hełm złagodził siłę uderzenia, toteż Gaston, osuwając się na kolana, wciąż zachował resztki świadomości. Zamazanym, rozchwianym wzrokiem śledził ogromniejszą postać jeźdźca, który napierał na cofającego się, broniącego się z desperacją Vittoria. Jego przyjaciel -

jak on miał na imię? - usuwał się przed spadającymi z góry ciosami i wciąż próbował

kontratakować. Powinien uciekać - czemu? - zanim ten człowiek... Kim on był? Dlaczego był

wrogiem?

Gaston zamknął oczy. Czuł, jak strumyki krwi żłobią sobie tory wśród brudu na jego twarzy.

Gdy znów je otworzył, ów pieszy leżał. Jeździec zeskakiwał z konia, pewnie po to, żeby go... Co on chciał mu zrobić?

De Baideaux znów zamknął oczy. Świat zachwiał się, powietrze zaszumiło, ostre kamienie wgrzyły się w policzki rycerza. Ból orzeźwił go na moment. Gaston zmusił się do rozwarcia powiek. Jakiś brodaty olbrzym o zmierzwionej czuprynie wpadł na jeźdźca, przygniótł go do ziemi, dusił z furją. Ten, który jeszcze przed momentem leżał, wstawał chwiejnie, wspierając się na mieczu.

Gaston niespodziewanie zamrugał kilkakrotnie, odganiając nachodzące go opary snu. Uniósł się nieco, oszołomiony i zdumiony.

-

Przecież to... - wychrypiał, ocierając krew z twarzy. - Przecież to...

Namacał miecz, zerwał się do niezgrabnego biegu. Potykał się, zataczał, dwukrotnie omal się nie przewrócił na ostrą krawędź skały, ale zdążył, podobnie jak Vittorio, który również dopiero co się pozbierał.

-
Złaź! - ryknął, wznosząc broń.

Olbrzym usłuchał, cofnął się, sam chwycił za okuty kij. Jeździec, nadal ze strzałą sterczącą z gardła, poderwał się błyskawicznie, odrzucił płaszcz, omiótł ich straszny, czarnym wzrokiem, lecz wtedy spadł na niego cios Gałstona. I Vittoria. I śmiertelnie bladego Jakuba, który zdołał do nich dokuszykać.

Stali we trzech i rąbali bez litości biskupiego ochroniarza, który ciągle próbował wstać, jakby ból i śmierć nie miały do niego przystępu. Dopiero gdy Jakub wziął szerszy zamach i jednym cięciem rozplatał mu głowę, jego próby ustały. Zlecił w pyle niczym krwawy strzęp obszarpany przez horde drapieżców.

Vittorio uniósł głowę i odetchnął głęboko. Jakub przeżegnał się drżącą ze zmęczenia dłonią. A Gaston odwrócił się ku kudłatemu olbrzymowi, który stał kilka kroków za nimi, wsparty na swym kiju, oddychając ciężko po walce.

-
Bernard? - szepnął z mieszaniną niedowierzania i ulgi.

Sługa rodu de Baideaux wyglądał tak jak dotychczas - wysoki jak dąb i jak on solidny, barczysty, niezłomny - i tylko ten, kto dobrze go poznał, dostrzegłby ze zdumieniem pewną przemianę. Nie chodziło tu bynajmniej o kudłate loki, nieco dłuższe niż zwykle i klejące się do spoconego czoła, czy o siwe włosy bezczelnie błyskające w brodzie ani też o nowe zmarszczki na ogorzałym obliczu. Otóż coś nowego pojawiło się w owym koszmarnym grymasie, który w jego wydaniu nazywał się uśmiechem. To smutek i wstyd jednocześnie.

-
Bernard - powtórzył Gaston. - Co ty tu robisz, chłopie?

Giermek rozłożył dłonie, wielkie niczym bochny chleba, a potem wskazał trakt, którym zmierzali.

-
Wracasz - uśmiechnął się rycerz. - Słusznie. Bo my też wracamy, Bernardzie. Przyszedłeś nam z pomocą w ostatniej chwili. Zmógłby nas ten... - machnął dłonią w stronę trupa, po którym już toczyły się pierwsze grudki żwiru. - Dziękuję.

Giermek spuścił wielki łeb i sam również machnął dłonią, niezdarnie, lecz wymownie. A potem uniósł wzrok i raz jeszcze spojrzął swemu panu w oczy. Gaston ujrzał w nich mury Akki i słupy dymu podgryzające niebo. Nabrał tchu, chcąc coś powiedzieć, lecz wtedy sługa padł na kolana, aż zaskrzypiał jego skórzany pancerz. Szlochając bezgłośnie, drapieżnym gestem porwał dłoń de Baideaux i zaczął obsypywać ją pocałunkami.

-

Przestań - nakazał mu Gaston. - Przestań, na Boga. Nieważne, to wszystko już nieważne.

Nie noszę w sobie urazy. Miałeś swoje powody, by się ode mnie odwrócić i wierzę, że były słuszne. Miałeś prawo, kto wie, czy nie obowiązek.

-

Nie ja jeden podniosłem na ciebie rękę - stwierdził Jakub przyglądający się tej scenie.

-

Nie ty jeden - westchnął Gaston, nurzając palce w skudlonych włosach Bernarda. - Lecz ty przynajmniej potrafiłeś mi powiedzieć, za co. Co temu biedakowi zrobiłem, może nigdy się nie dowiem.

-

Hej, podejdźcie no tu. - Świst wiatru przebił nagle zdławiony głos Vittoria. - Przyjrzyjcie się dobrze łbowi tego skurwiela. Niech mnie trypr powali, Gastonie. Nie z Rzymem zadarłeś.

Vivienne znała się na ludziach.

Wiedziała, że mężczyźni dzielą się na wiele kategorii, z których większością można było manipulować bez najmniejszych trudności, a jedynie przy wykorzystaniu odpowiedniej techniki.

Przy innych należało więcej się natrudzić, a typ, do którego zaklasyfikowała Anzelma -mąż z doświadczeniem, rozważny i przenikliwy - należał do bodaj najtrudniejszych. Wiedziała, że uśmiechami, wdzięczeniem się, omdlewaniem i przyzywaniem imienia Boga tylko pogorszy swoją sytuację. Przy takim mężczyźnie należało milczeć. Tylko milczenie mogło obudzić jego zainteresowanie, a z czasem zaskarbić jej nieco podziwu. Tylko milczenie mogło sprawić, by zaczął się do niej odzywać sam.

Milczała więc. Nie powiedziała ni słowa, gdy Gaston, Vittorio i Jakub nieoczekiwanie zeskoczyli z koni na przełęczy i pognali ku skałom. Nic nie mówiła, gdy Anzelm spętał ich konie, a potem sam wspiął się na siodło i ruszył w dalszą drogę, prowadząc luzaki za sobą. Nie odzywała się, choć jasnym było, że realizują jakiś uzgodniony wcześniej plan, a ją zżerała ciekawość połączona z zazdrością podlaną odrobiną niepokoju.

Nie odzywała się również wtedy, gdy wnet po rozstaniu drobne obłoczki pyłu, podnoszone przez

lekkie podmuchy wiatru, zaczęły pęcznieć, potężnieć, przyćmiewać widok. Podciągnęła woalkę, by chronić usta i nos, ale niewidzialne, kąśliwe drobiny wgryzały się w kąciki jej oczu. Milczała, gdy Anzelm zaczął wyraźnie się niepokoić, coraz częściej oglądał za siebie, aż w końcu zaklął siarczyście i zatrzymał konia.

-

Cholera, na nic to - oznajmił ni to do siebie, ni do niej. - Trzeba zawracać.

Uśmiechnęła się lekko. Odezwał się pierwszy, a więc doświadczenie jej nie zawiodło. Pora na krok drugi - okazanie rzeczowego zainteresowania.

-

Nie zapowiada się na burzę piaskową - rzuciła, nie patrząc na niego. - Nie sądzę, by twoi towarzysze byli w niebezpieczeństwie.

Odwrócił się ku niej. Nie widziała go, ale czuła jego przenikliwy, niebezpieczny wzrok.

-

Nie burzy się boję - odparł głosem zbyt spokojnym, by mógł być szczery. - Moim towarzyszom grozi inne niebezpieczeństwo, o którym nie macie, pani, pojęcia. A może macie...

-

Słucham? - zapytała zaskoczona.

-

Od chwili opuszczenia obozu wojskowego ściga nas jeden człowiek - wyjaśnił Anzelm.

Jego pogodny ton stał w ostrej sprzeczności z tumanami pyłu i świszczącym wiatrem. - Mamy wszelkie powody przypuszczać, że to szpieg legata Adelarda z Werony, który darzy mnie i Gastona wielką niechęcią. Moi towarzysze zaczęli się na niego na przełęcz, a ja wziąłem ich konie oraz was, pani, i pojechałem dalej, by szpieg widział oddalający się orszak i tym pewniej wszedł w pułapkę.

-

Nie zostaliście, by wesprzeć swych przyjaciół? - Vi-vienne udała zdziwienie, choć jej serce biło tak mocno, że ledwie z piersi nie wyskoczyło.

-

Nie - odparł tamten szczerze. - Nie mogłem. Podczas walki przeobrażam się w wilkołaka i niezbyt to

lubię. Mordowani przeze mnie ludzie również.

Vivienne zaśmiała się krótko.

-

Dworujecie sobie ze mnie, panie!

-

Po co miałbym to robić? - spytał Anzelm z niechęcią, zawracając konia. - Ruszajmy. W

tej kurzawie nie ma co dalej udawać odjeżdżającego orszaku. Nie ma też co skazywać nieboraków na wędrówkę przez burzę.

Vivienne zawróciła konia, co ten uczynił tym chętniej, że teraz miał jechać z wiatrem. Popędzili wierzchowce i ruszyli ku wciąż nieodległej przełęczy, zbrojnej w dwa ogromne bloki piaskowca.

-

Dlaczego rzekliście, panie, że mogłabym coś wiedzieć o niebezpieczeństwie, które grozi waszym towarzyszom? - wyrzuciła z siebie po dłuższej chwili.

-

A nic nie wiecie?

-

Nic - skłamała tak przekonująco, że gotowa była sama sobie uwierzyć.

-

I nie macie żadnych związków z biskupem Werony?

-

Żadnych.

-

I przystaliście do nas tylko dlatego, że nie mieliście dokąd się udać? Względnie z wielkiej miłości do Gastona?

Zagryzła wargi. Nie odpowiedziała. Próbowwała popędzić konia, by wysforować się przed Anzelma, lecz wtedy pośród pylistych tumanów spływających w dół zбочa dojrzała cztery piesze postacie. Prowadził Gaston, bez hełmu, z twarzą owiniętą chustą i krwią zakrzepłą na czole. Za nim szedł Vittorio, dalej Jakub i ogromny parobek Bernard, którego wedle wszelkich praw rządzących światem

nie powinno tu być. Nie to jednak przykuło jej uwagę, nie to kazało jej wstrzymać konia.

Uczylił to wzrok Gastona - straszny, wprost upiorny.

Anzelm podjechał bliżej, uniósł dłoń na powitanie przyjaciela, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale widząc jego spojrzenie, znieruchomiał, zamarł, oczekując tego, co zaraz miało nastąpić. De Baideaux złapał za uzdę wierzchowca Vivienne, ściągnął jego łeb w dół z ogromną siłą i spytał głosem suchszym od piachu niesionego wiatrem:

-

Czy coś cię łączy z biskupem Werony?

-

Nic! - zachnęła się równie przekonująco jak przed chwilą. - Nic! Co wam wszystkim przyszło do głowy...

-

Lepiej się dobrze zastanów, Vivienne - rzucił, nie patrząc już dłużej na nią i szukając wzroku Anzelma. - Bo jeśli tak, twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Życie i dusza.

Anzelm zeskoczył z konia. Poważny, podszedł do przyjaciela, chwycił go za ramię, odciągnął.

-

Co się stało? Daliście mu radę?

-

Tak, choć nie było łatwo... - Gaston potrząsnął głową, jakby budził się z wielkiego snu. -

Gdyby nie Bernard, dobry Boże... Anzelmie, to nie był zwykły człowiek.

-

A niby kto? Odmieniec jak ja? - próbował zażartować rycerz z Ar-Ramli.

-

Vittorio obszukiwał jego zwłoki i dostrzegł... Dostrzegł coś wśród włosów. Nachylił się, pomacał i... I wyszło mu na to, że to rogi były. Ścięte, spiłowane, ale rogi na pewno.

-

Nie rozumiem - bąknął poblady Anzelm. - Rogi?

Idź sobie je obejrzyć, jeśli chcesz, bo Vittorio odciął mu ten łeb i przywiózł ze sobą. Bóg jeden raczy wiedzieć, po co. Stuknięty Genuńczyk. Anzelmie, zadarliśmy z nieczystym.

Burzę piaskową zostawili za sobą, na nizinach. Tu, wysoko na wzgórzach, ocalał z niej tylko wiatr, ostry i porywisty, który niczym bezcielesny, złośliwy demon uwijał się między zabudowaniami, ciskał w nie garściami piachu, targał za okiennice, niedomknięte drzwi, toczył

samotny ceber. Zdawać by się mogło, że w jego dzikim świecie pobrzmiwała szalona radość.

Niczym niepo-wstrzymywany, hulał do woli po opustoszałych zagrodach, w których trzymano owce, przemykał wśród chat, z hukiem wpadał na niewielki majdan, gdzie ongiś w słoneczne dni zasiadali najstarsi mieszkańcy. Zaiste, był niepodzielnym władcą tej niewielkiej, wysoko położonej na wzgórzach wioski.

Bo szóstka wędrowców nie odnalazła w niej żywego ducha.

Gaston stał jak sparaliżowany, pustym wzrokiem wpatrywał się w kamienną, przetykaną mchem chatę z małutkimi okienkami. Domostwo, w którym kiedyś -zdawałoby się, że sto lat temu -

spędził tyle ciepłych chwil, wydawało mu się martwe, odarte z życia, pozbawione tej cudownej magii codzienności, która kiedyś go uwiodła. Stał i patrzył, nieprzytomny, zrozpaczony. Nie chciał wchodzić do środka, wiedział, że nie usłyszy w niej wesołego śmiechu małego Rogera, nie odnajdzie uśmiechu Sary.

Chata była pusta. Wieś, do której dotarli, zionęła pustką. Coś w nim wyło.

Wiedział, że nie przybył tutaj zaznawać rodzinnego szczęścia. Wiedział, że kruczata, którą w czterech podjęli kilka dni temu, może skończyć się jego śmiercią. Powinien więc zawczasu odepchnąć od siebie marzenia i pragnienia, zapomnieć o Sarze i Rogerze, skupić się na zadaniu, walce, poszukiwaniach. Nie dla niego było szczęście rodzinne, nie jemu pisane lekkie, spokojne życie. Powinien to wiedzieć, ale serca oszukać nie potrafił.

A wszystko było winą Vivienne.

Gaston zacisnął zęby i pokręcił głową bezsilnie. Do chwili, gdy wślizgnęła się pod jego koc w obozie wojskowym, marzenia i wspomnienia trwały niczym uśpione. Bywało, że myślał o Sarze, ale stanowiła ona jedynie na poły senne widzenie, zbyt odległe, za mało rzeczywiste.

Był zanadto skupiony na sobie i na rozwiązywaniu zagadki ostatnich paru miesięcy życia, by tęsknić za swą miłością, by w ogóle potrzebować kobiet. Pojawienie się Vivienne zburzyło jego równowagę. Ciepło jej gibkiego ciała, namiętne pocałunki, subtelny dotyk zbudziły w nim rozpaczliwą tęsknotę za Sarą. Za każdym razem, gdy spojrzał na Vivienne, przed jego oczami przewijały się obrazy ze wspólnego życia z tą, którą kochał. Zacinał się wtedy w sobie, pochylał

nad końskim karkiem, uderzał piętami w boki rumaka.

Wyrzucał sobie teraz, że postanowił rozegrać własną intrygę. Żałował chwili, gdy zdecydował

zabrać Vivienne ze sobą, by wykorzystać ją przeciwko ich prześladowcy, którego tożsamość, jak sądził, dobrze znał. Teraz starczyło, że na nią spojrział, a wspomnienia wraz z tęsknotą natychmiast ożywały, za każdym razem bardziej piekące i bolesne. Bywało, że miał ochotę chwycić za kamień i rozbić jej głowę.

Odwrócił się, chcąc poszukać jej nienawistnym wzrokiem, ale miast niej odnalazł Bernarda.

Olbrzym nadchodził wolno wśród chat, wspierając się na kiju.

- Nie ma ich - powiedział cicho Gaston, ni to do siebie, ni to do niego. - Nie łudźmy się, nie ma tu ich.

„Nie ma ich - powtórzył w myślach. - Dobry Boże, w Tobie pokładam nadzieję, że nie podzieliła losu swej imienniczki z Księgi Tobiasza. Któż tak naprawdę zna ścieżki, którymi chadza Asmodeusz...”

Bernard zabalgotał coś do siebie. Młody rycerz założył kosmyk włosów za ucho i zerknął na niego spode łba, ku swemu zdumieniu odkrywając, że na obrośniętym obliczu parobka nie ma ani śladu smutku czy rozczarowania. Stał wsparty na swym kiju i spoglądał beznamiętnie na chatę, w której ongiś mieszkała Sara.

Gaston zamrugał zdumiony.

-

Nie wyglądasz mi na- zaskoczonego... - szepnął. -Hej, ty wiedziałeś! Wiedziałeś, że ich tu nie będzie!

Olbrzym kiwnął głową.

-

Ale co się stało? - dopytywał się rycerz. - Co się stało z Sarą, Rogerem, z twoją... Z twoją Daniją. - Z trudem przypomniał sobie imię pastreczki, która nosiła pod sercem dziecko jego giermka. - Co się z nimi stało?

Bernard sapnął ciężko, wywrócił oczyma, a potem zakreślił nad głową okrąg i zamachał kilkakrotnie paluchami w powietrzu, naśladując chodzenie.

-

Anioł? - Zdumienie Gastona rosło. - Odeszli? Odeszli z aniołem?

Giermek kiwnął głową, a potem otworzył szeroko usta i ułożył je wyraźnie w jedno słowo.

Asmodee.

-

Tak - szepnął Gaston zdławionym głosem. - Rozumiem. Zielony Rycerz. Nigdy nie przestał o nas myśleć. Przeczuwał, że zawierucha dotrze i tutaj, a więc odprowadził naszych bliskich... Wiesz, dokąd?

Bernard znów kiwnął łbem, aż kudły zafalowały, i machnął ręką na wschód.

-

Odnajdziemy ich tedy - odetchnął mocno Gaston. -Odnajdziemy ich, gdy wszystko ucichnie. Dzięki Ci, Panie, za Twego Zielonego Rycerza. Niech spoczywa w pokoju.

Na obliczu Bernarda nagle pojawił się niepokój. Wybałuszył oczy, pochwycił Gastona za ramię i zaczął bełkotać pospiesznie, lecz niezrozumiale. Gaston uniósł wzrok ku chmurom, szarym i nastroszonym, ciężkim od niesionego wiatrem pyłu.

-

Tak, nie ma go już wśród nas - szepnął młody rycerz, ujmując go pod ramię. - Kiedy indziej ci o tym opowiem. A teraz chodźmy do naszych przyjaciół. Jest bowiem coś, czego im jeszcze nie powiedziałem.

Anzelm, Vittorio i Jakub, od czasu do czasu przesłonięci rzadkim tabunem pyłu, stali na skraju wioski i cicho rozmawiali, nie odrywając spojrzeń od niewielkiej mogiły, w którą wbito zwykły frankijski miecz. Płatki róż ciasno oplatających ostrze nieco przywiędły, lecz sam krzak mocno, zdałoby się, że bez wysiłku opierał się naporowi wiatru. Słyszając kroki Gastona i Bernarda, odwrócili się wszyscy. Na poblądłej, pociemniałej od niegolone-go zarostu twarzy Vittoria widać było zmieszanie, Jakub patrzył ze spokojem i szacunkiem, zdać by się mogło, że miał ochotę się uklonić. Z twarzy Anzelma jak zwykle nie dało się wyczytać nic.

-

Zawsze wydawało mi się, że to bujdy! - odezwał się cicho Vittorio z bezbrzeżnym niedowierzaniem. - Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze w uczciwe klechy uwierzę, bo chyba tylko to mi pozostało. We wszystko inne wierzę już święcie - w dziny, anioły i wilkołaki, a teraz jeszcze w to, kwiaty na mieczu. Anzelm twierdzi, że w tak liczej glebie róże by nie wyrosły...

-

Uwierz Anzelmowi, Vittorio - rzekł Gaston. - To grób Rogera de Baideaux, mojego brata...

Niespodziewanie poczuł kulę w gardle. Zmógł słabość i ciągnął, patrząc na świat wzrokiem zamazanym przez łzy:

-
Zdaje się, że tak właśnie Stwórca nagradza tych, którzy są mu bliscy. Mój brat zaś dobrze rozumiał, że by walczyć o Jego dobre imię, nie wystarczy mordować Saracenów - urwał i rozejrzał się w poszukiwaniu Vi-vienne. Dostrzegł ją kilkadziesiąt kroków dalej, nadal na koniu, jakby w każdej chwili gotowa była uciekać, nadal z przesłoniętą twarzą, jakby tym chciała podkreślić swą wyższość.

-
Powiedziałem wam wiele rzeczy o moim bracie, Asmodeuszu i pierścieniu Salomona -

podjął. - Wiecie, że pierścień znajduje się tu, pod krzakiem róż. - Jego głos lekko zadrżał. -

Wiecie też, że jest dla nas bezużyteczny, albowiem nikt ze śmiertelnych nie wie, jak się nim posłużyć. Nikt, może poza templariuszami, nie potrafi go użyć przeciwko Asmodeuszowi.

Anzelm westchnął, Jakub pokiwał głową, Vittorio, jakby nie słyszał słów przyjaciela, nadal wpatrywał się w przywiedłą czerwień róż.

-
Otóż pomiąłem jednakże w mej opowieści jeden szczegół - ciągnął Gaston. - Roger odnalazł człowieka, który wiedziałby, jak go użyć i potrafiłby należycie wykorzystać jego moc.

To pewien stary czarownik, który mieszka w Askalonie. Z tym że... jest pewien szkopuł.

-
Stary cap chętnie zagarnąłby pierścień dla siebie? -zapytał chytrze Vittorio.

-
Skąd wiesz? - zdziwił się Gaston.

-
Bo to normalne - wzruszył ramionami Italczyk. -Każdy czarownik to łysy, cuchnący czosnkiem kurwiarz, który dużo macha rękami i jeszcze więcej gada od rzeczy.

W niczym więc nie różni się od klechy, który, jak wiadomo, nawet Żyda w chciwości zakasuje.

-
Ten jednakże ma więcej na sumieniu niż tylko chciwość - rzucił Gaston. - To on zabił

Rogera.

Po jego słowach nastąpiła cisza, którą przerwały dopiero słowa Anzelma:

-
Co zatem zamierzasz uczynić?

-
Ile jest stąd dni drogi do Askalonu? - odpowiedział pytaniem Gaston.

-
Od dziesięciu do dwunastu.

-
Cóż, a zatem mamy dziesięć lub dwanaście dni na wymyślenie sposobu, jak starego capa zmusić do pomocy - rzekł spokojnie Gaston. - I jak go potem wysłać do piekła.

Po czym wziął łopatę z rąk Bernarda i wbił ją w mogiłę Rogera. Krzak róży zadygotał.

Vivienne nie patrzyła w stronę mężczyzn zebranych wokół owego grobu porośniętego różą. Nie musiała. Wreszcie miała dogodny moment, by wykorzystać artefakt, który na odchodnym wręczył jej biskup Werony. Szeroki srebrny pierścień z miniaturowym, wręcz nieproporcjonalnym rubinowym oczkiem, drobiną, na którą za dawnych czasów nawet by nie spojrzała, był na tę chwilę czymś dla niej wprost bezcennym. To, co z początku uznała za kpinę Adelarda, okazywało się prawdą. Nie wiedziała, czy należy to zawdzięczać żyłce z nieznanego jej jasnego metalu, wtopionej w srebro, czy też może dziwacznym słowom wygrawerowanym po wewnętrznej stronie pierścienia, w każdym razie rzeczywiście słyszała dzięki niemu każdą rozmowę, w którą zdążyła ów rubin wycelować.

Siedziała teraz wygodnie na spokojnym, znużonym rumaku, trzymając pierścień skryty pod szarą opończę, i wsłuchiwała się w słowa Gastona. Z uśmiechem na spękanych ustach wpajała je sobie do głowy. Przymknęła oczy, w swej wyobraźni widziała już bezkresne, cypryjskie winnice, kamieniste plaże, białe domy miasteczek portowych...

Czuła się królową.

Nie tak daleko stąd asasyn o imieniu Abdul dochodził do całkiem odmiennych wniosków.

Uświadomił sobie mianowicie, iż niesłusznie przekonywał cały świat do swego miana szaleńca, a stało się to w chwili, gdy po gwarnych ulicach Al-Dżawani poniósł się wrzask uciekających ludzi, wzmocniony tętentem ciężkich kopyt. Nim z pokrzykiwań ludzkich wyłowił sens, było już za późno. Uliczką gnali rycerze w tunikach z czerwonym krzyżem, a rdza zachodzącego słońca pełgała po ostrzach ich włóczni.

Abdul patrzył i czuł, jak krew tężeje mu w żyłach. I wtedy raz jeszcze, już po raz ostatni w życiu pokazał, że zasłużył na inne przezwisko. Chwycił oporną dziewczynkę za dłoń i rzucił się do rozpaczliwej ucieczki.

Włócznia templariusza przybiła go do drogi kilkanaście kroków później.

W odległym Masjafie, do którego dotarli posłańcy szalonego Abdula z przedwczesnymi wieściami, wrzało jak w ulu. Niósł się tu szcęk oręża i pokrzykiwania przywódców, a Starzec z Gór, po raz pierwszy od wielu dni pijany radością, a nie winem, leżał na posadzce i dziękował

Allachowi za łaskę. Adelard z Werony, dręczony dziwnym niepokojem, przerwał partię szachów, rozgrywaną z Balianem z Ibelinu, i wyszedł z jego namiotu, by przysposobić swą świtę do drogi.

Templariusz Wilhelm du Triere z twarzą na powrót nieprzeniknioną, obojętną, wyjeżdżał z Al-Dżawani, wiodąc dwoje ludzi ocalonych z rąk niewiernych. Jego mistrz w dwanaście koni pędził

przez drogi i bezdroża Palestyny, z sercem chorym z rozpacz i nienawiści. Król angielski, Ryszard, uparcie prowadził swą topniejącą armię dalej na południe. Konrad z Montferratu miotał

się z furią po swych komnatach, znów przebudzony mrocznym wspomnieniem swej arabskiej nałożnicy, która swego czasu całkiem nad nim zapanowała.

Nad światem wzbierała burza.

Rozdział jedenasty

w którym szaleje burza, lecz jej furia jest niczym w porównaniu do ludzkich namiętności, a dobrzy rycerze natrafiają na wielu starych znajomych. W większości takich, o których woleliby zapomnieć

Pierścień Salomona był do niczego. Itaf W przeciwieństwie do tych, o których mówiły legendy, nie przywoływał on dobrych duchów, nie obdarzał swego właściciela magiczną siłą czy umiejętnością rozmowy ze zwierzętami ani też nie poskramiał wiatru. Wiało bez zmian, konie nadal prychały po swojemu, choć z zauważalną udręką, a Gaston jak był znużony, tak nim pozostał.

Jeszcze raz z niechęcią przyjrzał się prastaremu artefaktowi, który okazał się być zwykłą złotą obrączką z osobliwą, delikatnie wygrawerowaną sześcioramien-ną gwiazdą, a potem z furią zacisnął pięść i wcisnął go za pazuchę. Następnie rozejrzał się, mrużąc mocno oczy. Chcąc dotrzeć na niziny, do traktu wiodącego do Aska-lonu, zmuszeni byli cofnąć się tą samą drogą, a tam już czekał na nich złośliwy chamsin, który ani na moment nie opadł z sił. Choć szczelnie owinęli twarze i dłonie, ciskany wiatrem piasek wgryzał się wszędzie, wbijał w kąciaki oczu, zgrzytał między zębami, drażnił spoconą skórę. Jeszcze bardziej niż ludzi niepokoił zwierzęta, które nie miały się jak chronić przed złośliwymi atakami wichury. Konie parskały i targały łbami, co chwila któryś próbował wyrwać się spod kontroli jeźdźca i pomknąć w dal, pogрузić się w odmętach szaleństwa.

Mimo tego rycerze dzielnie brnęli naprzód, sieczeni wiatrem, zasypywani piachem, przypominający bardziej upiory pustyni niż ludzi. Zagubieni pośród zamazanych, złowieszczych skał, przypominających potwory czające się w piaskowej mgle, prowadzeni tylko instynktem jadącego na przedzie, ledwie widocznego Anzelma, parli nieubłaganie, półprzytomni, zobojętniali.

Gaston popędził konia, nie chcąc stracić przewodnika z oczu. Ogromny Bernard czuwał tuż przy nim, osłaniając go swym ciałem przed naporem wiatru, za nim jechał Jakub, wciąż wyprostowany w

siodle, jakby rzucał wściekle wyzwanie żywiołom, następnie kulila się Vivienne, a szyk zamykał Vittorio. Sześcioro zagubionych jeźdźców, stanowiących ostatnią, słabnącą ostoję ludzkości w świecie zdominowanym przez rozszalałą burzę.

Koń prychnął, wierzgnął. Gaston ściągnął zdecydowanie wodze, walnął piętami w jego boki, potoczył wokół wzrokiem i nagle znieruchomiał.

Nagle zrozumiał, co było przyczyną lęku wierzchowca.

Rumak drżał na całym ciele, zeszywniały niczym żywy posąg, nie pamiętając już ani o burzy, ani o zmęczeniu. Oto pośród roztańczonych piaskowych wirów pojawił się on, ten, którego zakonnicy zwali Panem, ten, który tak długo władał jego ciałem i umysłem. Wynurzył się spośród splotów burzy na potężnym, czarnym jak noc rumaku i wpatrywał się weń mrocznym, nienawistnym spojrzeniem. Ciemne loki okalające jego nadobną twarz nawet nie drgnęły, jakby furia burzy nie miała doń przystępu.

-

Hej! - wołanie Jakuba dotarło jakby z wielkiej oddali. Gaston otrząsnął się i odwrócił, przestraszony.

-

Coś się stało? - spytał zaniepokojony zakonnik. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

Burza naraz zelżała, potępieńcze wycie wiatru opadło - żywioł w swej łasce pozwalał dwóm zagubionym rycerzom zwierzyć się z wielkich lęków.

-

Bo widziałem - mruknął Gaston i odkaszlnął. - On tu jest.

Nie musiał tłumaczyć, o kogo chodzi. W lodowato niebieskich oczach Jakuba, ledwie widocznych znad tkaniny przesłaniającej usta i nos, błysnął na moment przestach, dłoń skryta w rękawicy wpełzła na rękojeść miecza.

-

Bez obaw. - Gaston skrzywił się, choć sam ledwie stłumił dreszcz. - To tylko duch. Ma wielką moc, lecz spożytkowuje ją jedynie na swe szatańskie dary, na usidlanie ludzi. Sam w sobie niebezpieczny nie jest, a krzywdę wyrządza tylko rękami innych.

-

Mała pociecha. - Jakub odciągnął przesłonę z twarzy i pociągnął łyk wody z manierki. -

Przekłuć takiego syna się nie da.

-
Coś mi mówi, że jeszcze nie raz jeden... - urwał nagle.

Jego słowa przerwał ruch, który dostrzegł kątem oka. Zamrugał, uwalniając uwięzione pod powiekami drobinki piasku. Świat momentalnie zwilgotniał, rozmazał się, ale i tak zdołał

zauważyć, co się stało. Vivienne zsunęła się z siodła i leżała bezwładnie, bez życia, na miękkim, wciąż poruszającym się piasku.

-
Anzelmie, stój! - wykrzyknął ochryple do niknącej już postaci, usiłując przekrzyczeć gwizd znów przybierającego na sile wiatru. Zsunął się z siodła, przypadł do kobiety. Jej skóra była blada z wyczerpania, oczy zamknięte, spierzchnięte usta ledwie się poruszały. W słabej dłoni nie było ani odrobiny siły.

-
Co się dzieje? - wykrzyczał Vittorio, który zeskoczył z siodła i szedł z wysiłkiem w jego kierunku, prowadząc opornego konia. Najciężej opancerzony ze wszystkich, zapadał się w piachu aż po kostki.

-
Vivienne straciła przytomność! - odkrzyknął de Baideaux, usiłując ją podnieść.

-
Gastonie, nie ma czasu na zabawę! - wrzasnął Scozzi. - Zostaw wywłokę na piasku, nic nam po niej! I ruszajmy, bo zaraz nas tu do końca przysypie!

Gaston zacisnął mocno zęby i wstał, unosząc hrabiankę de Grenier w ramionach. Z trudem pokuszył do jej konia, przerzucił ją przez siodło.

-
Jakubie, pomóż mi ją przywiązać! - wycedził przez zęby. Chamsin porwał jego słowa, ale zakonnik pochwycił intencję, doskoczył, wyciągnął sznur.

-
Obaj powariowaliście! - zaklął wściekle Italczyk. - Jeszcze wam ten wasz zafajdany honor rycerski siedzeniem wyjdzie, popamiętacie me słowa!

Gaston klepnął Vittoria w ramię, aż uniosła się nad nim chmura pyłu. Poprawiwszy przesłone na ustach, wskoczył w siodło i podjechał do zawracającego wolno Anzelma.

-
Co się dzieje? - zawołał rycerz z Ar-Ramli.

-
Vivienne zasłabła! - wykrzyknął Gaston. - Jeśli burza piaskowa nie ustanie, to któryś z nas może równie dobrze pójść w jej ślady! Musimy przeczekać gdzieś tę zawieję! Trafisz do tego Aigle de la Montaigne?

-
Trafię! Ale po co?

-
Bo chcę zobaczyć, jak honor rycerski wychodzi dupą.

-
Co? Zbyt głośno wieje, powtórz!

-
Nieważne! Do Aigle de la Montaigne!

Orszak rycerzy zakonnych z trudem sunął naprzód. Łopoczące na wietrze płaszcze upodabniały go do niezłomnego okrętu ze strzaskanymi masztami, który brnie uparcie przez piaskowe fale, powiewając strzępami żagli. Wysunięty na czoło pochodu Rupert de Saint Jerome, skulony nad końską grzywą, co chwila unosił głowę i bez skutku usiłował przebić zawieruchę wzrokiem.

Nie widział jednak niczego prócz obłych skał zamazanych wśród piaskowej zamieci. Na wyschnięte, spękane usta cisnęły mu się coraz gorsze przekleństwa, końskie boki krwawiły od uderzenia ostróg. Obawa, iż pościg ugrzęźnie wśród piasków tej przeklętej wyżyny, coraz mocniej ścisnęła go za serce, a lęk przed zawiedzeniem nadziei Pana, od wielu tygodni jego nieodłączny towarzysz, nie mógł się równać z żadnym innym.

Brat Rupert bał się. Nie zważając na ziarenka piasku kłusujące jego twarz, wbijał wzrok w ciemności burzy i szukał, coraz bardziej zrozpaczony, coraz bardziej zdesperowany.

W chwili, gdy ujrzał ciemną postać na hebanowym rumaku, która wyłoniła się spośród kłębow pyłu, i zmierzała prosto ku niemu, nie wiedział, jak zareagować. Nie miał pojęcia, czy paść na piasek i ukorzyć się, czy też oczekiwać z godnością kary, która niechybnie nastąpi, tak więc został w siodle. Siedział z pochyloną głową, drżący, sparaliżowany strachem, ledwie panując nad niespokojnym zwierzęciem.

I nigdy nie spodziewał się, że Pan po prostu odgarnie pukiel swych włosów i pokaże mu kierunek.

Zamczysko Aigle de la Montaigne, podobnie jak okalające je monolity z piaskowca, wyglądało, jakby wyrosło prosto z pustyni. Zwały piachu wspinały się ku szczytom murów obronnych, ledwie odsłaniając bramę, przy-sypywały parapety i blanki, niesione wichurą przesłaniały strażnicę i jedyną wieżę zamku. Żywioł przybrał na sile, jakby złośliwe duchy ze wszelkich sił

próbowały stanąć na drodze szóstce wyczerpanych wędrowców, upiorne wycie wiatru sięgnęło zenitu i niemalże rozsadzało bębunki uszne.

Jechali teraz bliżej siebie, pilnując się nawzajem. Sąsiadujący z Gastonem Anzelm trącił go w ramię, wskazał coś we wciąż odległym zamku. De Baideaux przymrużył piekące wściekle oczy, wyteżył wzrok. Nad bramą łopotąła jakaś chorągiew, nierozpoznawalna ze względu na furie wiatru, a w którymś z okien migotało światło doskonale widoczne na tle ciemnych, smaganych piaskiem murów.

W zielonych oczach rycerza z Ar-Ramli, przekrwionych tak, jakby miały zaraz buchnąć krwią, dostrzegł niepokój. Gaston wzruszył ramionami i klepnął go w ramię.

„Nie mamy wyboru” - mówił jego gest.

Teraz on jechał pierwszy, prosto ku wielkim drewnianym wierzejom, rozwierającym się z wolna na podobieństwo smoczej paszczy. Zadarł głowę - spoza blanek wyglądało ku nim kilka ludzkich postaci, ale nikt nie wychylił się z za rozwieranych skrzydeł, nie wyszedł im na powitanie.

Zdawać by się mogło, iż zmierzają prosto w kierunku zapomnianego przez świat, a owładniętego przez duchy zamczyska, które zachowało zwyczaje swych dawnych panów. Gaston zresztą czuł, że jest mu to doprawdy obojętne. Nie dbał o to, czy w zamku będą mieszkać duchy, ghule czy Beduini. Chciał choć na chwilę odpocząć od wichury.

Vittorio coś krzyczał, a wiatr przynosił niezrozumiałe strzępy jego słów. De Baideaux nawet się nie odwrócił, popędził konia prosto w kierunku ciemnego tunelu, odsłoniętego przez skrzydła bramy. Znużony do granic koń skoczył żywo, jakby i on wyczuł rychłą obietnicę odpoczynku.

Chłód bramy. Wreszcie cisza przerywana jedynie świstem wiatru na zewnątrz i echem stukotu kopyt. Osłonięty przed wichurą dziedziniec, wielkie kamienne płyty przysypane niziutkimi wydmiami piasku. Masywna wieża, czarna na tle wzburzonego nieba. I pojedyncze, migotliwe światełko na jej piętrze.

Gaston westchnął ciężko i wolno zsunął się z siodła, z trudem rozprostowując zastałe kości.

Dopiero wtedy zmęczenie ustąpiło na tyle, by mógł dojść do głosu zdrowy rozsądek. Nagle zrozumiał, dlaczego nikt nie wyszedł im na powitanie.

Najpierw dostrzegł mężczyznę celującego doń z kuszy z za cembrowiny studni, potem drugiego, który klęczał z napiętym lekko łukiem przy fali zeszcłego bluszczu na południowym murze. I trzeciego, mierzącego doń z murów. A potem kolejnych, skrytych w cieniach burzliwej nocy.

Wszyscy nosili ciemne tuniki z czerwonymi krzyżami narzucone na kolczugi.

Mroczny tunel bramy rozbrzmiał tętentem kopyt, do środka wtargnęli najpierw Bernard z Anzelmem,

potem Jakub prowadzący konia nieprzytomnej, przytroczonej do siodła Vivienne, a w końcu Vittorio. I to on jako jedyny znalazł w sobie tyle siły, by się odezwać:

-

O nic cię nie winię, Gastonie - wychrypiał. - Ty tego nie robisz świadomie. Wszystko moja wina, bo ja jestem na tyle głupi, by pędzić za tobą bez słowa sprzeciwu. Mea culpa.

-

Vittorio, proszę cię, zawrzyj pysk - odezwał się z trudem Anzelm. Bernard poparł jego słowa głuchym mruknięciem i potrząsnął kudłami.

-

Anzelmie, przyjacielu mój, zdaje się, że za chwilę wszyscy tu zginiemy - uśmiechnął się szeroko Vittorio. -Odmówisz więc staremu przyjacielowi przyjemności za-mielenia jęzorem po raz ostatni?

-

Gdybyśmy mieli zginąć, już by było po nas - warknął Jakub. - Więc może lepiej rzeczywiście się zamknij.

Za ich plecami przemknęło kilku przygarbionych pacholków, skrzydła bramy zaczęły się zawierać z suchym skrzypieniem. Giermkowie mierzący do nowo przybyłych nawet nie drgnęli, nadal trwali niewzruszenie na swych pozycjach, celując z kusz i łuków. Wiatr wył potężnie na zewnątrz mufów zamkowych, jakby rozpaczając nad tym, że pozbawiono go ofiar.

-

Skoro nie mamy ginąć, to na co ten cyrk? - zafrasował się Vittorio. - Hej ty, za studnią!

Macie tu kogoś, kto potrafi...

Ciężkie dębowe drzwi, prowadzące do wnętrza wieży, rozwarły się nagle szeroko i w progu stanął wysoki rycerz w białej tunice. Wiatr, słabszy za murami, ale nadal dokuczliwy, pochwycił

jego rzadkie, siwiejące włosy i obrzucił jego twarz garścią ziarenek piasku, ale mąż sprawiał

wrażenie, jakoby w ogóle tego nie dostrzegał. Postawny, barczysty mimo podeszłego wieku, o twarzy po-bruźdzonej, wręcz wypalanej pod bezlitosnym słońcem Ziemi Świętej, budził

mimowolny respekt każdego, kto na niego spojrzał. Postąpił kilka kroków ku nowo przybyłym i z chrzęstem kolczugi skrzyżował ramiona na piersi.

-

Gaston de Baideaux - powiedział głosem pozbawionym emocji, suchym niczym piach.

-

Wiecie, co w naszym przypadku jest gorsze od templariusza? - zapytał Vittorio. -

Znajomy templariusz!

O dziwo, ów mizerny dowcip wywołał ochrypy rechot zarówno Anzelma, jak i Jakuba.

Zgrzytnęła stal, gdy któryś z nich zmęczonym ruchem wyciągnął miecz do połowy ostrza. Gaston uniósł dłoń, chcąc go powstrzymać. Przypatrywał się obcemu rycerzowi ze skupieniem. Zarówno jego oblicze, a także głos czy sposób bycia były mu skądś znane...

-

Wilhelm du Triere! - zawołał wreszcie. - Komandor Tyru! Miło mi was widzieć w dobrym zdrowiu, bracie! Sporo czasu upłynęło od obiadu, na który zaprosiliście mnie wraz z mistrzem de Sabie!

Słowa Gastona, choć nasycone ironią, nieoczekiwanie wywołały uśmiech na obliczu templariusza. Sękaty dłoń oparły się na biodrach, nieco poniżej szerokiego pasa rycerskiego, a ogorzała twarz jaśniała coraz bardziej, jakby kruszył się tworzący ją kamień i odsłaniał pokłady szczerzego złota.

-

Sporo, oj sporo - oznajmił. - A ile krwi przelano... Niewinnej, dobrej krwi...

Gaston wyczuł, że w słowach starego templariusza kryje się więcej, niż ten chciałby wprost przekazać. Przyjrzał mu się uważnie, próbując wyczytać cokolwiek z jego uśmiechniętego, ale nieprzeniknionego oblicza, lecz jego skupienie przerwał czyjś ruch. Odwrócił głowę ze zdumieniem.

-

Paniczu! Paniczu!

Biegnąca ku niemu postać, wychudła i niezdarna, łopocząca strzępami znoszonej szaty, przypominała okaleczonego żurawia, desperacko próbującego unieść się do lotu. Było w niej jednak coś boleśnie znajomego, przyciągającego wspomnienia dawnych, bardziej beztroskich dni...

-

Adalbert? - zapytał z niedowierzaniem. - To ty?

Więcej wypowiedzieć nie zdołał, zduszony żarliwym

uściskiem, ogłuszony szlochem. Odwzajemnił gest - mocno, po przyjacielsku. Zdradliwa wilgoć rozmazała świat, ledwie dostrzegł więc starego rycerza zakonnego, który jednym machnięciem dłonią

nakazuje swym ludziom odłożyć broń, a drugim zamknąć bramę. Trzecim skinieniem zaprosił go do siebie, do wnętrza wieży.

- Później porozmawiamy - Gaston szepnął do ucha swemu cudem odzyskanemu przyjacielowi, a ten skwapliwie pokiwał głową, ocierając kufakiem łzy. Potem podążył prosto za Wilhelmem du Triere.

Gaston pił łapczywie, z półprzymkniętymi oczyma, aż strumyki chłodnej wody z podanego mu kubka ściekały mu na pierś, na brudną tunikę i znajdującą się pod nią kolczugę. Pił i spluwał

piaskiem dopóty, dopóki ostatnie ziarenka piasku nie przestały trzeszczeć między jego zębami, a potem skwapliwie nachylił się nad przyniesioną mu misą wody, opłukał zakurzoną twarz i zarośnięte policzki, ostrożnie zwilżył podrażnione kąciki oczu. Z każdym chlapnięciem wody czuł, jak wracają siły. Gdy wyprostował się, by spojrzeć w oczy staremu zakonnikowi, miał

wrażenie, że znużenie odeszło go na dobre.

Wilhelm du Triere skinieniem nakazał służącemu wynieść misę z wodą. Światło trzech świec, splecionych fantazyjnymi grudami stopionego wosku, zamieniało jego ogorzałe oblicze w plątaninę cieni.

-

Głodniście? - zapytał suchym głosem.

-

Nie, niezbyt - pokręcił głową Gaston i założył zwilgotniałe kędziory za ucho. - Czy wasi ludzie zatroszczą się o mych towarzyszy, bracie?

-

Niepotrzebnie się martwisz, de Baideaux. - Komandor Tyru zmarszczył krzaczaste brwi. -

Nie jesteśmy wrogami.

Gaston smagnął go niechętnym spojrzeniem i podszedł do okna. Vittorio wyciągał ze studni pełne wiadro i gadał coś głośno do siedzącego na ziemi Adalberta -wyglądało na to, że sobie z niego dworował, lecz pomimo kpiącego tonu jego twarz pozostawała poważna, jakby jedynie silił

się na dobry nastrój. Adalbert nawet na niego nie spojrział zajęty przygotowaniem skromnego posiłku, a Jakub prowadził konie do napełnianego wodą koryta. Anzelm stał kilka kroków za nimi z ramionami założonymi na piersi i rozglądał się bacznie dookoła, zdawał się śledzić wzrokiem każdego z ludzi zakonu, którzy przechodzili dziedzińcem lub trzymali wartę na murach. Konie, jak dostrzegł Gaston, nie zostały rozkul-baczone. Lekki uśmiech przemknął mu przez usta.

Niespodziewanie od ciała nadal nieprzytomnej Vi-vienne de Grenier, złożonego pod jednym z murów, oderwała się niewielka, drobna postać w podartych, szarych szatkach i przypadła do

Adalberta. Vittorio pokręcił głową i bez słowa powrócił do napełniania koryta.

„To ta dziwna dziewczynka - uświadomił sobie Gaston. - Ta, z którą nie chciał się rozstawać...

Na litość boską, że też udało im się przetrwać razem całą tę zawieruchę..."

-

Wybacz, że ułożyliśmy hrabiankę pod ścianą - odezwał się syczącym głosem templariusz.

Jego oczy, przenikliwe niczym u pustynnej żmii, przewiercały się przez Gastonowe plecy. -

Zamek wiele miesięcy stał pusty, komnaty są zasypane piaskiem, mało w nich wygod.

-

Hrabiance to nie zaszkodzi - odparł młodzieniec, krzywiąc się lekko na samą myśl o niej.

- Z własnej woli wybrała się z nami w drogę.

-

A dokąd owa droga prowadzi? - zapytał templariusz.

Gaston wolno, bardzo wolno odwrócił się od okna i bez lęku spojrział w żmijowe oczy Wilhelma.

-

Odkąd przybyłem do Outremer, nie spotkało mnie ze strony waszego zakonu nic dobrego

- wycedził. - Byłem przez was mamiony, więziony, szpiegowany i ścigany, byłem...

-

Nie przez nas - przerwał mu Wilhelm du Triere. -Przez Joscelina de Royes i jemu podobnych..

-

Pokażcie mi, na czym polega różnica między wami a Joscelinem! - warknął Gaston. - Ale zróbcie to tak, bym wam uwierzył, bracie!

-

To nic trudnego - Wilhelm du Triere uśmiechnął się. - Różnica polega na tym, że ja nigdy dotąd nie służyłem temu, którego zwie się Panem. I, póki żyję, nie zrobię tego. A jeśli mi nie wierzysz, niech przekona cię to, że wciąż pozostajesz wolny. Brat de Saint Jerome wysłał mnie bowiem z zadaniem, by cię pojmać i zabić.

Nieoczekiwane słowa starego zakonnika odebrały Gastonowi mowę. Wpatrywał się oniemiały w wyprostowanego rycerza o nieruchomej, jakby wykutej z pustynnego kamienia twarzy. Wiatr wył na zewnątrz, zawodził. Łopotały płomienie świec.

-
Z tego, co wiem, nikt prócz mnie nie znalazł w sobie tyle siły, by oprzeć się urokowi Pana

- ciągnął szeleszczącym głosem templariusz. - Nikt. Wszystkich zwabiły jego obietnice, cenne dary i gładkie słowa. Najwyraźniej wystarczyła mu ich służalczość, gdyż ode mnie nigdy niczego się nie domagał. Co ciekawe, bo hojnie mnie przecież obdarzył.

-
Czym? - spytał ledwie słyszalnym szeptem Gaston.

-
Dzięki mocy Pana zawsze wiem, czy ktoś kłamie, czy mówi prawdę - oznajmił stary templariusz i z chrzęstem założył ręce na piersi. - Dlatego też od razu wiedziałem, że nie masz nic wspólnego z Rogerem de Baideaux, a twe przybycie do Outremer to czysty zbieg okoliczności. Mówiłem mistrzowi de Sabie...

-
Wiem - szepnął Gaston. - On też czuł, że jestem niewinny. Ale mimo to musiał spróbować, musiał się upewnić...

-
Skąd to wiesz? - wykrzyknął nagle komandor Tyru, a jego twarz ściągnął gniew.

-
Bo rozmawiałem z nim niedługo po bitwie - odparł młody rycerz. Jego oczy zaszły mgłą, gdy wspominał dawne dzieje, rzekłbyś, przedzielone wieloma laty od chwili obecnej. -

Znalazłem go w dziwnym, niesamowitym miejscu zwanym Dar il-Hasan, gdzie leżał i czekał na śmierć, brocząc krwią z wielu ran.

-
Mówili nam, że zginął pod Akką! - wykrzyknął poruszony Wilhelm.

Uniósł głowę z pola bitwy - zaprzeczył Gaston. - Umarł wysoko w górach, wiele godzin po jej zakończeniu.

-

Dlaczego uciekł? - zapytał templariusz martwym głosem, patrząc przez okno na wzburzone, ciemnopur-purowe obłoki, przesłonięte tumanami szalejącego piachu. - Dlaczego nie został z nami, nie oddał się pod opiekę naszych medyków?

-

Widno nie mógł - wzruszył ramionami de Baideaux. - Widno nie miał po co do zakonu wracać. Nie pytajcie mnie jednak, komandorze, kto za tym stał - istota ludzka czy ów demon, którego rzekomo nienawidzicie - bo tego nie wiem. Wiem natomiast coś innego, bracie. Nie myliliście się, twierdząc, że nie mam nic wspólnego z moim bratem, bo zaiste tak było. W chwili przybycia do Tyru nie pamiętałem nawet o jego istnieniu, ale wnet wszystko się zmieniło. Wiem już, kim był Roger, dowiedziałem się, czym się zajmował i czego pragnął. I poprzysiągłem, że dokończę jego zadanie.

Stał tak naprzeciwko starego templariusza, plecami zwrócony do burzy i szalejącego wichru, ze skrzącymi oczyma i zaciśniętymi pięściami. Ten znów nie powstrzymał uśmiechu, który pojawił się niczym rysa na jego nieruchomej twarzy.

-

Wiem - powiedział krótko. - I wiem coś jeszcze, nawet bez owego talentu, którym tak łaskawie obdarzył mnie Pan. Przybyłeś do Tyru jako jasnowłosa, niebieskooki cherubinek z głową nabitą bujdami, nie potrafiąc ani robić mieczem, ani odnaleźć dla siebie właściwej drogi.

Wystarczyło ci kilka miesięcy, rok nieledwie, by stać się twardym, zahartowanym rycerzem, człowiekiem odważnym i niezłomnym. Przygasło złoto na twoich lokach, opalenizna przegnała róż na policzkach, blask w oku stał się niebezpieczny, dłonie stwardniały... Tak, Gastonie, wiem to na pewno. Uda ci się.

De Baideaux potrząsnął skudlonymi włosami, skrzywił się, chcąc zaprzeczyć, machnąc dłonią, ale niespodziewanie znieruchomiał. Mógł się mylić, lecz przysiągłby, że wicher na zewnątrz był jego imię. Odwrócił się, lecz w tej samej chwili drzwi do komnaty rozwarły się gwałtownie i na progu stanął zdyszany Bernard. W oczach olbrzyna płonął niepokój.

Gaston natychmiast zrozumiał powagę sytuacji.

-

Zagrożenie - szepnął.

-

Co takiego? - nie rozumiał go templariusz.

-

Mój giermek też ma dar, bracie - rzucił Gaston, wy-szarpując miecz z pochwy. - I to nie od Pana, chwała Bogu. Coś nam grozi, coś wielkiego... Wiesz, co to? - zapytał Bernarda.

Sługa pokręcił głową. Oddychał szybko, strzelał nerwowymi spojrzeniami, jego ogromne dłonie miażdżyły drewnianą futrynę.

-

Biegnijmy! - zawołał Gaston.

Zazgrzytała stal, blask trzech świec prześlizgnął się po klindze wyciąganego miecza, ich promyki zakołysały się od pędu wybiegających rycerzy. Na chwilę pochłonał ich półmrok spiralnie skręconych schodów, a potem wypluły drzwi u nasady wieży.

-

...dzieci chronisz, tedy nijak ci próżność wyrzucać -narzekał Vittorio, pojący konie. -

Majątku żeś się nie dorobił, a na dodatek schudłeś jak szczapa! Cholera, nawet twego brzuszyska wykić się nie da. Kompletnie żeś mi się nie udał, Adalbercie. Jak ja...

Biegnący Gaston nie usłyszał ostatnich słów, przypadł do Anzelma, odwrócił go ku sobie jednym szarpnięciem.

-

Czujesz coś? - wydyszał. - Czujesz cokolwiek? Jak wtedy, na szlaku?

-

Nie. - Twarz Anzelma stężała, a rycerz mimowolnie rozejrzał się dookoła. Jakub szedł ku nim szybkim krokiem, zaniepokojony Vittorio uniósł się znad koryta. - Nie, nic nie czuję.

Bernard?

-

Tak - skinął głową Gaston. - Coś się święci. Nie wiadomo tylko, co.

-

Jeśli to jednak ci coś knują - Jakub wskazał ruchem głowy Wilhelma du Triere,-który cichym, lecz mocnym głosem skrzykiwał swoich ludzi - będzie to smutny dzień w dziejach tej komandorii.

Bernard potrząsnął żarliwie kudłatym łbem, otwierając kilkakrotnie usta w niemym proteście.

-

To nie oni, wierz mi, Jakubie - mruknął cicho de Baideaux.

»

-

Zatem kto?

-

Nie wiem, na litość boską.

Ponaglani rozkazami starego komandora giermkowie pięli się na mury, co drugi trzymał łuk i kołczan ze strzałami. Wystraszony Adalbert, tulący niemą dziewczynkę, wsunął się między rycerzy. Ułożona pod murem Vivienne uniosła głowę i zamrugła oczami, a Wilhelm du Triere powoli, starannie nakreślił w powietrzu znak krzyża. Wichura na zewnątrz natarła z wściekłością na łąchy piachu usypane u stóp murów, powietrze nocy zgęstniało od mgławicy ziarenek, piaskowy obłok ponownie przesłonił księżyc.

Wiatr wył jego imię.

Gaston czuł, jak po jego plecach rozplywa się strumień lodowatych dreszczy. Przełknął ślinę, mocniej uchwycił miecz, rozejrzał się wokół siebie, lecz w oczach swych towarzyszy dostrzegł

ten sam przestrach, jaki malował się w jego spojrzeniu. Nabrał głęboko tchu...

- Tam jest! - krzyknął ktoś na murach, wskazując włócznią. - Ucieka!

Zamieszanie, szczęk oręża, tupot stóp przytłumiony świstem wiatru. Rozmyte w kurzawie postacie na murach, porywane wiatrem płaszcze, ramiona pokazujące coś w mroku. Gaston obrzucił spojrzeniem Wilhelma du Triere, który biegł po schodach w ślad za swymi ludźmi, a potem zerknął na Bernarda.

Wystraszony olbrzym pokręcił głową. A potem wskazał na bramę.

Ta zaś stanęła w płomieniach.

Minęło sporo czasu, nim Vivienne de Grenier podniosła się i otworzyła oczy.

Przez króciutką chwilę miała nadzieję, że wybudza się właśnie z potwornego koszmaru, ale świst burzy, unoszący się nad głosami zaniepokojonych ludzi, utwierdził ją w przekonaniu, że bynajmniej tak nie jest. Nadal znajdowała się wśród tych upiornych wzgórz, w towarzystwie obcych, wrogich sobie mężczyzn, wypełniając coraz bardziej absurdalne zadanie dla człowieka, który ją omamił i przestraszył. Zapragnęła nigdy już nie oglądać tego świata, znów zapaść w sen i leżeć tak długo, aż

wszystko stanie się obojętne. Chciała zwinąć się w kłębek i płakać, ale zdawało się jej, że w strudzonym, wysuszonym ciele nie zebrałoby się ani kropli wilgoci.

Gdyby nie huk płomieni i rumor walącego się drewna, a po nim przeraźliwe rzenie koni, leżałaby jeszcze długo. Hałas był jednak tak straszliwy, że poderwała się natychmiast. Wsparta na łokciu, z bijącym mocno sercem, wpatrywała się w demoniczne widowisko, jakie rozgrywało się na jej oczach na dziedzińcu górskiego zamczku.

Po mocnej bramie, broniącej wejścia do zamku, zostały ledwie kawałki drewna wokół zawiasów, nadal płonące pomimo porywistych uderzeń wicheru. Wraz ze szczątkami rozrzuconymi na ziemi tworzyły ognistą obręcz, przez którą jeden po drugim wpadały rozhukane rumaki z jeźdźcami w białych tunikach. Krwawy blask pełgał po ścianach, zamieniał twarze templariuszy w ciemne maski, skrzył się na ostrzach włóczni. W okamgnieniu nowo przybyli uformowali koło, mierząc włóczniami i mieczami w każdy kąt twierdzy, w każde broniące go serce.

-

Gaston de Baideaux - wychrypiał jeden z nich, odrzucając kaptur kolczugi i odsłaniając starcze oblicze z haczykowatym nosem oraz ciemnymi plamami pod oczyma. Rzadkie, siwe włosy rozsypały się na wietrze. -Przybyłem po Gastona de Baideaux!

Ludzie na dziedzińcu zamarli niczym posągi, jedynym źródłem ruchu były unoszące się i opadające końskie łby. Wzrok przestraszonej Vivienne błyskawicznie odszukał Gastona, który zdecydowanym ruchem odsunął Bernarda i stanął naprzeciwko sędziwego templariusza wyprostowany i dumny, z nagim mieczem w dłoni i odsłoniętą głową.

-

Jam jest de Baideaux - wycodził przez zęby, przekrzywiając lekko głowę. - Co teraz, staruszkule? Co mi zrobisz?

-

Kurwa, wiedziałem - bąknął pod nosem pyskaty Italczyk Scozzi, ujmując miecz i opierając klingę o ramię. - Skądś wiedziałem, że to wszystko tak właśnie się skończy. No, po prostu...

-

Zamknij się - polecił mu rycerz Anzelm, pieszczotliwie gładząc stylisko topora i unosząc spojrzenie ku niebu, jakby się modlił. Ów szpitalnik o miękkim sercu już stał na szeroko rozstawionych nogach po prawicy Gastona, uśmiechając się dziwnie, z rozmarzeniem, szkaradny giermek Bernard umiejscowił się po lewicy i wykrzywił gębę.

Jeszcze minutę temu nienawidziła tego szalonego Pi-kardyjczyka, gotowa była wydrzeć mu oczy za zniewagę, której się wobec niej dopuścił. Teraz, w tej chwili, uwielbiała go całym sercem.

-

Co ci zrobię? - powtórzył sędziwy templariusz. Jego oczy płonęły nienawiścią, koń pod nim tańczył, jakby wyczuwał emocje jeźdźca. - Ja, de Baideaux, nie zrobię ci nic. Natomiast Pan ma wobec ciebie...

-

Niech Bóg wspomaga Grób Święty! - przerwał mu Wilhelm du Triere, schodząc ze schodów. Jego sztywne, powolne ruchy oraz nieporuszona, zastygła twarz jaskrawo kontrastowały z jowialnością w głosie. - Witaj, bracie-prowizorze Rupercie! Czemuż zawdzięczam wizytę tak czcigodnego gościa?

-

Ten tu chłystek - Rupert de Saint Jerome wymierzył w pierś Gastona ostrzem miecza.

Jego głos drżał z gniewu, a sam prowizor nawet nie spojrzął na komandora Tyru. - To Gaston de Baideaux! Wysłałem cię tu, byś go pojmał! Ten tu zdrajca jest zagrożeniem dla nas wszystkich, du Triere!

-

Czyżby, czcigodny bracie? - zapytał spokojnym głosem brat Wilhelm. - Swego czasu w Tyrze gościłem tego rycerza w domu zakonnym. Był wtedy z nami mistrz de Sablé, którego wielce urzekł swą erudycją i...

-

De Sablé był starym głupcem!

-

Czyż nie? Dobrze, że go Saraceni usiekli pod Akką!

-

Tak, tak! - Nieprzytomnie potwierdził prowizor zakonny. - Dość tych przekomarzań, du Triere! Weź swoich ludzi i...

-

Jak zginął de Sablé? - przerwał mu lodowatym głosem Wilhelm.

Rupert de Saint Jérôme znieruchomiał i powoli przesunął spojrzenie na byłego komandora Tyru, jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jego obecności. Wszyscy ludzie dookoła niego -

zarówno rycerze z orszaku zakonnego, jak i czeladź zamkowa czy towarzysze Gastona - trwali nieruchomo niczym omywane piaskowym wiatrem posągi, zaczarowane niezrozumiałą, lecz złowieszczą wymianą zdań między dwoma zakonnikami. Przestraszona Vivienne wodziła

spojrzeniem po twarzach mężczyzn, usiłując przewidzieć konsekwencje napiętej chwili.

I wtedy go dojrzała.

Rozpoznała jego nos, złamany w dzieciństwie, lekko krzywy, lecz wciąż orli, zadziorny, oraz czarne brwi, niemalże zrosnięte w miejscu zakrytym przez nosal hełmu. Pomimo oliwkowej cery i ciemnych oczu, przypominał bowiem bardziej Franka aniżeli Araba, tym bardziej że na typową frankijską przeszywanicę i kolczugę naciągnął zakonną ciemną tunikę braci służebnych.

Rozpoznała wytłumioną drapieżność w jego ruchach i niebezpieczną dzikość w niemalże czarnych oczach, spotęgowaną tym, że trzymał w dłoni ostrą włócznię. Rozpoznała go z nieomylnością, jaka łączy wieloletnich kochanków, których uczucie przeszło w nienawiść.

Ismail.

-

Ty sukinsynu... - wyszeptała spierzchniętymi wargami.

Rupert de Saint Jerome odwrócił się na moment, jakby słuchał głosu kogoś za sobą - Vivienne kątem oka dostrzegła jakiś cień, ale burza emocji nie pozwoliła jej na dokładniejsze przyjrzenie się - a potem znów spojrzał na Wilhelma.

-

Jesteś mi winien posłuszeństwo, bracie - wycedził. - Nie chcę już słyszeć twoich nedorzecznych pytań. Ci ludzie są buntownikami, zdrajcami i rozkazuję ci ich...

-

Ci ludzie są gośćmi mojej komandorii - odparł hardo Wilhelm. - Są pod moją pieczęcią i nic im się nie stanie.

Sędziwy templariusz pokręcił lekko głową, jakby nie do końca dowierzał usłyszonym właśnie słowom, po czym zerknął na sąsiadujących rycerzy. Żar furii w jego oczach zgasł, a zastąpiła go zimna stal.

-

Brać ich - szepnął.

Popędzone ostrogami konie drgnęły, ruszyły na zaskoczonych ludzi Wilhelma du Triere. Kolisko zbrojnych jeźdźców zaczęło się błyskawicznie powiększać, ostrza włóczni mierzyły w serca i gardła pieszych. Ismail, jakby wiedziony niewidzialną ręką przeznaczenia, natarł na giermka stojącego ledwie kilka kroków od Vivienne, zmuszając go do cofnięcia się.

I wtedy wyczuł jej wzrok.

Uniesienie wywołane zbliżającą się walką całkiem z niego wyparowało. Oszołomiony, zaskoczony do granic, nie był w stanie oderwać wzroku od ducha ze swej przeszłości, ducha, o którym zdążył zapomnieć. Chłonał mroczną dawkę nienawiści, skondensowaną w jej spojrzeniu, chłonał obietnicę straszliwej zemsty upokorzonej niewiasty. Pobladł, aż jego skóra poszarzała, a ostrze włóczni opadło ku ziemi.

Vivienne zrozumiała, że Ismail znów jest w jej mocy, choć tym razem to strach, a nie miłość, wywołał ów stan. Wiedziała, że przesądny, pustynny wojownik w jednej chwili przeobraził się w drżącego, zagubionego człowieka, równie bezwolnego jak grudka piasku toczona wiatrem.

„Asasyn wśród templariuszy - szydziły jej przymrużone oczy, piękne w swej nienawiści. -

Wystarczy, bym krzyknęła...”

„Nie uwierzą ci” - odpowiedziały jego oczy pełne przestachu.

„Chcesz się przekonać?” - znów zaszydziła.

„Czego chcesz?” - zapytał zgnębiony, upokorzony.

„Jeszcze się nie domyśliłeś?” - zatryumfowała.

Wprowadzając go w tajniki sztuki władania mieczem, Diabeł nieraz podkreślał, by pod żadnym pozorem nie lekceważyć przeciwnika, choćby nie wiadomo jak żalosne wrażenie robił. Gaston zawsze trzymał się tej zasady, jednakowoż nigdy nie pomyślałby, że ramiona sędziwego Ruperta de Saint Jerome kryją w sobie tak niezmierną siłę.

Ledwie zdołał uskoczyć przed ostrzem włóczni templariusza, które ze świstem przecięło powietrze tuż obok niego i rozpruło rąbek jego płaszcza. Rupert z furią wrył konia, szarpnął

wodzami, ostrze włóczni zawróciło, odbijając płomienie nielicznych pochodni. Tym razem Gaston zdążył odbić cios mieczem, co okazało się fatalnym pomysłem - odtrącił co prawda śmiertelne ostrze, ale sam poleciał w tył ze zdrętwiałym ramieniem. Wpadł na kogoś, potracił

kogoś innego, instynktownie uchylił się przed czyimś cięciem, ale templariusz postępował za nim jak zły duch za grzesznikiem. Gaston omiół wzrokiem wytrzeszczone, przekrwione oczy i spieniony pysk rumaka, a potem znów dostrzegł ostrze włóczni, pędzące ku niemu niczym łeb żmii. Uskoczył przed rozpędzonymi kopytami, ciął w przelocie, niecelnie, Rupert znów wrył

rumaka, zawrócił go z furią i ponownie ruszył na de Baideaux. Prowizor wyglądał teraz jak rozwścieczony starzec z rozwianymi siwymi włosami, niczym wskrzeszony bóg wojny z pogańskiej przeszłości.

Wycie wichru i szczęk oręża dookoła oszałamiały, przytłaczały, ale Gaston wreszcie odnalazł

równowagę, stanął na szeroko rozstawionych nogach, przyczajony, gotowy na atak templariusza.

Zdążył nawet rozejrzeć się wokół siebie - jak okiem sięgnąć jeźdźcy Ruperta de Saint Jerome napierali na cofających się ludzi komandora du Triere, którzy bronili się niemrawo, jakby nie dowierzali temu, że zmuszeni zostali do walki z własnymi konfratrami. Gdzieś mignął mu Yittorio, odcinający się jakiemuś jeźdźcowi, dostrzegł też Jakuba, już w siodle, zawracającego konia, ogromny Bernard sadził ku niemu susami...

Zbyt długo się rozglądał, o wiele za długo. Rozpędzone ostrze włóczni dostrzegł dopiero w ostatniej chwili, umknął zręcznie, ściskając mocniej miecz, szykując się do kontrataku. Kątem oka dostrzegł innego szarżującego nań jeźdźca, tym razem giermka w ciemnej tunice.

Desperacko uskoczył w bok, padł na ziemię i przetoczył się siłą rozpędu, modląc w duchu, by nie nadzieć się na żaden ostry kamień czy kopyto. W duchu widział bowiem pochylające się ostrze, mierzące prosto ku jego znieruchomiałemu ciału... »

Wrzask Ruperta de Saint Jerome poniósł się nad krzyki walczących i szczęk oręża, przeszedł w skrzek, a potem bulgot.

Oszołomiony od upadku Gaston uniósł głowę, w porę, by dostrzec ostatnie tchnienie zakonnika.

Włócznia rozpędzonego giermka trafiła templariusza prosto pod brodę i odrzuciła jego głowę do tyłu. Rupert wypuścił wodze i zacisnął słabnące dłonie na drzewcu włóczni, lecz pozbawiony kontroli, rozdrażniony zapachem krwi rumak już skakał i wierzgał. Na oczach Gastona starzec runął pod kopyta końskie, na ochrzczone czarną krwią płyty dziedzińca, zaś giermek-zabójca uwolnił swe ostrze i przeciął nim powietrze.

- Wreszcie jestem wolny, ty sukinsynu! - zakrzyknął.

Jego oczy były błyszczące, znów drapieżne, pijane walką. Nagle dostrzegł Gastona, niezdarnie podnoszącego się na nogi. Na moment wzrok giermka przyćmiła seria wspomnień, lecz błyskawicznie odzyskał ostrość.

Dłoń trzymająca włócznię stwardniała, a mężczyzna znów szczeknął coś po arabsku i popędził konia.

Gaston nie widział tego ani nie słyszał.

Postać, która zmaterializowała się na murze, plecami do naporu burzy, była mu doskonale znana.

Nie zdążył co prawda przyjrzeć się jej dobrze na trakcie do Akki, tuż po opuszczeniu wioski, w której mieszkała Sara z małym Rogerem, ale od tej chwili przypatrywał jej się codziennie, słuchał jej poleceń, wypełniał jej wolę. Przelewał dlań krew. Wznosił piekło na ziemi.

Nigdy nie przypuszczałby, że jego serce jest w stanie pomieścić tyle nienawiści.

Asmodeusz stał na murze i wpatrywał się w niego, nieziemsko piękny jak zawsze, lecz tym razem jego idealne, urzekające oblicze wykrzywiła nienawiść. Mierzył ku niemu palcem i krzyczał coś, lecz

jego słowa zagłuszał wiatr.

-

Witaj, zjawo! - zakrzyknął zuchwale, mierząc ku niemu mieczem. - To ja, Gaston de Baideaux, brat Rogera! Masz pecha do naszego rodu, nieprawdaż?

Oblicze Asmodeusza przeobrażało się: raz przypominało kłębowisko węży, innym razem zębaty pysk nietoperza.

-

Tego szukasz? - W dłoni Gastona błysnął pierścień Salomona. - Nigdy byś nie uwierzył, gdzie go znalazłem! Nie uwierzysz mi zapewne i w to, że przez cały czas wiedziałem, gdzie on jest! Przez cały czas, gdy przebywałem pod twoją władzą, zjawo! I wiesz co? Zniszczę...

Coś śmignęło nad jego głową, nachylił się instynktownie, choć za późno. Kij Bernarda wysadził

z siodła giermka-zabójcę, ogromna, włochata dłoń pochwyciła za wodze, poskromiła i osadziła w miejscu wierzchowca. Druga bezceremonialnie złapała Gastona za pas rycerski i pchnęła go w kierunku siodła.

-

Co? - zawołał skołowany Gaston, łapiąc za lęk siodła. - Co się dzieje?

-

Nie widziałem, żebyś w łeb zarobił, de Baideaux! - wrzasnął zdyszany Vittorio, który osadził zdobycznego wierzchowca zakonnego tuż przy nim. Jakub, który wyrósł po drugiej stronie, smagnął płazem jego własnego konia, zmuszając do obrócenia się ku wschodnim murom.

Dziesiątki niewyraźnych, zgarbionych postaci, które przemykały wśród blanek, z początku wydały się młodzieńcowi hordą krwiożerczych ghuli, które wyrwały się spomiędzy piasków, by ucztować na ludzkim mięsie. Dopiero gdy zaczęły skakać na karki templariuszy, zbrojne w noże i topory, odziane w postrzępione szaty, z twarzami zakrytymi chustami, przybrały zatrzważając ludzkie kształty.

-

Gastonie, oni przyszli po nią! - Adalbert, jedną ręką nadal tulący dziewczynkę, przypadł

do strzemienia młodego rycerza de Baideaux. Na jego czole perlił się pot, oczy błyszczały przerażeniem. - Uciekajmy, na wszystko, co święte! Uciekajmy!

Straszliwy wrzask, który wstrząsnął powietrzem nocy, pomógł mu podjąć decyzję. Nie miał

pojęcia, kim byli tajemniczy obdarci napastnicy, spadający na karki walczących między sobą

templariuszy, lecz ich liczba zdawała się nie mieć końca, a furia wprost bezbrzeżna.

-

Nic tu po nas! - rzucił i ścisnął kolanami końskie boki, kierując go w stronę wciąż płonących szczątków bramy. Vittorio zawył dziko i spiął konia, za nim Jakub, ochraniający śmiertelnie bladą Vivienne, ściskającą zakrwawiony sztylet, na samym końcu Anzelm, który przed sobą posadził niemą dziewczynkę, oraz Bernard, do pleców którego przyłgnał modlący się Adalbert. Gnali wśród błyskających mieczy i zboczonych krwią białych tunik, niesieni arabskimi wrzaskami i rykami umierających, coraz bliżej ognistej bramy i burzy, wciąż rozbrzmiewającej imieniem Gastona.

Nie powstrzymał ich nawet kolejny rój napastników, obdartych, kiepsko uzbrojonych, lecz wrzeszczących z uniesieniem. Najbliżsi bez wahania rzucili się na uzbrojonych po zęby Franków, lecz nic, nawet równy szereg niezwycięzonej piechoty jerozolimskiej, nie powstrzymałby rozhukanego orszaku krzyżowców. Znowu poszły w ruch miecze i włócznie, błysnęła stal i zagrzmiały kopyta końskie, bryzgi krwi z sykiem gasiły płomienie pożerające dębowe drzazgi.

Kilku przeciwników padło i znieruchomiało, inni odskoczyli, zaciskając dłonie na ranach, rozglądając się dookoła z przerażeniem, pozostali, jakby nie chcieli dostrzec uciekających, wlewali się do środka i rzucali na znienawidzonych templariuszy.

-

Naprzód! - huknął Gaston i uderzył piętami w końskie boki.

Wypadli z górskiej twierdzy niczym stalowa lawina, zostawiając za sobą nie swoją bitwę, silniejsi nadzieją, że długo nie natrafiają już na kolejne przeszkody. Wiatr wył z drwiną nad ich głowami.

Starzec z Gór jeszcze raz, precyzyjnie niczym bagdadzki medyk, wbił ostrze saifu pod brodę starego templariusza i wpatrywał się w jego węzowe oczy długo, póki nie zgasł w nich ostatni promyk życia. Potem wstał szybko, wytarł dłonie o burnus, jakby przed chwilą obcował z czymś nieczystym, i poprawił turban, przekrzywiony podczas starcia.

„Niech Iblis zawiedzie twą duszę na wieczne cierpienie” - przeklął go w myślach.

Nie mógł czuć podziwu dla człowieka, który należał do znienawidzonego zakonu niewiernych, z rąk którego synowie Nizara doznali tylu krzywd. Nie mógł pokłonić się z szacunkiem temu, który nim oddał własne życie, przeszyty niezliczonymi ostrzami, zabił tylu mężnych, oddanych sprawi efidai z Masjafu i Al-Kadmus. Nie potrafił jednak zapomnieć o uśmiechu, który przemykał przez spękane usta templariusza za każdym razem, gdy przeszywał go wrogi cios, uśmiechu, w którym odczytał błogość i wyzwolenie.

Pokręcił głową i potoczył dzikim wzrokiem dookoła, wszędzie widząc porzucane bezwładnie zwłoki swych braci. Przyparci do muru templariusze, zarówno rycerze, jak i giermkowie czy zwykli parobkowie, drogo sprzedawali swe życie i umierali otoczeni wałami trupów. Wierni ponieśli wielkie straty, o wiele większe niż się spodziewał. Spojrzenie niespodziewanie przyćmiła mu wilgoć

łez.

Bardziej wyczuł niż ujrzał dwóch spośród swoich wojowników, którzy zbliżali się do niego powoli, kłaniając nisko, przyzwyczajeni widać do napadów wściekłości swego przywódcy Otarł

łzy gniewnym ruchem i wyprostował się z dumą.

-

Sahib - zaczął jeden z nich, zasłaniając się broczącym krwią ramieniem, obwiązany byle jak szmatą. - Sahib, przeszukaliśmy całą norę niewiernych psów i...

-

Dość. - Starzec z Gór machnął nerwowo dłonią i zacisnął powieki. - Dość. Milcz.

Wiedział, co chce powiedzieć. Gdyby dziewczynka znajdowała się w twierdzy, promieniałby radością. A więc ofiara sekty poszła na marne.

Zmiażdżył rękojeść saifu z taką siłą, że kłykcie pobieleły, jakby kości miały zaraz przebić skórę.

-

Sahib, ale... - zaczął drugi, głosem piskliwym ze strachu. - Ale Mustafa, co przez bramę wpadł z innymi, widział dziecko na koniu! Ujechała z tymi Al-Farandż, prosto w burzę!

Starzec z Gór zamrugał, wpił oczy w przerażonego nizarytę. Jego wściekłe spojrzenie zdawało się ssać życie z wojownika, który najpierw pochylił głowę, potem opadł na kolana, wreszcie rzucił się na ziemię i zaczął czołgać w pyle ku jego sandałom. Drugi poszedł w jego ślady, pozostali, otaczający ich luźnym kręgiem, zaczęli klękać.

Sędziwy asasyn wytarł długi nóż w fałdy burnusa i powoli, wręcz z pietyzmem wsunął go do pochwy. Potem drgnął, uniósł wzrok, zapatrzył się w ciemność, okrojona jamą bramy, gdzie rozszalały wichur wślaczał nowy, niepokojący odgłos.

-

Szykować się do drogi - powiedział zmienionym nieco głosem. - I to szybko.

-

Al-Farandż? - odważył się zapytać któryś z niza-rytów.

-

Nie - szepnął Starzec z Gór. - Sam Iblis wyrwał się ze swego zamku, z czarnego ognia...

Uciekajmy!

Rozdział dwunasty

który traktuje o kuszeniu, intrygach, ciemnych sekretach z przeszłości, czartach, rzyganiu i burzy piaskowej, a więc jest rozdziałem krucjowatym aż do bólu Burza krzyczała jego imię.

Gaston kulił się nad grzywą konia, potrząsał wściekle głową, usiłował osłonić się najpiękniejszymi wspomnieniami Sary, najżarliwszymi modlitwami, lecz wszystko na próżno.

Upiorne wycie wichru, układające się w imię, które dawno, całe wieki temu otrzymał na chrzcie w pięknej, zalesionej Pikardii, przebijało się do jego świadomości i wstrząsało nim do żywego.

Przypominało, że krucjata, wbrew filozofii Vittoria, nigdy nie polega tylko i wyłącznie na wymachiwaniu mieczem.

Gaston kulił się i klął.

Nie pamiętał już radości, której doznał na widok Adalberta, zapomniał o uniesieniu, które prowadziło go przed szalone oblicze Ruperta de Saint Jerome, czy zawziętości, z jaką przebijał

się przez Saracenów. Stał się osamotnionym, znużonym wędrowcem, zagubionym wśród własnych tajemnic i rozterek.

Wiatr szarpał jego duszą. Pierścień ciążył na sercu. Świadomość wagi zadania zaćmiewała spojrzenie.

Być może właśnie dlatego zauważył Asmodeusza dopiero po chwili.

Jechał tuż obok niego na potężnym, muskularnym rumaku o bujnej grzywie mieniącej się niczym czarne złoto. Jak uprzednio, tak i teraz wiatr nie miał się jego loków, a ciemna, nieskończenie piękna twarz nie odczuwała milionów kąśliwych ziarenek piasku, targanych z każdym podmuchem. Brązowe oczy, lekko przymrużone, ni to kocie, ni sarnie, przenikały Gastona na wylot, zdawały się docierać do samej duszy.

O dziwo, de Baideaux nie poczuł strachu. Wyprostował się w siodle i odetchnął głęboko, niemalże z ulgą, jakby nieoczekiwana materializacja demona oznaczała kres jego udręku.

„Czego chcesz, zjawo? - zapytał w myślach. - Przejąć nade mną władzę? Ależ proszę cię bardzo, nie krępuj się. Raz ci się już to udało”.

„To prawda, udało się - uśmiechnął się samymi tylko ustami demon. - Nie masz pojęcia, ile dzięki temu zyskałem”.

„Nie chcę wiedzieć”.

„Ale dowiesz się, to nieuniknione. Nie o przeszłości jednak chciałem z tobą rozmawiać. O

teraźniejszości również nie - przejmowanie kontroli nad śmiertelnikami to wyczerpująca sprawa, zbyt wyczerpująca, bym miał znów się tego podjąć. O wiele bardziej wolę wysługiwać się tymi, którzy z własnej woli przysięgają mi służyć, w zamian za śmieszne sztuczki, które zwą darami".

„Z tego, co udało mi się dostrzec, paru już gryzie ziemię".

„Są jeszcze inni. Wielu, o których nie masz pojęcia. Nigdy byś nie odgadł, ilu mi służy za twoją..."

„Chcesz czegoś, zjawo, prawda? Wykrztuś więc to z siebie, pośmiejmy się obaj, a potem znikaj.

Proszę, głowa mi pęka".

„Przybyłem, żeby zaproponować ci rozejm".

Słowa Asmodeusza były tak zaskakujące, że Gaston, mimo swej wcześniejszej obietnicy, uniósł lekko brwi i pokręcił głową z mieszaniną drwiny i niedowierzania.

„Mój Boże. Ublizasz mi, zjawo. Naprawdę myślisz, że jestem aż takim durniem?"

„Wręcz przeciwnie. - Asmodeusz zaprzeczył niemalże z żarliwością. - Mam nie pecha, ale szczęście do waszego rodu. Jesteś doprawdy zacnym przeciwnikiem, de Baideaux. Kto wie, czy nie przerosłeś swego brata, a przecież trudno o człowieka bardziej nieprzejednanego niż on. Tak, pojedynek z tobą przynosi mi zaszczyt, drogi Gastonie, i z przyjemnością do niego stanę, gdy tylko obaj będziemy mieć ku temu odpowiednie warunki".

„Odejdź - skrzywił się Gaston. - Mdli mnie od twych słów".

„Na naszej arenie pojawił się ktoś trzeci, młodzieńcze. Przeciwnik równie twardy jak ty, ale potężniejszy, o wiele potężniejszy. Nie jest to jednakże ktoś, z kim mógłbyś zawrzeć pakt, o nie.

Wielu innych tak, ale ty nie. Przeciwno niemu musimy zawrzeć sojusz!"

„Naprawdę mnie mdli. Porzygam się jak nie".

„On przyjdzie do ciebie, będzie kusił, przeciągnie cię.

Gaston nie chciał słuchać dalej. Nagłym, gwałtownym gestem złapał pierścień Salomona i ścisnął go w dłoni.

„Odejdź! - wyszeptał w myślach. - Odejdź raz na zawsze".

Pieczeń Salomona nagle zapłonęła w jego dłoni, rozjarzyła się blaskiem pradawnej magii, która strzeliła spomiędzy palców zaciśniętej pięści. Zaskoczony Gaston ujrzał, jak strumienie przenikają

postać równie zdumionego demona, która rozplynęła się w ciemnościach nocy. De Baideaux rozejrzał się, ale nikt z jego towarzyszy nie spostrzegł tajemniczego zdarzenia.

Byli zresztą zajęci czymś innym. Anzelm, ledwie widoczny wśród podmuchów wiatru, wskazywał czarną plamę na tle zbocza góry.

>

„Jaskinia” - pomyślał Gaston, rad, że jego dylematy znów sprowadzają się do kwestii przyziemnych i popędził konia.

Za spokojnych czasów, kiedy zapomnianym już teraz górskim traktem wędrowały karawany do Nablu-su i dalej na wschód, jaskinia zapewne często stanowiła schronienie dla grup zdrożonych wędrowców. Świadczyły o tym zarówno kawałki zwęglonego drewna, ledwie widoczne spod warstewki nawianego piasku, jak również resztki wystrzępionych derek, stare rzemienie, potrzaskane wiadro oraz cała masa kości i innych odpadków. Na gładkich ścianach i sklepieniu jaskini ciągnęły się częściowo zatarte, wykonane węglem napisy w wielu językach, a w którymś z ciemnych kącików jakaś przyjazna, troskliwa dusza ułożyła okazały stos chrustu.

-

Nie wierzę własnym oczom! - mruknął Vittorio i ostrożnie zatknął jedyną ocalałą pochodnię między kamieniami. - Czy któryś z tych napisów nie głosi aby: Tego, kto skorzysta z owego chrustu, proszę o wpłacenie trzech dinarów rodzinie czcigodnego Hasana ibn Hasa-na, oby krowom jego nigdy nie brakło mleka?

-

Mała poprawka - Jakub oparł zdobyczną włócznię o ścianę i ujął wodze swego wierzchowca. - Nie rodzinie Hasana ibn Hasana, a zacnego Lugiego Matrolusie-go z Genui.

-

I nie trzech dinarów, a dziewięciu - dodał Anzelm.

-

I znów to samo - zachnął się Italczyk i pokręcił głową z udawaną udręką. - Kiedy wy w końcu pojmiecie, barany jedne, że umiejętne wykorzystywanie okazji, które zsyła nam los, nie jest grzechem, a błogosławieństwem? I to błogosławieństwem wyjątkowym, bo danym nielicznym? Powiedz im, Adalbercie! W końcu kto jak kto, ale słudzy Kościoła doprowadzili ową sztukę do perfekcji.

-

Widno my najmilsi Bogu, skoro tak szcudrze nas obdarza - rzekł Adalbert i zarumienił

się, niemalże jak dawniej.

Huknęli śmiechem, nawet Gaston się rozpogodził, a Bernard wykonał jeden ze swoich słynnych, przerażających grymasów, które tylko ci, co go znali, potrafili utożsamić z radością. Rehot poniósł się daleko w głąb jaskini, z ciemności odpowiedziało im rzenie kilku odprowadzonych tam uprzednio koni. Z zewnątrz wtórował mu świst wiatru.

-

Dajcie już spokój - machnął wreszcie dłonią Gaston. - Bernardzie, rozpal ogień, byle mały. Najlepiej tam, za załomem, by nie był dostrzegalny z zewnątrz. Jakubie, zajmij się, proszę, końmi. Obejmę pierwszy wartę, mam... mam wiele spraw do przemyślenia.

Ze wszystkich stron opadły go zatroskane, zamyślane spojrzenia, ale nikt z towarzyszy nie odezwał się ani słowem. Ciszę, przerywaną jedynie świstem burzy, przerwał dopiero głos Jakuba, suchy i rzeczowy:

-

Rozkulbaczamy konie?

-

Nie - westchnął Gaston. - I miejmy nadzieję, że nam to wybaczą, bo zda mi się, że nie po raz ostatni przyjdzie im tak nocować.

-

Mój wybaczy - oznajmił wesolutko Vittorio. - Nowiutki, świeżutki, dopiero co właściciela zmienił. A Ignie do mnie jak lichy, widno, że mu ciężko templariusza było dźwigać i szczęśliwy, że go ciężaru pozbawił.

-

Ściągnąłeś templariusza z siodła? - Jakub zatrzymał się w pół kroku. W jego lodowato niebieskich oczach błysnęło szczere zdumienie.

-

Kto by się po was takiej odwagi spodziewał, dobry rycerzu Scozzi - oznajmiła Vivienne.

Z trudem wysunęła długie, rude włosy z kaptura i otrzepała je z kurzu, krzywiąc się niemiłosiernie. - Podniesienie ręki na zakon, nawet skompromitowany, to czyn tak dalece bohaterski, że wręcz nieopłacalny.

Vittorio, który ujmował pierwsze wiązki chrustu, znieruchomiał nagle i uniósł się powoli. W jego spojrzeniu błysnęła wrogość.

-
Nie jestem ślepcem, droga hrabianko - wycodził przez zęby. - Tam, na dziedzińcu, działo się wiele, ale zdołałem zauważyć, że któryś z giermków tego cholernego starca dziabnął go włócznią nie z własnej woli. Być może uratowałaś życie Gastonowi, a na pewno przysłużyłaś się nam wszystkim. Nie daje ci to jednak prawa, de Grenier, byś przekomarzała się z nami jak równa nam wszystkim.

-
O czym ty mówisz, Vittorio? - zapytał oszołomiony Gaston, patrząc to na hrabiankę, która ze wzgardliwym uśmiechem rozczesywała swe skołtunione włosy, to na spurpurowiałego na twarzy Italczyka, stojącego nad nią i zaciskającego pięści. - Nie przesadzasz aby, chłopie? Zaiste, ktoś zajechał Ruperta de Saint Jerome z boku i nadział go na włócznię, ale chyba nie podejrzewasz...

-
Wiem, co widziałem - warknął Vittorio. - A ty, mój drogi, znowu chyba zapomniałeś, że zacna hrabianka de Grenier jest mistrzynią intryg. Chylę zresztą czoło, droga pani - wykonał parodię ukłonu w jej kierunku. - Co jak co, ale omotanie parobka templariuszy do tego stanu, by przywalił samemu...

-
Nie posuwacie się aby za daleko, dobry rycerzu? - Vivienne odrzuciła głowę i wyszczerzyła drapieżnie zęby. - Zalibyście podsłuchali jakąś moją rozmowę, jakieś słowo niebacznie powiedziane? Ktoś doniósł wam o moich konszachtach z zakonem świątyni? A może aniołowie zdradzili wam mą wielką tajemnicę?

-
Nie drwij ze mnie... - zaczął Italczyk, ale hrabianka niespodziewanie poderwała się i stanęła naprzeciwko niego, ujmując się pod boki, z twarzą otoczoną dziką płataniną kołtunów i z wściekłym spojrzeniem.

-
Jeśli naprawdę uważasz, że knuję intrygi przeciwko wam, udowodnij to! - wrzasnęła z furią, lecz jej spojrzenie niespostrzeżenie umknęło ku Jakubowi, który natychmiast odwrócił

głowę. - Przedłóż dowody, pyskaty synu genueńskiej dziwki!

-
Nie mam zamiaru niczego przedkładać! - parsknął Scozzi.

Tedy po prostu zamilczcie, dobry rycerzu - niespodziewanie odezwał się Adalbert, wstając. Na policzkach byłego kapelana rodu de Baideaux pałały niezdrowe rumieńce. - Bo nie znacie niedoli, w której hrabiance de Grenier przyszło żyć przez długie miesiące. Winnicie jej szacunek i przyjaźń, jak każdemu, kto bosymi stopami przemierzy piekło. Nam dwojgu przypadło to w udziale.

>

Vittorio zasznurował usta i wbił w duchownego złe spojrzenie.

-

Właśnie, coś mi się przypomniało, wasza świątobliwość - wysyczał. - Czyja aby nie jestem wam winien ciosu kijem przez łeb?

-

Nie da się ukryć - uśmiechnął się rozbrajająco Adalbert. - Rąbnąłem was i to tego. Ech, nie pożałowałem sobie, ale dufam, że Bóg mi wybaczy. W końcu On również intrygami się brzydzi, a wy, dobry rycerzu, nie stronicie od nich. Na czyjej to smyczy naonczas podskakiwaliście? Niech no sobie przypomnę...

Atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej. Wychudły, zmizerniały duchowny stał śmiało naprzeciwko wysokiego, barczystego rycerza, kryjąc za sobą wystraszoną nieco dziewczynkę, i wbijał weń hardy wzrok o sile zaskakującej u człowieka tak nikczemnej postury. Italczyk już otwierał usta, by odciąć się Adalbertowi, ale nieoczekiwanie wtrącił się Gaston, unosząc dłoń.

-

Dobrze, dość już tego. Zda mi się, że obaj macie za sobą przeszłość, o której nikt z tu obecnych nie wie, ale nie pora, by ją roztrząsać. Czas, by ułożyć się do snu. Jutro czeka nas ciężki dzień. Adalbercie... Cóż, chciałbym, byś towarzyszył mi choć przez parę minut mej warty.

Mam ochotę zadać ci kilka pytań odnośnie owego piekła, przez które przeszedłeś.

Adalbert wychudł tak bardzo, że właściwie w ogóle nie przypominał człowieka, z którym Gaston przybył do Ziemi Świętej. Jego tonsura dawno zarosła, cera zbrązo-wiała, ramiona stwardniały, utraciły swą niezdarność. Pod palącym słońcem Lewantu spokorniał, ale i zhar-dział, nabrał siły.

Usta, niegdyś rzadko zamknięte, wyrzucające długie, histeryczne listy świętych, teraz były zasznurowane, a oczy, ongiś mdłe, pozbawione wyrazu, patrzyły zdecydowanie, z uporem.

De Baideaux uśmiechnął się lekko i odwrócił głowę ku wyjściu z jaskini, zapatrzył się w mrok, którym nadal rządziła rozszalała burza. Imponowała mu przemiana, jaka nastąpiła w ciele i duszy dawnego towarzysza, lecz z drugiej strony spodziewał się dojrzeć w nim cokolwiek, co przypomniałoby mu o rodowym kasztelu, wilgotnych łąkach czy zapachu świec w miejscowej kapliczce.

Cokolwiek, co pozwoliłoby zapomnieć o udręce chwili obecnej.

-

Rad jestem, że cię widzę - powiedział w końcu. -Całego i zdrowego. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to jeszcze nastąpi.

-

Wątpię, paniczu - szepnął Adalbert. - Wątpię, byś kiedykolwiek w ogóle o mnie pomyślał.

Za co zresztą was nie winię, taki był mój cel. Chciałem, by wszyscy o mnie zapomnieli.

-

Dlaczego? - zapytał rycerz, poruszony szczerością wyznania.

-

Dlaczego? - powtórzył Adalbert i wstał miękko. Niemalże bezgłośnie podszedł do dziewczynki pogrążonej w głębokim śnie i delikatnie nakrył ją kocem. - Chodziło o nią, paniczu.

O to biedactwo, które nagle stało się obiektem zainteresowania wielu możnych tego świata.

Chciałem ją ukryć, ocalić przed pożądlivością wielkich i potężnych, uchronić przed losem wydzieranej sobie z rąk relikwii.

-

Co w niej takiego szczególnego?

Adalbert przez chwilę przyglądał się pozostałym towarzyszom, śpiącym kilkanaście kroków dalej wokół dogasającego ogniska, jakby usiłował dociec, czy wszyscy na pewno pogrążeni są we śnie, czy nikt z nich nie udaje.

-

Ona widzi przeszłość, paniczu - odparł po chwili, ledwie słyszalnym szeptem. - Całą przeszłość. Każdą minioną chwilę od narodzenia Chrystusa, a może i wcześniej. Zadacie jej pytanie, co wczoraj wydarzyło się w Reims czy Marsylii, a ona uśmiechnie się i ujmie waszą dłoń, a wy sami to ujrzycie. Spytacie, gdzie wczoraj był i co robił Salah ad-Din, a pokaże wam wszystko.

-

Na litość boską! - wyszeptał zdruzgotany Gaston, wpatrując się w drobne ciało przykryte derką dla ochrony przed zimmem.

-
Nie będę ukrywał, z początku zająłem się nią tylko dlatego, że targały mną wyrzuty sumienia - ciągnął Adalbert, naraz lekko zaczerwieniony, nie patrząc Gastonowi w oczy. -

Widzicie, paniczu, ja nie ze szlachetności serca namawiałem was do wyjazdu do Ziemi Świętej.

Kłamałem też, mówiąc, że byłem tam wcześniej. Ja... Ja rozkochałem w sobie pewną wieśniaczkę, a kiedy... kiedy nasz grzech zaowocował jej porannymi słabościami, postanowiłem uciekać. Co by ludzie w wiosce powiedzieli, ich ksiądz, kapelan rodu de Baideaux, i chłopka brzemienna za jego sprawą... Niestety, nie znalazłem w sobie odwagi na ucieczkę, stąd też z taką pasją nakłaniałem was do przyjęcia krzyża. Wykorzystałem was, panie. Wybaczcie mi.

-
Nie ty jeden - uśmiechnął się sucho Gaston. - Zaś co do wybaczenia... Nie pamiętasz, że ja swoje też miałem na sumieniu?

-
Pamiętam, ale... Nieważne. - Ksiądz machnął dłonią. - Wiedźcie tylko, panie, że nigdy, przenigdy nie przestałem odczuwać wyrzutów sumienia. Z wielu zresztą powodów." Bolałem nad tym, że okazałem się tchórzem i porzuciłem zbałamuconą dziewczkę. Bolałem, że wyprowadziłem was na manowce, że kłamałem i okazałem się łajdakiem pozbawionym sumienia, paniczu de Baideaux. Wierźcie mi tedy, że poczułem ulgę, wielką ulgę, gdy natknęliśmy się na tę małą. Dzięki jej tajemniczemu darowi mogłem ujrzeć swe własne dziecko, znajdujące się tysiące mil stąd, w deszczowej Pikardii. Dzięki niej przyglądałem mu się niemal dzień po dniu, patrzyłem jak rośnie, uczy się siadać, potem chodzić, wreszcie mówić. Patrzyłem na jego matkę - moją oblubienicę - jak promienieje z dumy i radości, i było mi trochę lżej na sercu. A potem uświadomiłem sobie, że być może boskim zamysłem było, bym dotarł aż tu, do Outremer, spotkał tę dziewczynkę, zajął się nią, uchronił przed złem tego świata.

-
Tym, którzy przybywają do Ziemi Świętej, powinno się tego zabronić - mruknął Gaston.

-
Czego?

-
Tłumaczenia wszystkiego boskimi zamysłami. - Młody rycerz przeciągnął się, aż coś mu strzeliło w plecach. - Cokolwiek by się nie działo, zawsze znajdzie się ktoś, kto wrzaśnie Deus le volt!, podczas gdy mnie wydaje się, że Bóg ma tego pustkowia serdecznie dosyć. Między innymi przez łamanie drugiego przykazania.

Ale to dziecko ma w sobie coś boskiego, paniczu -upierał się kapelan. - I wierście mi, są na tym świecie ludzie, którzy zrobią wszystko, by ją dorwać. Jednym z nich jest Starzec z Gór.

To w jego niewoli przebywaliśmy wraz z hrabianką de Grenier. Gdy... - zająknął się, przełknął z trudem ślinę - gdy przywódca asasynów zabrał dziewczynkę, za sprawą Vivienne udało mi się zbiec z ich twierdzy. Kazała mi ostrzec przywódców frankij-skich. Starzec z Gór planował

bowiem umieścić swych fidai pośród nas, a potem pozabijać ich w jednym ataku. Jestem pewien, że wokół aż się od nich roi!

-

Tak, właśnie widzieliśmy jednego, który przeniknął do zakonu templariuszy - mruknął

zamyślony Gaston. -Ten, co rąbnął Ruperta, musiał być asasynem. Czyli Vivienne, sama będąca w niewoli, wysłała cię, byś ostrzegł naszych przywódców? A potem, jeśli wierzyć Scozziemu, ocaliła mnie przed tym bydlakiem z czerwonym krzyżem, Rupertem de Saint Jérôme?

-

Mówili o niej swego czasu, że serce ma z kamienia, a obyczaje nader lekkie - ciągnął

zamyślony ksiądz.

Możliwe. Wszystko jest możliwe. Ja jednakowoż wiem, paniczu, że gorzko żałowała swych konszachtów z muzułmanami. To bowiem miłość do jednego z nich - emira Ismaila -

zaprowadziła ją do samego piekła. On... On ją bił. Katował, ranił, gwałcił. Nie powiedziała mi tego wprost, paniczu, ale wiem, że musiała spędzić płód.

Gaston z całej siły zacisnął powieki. W ciemnościach ujrzał roześmianą buzię małego Rogera oraz twarz jego matki, jak zwykle tajemniczo uśmiechniętej, i aż zadrżał. Powoli otworzył oczy i spojrzał ku rozesyłanym byle jak derkom, na których spała Vivienne.

„A co, jeśli wszyscy się myliliśmy? - zapytał sam siebie ze strachem w myślach. - Co, jeśli ona naprawdę jest niewinna?”

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Adalbert dalej mówi, tym razem żarliwie i z pasją:

-

...a było blisko. Naprawdę blisko. Wierście mi, paniczu, spędziłem wśród tych szaleńców wiele czasu, poznałem ich sposób myślenia i działania. Starzec z Gór czyha jak śmiercionośny pająk w swoich górach, by tylko uderzyć we właściwym momencie, zatruć swym jadem krew nieprzyjaciół. Ktoś taki jak ta mała - wskazał drżącą lekko ręką - jest dla niego niezwykle cenny.

Z jej pomocą zawsze byłby w stanie wyprzedzić swych nieprzyjaciół, a co gorsza, poznał jej talent

na tyle, iż zdaje sobie z tego sprawę. To ona była powodem, dla którego napadł na komandorię. To ona będzie powodem, dla którego będzie teraz za nami podążał.

-

Uff, jeszcze tego brakowało - pokręcił głową Gaston, całkiem zrezygnowany. -

Adalbercie, czy zdajesz sobie sprawę...

-

Nie możemy dopuścić, by jedno z najpiękniejszych dzieł Boga trafiło w niepowołane ręce

- przerwał mu żarliwie duchowny - Obojętnie, czy to Starzec z Gór, Konrad z Montferratu czy sultan Seldżuków, paniczu. Musimy ją chronić!

Gaston odetchnął ciężko i oparł się o chropowatą skałę.

-

Boże miłosierny, Adalbercie - westchnął. - A niby jak mamy to zrobić? Jest nas ledwie garstka, gonią za nami templariusze i cholerny papieski legat, o wojownikach Salah ad-Dina już nie wspomnę, a zmierzamy do Askalonu, gdzie mamy odnaleźć jakiegoś chędożonego maga i jakimś cudem zmusić go do zdjęcia klątwy z całej tej ziemi. Gdzie tu jeszcze czas na zajmowanie się małą dziewczynką i chronienie jej przed zakusami asasynów?

-

Znajdziecie jakiś sposób, paniczu. - W oczach Adalberta połyskiwała nadzieja. - Wierzę w was. Wierzę z całego serca.

-

Dziękuję - parsknął Gaston. - Wiesz, w chwilach takich jak ta marzę, by te archanioły, o których wygadywałaś dyrdymały jeszcze w kraju, rzeczywiście chodziły po ziemi, szukając zagubionych krzyżowców.

-

Tymczasem archaniołów ani widu, ani słyhu - niespodziewanie odezwał się Anzelm.

Rycerz z Ar-Ramli szedł ku nim cicho niczym leśne widmo, skupiony, z rozjarzonym wzrokiem.

- Czego, niestety, nie da się powiedzieć o ich potępionych kuzynach.

Przyklęknął, wciągnął głęboko powietrze w płuca, przymknął powieki.

-
Adelard z Werony? - zapytał spięty Gaston.

-
Chyba tak - szepnął Anzelm. - Nie jestem pewien, burza przeszkadza...

Bernard podniósł się, zamrugał oczami, obejrzał na wejście do jaskini. Gaston odetchnął głęboko, ze zrezygnowaniem. Nie potrzebował kolejnych zapewnień.

-
Przeszkadza im tak samo jak nam - warknął, podrywając się. - Bernardzie, zgaś ogień!

Bernard uniósł się z posłania, nabrał piachu w ogromne łapska, lecz nagle zamarł, podobnie jak pozostali. Po ścianach jaskini przemknął ogromny, zniekształcony na krzywiznach cień Vivienne de Grenier, która z rozwianymi włosami porwała cały pęk wiązek chrustu i z rozmachem cisnęła je prosto w płomienie.

-
Nie! - wrzasnął Gaston, zaskoczony i przerażony jednocześnie.

Wątle płomyki ożyły w jednej chwili, pożarły wysuszone szczapy, spotężniały, z głuchym trzaskiem sięgnęły po skalne sklepienie, zalewając całą jaskinię oślepiającym blaskiem. Na krótką chwilę ich zaciszne schronienie przeobraziło się w gigantyczną latarnię.

Przez dwa, może trzy uderzenia serca na osmolonej twarzy Vivienne de Grenier malowała się bezbrzeżna nadzieja. Potem spojrzała na Gastona, zrozumiała jego spojrzenie i spuściła wzrok.

Powiedzieć nic nie zdołała, gdyż wówczas trafiła ją głowica miecza Vittoria.

Miniaturowy rubinek na srebrnym pierścieniu hrabianki błysnął przekornie, nim jej dłoń znieruchomiała na ziemi.

Błagały go spojrzenia towarzyszy, zdenerwowanych, zebranych wokół niego przy wyjściu z jaskini. Błagał go wzrok Adalberta, skulonego nad posłaniem rozbudzonej dziewczynki, błagał go dziki skowyt Asmodeusza, ledwie słyszalny w pieśni wiatru.

Nie usłuchał. Wyszedł z jaskini.

Szedł wyprostowany, z lekceważeniem opierając się dzikim podmuchom wiatru, nie zauważając miriad piaskowych grudek atakujących jego twarz. Mrugając co chwila, usiłował przebić ciemności wzrokiem, dostrzec tych, których przybycie zapowiedział Anzelm.

Wreszcie ich zauważył. Nadciągali.

Nadjeżdżali ze wszystkich stron, kierując się prosto na jaskinię znajdującą się ledwie kilkadziesiąt kroków za jego plecami. Czarni na tle nocy, monstualni na swych dorodnych rumakach, tchnęli grozą i potwornością, lecz młody rycerz nie czuł strachu. Zatrzymał się niczym dumny władarz naprzeciwko bandy mizernych wagabundów, usiłujących wtargnąć na jego ziemie, i założył ramiona na piersi. Czekał.

Wiatr przycichł, jakby demony żywiołu poskromiły swą złośliwość, by podsłuchać rozmowę.

Jeźdźcy zamarli niczym nieczułe na burzę spiżowe posągi, tylko jeden z nich podjechał nieco bliżej. Rzucił wodze na kark koński, zeskoczył z siodła i podszedł do oczekującego Gastona.

Uśmiechnął się samymi tylko ustami, oczu, czarnych niczym bezdenne studnia, nie rozjaśnił najmniejszy nawet promyk.

- Niech Bóg wspomaga Grób Święty - oznajmił. - Witajcie, Gastonie de Baideaux. Rad jestem, że... Cóż, że zmądrzałeś.

-

Witajcie, wielbny biskupie - odparł Gaston. - Ja również jestem rad, że zmądrzałem.

Wiem ci już bowiem, kim jesteście i jak mylący może okazać się ornat biskupi czy pierścień legata.

Tym razem czarne oczy Adelarda z Werony błysnęły, być może skrywaną wesołością.

-

No proszę. Znowu mnie zaskoczyłeś. Chodziło mi bowiem o nieco bardziej prozaiczną lekcję, jak choćby to, że przede mną nie warto uciekać, bo to na nic się nie zda.

-

Ach, to akurat oczywiste. - Gaston machnął dłonią. - Przed diabłem nie da się uciec.

Trzeba się odwrócić i stawić mu czoło, co niniejszym czynię. Zatem o co ci chodzi, czarcie?

Zakładam, że nie o nasze dusze, bo te nie są na tyle plugawe, by urządzać za nimi dalekie pościgi. Poza tym, moją mogłeś dorwać jeszcze w Akce, jak sądzę.

-

Słusznie, nie za duszami się uganiamy. - Adelard tym razem uśmiechnął się naprawdę całkowicie rozbijającą. - Szkoda byłoby zachodu, bo te same się do nas pchają i to całymi hordami. Ledwie zliczyć nadążamy.

-
Więc o co chodzi?

-
Naprawdę nie wiesz?

Wichura eksplodowała głośnym „Nieeee!”, z kłębow pyłu na moment uformowała się twarz Asmodeusza, zaniepokojona, wściekła. Adelard z Werony przewrócił oczami i założył ramiona na piersi.

-
A więc chodzi o tę żalną zjawę? - Gaston uśmiechnął się krzywo. - Niewiarygodne...

Czyżby chodziło o konflikt interesów? A może o zwykłą, ludzką zazdrość? Stary upiór rośnie w siłę, strumień duszyczek

się przeredza, warto więc wziąć się do roboty, przepędzić uzurpatora, odzyskać władzę nad utraconym terenem?

-
Naprawdę mi imponujesz, Gastonie - odezwał się Adelard po chwili. - W rzeczy samej, sprowadzają mnie tu kwestie wpływów. Pomimo swej nobliwej nazwy, te ziemie należą do nas, a udowodnili to wszyscy ci, którzy pod pretekstem walki o Grób Święty przybyli tu, by kraść, palić, rabować i nienawidzić. A czy znasz gospodarza, który mimo swego bogactwa pozwala lisowi panoszyć się we własnym kurniku?

Gaston zacisnął zęby, zmrużył oczy, zwilżył językiem wargi, jakby z trudem powstrzymywał

cisnącą mu się na usta odpowiedź. Przez krótką chwilę na jego obliczu malowała się drwina, która przydawała mu niesamowitej pewności siebie.

-
Czego więc chcesz ode mnie, gospodarzu? - parsknął w końcu, patrząc bez lęku w ciemne oczy Adelarda z Werony. - Bym chwycił za pochodnię i wykurzył tego lisa za ciebie?

-
Nie. - Legat uśmiechnął się z pobłażaniem. - Sam nie dałbyś rady, Gastonie, nawet mając dzielnego rycerza de Fidou do pomocy. Chcę ci jednak zaproponować układ.

Umieram z ciekawości, Wasza Wielbność.

-

Nie bierz tego do serca, de Baideaux, ale wiele cię z tym naszym khm... lisem łączy. Nie wiem, jakie były wasze układy przed moim przybyciem do Akki, lecz w chwili, gdy cię ujrzałem, demon zdążył się już nieźle rozgościć w twoim sercu i uczynić je całkiem robaczywym. Wybacz mi, ale musiałem się na ciebie zasadzić i wtrącić do lochu.

-

Wybaczam.

-

Porąbałeś mi trójkę ludzi, nawiasem mówiąc.

-

Ludzi? To żart, Wasza Wielbność?

-

Uogólnienie. W każdym razie, strata była niemała, ale wiedz, że powstrzymałem się od pomsty. Wiedziałem, że tak naprawdę to nie ty ich pociąłeś, a demon, a dla niego wystarczającą karą jest uwięzienie, najpierw w ludzkim ciele, na co sam się skazał, a potem za kratkami, co z kolei zafundowałem mu ja.

-

W istocie go to zabolalo. Do tego stopnia, że postanowił to moje ludzkie ciało powiesić.

-

Wiem - skrzywił się Adelard. - Jak na ironię, na zacnym rycerskim pasie. Przykro mi.

-

Bzdura.

-

Mało w tobie uprzejmości wobec tego, z kim będziesz teraz współpracował - zauważył

cierpko legat. Wichura natarła mocniej, przesłoniła kurzawą szereg jego podwładnych, nadal nieruchomych niczym posągi zagubione pośród pustyni.

-

Po pierwsze, jak dotąd nie wyraziłem na nic zgody. Po drugie, nadal nie wiem, na co miałbym ową zgodę wyrazić.

-

Naprawdę nie wiesz, mimo całej swojej domyślności? - zdumiał się legat papieski i niecierpliwie odgarnął włosy z twarzy. - Nie zgrywaj niewiniątka, de Baideaux. Demon już dawno cię porzucił, ale nadal sporo cię z nim łączy, nieprawdaz? Wiem o wszystkim. Wiem o pierścieniu Salomona. Wiem o czarowniku z Askalonu.

-

Skąd... - zachłysnął się Gaston i postąpił krok naprzód. - Skąd to wszystko wiesz?

Przecież...

Zatrzymał się, jakby niespodziewanie spłynęło nań olśnienie, i gwałtownie potrząsnął głową.

-

Vivienne de Grenier - wyszeptał ledwie słyszalnym głosem.

-

Otóż to - Adelard uśmiechnął się zimno. - Pracowała dla mnie od samego początku. Przy całej swojej domyślności, nie przyszło ci chyba do głowy, by w to zwątpić.

Gaston spojrział w bok i zmełł cierpkie przekleństwo.

-

Dzięki niej poznałem większość rozmów, które toczyliście między sobą - ciągnął biskup.

- Choć trzeba przyznać, że dbaliście o dyskrecję, zupełnie jakbyście nie byli rycerzami.

Nagle zmarszczył brwi.

-

Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że dobry rycerz Scozzi nie wyrządził jej krzywdy?

Zdaje mi się, że od samego początku był wrogo do niej nastawiony.

-

Podarujcie sobie udawanie współczucia - skrzywił się Gaston i ponownie skrzyżował

ramiona na piersi. -Na mdłości mi się zbiera. Znowu, cholera. Wróćmy lepiej do tematu, Wasza

Wielebność. Chcecie więc połączyć nasze siły? Po co?

-

A znasz sposób na zmuszenie owego czarownika, by poskromił demona? - Oczy legata lśniły złym tryumfem.

-

Założmy więc, że się zgodzę. Co nastąpi po okiełznaniu tego bydlaka? Rozejdziemy się, jakbyśmy się nigdy nie spotkali?

-

Nie sądzę, bym znalazł dla ciebie jeszcze jakiś użytek - wydał wargi Adelard. - Mi też zbiera się na mdłości od tej twojej prawości, de Baideaux. Tak, rozejdziemy się.

-

Przysięgasz?

-

Przysięgam.

-

A zatem zgoda - rzekł Gaston i wyciągnął prawicę. I zaraz przymknął oczy, jakby obawiał się, że Adelard z Werony prawidłowo odczyta ich błysk.

Rozdział trzynasty

w którym dobry rycerz vittorio scozzi dochodzi do wniosku, że gorzej już być nie może i jak zwykle popełnia błąd w ocenie

Poczekaj, Gaston - poprosił słabym głosem Vittorio. -Poczekaj, przyjacielu. Daj mi chwilkę, proszę, niech sobie wszystko przemyśle. Tylko chwilkę.

Z tymi słowami opadł ciężko na głaz i zatopił twarz w dłoniach, nie zważając na krwawe szramy pozostawione przez paznokcie odzyskującej przytomność Vivien-ne. Siedział w tej pozycji przez dłuższą chwilę, kołysząc się do przodu i do tyłu, jakby usiłował się dopasować do melodii wichru, który nad ranem wytracił swą siłę i żałośnie poświstywał jedynie na ostrych krawędziach skał. Pozostali krzyżowcy powstrzymali się od jakichkolwiek uwag bądź wyraźniejszych manifestacji. Jakub co chwila unosił wysoko brwi, jakby i on miał problem z przyswojeniem sobie usłyszanych przed chwilą rewelacji, Anzelm kiwał lekko głową, potakując swym własnym myślom, lecz jego wzrok wciąż umykał ku orszakowi legata, czekającemu spokojnie w dole wzgórza. Bernard

marszczył brwi i zacierał dłonie, a Adalbert grzechotał cicho różańcem. Niema dziewczynka myszkowała wśród skał, poszukując czegoś do zabawy.

Na porannym niebie, pośród porwanych wiatrem obłoków, krakały wrony. Poniżej, u wylotu jaskini, w której spędzili upiorną noc, parskwały konie świty biskupa Ade-larda. Gaston, blady pod opalenizną, wycieńczony, ale spokojny, pewny siebie, patrzył po przyjaciółach.

-

Dobra, skoro nikt nie ma nic do powiedzenia, zbierajmy się w drogę - odezwał się w końcu. - Myśleć można równie dobrze w siodle.

-

Poczekaj! - Vittorio podniósł rękę. - Poczekaj. Poukładajmy sobie to wspólnie, dobrze?

Bo mi się to we łbie nie mieści.

-

Zaraz widać, żeś Italczyk - burknął do siebie Adalbert, ale Vittorio nie zwrócił na niego uwagi.

-

Wędrujemy sobie oto do Askalonu, by wytargać za brodę pewnego czarodzieja - ciągnął. -

I nakłonić do tego, aby za pomocą pieprzonego magicznego pierścienia zmusił do posłuszeństwa demona, który w międzyczasie opanował dwa zakony rycerskie. Z uwagi na fakt, że nikt do tej pory nie wpadł na pomysł, jak należy owego maga poskromić, wciągnąłeś, Gastonie, do naszej gromadki demonicznego biskupa z bandą czartów o podpiłowanych rożkach. Kierując się nadzieją, że jak na diabły przystało, dotrzymają słowa i po załatwieniu sprawy nieuczciwej konkurencji z ochotą zmyją się do piekła.

-

Mniej więcej - stwierdził Gaston. - Zapominasz jednak o tym, że...

-

Diabły. - Vittorio machnął kilkakrotnie palcem wskazującym, jakby chciał, aby słuchający dobrze sobie zapamiętali to słowo. - Diabły, zwróćcie uwagę. Nie templariusze, Beduini czy inna hołota, nawet nie uzbrojona po zęby świta papieskiego przydupasa, ale banda z piekła rodem. A diabły, jak pozwolę sobie przypomnieć, to istoty, z którymi nikt, za wyjątkiem Gastona, nie ma szerszego doświadczenia. Aha, byłbym zapomniał. Na dokładkę mamy jeszcze asasynów, którzy wykazują zainteresowanie innym z naszych dóbr.

Przy tych słowach wskazał lekko drżącym palcem dziewczynkę, która znalazła jakiś patyk i rysowała

nim coś na piasku. Ta, jakby czytała w jego myślach, odwróciła się i uśmiechnęła szeroko. Genuńczyk skulił się jak kopnięty w brzuch.

-

Co akurat ciebie nie powinno dziwić - mruknął mściwie Adalbert, zaprzestając na chwilę bawienia się różańcem.

-

Vittorio, ile znasz sposobów na zmuszenie czarodzieja do posłuszeństwa? - zapytał

łagodnie Gaston, ale pulsująca żyła na szyi zwiastowała, że z trudem powstrzymuje irytację.

-

Ani jednego - bąknął tamten. - Ale na pewno jakieś istnieją. Mieliśmy się nad tym zastanowić w trakcie drogi, no nie? Sam mówiłeś...

-

Kiepsko nam to jak do tej pory wychodzi - parsknął Gaston. - Wiem, sam tak gadałem, ale chyba trzeba będzie się pogodzić z tym, że bardziej nadajemy się do prania po gębach niż do obmyślania magicznych intryg. Moim zdaniem lepiej będzie...

-

Przyjąć do kompanii diabła ze sforą cuchnących siarką pomagierów? - zaprotestował

słabo Vittorio. -Najpierw Vivienne, teraz Adelard... Na hufce anielskie, dobrze, że jak dotąd trzymamy się z dala od Behemota i Lewiatana!

-

Skoro już wspomniałeś Vivienne, której obecności nie strawiłeś aż do tej chwili, pozwól, że ci wszystko wyjaśnię - wycedził przez zęby Gaston. - Zdecydowałem zabrać ją nie przez to, że chętnie obdzieliła mnie swymi wdziękami, lecz dlatego, że jak na dłoni widać było, że coś knuje!

Od samego początku było dla mnie jasne jak słońce, że nie przystąpiła do nas z własnej woli, że steruje nią coś lub ktoś. Uznałem więc, że trzeba mieć ją na oku, bo a nuż się zdradzi, a nuż będzie można podrzucić jej nieco fałszywych tropów i zmylić jej pracodawcę.

-

Szkoda, że nie wyszło - parsknął Vittorio. - Ade-lard odnalazł nas bez większych trudności. Gdybyś zostawił tę sukę w obozie, jak należało...

-
Odnalazłby nas tak czy owak - wtrącił nieoczekiwanie Anzelm. - Wybacz, Vittorio, ale miałem okazję poznać go lepiej niż ty. Z Vivienne czy bez niej, znalazłby nas bez trudu.

-
Nie zapomnij też o tym, że dzięki niej wymknęliśmy się templariuszom - podjął znów Gaston. - A ja kosztu-sze. Zaś co do jej współpracy z Adelardem, cóż... Dałbym się obrzezać, że wypaplała mi wszystko, co mogła u nas podsłuchać. Łącznie z tym, że noszę Pieczęć Salomona.

Nagłym ruchem wysunął zza pazuchy pierścień, obejrzał się na nieodległą świtę legata i wcisnął go w dłoń Anzelmowi.

-
Ja też nie wierzę, że po przegnaniu Asmodeusza Adelard odejdzie grzecznie do piekła - wyjaśnił w odpowiedzi na zdumione spojrzenie reszty krzyżowców.

Będzie pewnie próbował zdobyć pierścień dla swoich diabelskich celów, a wie od Vivienne, że należy szukać go u mnie. Warto, by się trochę rozczarował, przynajmniej na tak długo, by ktoś z was zdążył mu przyłożyć toporem w plecy.

Zapadła cisza. Wiatr szarpał połami ich płaszczy, trzepotał strzępami tunik. Brudne przesłony na twarz furkotały wokół ich ust niczym pióra wycieńczonych ptaków.

-
No, wreszcie zaczynam cię rozumieć, przyjacielu - odezwał się do tej pory milczący Jakub. - Przystąpiłeś na układ Adelarda tylko po to, by wykorzystać go do pomocy w pokonaniu Asmodeusza, a potem go zniszczyć? Niech cię Bóg błogosławi, Gastonie.

Vittorio poruszył wargami, jakby powtarzał w myślach słowa zakonnika, smakując je i na próżno szukając w nich drwiny, a potem przyjrzał się jego twarzy i oczom, jak zwykle zimnym.

-
Są chwile, kiedy Gaston wymyśla coś tak pieprz-niętego, że mam wrażenie, iż nic już mnie nie zdziwi - powiedział ze zrezygnowaniem. - A potem odzywa się Jakub i de Baideaux znów wydaje mi się kimś niemalże normalnym.

Jakub, który od czasu nocnych zająć odnosił się do Vittoria z zauważalnym chłodem, smagnął go nieprzychylnym spojrzeniem.

Sęk w tym, że Jakub rozgryzł mnie bez pudła -Gaston nachylił się i klepnął Italczyka w plecy. - Taki w istocie jest mój zamysł. Mam już po uszy tego, że bez przerwy ktoś mnie goni lub mną steruje. Koniec tego.

Trzeba wykorzystać naszego czarta ad gloriam Dei, a potem wbić mu nóż między żebra. Też ad gloriam Dei.

-

Takie to proste? - Vittorio otworzył szeroko oczy i pokręcił głową. - Rach-ciach-ciach i po diable?

-

Nie wiem. - Gaston odwrócił się ku zaskoczonemu Adalbertowi. - Na szczęście, do naszej krucjaty dołączył duchowny, a któż ma wiedzieć lepiej, jak sobie radzić z nieczystym?

-

W końcu nie różni ich aż tak wiele - mruknął yittorio.

Odjazd Vivienne de Grenier odbył się w absolutnej ciszy, wśród ukradkowych, niechętnych spojrzeń. Siedziała na siodle sztywno, wyniośle i patrzyła nad głowami szykujących się-do drogi krzyżowców. Płócienna przesłona, którą starannie owinęła twarz, nie zakrywała ogromnego siniaka na prawym policzku, pozostawionego przez głowicę italskiego miecza. Poza biskupem Adelardem, który podjechał do niej i życzył szczęśliwej podróży, nie pożegnał się z nią nikt.

-

Dufam, że bezpiecznie dotrzecie do Tyru, miła pani - powiedział swym aksamitnym, dostojnym głosem. Na czarnym rumaku, w pysznej kolczudze przykrytej płócienną jaką bez emblematów, bynajmniej nie wyglądał na sługę Kościoła, a bezlitosny błysk w oku do końca rozwiewał to przekonanie. - I ja tam zmierzam, gdy tylko wypełnię swą misję. Porozmawiamy wtedy o wypełnieniu mojej części umowy.

-

A ja dufam, że Wasza Świątobliwość będzie o niej pamiętać - odparła Vivienne zduszonym głosem. - Podróżowanie w towarzystwie tych... dzielnych rycerzy nie było dla mnie przyjemnością.

-

Popatrz - syknął Vittorio do Anzelma, naciągając popręg. - Myślałem, że chociaż Gaston jej wygodził...

-

Rozumiem - skinął głową duchowny. - Będzie wam to wynagrodzone, hrabianko.

Pozwólcie, że przydzielę wam dwóch z moich ludzi jako eskortę. Wierzcie mi, że wystarczą.

-

Dufam. I pozwalam - odparła sztywno Vivienne. -A teraz wybaczcie, muszę ruszać w drogę. Póki sytuacja jest jeszcze... dogodna.

Z tymi słowami dotknęła piętami końskich boków. Jej wzrok znad zakurzonego, brudnego czadoru odnalazł jednak Vittoria, wciąż zmagającego się z siodłem. Przejeżdżając obok niego, gwałtownie szarpnęła za wodze. Koń znalazł się tuż za plecami Italczyka, który odwrócił się zaskoczony.

Solidny kopniak Vivienne trafił prosto w jego szczę-

kę.

-

Mam nadzieję, że cię jeszcze kiedyś zobaczę - syknęła. - Marzę o tym, by dokończyć sprawę.

Niespodziewanie wokół wodzy jej konia zacisnęła się silna, ogorzała dłoń Anzelma.

-

Ja też - wycedził rycerz-odmieniec. W jego spojrzeniu kryła się chłodna obietnica.

Biskup Adelard przyglądał się scenie bez emocji. Po chwili bez słowa popędził konia, a jego czterech zbrojnych bez słowa ruszyło za nim na tyle wolno, by grupka rycerzy mogła bez trudu nadążyć ich śladem. Jakub obrzucił rozbawionym spojrzeniem ich plecy, niknące w kurzu.

-

I tak oto dzięki kurtuazji biskupa mamy tylko czterech diablích pachołków do rozwłóczenia - stwierdził. -Z boską pomocą powinno się udać.

-

Jasne - parsknął Gaston, wskakując na konia. -Tylko i wyłącznie z boską pomocą.

Ostatnim razem we czterech ledwie daliśmy radę jednemu.

-

Trzeba się teraz solidniej pomodlić - stwierdził z powagą były szpitalnik. - No, Scozzi, wstawaj. Poję-czysz sobie w siodle.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że w słowach Jakuba zabrakło żartobliwości.

Trudno powiedzieć, czy sprawił to kopniak Vivienne, czy wnioski, do których doszedł przed

kopniakiem, w każdym razie Yittorio Scozzi popadł w najgorszy ze swoich nastrojów.

Szczęściem, w podobnym usposobieniu znajdował się Adalbert i obaj pograżyli się w zacieklej, całkowicie niepoahamowanej kłótni. Ich spór zahaczał o najrozmaitsze tematy, niemniej Vittorio nieodmiennie powracał do kwestii pazerności i dwulicowości Kościoła, co Adalbert z równą zaciekłością zestawiał z chciwością Italczyków. Zaangażowanie i dobór słownictwa jasno sugerowały, że kłótnia nie jest zwykłym przekomarzeniem się, a echem jakiegoś dawnego, nierozstrzygniętego sporu, który zalega im w sercach niczym trujące krople rtęci.

Podróż nie zapowiadała się na łatwą. Trakt był nieuczęszczany, ale za to wąski i kamienisty, a biskup Werony narzucił ostre tempo. Szerokie plecy jego zbrojnych co rusz nikły w pyle wzbijanym przez kopyta potężnych koni. Co gorsza, mimo że był październik, burzowe chmury rozpędziło mordercze słońce, jakby po raz ostatni chciało przypomnieć wędrowcom, kto jest niepodzielnym władcą tych ziem. Pomimo żaru, Adalbert i Vittorio z pasją darli koty.

-

Lecz dla Kościoła granica między światem chrześcijańskim a muzułmańskim jest jasno wytyczona i nieprzekraczalna! - krzyczał zaczerwieniony ksiądz. - Słudzy Kościoła nie spiskują z wrogiem, nie paktują z nim, nie zdradzają!

-

Oskarżasz nas o zdradę? - parsknął z niedowierzaniem Vittorio. - Nas, Italczyków? A słyszałeś kiedyś o Boemundzie z Tarentu i jego bratanku Tankredzie, bez których pierwsza z krucjat zakończyłaby się wstydem i rozpaczą? Widziałeś bandery flotylli, które wspierały walczących pod Akką? Przysłuchałeś się, jaką mową posługują się świty baronów syryjskich czy choćby rycerze szpitalnicy?

-

Przysłuchiwałem się - warknął Adalbert. - I wciąż twierdzę, że najczęściej ją słyhać na ulicach miast, w wygodnych dzielnicach znajdujących się z dala od wojny i obdarzonych tyłoma przywilejami oraz prawami, że Żydzi z rozpaczyny włosy wydzierają sobie z bród!

-

Ciekaw jestem, ile wieków jeszcze upłynie, nim moi rodacy osiągną połowę tego, co Kościół!

-

Jak tak dalej pójdzie, nie będzie wkrótce Kościoła! - wrzasnął ksiądz, aż siedząca przed nim dziewczynka obejrzała się nań z przestachem. - Bo w zaciszu tych waszych cholernych, wielce uprzywilejowanych dzielnic wykuwacie stal! Miecze, hełmy, kolczugi, Bóg jeden wie, co jeszcze! I błogosławiłbym was za to pod niebiosami, gdybyście tylko lwiej części Saracenom nie sprzedawali!

-

Lwiej części? Gdyby w tych waszych klasztorach było mniej brewiarza, a więcej arytmetyki, doszedłbyś, tłuszciochu nieodżałowany, do wniosku, że...

-

Nawet cholerni asasyni mieli noże kute w Mediolanie! Nie ma w tym zdrady? Nie ma...

Jakub niespodziewanie kopnął konia piętami i puścił się w ostry cwał. Słońce połyskiwało na jego hełmie, gdy przybliżał się do orszaku biskupa, unosząc się na warkoczu pyłu.

-

A to ciekawe - stwierdził Anzelm. - Jakub woli towarzystwo diabłów od waszego. I w sumie mu się nie dziwię. Prawda, Gastonie?

Odwrócił się przez ramię, lecz młody Pikardyjczyk pozostawał mocno w tyle. Jechał niespiesznie, wpatrzony w kamienie pod końskimi kopytami, zamyślony, o znękanej twarzy.

Anzelm nie powtórzył żartu i sam pochylił lekko głowę.

Podróż trwała nadal. Słońce przemierzało swój codzienny trakt, a jego tarczę od czasu do czasu przecinał malutki punkcik.

Sęp.

Myśli Gastona były ciemniejsze od najmroczniejszej godziny zimowej nocy. Ze wszelkich sił

próbował przywołać wyobrażenie Sary, napawać się ciepłem wspomnień, lecz znikło zbyt szybko, rozplynęło się wśród dzikich, chaotycznych trosk i zmartwień. Ścigało go wspomnienie ciemnego spojrzenia biskupa i desperackiej, niemalże zwycięskiej walki, jaką stoczył z nimi jego zbrojny. Truła go pamięć o Vivienne, a wspomnienie jej zdrady oraz własnego zaufania paliło go do żywego i przepełniało wstydem. Przeszywała dreszczem myśl o jutrze, o dotarciu do Askalonu i konfrontacji z potężnym czarodziejem.

Jakaś niejasna, ledwie wyczuwalna świadomość podpowiadała mu, że dzieje się coś, na co nie ma wpływu, coś niezmiernie istotnego, dotyczącego jego samego. Wzrokiem Gaston umykał ku dziewczynce dosiadającej tego samego konia co Adalbert, by za chwilę znów go spuścić.

Adelard nie miał prawa dowiedzieć się, kim jest ta mała, ani też jaką moc skrywa. Nie miał prawa.

Gaston jechał dalej, coraz bardziej nerwowy i niespokojny. Zrywał z głowy kaptur kolczy, ocierał czoło, zakładał go ponownie. Przeklinał i spluwał, podnosił do ust bukłak i pił łapczywie, żałując, że nie jest to wino. Patrzył ku niebu, pozwalał koniowi iść własnym tempem, znów przeklinał.

Martwił się, jak nigdy dotąd.

Nic więc dziwnego, że Vittoria zauważył dopiero wtedy, gdy ten zrównał się z jego koniem.

Przyjrzał się uważnie współtowarzyszowi. Wysoki Italczyk był brudny, jego doskonała zbroja również ucierpiała podczas burzy piaskowej, lecz on sam dla odmiany wyglądał na niezwykle zadowolonego z życia. Gaston, który jeszcze przed chwilą słyszał strzępy kolejnej fazy jego wścieklej kłótni z Adalbertem, ze zdumieniem spojrzał mu w oczy, skrzące się jak rzadko kiedy.

-

Co się dzieje? - zapytał niechętnie, mrugając oczami. Drobiniki piasku, które uwięzły w kącikach, natychmiast zaczęły palić i szczypać. Gaston instynktownie przetarł je dłonią w skórzanej rękawicy, czym jeszcze pogorszył sytuację.

-

Sporo - oznajmił z humorem Italczyk. - Adalbert myśli właśnie, jak uzasadnić dziesięcinę, Anzelm drzemie w siodle, Jakub przyłączył się do diabłów, a legat pędzi, jakby go cały sobór z kropidlami ścigał. Bernard zaś co chwila marszczy brwi i wydyma wargi. Co mu jest? Wzdęło go?

-

Może. Choć zazwyczaj to oznacza, że zaraz wyrwie komuś flaki i owinie je sobie wokół głowy.

-

Aha - stwierdził miękko Vittorio. - To może ja przez jakiś czas nie będę rzucał się w oczy?

-

Nie zaszkodzi. A jeśli chodzi o rzucanie się w oczy, wywaliłeś ów diabli łeb?

-

Nie - odparł Genuńczyk, tym razem bardziej zdecydowanie.

-

Jasna cholera - westchnął ciężko Gaston. - Czy tobie brakuje wyzwań w życiu, Vittorio?

Wiesz, co się stanie, jak jego przewielebność zorientuje się, że taszczysz w worku trofeum przypominające łepetynę jego zaginionego podwładnego?

-

Nic. - Italczyk wzruszył ramionami. - Oni wiedzą.

-

Co? - Gaston otworzył szeroko oczy. - Jak to? Skąd?

-

Pamiętasz wczorajszą interwencję Vivienne? Kiedy to dorzuciła chrustu i ściągnęła nam tę piekielną czeredę na karki? - zapytał Vittorio z chytrym uśmiechem. - Otóż po tym, jak ją ogłuszyłem, uznałem, że Pan Bóg nierychliwy, ale warto, by i człek śmiertelny ją pokarał.

I tak to ściągnąłem jej z palca to. W ramach odszkodowań.

Na dłoni Italczyka, skrytej w skórzanej rękawicy, leżał srebrny pierścień z miniaturowym, rubinowym oczkiem.

-

Jesteś podłym padlinożercą - oznajmił sucho Gaston.

-

Sam też tak o sobie myślałem, choć nie bez pewnej dumy, aż do dzisiejszego poranka, kiedy to bawiłem się owym cackiem i przez przypadek wycelowałem go w biskupią świtę. I nagle usłyszałem ich rozmowy, jakby gadali tuż przy mnie. To cacko jest magiczne, Gastonie.

Cudownie magiczne! Dzięki niemu da się usłyszeć wszystko, co mówią w zasięgu twego wzroku!

-

A więc to stąd wiedziała o wszystkim, co mówimy... - jęknął de Baideaux. - O czym gadali?

-

No, jeden z nich powiedział, że nasze juki cuchną diablím ścierwem. Adelard odrzekł, że wie, ale to niewłaściwy moment na wywlekanie podobnych spraw, a jeśli chce się pocieszyć, to niech sobie przypomni chwilę, gdy ubijali tego wśacza z zieloną tarczą. I to jest właśnie sprawa, którą chciałem z tobą obgadać.

Wesoły ton w głosie Vittoria nagle zniknął, a zastąpiła go powaga.

-

Słuchaj, czy ty ostatnio widziałeś gdzieś Zielonego Rycerza? - pytał przyciszonym głosem. - To może być tylko przeklęty zbieg okoliczności, ale przyznam szczerze...

Urwał. Bładość na twarzy Gastona, doskonale widoczna pomimo opalenizny i brudu, była aż nadto wymowną odpowiedzią. Młody Pikardyjczyk odwrócił spojrzenie i przez dłuższą chwilę przyglądał się błękitnemu, prażonemu przez bezlitosne promienie słońca niebu i łagodnym, spiłowanym przez wichry szczytom wzgórz. Niespodziewanie odniósł wrażenie, że dostrzega wśród nich jakąś ciemną sylwetkę i przymknął oczy.

-

To nie jest zbieg okoliczności - powiedział w końcu grobowym głosem. - Tak się złożyło, że nie mieliśmy kiedy o tym pogadać, ale... Ale Zielony Rycerz nie żyje. Wraz z Anzelmem natknęliśmy się na jego grób. Wygląda na to, Vittorio, że zostaliśmy wplątani w wojnę, przy której kruczata króla Ryszarda przypomina zwykłą bijatykę na kije.

-

Niebo, piekło i demony - Genuńczyk wypuścił ze świstem powietrze z płuc. - Kiepskie towarzystwo dla śmiertelników.

-

Ano, kiepskie. Ale pamiętaj, dla nas również to niewłaściwy moment, by podobne kwestie wywlekać. Schowaj ten swój pierścień i milcz jak zaklęty, ewentualnie kłóć się z Adalbertem, byleby ciszej. Trzeba ukryć to, co wiemy, i czekać na łut szczęścia, bo w tym cała nasza nadzieja.

-

Lub w Bernardzie. Założę się, że wystarczyłaby jego mina, by sam Lucyfer poczuł szczyry niepokój. A swoją drogą, dupa mnie już boli. Nie zatrzymalibyśmy się gdzieś na chwilę?

-

Zatrzymamy się niedługo. Przy ruinach karawan-seraju.

Minęła dłuższa chwila, nim Gaston uświadomił sobie, co właśnie powiedział. W międzyczasie Vittorio znużył się już milczeniem z jego strony i odbił do przodu, by podjąć spór z Adalbertem, nie było więc z kim podzielić się odkryciem. W każdym razie, nigdzie w zasięgu wzroku nie widział żadnych ruin, a tymczasem przekonany był, że niedługo je ujrzą.

Co więcej, miał pewność, że wcześniej ujrzy również wyschnięty zagajnik akacjowy z kilkoma zapomnianymi grobami pośród poskręcanych pni, ruiny glinianych chat, strzaskanych najprawdopodobniej impetem burzy oraz wyschniętą studnię, którą ktoś zwieńczył czaszką konia.

Wszystko się zgadzało z tym wyjątkiem, że czaszka leżała teraz na piachu, jakby strącona podmuchem wiatru.

Pomimo upału Gaston czuł, jak jego ciało przeszywają lodowate dreszcze. Od chwili przybycia do

Ziemi Świętej nigdy nie dotarł dalej na południe niż do Tyru i nie było po prostu szans, by kiedykolwiek wędrował tym traktem. Tymczasem jego pamięć uporczywie i nieomylnie odsłaniała kolejne fakty, których nie powinien był poznać. Wstrząśnięty i coraz bardziej zaniepokojony, popędzał konia, aż minął Anzelma, Adalberta, Bernarda oraz Vittoria i znalazł się w połowie drogi między grupką krzyżowców a świątą biskupa Werony. Gnał, jakby łudził się nadzieją, że to wszystko jest tylko koszmarem zbiegiem okoliczności i za którymś razem zdradliwa pamięć zawiedzie, odsłoni fałszywy fakt.

Zawiódł się. Droga prowadziła na szczyt niewysokiej przełęczy, wciąż przesłoniętej resztkami kurzawy pozostawionej przez kopyta diablich koni, a z góry dojrzał zrujnowany karawanseraj, wyglądający dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Resztki murów ledwie wystających z piaskowych wydm, kilka chylących się ku ruinie zabudowań oraz samotna studnia otoczona kilkoma palmami kołyszającymi się lekko na wietrze. Któryś z pachołków biskupa już się przy niej krzątał, pozostali zsiadali z koni i prowadzili je ku największej z szop.

Gaston przymknął oczy.

- Byłem tu wcześniej - szepnął do siebie. - Nie wiem kiedy, nie wiem dlaczego, ale byłem.

Tu, na szczycie przełęczy, lekkie tchnienie zefiru łagodziło mordercze promienie stojącego w zenicie słońca. Gaston przymknął oczy i czekał cierpliwie, aż usłyszał stukot kopyt i chrapliwy głos Adalberta ciągnącego kłótnię ostatkiem siły woli i przy malejącym zainteresowaniu Vittoria.

Bez słowa razem zjechali w dół, odprowadzani bacznymi spojrzeniami kołujących w górze sępów, wpatrzeni w studnię z życiodajną wodą i rudery z równie życiodajnym cieniem.

Podobnie jak inni, Gaston również patrzył tylko przed siebie, w każdym razie starał się. Bo ciemnej postaci, która mignęła wśród wyszczerbionych od działania żywiołów skał, zignorować nie mógł.

I wtedy zrozumiał kolejną rzecz.

W czarnym nastroju dojechał do ruin i zatrzymał konia tuż obok zagrzebanej w piachu kolumny, na której siedział Jakub. Ten, znużony i spocony, uniósł wolno rękę na powitanie, ale wycieńczony upałem Gaston nawet tego nie dostrzegł. Zsunął się wolno z siodła i zataczając się lekko, podszedł do studni, by z niemalym trudem wrzucić do środka przywiązane do sznura wiadro. Z ulgą powitał zbawczy plusk, ale wyciągnięcie pełnego naczynia okazało się ponad jego siły. Wreszcie z pomocą przyszli Bernard z Jakubem i razem, wspólnymi siłami, wciągnęli ceber na górę. Woda była błotnista i cuchnęła, lecz znużonym wędrowcom smakowała lepiej od najbardziej wykwintnego z win. Wypili łąpczywie całą zawartość wiadra i natychmiast wrzucili je ponownie, by już szybciej i zwawiej wyciągnąć je ponownie. Siły wracały szybko, wysuszone upałem ciała ponownie nabierały wigoru, rozjaśnione umysły na powrót zarejestrowały obecność demonicznych towarzyszy.

Gaston obejrzał się przez ramię i omiół wzrokiem biskupich zbrojnych, którzy siedzieli niewzruszenie, w cieniu rzucanym przez zniszczone szopy, niczym niebezpieczne, przyczajone gady czyhające na zdobycz. Ich ciemne, nieruchome oczy napawały lękiem, stąd też Pikardyczyk bez wahania wskazał najdalsze z zabudowań, wsparte o zrujnowany mur do połowy zasypany sytkim,

żółtawożółtym piachem. Nie oglądając się za siebie, krzyżowcy ruszyli w tamtym kierunku - pierwszy Bernard prowadzący konia swego oraz Gastona, za nim Anzelm z Jakubem i wreszcie Adalbert słaniający się na nogach, ziewający, ale nieprzystający się oglądać za swą podopieczną. Dziewczynka zaś, całkiem nieświadoma mrocznych spojrzeń diabłów, tańczyła wokół studni z przymkniętymi oczyma, pozwalając, by słońce opromieniało jej ciemną, przybrudzoną buzię.

Vittorio wyciągnął kolejny kubeł wody i wylał sobie jego zawartość na głowę, po czym potrząsnął nią z zachwytem i prychnął głośno. Potem zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad jakimś kluczowym problemem i nie umiał go ubrać w słowa, po czym wypalił po prostu:

-

No i co? Wymyśliłeś coś?

-

A o co ci chodzi? - zapytał ze zmęczeniem Gaston. - O to, jak odesłać naszych nieczystych przyjaciół z powrotem do piekła? Czy może jak wytargać za brodę owego czarodzieja?

-

No, obojętnie. Miałeś tak zadumaną minę na trakcie, że wolałem nie przerywać.

-

To pozory. Wciąż nie mam żadnych rozwiązań, tylko nowe zagadki.

-

De Baideaux! - huknął ktoś od strony szop, które zajęły diabły. Legat papieski szedł ku nim swym zwykłym, sprężystym krokiem. Na jego twarzy nie było widać śladów znużenia, a na czole najmniejszej nawet kropelki potu. Gdyby nie przykurzone ubranie, nie byłoby znać, że przebył wraz z rycerzami kilka mil pylistym, trudnym traktem.

-

De Baideaux, radzić nam trza! - zawołał biskup. Wystraszona jego głosem dziewczynka poderwała się i przebiegła tuż pod jego nogami, by wpaść w ramiona niespokojnego Adalberta.

-

Cóż to znowu! - odskoczył przestraszony gwałtownym ruchem Adelard. - A, to dziecko.

-

To ci dopiero - wyszczerzył zęby Vittorio. - Gdybym Waszej Świątobliwości nie znał, pomyślałbym, żeście się najnormalniej w świecie wystrachali!

-
Naprawdę twierdzicie, że mnie znacie? - zdumiał się z lodowatym chłodem Adelard i dłonią przygładził czarne włosy, rozwichrzzone od wiatru. - Niesłychane. A nawiasem mówiąc, co z wami robi to dziecko? Nigdy wcześniej nie widziałem zbrojnego orszaku, który przygarnia sieroty.

-
To nie my, a ten klecha - ciągnął Vittorio z paskudnym uśmiechem. - Rżnie ją po nocach, że aż spać się nie da. To grzesznik nie lada, wasza przenajświętszość. Jak już załatwicie wszystkie te swoje ziemskie sprawy, bezwzględnie musicie zabrać go ze sobą do piekła.

-
Skoro to klecha, to prędzej czy później sam tam trafi - ocenił Adelard. - Szkoda fatygi.

Mniejsza zresztą o to, o ziemskich sprawach gadać z wami chciałem. W tym tempie za dwa dni będziemy w Askalonie.

-
W tym tempie, jakie wasza przewielebność była łaskawa narzucić, za dwa dni wszyscy ducha wyzionimy - rzekł sucho Gaston. - Jesteśmy tylko śmiertelnikami. Musimy pić, jeść i odpoczywać, chce nam się spać, dręczy nas upał, a italską część mojej kompanii boli tyłek.

Tymczasem każdy z nas marzy, by do Askalonu dotrzeć i wypełnić zobowiązania.

-
Obalę więc powszechnie panujący mit i okażę wam miłosierdzie - uśmiechnął się czarująco Adelard i uklonił lekko. - Pojedziemy wolniej, oszczędniej. Nikt bowiem nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i do czego przydadzą się wasze mężne ramiona.

-
Nikt? - zdumiał się Gaston. - Byłem przekonany, że Wasza Świątobliwość ma plan.

-
Mam. Bardzo prosty. Wy, jako mniej rzucający się w oczy, wjedziecie do miasta i odnajdziecie czarownika. Wówczas my zmusimy go do posłuszeństwa.

-
To takie proste? - uniósł brwi Pikardyjczyk. - Nie ubliżając wam, wielebny biskupie, ale z tego co wiem, ów czarownik to niezły sukinsyn.

-
Są rzeczy, których boją się nawet najgorsze sukinsyny - rzekł Adelard.

Niespodziewanie powietrze zgęstniało, blask słońca przygasł, utracił kolory, świat zalał cień.

Twarz Adelarda przeszła niezgłębiona ciemność, a oczy, już nie ludzkie, lecz kocie, przymrużone, ziały lodem. Osłupiali krzyżowcy patrzyli na ów przerażający widok, niezdolni wykonać żadnego ruchu czy wypowiedzieć choćby jednego słowa.

-
Nawet najgorsze - powtórzył, a jego głosowi zawtórowało echo ledwie słyszalnego wrzasku, aż kipiącego od przerażenia.

I nagle wszystko znikło. Znowu prażyło słońce, konie chłeptały wodę podawaną przez Bernarda, dziewczynka ustawiała kamyki, wokół bzycały muchy. Adelard uśmiechnął się, tym razem po ludzku.

-
Wystarczy, że go znajdziecie - dodał.

-
To nie będzie trudne - odrzekł Gaston prawie normalnym głosem. Legat uklonił się lekko i ruszył ku swoim towarzyszom, wciąż nieruchomym niczym człekokształtne gady sycące się blaskiem słonecznym.

Vittorio przełknął ślinę.

-
Jesteś pewien, że Adalbert znajdzie sposób na coś takiego? - wykrztusił oszołomiony.

-
Już nie - szepnął Gaston i chwycił przyjaciela za ramię. - Słuchaj, jest jeszcze coś. Po drodze kilkakrotnie widziałem Asmodeusza.

-
Cudownie. Przekazałeś mu, że tylko jego tu nam brakuje?

-
Przestań drwić i posłuchaj. Z tego, co wiem, ten demon jest bezsilny w naszym świecie, musi wysługiwać się śmiertelnikami, których przeciągnie na swą stronę i zmusi do posłuszeństwa. Ale gdy

tego zapragnie, potrafi również wejść w ciało śmiertelnika i całkowicie je opanować. Raz już mu się ta sztuczka udała, ze mną. Jestem pewien, że wie, dokąd zmierzamy i co planujemy. Byłby więc głupcem, gdyby nie skorzystał z tej szansy raz jeszcze.

-

Do czego zmierzasz? - spytał czujnie Vittorio.

-

Cóż, Anzelm jest zbyt hardy i nie ulega pokusom, podobnie Bernard. Adalbert jest zbyt oddany tej małej, by myśleć o czymkolwiek innym, a Jakub jest najpobożniejszym z nas. Tak więc...

Gaston nagle się zmieszał i zarumienił pod baczny wzrokiem Italczyka, który parsknął krótkim, szyderczym śmiechem i klepnął go w ramię. '

-

Rozumiem - stwierdził z ironią. - Jako człowiek niezrównoważony i marzący o majątku do tego stopnia, że taszcę diabli łeb w worku, jestem najlepszym kandydatem na nową ofiarę naszego tajemniczego prześladowcy. Tylko patrzeć, aż Asmodeusz wskoczy w moje przeżarte grzechem italskie ciało. Dziękuję za ostrzeżenie, Gastonie. Nie zapomnę o kilku zdrowaśkach na tę okazję przed snem. A tymczasem pozwolisz, że okażę słabość mego ducha w nieco inny, choć korzystny dla nas sposób. Spójrz.

Dłonią w rękawicy wskazał drobną kurzawę na horyzoncie, z przeciwnej strony niż ta, z której przybyli.

-

To z pewnością miejscowi, może Arabowie lub Be-duini - ciągnął. - Skoro mamy przepatrywać Askalon na życzenie jego świątobliwości, powinniśmy się upodobnić do jego mieszkańców. Sądzę, że jadący ku nam z wyrozumiałością podejną do prośby wymienienia się ubraniami.

Beduińscy kupcy z początku wcale nie okazali zrozumienia, ale gdy widok uzbrojonych po zęby, ogorzałych fran-kijskich rycerzy odebrał ducha bojowego ich pachołkom, spróbowali negocjacji.

Gdy zaś Vittorio płynnym arabskim wytłumaczył im, że chodzi tylko o odzież, skwapliwie obdzielili Franków, czym tylko ci chcieli, zmuszając niektórych spośród swoich żołnierzy do rozebrania się niemal do naga. W trakcie wymiany kilku z nich jakby od niechcienia poprawiało płachty kryjące kosze przytroczone do wielbłądzich garbów, które, zważywszy na ostre zapachy, z pewnością zawierały przyprawy warte fortunę. Zapach ten nie uszedł uwadze Vittoria, który zachęcony sukcesem już chciał przystąpić do drugiej fazy negocjacji, ale jego zapal ostudził

Gaston - podszedł doń i położył mu dłoń na ramieniu.

Kwadrans później grupka krzyżowców oraz demoniczna świta papieskiego legata opuściły

podekscytowanych, trajkoczących głośno Beduinów, ciągnących swe ryczące wielbłądy w kierunku studni. Ruszyli w stronę nadal odległego Askalonu.

Zgodnie z obietnicą Adelarda, nie forsowali tak mocno rumaków. Minęły już najgorsze godziny południa, ale upał nadal panował nieznośny, przez co w drużynie panowało niemalże całkowite milczenie. Jedyne Vittorio próbował podjąć kolejną fazę kłótni z Adalbertem, lecz były kapelan rodu de Baideaux zbył go kilkoma siarczystymi przekleństwami. Jechali w milczeniu, strojni w przybrudzone burnusy, wystrzępione płaszcze i w turbany okalające hełmy, zbrojni w saraceńskie miecze i włócznie, z wyglądu i spojrzeń przypominając tych, którzy przybywszy do Ziemi Świętej, zarzucili swą wiarę na rzecz muzułmańskiego złota. Sunęli jałowym traktem, niewzruszeni niczym zatwardziali grzesznicy, ponurzy jak wyrzut sumienia. Kopyta grzmiały, pył unosił się aż po przymrużone oczy, jaszczury i żmije smyrgały wśród skał, po niebie niósł się krzyk jastrzębi, przeciągły, pełen przerażenia.

-
Iblis! - wyszeptały usta starego imama, który wypełził ze swojej chatki, zwabiony tętentem kopyt.

-
Iblis! - niosło się w rzeniu koni, szczęku oręza, łopocie płaszczy.

„W niezłym towarzystwie przyszło mi kończyć mą własną krucjatę” - myślał z przygnębieniem Gaston.

Na szczęście, Askalon znajdował się coraz bliżej, de Baideaux był tego pewien. Znał z nazwy każdą z mijanych wiosek, ku swej zgrozie rozpoznawał co bardziej charakterystyczne z mijanych wzgórz, potrafił nazwać wiele ruin, odnalazł nawet bezpieczny bród w na poły wyschniętej rzece pełnej krokodyli. Owa pamięć, której nigdy się nie spodziewał, ciążyła mu jednak bardzo, zwiastowała fakty z jego życia, których nie był świadom, a przeczucie mówiło mu, że wiążą się z nią kolejne grzechy. Z każdą pokonaną milą coraz głębiej popadał w przygnębienie, a gdy wreszcie powietrze ostygło i nabrzmiało zapachami nadchodzącej nocy, zsunął się z siodła, rzucił

wodze Bernardowi, szarpnięciem uwolnił derkę i ułożył się wprost na ziemi, nie zważając na zdumione spojrzenia i pytania przyjaciół. Chciał po prostu zapaść w sen, uwolnić się od rozmyślań, wątpliwości i dylematów, otulić się wspomnieniem Sary i odpłynąć w niebyt, choćby na kilka godzin.

Co udało się niemalże od razu, gdy tylko odepchnął krzyczące wspomnienie Asmodeusza.

Przebudziło go silne szarpnięcie.

Natychmiast otworzył oczy i uniósł się na łokciu. Ogromny kontur przesłaniający rozgwieżdżone niebo należał do Bernarda, tego był pewien, nie miał jednak pojęcia, co się dzieje.

-

Niebezpieczeństwo? - spytał szeptem, sięgając instynktownie po miecz.

Giermek rozłożył bezradnie ręce, ale jego oczy połyskiwały dzikim strachem, a wokół ust co chwila wykwitał nowy kłęb pary, co świadczyło o przyspieszonym oddechu. Gdzieś w oddali rżały dziko spętane konie, pozostawiony na warcie Vittorio drzemał przy dogasającym ogniu.

Palec giermka wskazał jedno z ciał wokół ogniska, dygoczące i zwijające się, jakby targały nim konwulsje.

-

To Jakub! - oprzytomniał Gaston i zerwał się na nogi, w jednej chwili strząsając z siebie resztki snu. Natychmiast znalazł się przy posłaniu szpitalnika, klęknął przy nim, złapał go za rękę. Była zimna jak lód, choć czoło upstrzyły kropelki potu. Nieprzytomne oczy patrzyły w niebo, chore, nic niewidzące, a usta wymawiały niesłyszalne słowa.

-

Jakubie, co się dzieje? - zawołał z przestrawieniem, tuląc jego dłoń. - Słyszysz mnie?

-

Nie... - jęknął głucho szpitalnik i wygiął się, jakby przeszył go paroksyzm bólu. - Na Trójcę Świętą i Jana Chrzciciela, na wszystkie sakramenty, odstęp...

-

Odsuń się, de Baideaux! - warknął niespodziewanie Adelard z Werony.

Gaston zerknął przez ramię. Legat papieski, ogromny, wyolbrzymiony mrokiem, stał nad nim z nagim mieczem w dłoni, złowieszczy, tchnący przerażeniem.

-

On jest chory! - krzyknął de Baideaux, lecz Adelard skrzywił się jedynie z drwiną.

-

Chory? - syknął i machnął dłonią w kierunku płomieni, niemrawo skaczących wśród osmalonych szczap. Płomień buchnął niczym ze smoczej paszczy, rozjarzył klingę biskupiego miecza, odepchnął ciemności i wy dobył z nich zarys smukłej postaci o nadobnej, urzekająco wprost pięknej twarzy, okolonej czarnymi lokami, teraz wykrzywionej z wysiłku i nienawiści.

-

Oto twoja choroba, de Baideaux! - ryknął biskup. - Przed nadejściem świtu ten rozmodlony sukinsyn wysłał nas wszystkich do piekła! Odsuń się, na tę chorobę jest tylko jedno lekarstwo!

Uniósł miecz niczym monstrualny kat, obrócił go klingą do dołu, skrzywił się jeszcze bardziej.

Gaston okazał się jednak szybszy - jego broń zamigotała, odbijając dzikie płomienie ogniska - i grzmotnął płazem w pierś biskupią. Adelard aż się zatoczył, spurpurowiały z wściekłości.

-
Czeka cię długa śmierć, de Baideaux! - syknął. Jego twarz zdawała się pulsować mrokiem, oczy jarzyły się niczym bryły obsydianu. Za plecami legata wyrosli zbrojni, poważni niczym bogowie agonii.

-
Bernardzie, bądź łaskaw wymierzyć bratu Jakubowi kopa - wycedził Gaston, nie spuszczać oczu z biskupa. - Nie szczedząc sił. Potem drugiego dla równowagi a na końcu polej go wodą. Jeśli trzeba, wsadź mu dłoń do ognia. Lewą. Zrób obojętnie co, byleby się obudził. A wy, wasza niezmierna wielbność, nie rzucajcie mi tu słów na wiatr. Jesteśmy w Ziemi Świętej. Bóg słucha.

-
Bóg, coś mi się zdaje... - zaśmiał się Adelard, lecz przerwał mu Vittorio, który wyrósł po prawicy Gastona, również z mieczem w garści.

-
Bóg słucha! - huknął. - W przeciwnym razie pewnie nie ubilibyśmy tego czarcika, co go posłaliście za nami. W każdym razie nie tak łatwo.

-
Bóg słucha - dodał Anzelm, stając po lewicy Gastona z długą włócznią. - Zna modlitwy o spokój duszy pewnego hiszpańskiego rycerza z zieloną tarczą, które zmówiliśmy nad jego grobem.

-
Kogo ty masz po swej stronie - uśmiechnął się ze współczuciem Adalbert, wsparty na kosturze.

Ogień zdążył przygasnąć, biskup zmałał, krwistoczerwony rozbłysk jego miecza skurczył się do ledwie paru niewyraźnych refleksów. Znikła również ciemna, gniewna postać. Jakub kaszłał

długo i chrapliwie, aż w końcu ze świstem wciągnął powietrze do płuc.

-
Bernardzie, zabiję cię - wychrypiał. - Bez użycia broni. Będę cię kopał, aż wykopię z ciebie duszę. O ile coś tam w sobie nosisz.

Gaston nie odwrócił spojrzenia, ale wiedział, że Bernard odpowiedział szpitalnikowi szerokim, obrzydliwym wprost uśmiechem. Sam odetchnął głęboko i rzekł:

-

Dobrej nocy, biskupie. Następnym razem bądźcie łaskawi omówić swe pomysły ze mną.

Bo, za wybaczeniem, na leczeniu dusz gównie się znacie.

Niebo na wschodzie lizały już pierwsze, delikatne muśnięcia rózu, gdy Gaston, przeleżawszy całą noc z otwartymi szeroko oczyma, zdecydował się wreszcie ruszyć. Przepelził ostrożnie przez całe obozowisko, aż znalazł się przy małej dziewczynce, przykrytej dwoma kocami i ramieniem uśpionego Adalberta. Odnalazł jej chudą rączkę i uścisnął ją lekko, a wtedy dziecko otworzyło oczy, brązowe i ciemne, jakby na niego czekało.

- Wybacz mi, że cię budzę - szepnął rycerz. - Ale... Ale nie znam innego sposobu. Niebawem staniemy w Askalonie, trzeba będzie pojmać tego, kto zabił mego brata, ujarzmić, zmusić do posłuszeństwa. Nie ufam Adelardowi, a poza tym trzeba poznać wroga, trzeba być gotowym na wszystko... Czy... - przełknął ślinę. - Czy pokazałabyś mi ostatnie chwile mego brata Rogera de Baideaux? Pokażesz mi je, bym wiedział, czego się wystrzegać, gdy tylko dotrzemy do Askalonu?

Dziewczynka uśmiechnęła się szerzej i mocniej ujęła jego dłoń. A potem pokazała mu wszystko, o co prosił.

Rozdział czternasty

który tłumaczy, na co chrześcijaninowi wersety z koranu i dlaczego krzyżowiec powinien umieć łowić króliki, a potem przypomina, że Gaston ma jednak pecha do kobiet Dżaffar Nadr ibn Jusuf miał złe przecucia.

Było to dziwne wrażenie, tym bardziej że przez kilkaset ostatnich lat swego życia zdążył

wyeliminować wiele fałszywych mitów, w tym również i wiarę w złe przecucia. Wiedział, że coś takiego jest po prostu wytworem wyobraźni człowieka przewrażliwionego i lekcewał je za każdym razem, gdy odważyło się go opleść.

Tym razem jednak było to trudniejsze niż dotychczas, być może dlatego, że chodziło o Choefora, jego ukochanego sokoła-strażnika, który po raz pierwszy od lat nie przybył na poranne karmienie. Dżaffar usiłował wytłumaczyć to sobie tym, że w mieście panowało zamieszanie wywołane niespodziewanym wyjściem garnizonu w pole, jednak przecież ptak przybywał

codziennie, nawet wtedy, gdy armia Salah ad-Dina niszczyła umocnienia wokół miasta.

Dżaffar nie chciał przyznać sam przed sobą, ale zaczynał się martwić.

Czytanie starożytnego, aramejskiego manuskryptu szło mu opornie. Zwinął więc pergamin i odłożył do kufra pośród setki mu podobnych. Machnięciem dłoni zagasił płomień wiszący nad jego głową,

pstryknięciem palców zabił mysz, która nieopatrznie wbiegła mu na sandały i ściągnął z haka swój burnus. Pomimo trwającej w najlepsze wojny, zburzenia murów miejskich i ryzyka wpadnięcia w ręce niewiernych, Askalon nie zatracił nic ze swej radosnej, gorączkowej atmosfery, a Dżaffar, choć znał wiele światów stworzonych przez Allacha, nie odkrył dotąd żadnego, który równie niezawodnie wprawiałby go w dobry nastrój.

Zachodzące słońce opromieniło jego łysą, spoconą lekko czaszkę, gdy wynurzył się ze swej siedziby, a lekko pozieleniały posąg z mosiądzu zamknął za nim drzwi i znieruchomiał w cieniu zwiędłego bluszczu. Dżaffar znalazł się na cichym podwórzu, wyłożonym starą, niemalże całkiem zatartą mozaiką, gdzie nie docierały żadne odgłosy miasta, a pyłki unosiły się leniwie wśród padających ukośnie strug światła słonecznego. Otulały go i chroniły przed światem stare, od dawna wymarłe kamieniczki, o których miejscowi woleli nie pamiętać. Klekocząc wysłużonymi obcasami, czarownik ruszył przed siebie, odprowadzany nieruchomymi spojrzeniami ludzi i potworów zaklętych w kamienne reliefy. Minął fontannę z rzygaczem w formie greckiego satyra z monstrualnie rozdętymi ustami, przeszedł pod portalem zwieńczonym granitową rzeźbą bezokiego orła i już znalazł się na ulicy, pełnej krzątających się, pokrzykujących ludzi.

Tak, wieczorne życie Askalonu musiało ukończyć jego rozterki.

Oślepiające swą purpurą promienie słoneczne rozlały się po równinie, zamieniając pola, ogrody i ruiny fortyfikacji w bezkształtną plataninę cieni i rozmywając kontury wznoszącego się za nimi miasta. Konie prychały spokojnie, obojętne na to, co miało nadejść, w przeciwieństwie do swych jeźdźców.

-

Jedzie! - zawołał z ulgą Anzelm i zeskoczył ze skały. Podbiegł do swego wierzchowca, wsunął nogę w strzemień i dźwignął się na siodło.

Vittorio wypadł zza zakrętu niczym czoło burzy i wrył rumaka przed Gastonem, w mig pograżając całą okolicę w tumanach kurzu. Na jego brudnej, spoconej twarzy malował się szeroki uśmiech.

-

Masz? - spytał de Baideaux.

-

Mam! - odrzekł wesoło Italczyk i uniósł wysoko pęczek amuletów z czerwonej skóry, kołysząc nim tak, by wszyscy widzieli. - Imam, pocziwina, szybko się uwinął. Wystarczyło obiecać mu, że do niedzieli wszyscy na islam przejdziemy!

-

Sprawdziłeś, co tam wypisuje? - spytał podejrzliwie Anzelm, wieszając sobie amulet na szyi.

-

Sprawdziłem. Pierwszorzędna robota. Bój się lepiej o to, czy Gaston nam się nie myli.

-

Nie myślę się. - De Baideaux wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. - Adalbercie, wiesz, gdzie na nas czekać?

Mnich, tulący wystraszoną dziewczynkę, skinął lekko głową.

-

Liny wszyscy mają? - pytał dalej Pikardyjczyk. - Butelki z naftą? Sieć?

Odpowiedział mu chóralny pomruk i skrzące się woła walki spojrzenia, a po chwili również dobiegający od strony miasta odległy jęk trąb.

-

Nadchodzą - odezwał się suchym głosem Jakub, od nocnych zająć śmiertelnie wprost poważny.

-

Nie spodziewałeś się chyba, że Asmodeusz nam odpuści? - wyszczerzył zęby Gaston, zapinając hełm. - Jestem pewien, że w nocy opętał obietnicami dowódcę miejscowego garnizonu.

Czuję, że z żołnierzami czeka nas

0

wiele trudniejsza przeprawa niż z samym czarownikiem.

-

Nie bój się o żołnierzy, de Baideaux - odezwał się Adelard, który siedział w siodle i z zaintrygowaniem przyglądał się niemalże entuzjastycznym przygotowaniom śmiertelników. -

Pozostaw mi ten problem.

-

A z chęcią - Gaston zmrużył po kociemu oczy

1

skłonił się lekko. - W końcu walczymy po tej samej stronie, czyż nie, Wasza Świątobliwość? Naprzód!

Zarżały podrywane do galopu konie, kopyta zagrzmiały o kamienistą ziemię. Ostatni z nich

przydepnął truchło sokoła przeszyte Jakubową strzałą.

Askalon, niczym ugięty w pokłonie sługa na progu skarbcza, niezawodnie roztaczał przed Dżaffarem swe niezliczone uroki. Czarownik potrafił godzinami wędrować po bazarach, cmokać z podziwem nad kobiercami z Tebrizu, Kirmanu i Buchary czy znikać wśród straganów perfumiarzy przed meczetem, rozkoszując się zapachami jaśminu królewskiego, róży perskiej, kamfory czy lotosu indyjskiego. Niczym oczarowany oglądał flakony z długimi szyjkami z białego, rżniętego lub złoconego szkła z Damaszku, wodził długimi, przypominającymi pajęcze odnóża palcami po bagdadzkim papierze czy badał astrolabia z Mosulu. Gdy zmęczył się, dołączał do targujących się o młode wielbłądy, śmiał się w tłumie otaczającym dokazującego mutriba, wkradał się na uroczystości obrzezania czy palił nargile z zacnymi kupcami i imamami.

Wszędzie tolerowano jego obecność i znikąd go nie wyganiano, choć bywało, że nie dostrzegano go zupełnie. Czasem miał wrażenie, że mieszkańcy miasta uważają go za jeden z elementów składowych Askalonu, odcień jednej z jego barw, odprysk któregoś z jego zapachów i nie miał

nic przeciwko temu.

Lubił przemykać w tle. Lubił ciszę w hałasie, samotność w tłumie. Jego siedziba była do tego stopnia wypełniona naukową atmosferą, iż wydawało mu się, że nie ma tam miejsca dla żadnej swobodnej myśli. Dopiero na ulicach miasta potrafił planować kolejne wyprawy.

A miał jeszcze sporo światów do odwiedzenia, mnóstwo wiedzy do zebrania.

Tego wieczoru jednakże nie potrafił odnaleźć spokoju w rojnym gwarze miejskim. Wypił

filiżankę kawy z zacnym kupcem-kotlarzem, siedząc tradycyjnie w kucki, pokręcił głową przy cynobrowych kobiercach z Medii, jego zdaniem nazbyt wyblakłych, obdarował jałmużną żebraków przed meczetem, kupił kilka świec, nieco popiołu z uszny oraz flakonik wody różanej z Dżuru, wdał się nawet w kłótnię ze sprzedawcą lichej ambry z Sichr, ale w niczym mu to nie pomogło. Niepokój i rozdrażnienie narastały. Dżaffar zaczął zastanawiać się, czy nie warto wrócić do siedziby i magicznymi sposobami zbadać, co przyniesie najbliższa przyszłość. Sapał

z niezadowoleniem, ujął koszyczek z zakupami i wyruszył w drogę powrotną.

Gdyby miał ze sobą swego skrzydlatego przyjaciela, z pewnością tego wieczoru wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Siła uderzenia cisnęła nim o bruk i przetoczyła kilka razy. Dopiero wtedy poczuł ból paralizujący całe przedramię. W porównaniu z cierpieniami, jakich doznawał podczas swych wędrówek po innych światach, ten nie był intensywniejszy od zwykłego skaleczenia. O wiele groźniejszy okazał się szok. Dżaffar z niedowierzaniem, wręcz osłupieniem wpatrywał się w bełt, który go ugodził. Nie pamiętał już o otaczającym świetle, zapomniał, że strzałę można wysłać tylko z kuszy, a tę musi ktoś trzymać. Wpatrywał się w pocisk, nie mogąc pojąć, jak miasto, którego był

częścią, mogło kiedykolwiek podnieść na niego rękę.

Oprzytomniał, dopiero gdy kolejny belt skrzesił iskry o włos od jego kolana. Uniósł wtedy głowę, a w jego oczach zalśniła czysta, niczym nieskażona nienawiść.

Kochał Askalon miłością, jaką darzy się wygodne, urodziwe, niestarzejące się ciało, co nie oznaczało, że wędrował po jego ulicach bezbronny. Wyrwał zza pasa fiolkę i cisnął ją pod nogi nadbiegających żołnierzy, bladych z przerażenia, a mimo to niepowstrzymanych, a kolejną rzucił nad ich głowami, ku kusznikom rozstawionym na dachach. Potem wyprostował się.

Snujące się ulicami tłumy zawsze reagują przerażeniem na widok krwi i odsuwają się od scen przemocy, ale trzeba wiele, doprawdy wiele, by rzuciły się do panicznej ucieczki. Istota zwana Amis, którą pojmał i usidlił podczas swych wędrówek po Chaldzie, drugim ze światów stworzonych przez Allacha, z pewnością wystarczyła aż nadto. Dzika, człekokształtna bestia o ogromnych pomarańczowych oczach, ostrych zębach wypychających niemalże usta i poszarpanym własnymi pazurami ciele rzuciła się ku żołnierzom, bluzgając w ich kierunku własną krwią. Tylko jeden zdołał unieść niezdecydowanie włócznię. Oręż wyfrunął w powietrze, zatoczył łuk, uderzył o ścianę, a do tego czasu ciało tego, co go dzierżył, osunęło się już bez życia na skrwawiony bruk. Amis pognał w ślad za pozostałymi, znacząc ślad pościgu na ścianach kamienic obryzanych krwią.

Dżaffar stał z koszyczkiem w dłoni i przyglądał się masakrze, już bez nienawiści, a z naukową ciekawością. Dopiero gdy drugi z jego potworów, bezręka i beznoga skrzydlata bestia Dżilla ze świata zwanego Harbą, straciła z dachu ostatniego z kuszników i sprawnie wyszarpnęła mu serce dziobem, odwrócił się i podreptał do swej siedziby, strząsając z sandałów resztki czyichś flaków.

Nie przejmował się coraz dalszymi ludzkimi wrzaskami, za bardzo pochłonął go nowy, jakże bolesny problem.

Zaatakowało go miasto, które uznawał za swoje. Miasto, którego stanowił niedostrzegalną, lecz integralną część.

Czarnego, szalejącego z rozpaczy cienia z długimi kręconymi włosami także nie dostrzegł.

Gaston stanął w strzemionach i zmarszczył brwi.

-

Coś się tam dzieje! - rzucił i obejrzał się za siebie. - Jak idzie?

-

Jeszcze chwila! - sapnął Jakub i szarpnął za wodze. Oba trzymane przez niego wierzchowce wyrwały się ostro, przymocowane do ich siodeł liny napięły się z cichym brzękiem i pociągnęły kolumny portyku, do którego zostały przywiązane zwierzęta. Anzelm i Bernard naparli z drugiej strony, zaczerwienieni, spoceni. Tynk sypał im się na głowy, mięśnie drżały, kopyta końskie zgrzytały o bruk.

Ciasną uliczkę między obskurnymi, glinianymi kamieniczkami niespodziewanie wypełnił

rozwrzeszczany tłum. Przekupnie i kupujący, strażnicy miejscy i żebracy, kupcy i niewolnicy, wszyscy pędzili z dziką wrzawą, niesieni przerażeniem, nie dbając o tych, którzy potykali się i padali. Gdzieś nad czynionym przez nich zgiełkiem niosły się upiorne jęki rannych i zabijanych.

Gaston wiedział, że zostało mu ledwie kilka sekund, nim zaleje ich tłuszcz. Bez wahania przytknął trzymaną w rękę pochodnię do namoczonej szmatki czopującej butelkę i cisnął nią w kierunku tłumu.

Żywy, wściekły ogień na podobieństwo erupcji wulkanicznej buchnął prosto z bruku ledwie kilka kroków przed najszybszym z biegnących. Ten zatrzymał się jak wryty, ogarnięty nowym przerażeniem, lecz tylko na moment. W rozedrganym powietrzu Gaston ujrzał, jak przewracają go kolejni uciekający, którzy też wyhamowują, trącani przez znajdujących się za nimi. Nim serce rycerza uderzyło kilkakrotnie, dziki tłum aska-łończyków wytracił swój pęd, a wtedy rycerz popędził konia.

Kopyta rumaka załomotały o bruk, zahuczało powietrze przecięte pochodnią, a de Baideaux otworzył usta, by coś krzyknąć. Nagle rozległ się łoskot, którego oczekiwał przez cały czas.

Młody rycerz zerknął za siebie, ujrzał, jak jedna z kolumn pęka i łamie się, a za nią obsuwa się portyk. Buchnęły kłęby pyłu i kurzu, uwolnione konie rżały dziko, Anzelm pohukiwał z entuzjazmem.

-

Dobra robota! - wrzasnął podekscytowany Gaston.

Z kłębów pyłu wyłonił się Jakub, kaszlący, w biegu dosiadający konia, za nim wychynęli Vittorio, Anzelm i Bernard, poszarzali, pokryci grubą warstwą kurzu i tynku. Szpitalnik zawrócił, podprowadził im konie.

Gaston odwrócił spojrzenie ku uliczce, w sam raz, by nad dogasającym ogniem ujrzeć plecy ostatnich uciekających, trudno powiedzieć, czy spłoszonych eksplozją, czy widokiem walącego się domu. Przełożył pochodnię do lewej ręki, prawą ściągnął wodze, ścisnął kolanami boki końskie.

Ktoś go chwycił za łokieć. Bernard pokazywał drugą ręką na uciekających. Na jego upiornie pobielonym obliczu widać było zaskoczenie i konsternację. De Baideaux powiódł spojrzeniem we wskazanym kierunku, ale nie dostrzegł niczego, co by go zaniepokoiło.

-

Co się dzieje? - zawołał.

Giermek kilkakrotnie machnął dłonią, jakby rysował w powietrzu kształt gór, a potem szarpnął się za brodę.

-

Starzec z Gór? - parsknął Vittorio, który osadził konia tuż przy nich. - Czemu mnie to nie dziwi?

-
Bo jesteś stuknięty! - rzucił Gaston. - Asasynami będziemy martwić się później.

Pamiętacie, co do was należy?

-
Tak! - huknął Anzelm, Jakub pokiwał głową, ujmując sieci.

-
No to za mną! To ledwie dwie uliczki dalej!

-
Skąd wiesz?

-
Wiem i już!

Dzięki swym szczególnym mocom Dżaffar Nadr ibn Ju-suf przeżył na tym świecie dobrych kilkaset lat i pomimo sędziwego wieku śmiercią nie był w ogóle zainteresowany.

Przede wszystkim dlatego, że oferowane przez islam wizje zejścia zupełnie go nie nęciły. Wedle tej przewidzianej dla grzeszników, mieli się po niego stawić aniołowie o czarnych twarzach, przywdziać go w cuchnącą trupio szatę z grubego włosia i wyrwać żywcem duszę z żył i ścięgien, a potem zawlec do Gehenny, Saiir czy któregoś innego kręgu piekielnego, gdzie najłagodniejszą oczekującą go karą miało być nałożenie sandałów z ognia. Na skutek tego mózg miał mu się zagotować, a wnętrzności roztopić i rozlać po całym ciele.

Jako człowiek mało pobożny i żyjący na ogół na bakier z naukami Allacha, na niebo nie miał co liczyć, choć wizja takiej nagrody za cnotliwe życie była według niego równie niedorzeczna, jak wizja kary za grzechy przesadna. Po tym, co dotychczas przeżył, wieczne życie wśród sześciu rajskich rzek i pałaców z pereł wydawało mu się

nieskończenie nudne, nawet białoskóre hurysy o czarnych oczach i precudnej urodzie nie stanowiły dlań dostatecznej nagrody. Po tylu latach spędzonych na pogoni za wiedzą, zainteresowanie kobiecym pięknem całkiem w nim wygasło.

Lekko roztrzęsiony, przestraszony, ale też obrażony na cały świat, przeklinający pod nosem Dżaffar pospiesznie zmierzał z powrotem do swej siedziby. Przeszedł obok fontanny, przytknął

dłoń do tylko sobie znanego miejsca na zakurzonych, brudnych drzwiach -dotknięcie ich w jakimkolwiek innym miejscu spowodowałoby uwolnienie kilku zaklętych tam pomniejszych demonów ognia - i wniknął do chłodnego, bezpiecznego korytarzyka, który doprowadził go do

pierwszej komnaty jego siedziby. Zielonkawy posąg, bliźniak tego, który stał na zewnątrz, uklonił się ze zgrzytem i wziął od niego koszyczek z zakupami, ale czarownik nawet na niego nie spojrzał. Wpadł do sąsiedniej komnaty przesyconej zapachem starych ksiąg i jeszcze starszych kadzideł. Biegł przed siebie w poszukiwaniu kąta, w którym mógłby przeczekać trudną chwilę.

Ale mimo tego nie poczuł się bezpieczny. Intuicja podpowiadała mu, że to nie wszystko, że zaraz zjawi się kolejne niebezpieczeństwo i znów będzie musiał myśleć o śmierci.

Nie mylił się.

Krzyżowcy wpadli na niewielki dziedziniec z fontanną niczym wichur śmierci, który wysysa i niszczy wszystko co żywe, bez względu na to, jak głęboko się ukryło. Rozpędzony Anzelm uniósł topór nad głowę, obrócił go tępym końcem i w przejeździe z rozpędu grzmotnął w greckiego satyra. Ten z łoskotem przewrócił się na płyty dziedzińca, roztrzaskując sobie kamienny nos.

Gnający tuż za Anzelmem Jakub ostro ściągnął wierzchowca, brawurowo obrócił go w stronę portalu i celnie cisnął siatką prosto, na kamiennego orła, po czym ponownie spiął konia i mocno ściągnął sznury, które obwodziły sieć. Pokrzykujący wesoło Vittorio zarzucił lasso na pozieleniały posąg, ściągnął je na wysokości jego metalowych kostek, zawrócił i przerzucił linę nad portalem. Złapał ją z drugiej strony i szarpnął mocno z siodła. Posąg przewrócił się z metalicznym łoskotem,

Gaston wrył konia, aż podkowy rumaka skrzesały iskry na kamiennych płytach. Zeskoczył z siodła, wyszarpnął z pochwy miecz i ruszył prosto na wrota chronione magicznym malowidłem przesłoniętym grubą warstwą kurzu. Zbrojny w ciężki młot Bernard szedł za nim, posapując i marszcząc brwi.

-
Dżaffar! - krzyknął ostro Gaston. Jego głos odbił się echem niczym krzyk polującego sokoła. -
Dżaffar Nadr ibn Jusuf!

Nie było odpowiedzi. Zdyszani lekko krzyżowcy, przygotowani na najgorsze, wbijali błyszczące spojrzenia w niepozorne, zakurzone drzwi.

-
Nazywam się Gaston de Baideaux! - krzyknął młody rycerz ochryłym, nienawistnym głosem. -
Przybyłem tu, by rozwłóczyć twe cuchnące ciało, poćwiartować, a potem cisnąć je bezpieczeństwa psom. A wiesz za co, ścierwojadzie?

- W zasadzie wiem - uśmiechnął się krzywo Dżaffar, wciśnięty między stojak z mapami dawno zaginionych łądów i wielką klepsydrę wypełnioną idealnie białym piaskiem z plaż Atlantydy. -

Za to, że zabiłem twego brata, którego odwagę przewyższała jedynie głupota. Choć dziwi mnie, że dopiero teraz przychodzi ci to do głowy, ty synu zaplutej hieny i trędowatego derwisza. Cóż, na karę nigdy nie jest za późno.

Kamienny orzeł nagle ożył ze zgrzytem. Pazury wgryzły się w granitowy łuk, miażdżąc jego powierzchnię, zbrojny w zakrzywiony dziób łeb targnął się na boki, skrzydła targnęły w bok, lecz zahamowała je siatka. Targnęły raz jeszcze, nie tolerując oporu, jednocześnie krótkie, muskularne nogi wyrzuciły potwora w powietrze.

Targnął skrzydłami raz jeszcze, tym razem z paniką, ale mocna siatka wytrzymała.

Zderzył się z płytami dziedzińca, roztrzaskując się na miliardy kamiennych okruchów. Niektóre z nich obsypały facjatę zielonkawego posągu znajdującą się tuż nad ziemią. Przewieszony przez portal, niezgrabnie wymachiwał metalowymi rękami i nogami, niegroźny i bezsilny. Stracony z postumentu rzygacz bluzgnął wodą z siłą, która mogłaby wyrzucić z siodła wytrawnego jeźdźca, ale leżał twarzą do ziemi, więc krzywdy nikomu nie uczynił. Fale spienionej wody niosły się po płytach, dopóki Anzelm nie doskoczył i kolejnym uderzeniem obucha nie roztrzaskał rzygaczowi głowy.

Dziedziniec na powrót znieruchomiał. Vittorio zawył z zachwytu, Anzelm uśmiechnął się ponuro, jedynie Jakub pozostał nieporuszony, czujny.

-

Myślisz, że jestem na tyle głupi, by nabrać się na te same sztuczki, co Roger? - wycedził

Gaston. Ściągnął kaptur koleczy i stał na szeroko rozstawionych nogach, z nagim mieczem opartym o ramię i spłowiałymi włosami ozłoconymi zachodem słońca. - Wyłaż, psi synu. Już wiesz, że nie żartuję. Przywiążę twoje ścierwo do konia i przegalopuję przez pół świata, by nawet najbardziej parszywe wrony dostały choć kęsek.

Zatknął pochodnię w szczelinę między płytami i skinął na Bernarda, który ujął młot i podszedł do drzwi. Ich zakurzonej, spękanej powierzchni nie zaszczycił nawet pojedynczym spojrzeniem, przyjrzał się natomiast bliżej zawiasom. Nagłym ruchem uniósł młot i z całej siły spuścił go na metalowe, przerdzewiałe nieco zaczepy. Drzwi zadrżały, tynk pękł tuż przy framudze.

-

Chyba że... - odezwał się Gaston, lecz słowa przerwało kolejne grzmotnięcie Bernarda.

-

Chyba że pomożesz mi w jednej sprawie - dokończył.

Wonnym powietrzem wieczoru wstrząsnął upiorny wrzask, słyszalny tylko przez tych, którzy stali na zapomnianym dziedzińcu, przed drzwiami do siedziby starego maga. Vittorio obejrzał się z przestachem, ale pozostali krzyżowcy nawet nie drgnęli.

-

Zastanów się - szepnął ochryple Gaston. Miecz zsunął mu się z ramienia, wparł ostrzem między płyty dziedzińca. Rycerz oparł się ciężko na jelicu, wbijając nienawistny wzrok w otoczone pęknięciami

drzwi. - Czasu masz niewiele.

-

Niech no zgadnę - szeptał Dżaffar, pełznąc po popalonym, perskim kobiercu, wśród astrolabiów i lunet.

-

Niech no zgadnę - powtórzył przed kredensem zastawionym fiolkami i buteleczkami.

Jego ogromne dłonie, przypominające monstrualne odnóża pajaka, pełzały po półkach, wyłuskując co niektóre spośród buteleczek i zrecznie wsuwając je za pazuchę. - Postanowiłeś odzyskać swą lubą, tak? Ruszyło cię sumienie, słaby, trzęsący się rycerzyku? Nie pamiętasz, że Dżaffar Nadr ibn Jusuf nigdy nie złamał danego słowa?

Z tymi słowami ruszył ku wyjściu, potykając się o przewróconego, zmumifikowanego lwa.

Bernard uniósł młot do kolejnego uderzenia, a wtedy drzwi, wiszące już na jednym tylko zawiasie, uchylły się lekko. Oczom rycerzy ukazała się najpierw gładka, błyszcząca czaszka Dżaffara Nadr ibn Jusufa, a potem cała jego postać, drobna, przygarbiona, zdawać by się mogło, że wręcz krucha. Gaston jednakże dobrze pamiętał wizję, którą przedstawiła mu niema towarzysza Adalberta, doskonale wiedział, że pokorna postawa i nieśmiały, lękliwy uśmiech na twarzy czarownika w istocie maskują ogromną siłę i jeszcze większą zdradliwość, a przestach, z jakim oszacował zniszczenia w swym systemie obronnym, jest w znacznej mierze udawany.

-

Witajcie, czcigodni rycerze frankijscy! - odezwał się w nieco chropowatym, ale zrozumiałym langue d'oïl. Rozłożył ogromne dłonie w unizonym ukłonie, odwracając tym samym uwagę krzyżowców od kieszeni, z których wystawały szyjki butelek. - Niech wasze miecze nigdy się nie tępią, a wasze rumaki nigdy nie zaznają zmęczenia! Korzę się przed waszym gniewem, kłaniam się przed...

Bernard charknął i odstawił młot z głuchym stuknięciem, sięgając po pęta. Dżaffar zerknął na ogromnego giermka, w jego wytrzeszczonych, rybich oczach mignął strach, tym razem autentyczny

-

Stul pysk - warknął Gaston i potrząsnął głową. Nie wiedzieć czemu, pojawienie się czarownika wywołało ogromny zamęt pośród jego myśli. - Stul pysk i posłuchaj. Zabiłeś mojego brata, trupojadzie, i powinieneś za to płacić dopóty, dopóki mam cierpliwość. Tak się jednak dzieje, Dżaffar, że możesz się wykupić z cierpień, wyświadczając nam pewną przysługę.

Groźne, najeżone stałą cienie rycerzy frankijskich rozlewały się po dziedzińcu, ich nieruchome twarze tchnęły pogardą i zimnym okrucieństwem. Gaston, pomimo całkowitego chaosu myśli, przeszywał Dżaffara wzrokiem, a ten, jakby odczuwał jego moc, wił się w coraz to kolejnych pokłonach.

-
Ale co ja, nędzny robak w pyle drogi, mogę... -zaczął, ale zdradził go błysk w oku. Gaston wyszarpnął pierścień Salomona i wskazał mu go gniewnym gestem.

-
Wiesz, co to jest, prawda? - wykrzyknął. - Założę się, że długo ubolewałeś nad tym, iż ten, który przywiózł tu mój brat, okazał się fałszywy. Ten jednakże jest prawdziwy i zaraz powiem ci, co masz zrobić, hieno! Użyjesz go, by spętać Asmodeusza, raz na zawsze!

Nim przebrzmiało echo jego ostatnich słów, wonne powietrze wieczoru znów przeszył ledwie słyszalny wrzask rozpacz. Robiło się coraz chłodniej, wokół pysków koni unosiły się już kłęby pary.

Dżaffar wyprostował się i przekrzywił nieco głowę, zarzucając wreszcie swą pokorną postawę.

-
Tak? - zapytał. - A cóż takiego się stało, dzielny rycerzu, że postanowiłeś zapomnieć o naszym poprzednim układzie?

-
Że co? - spytał oszołomiony Gaston, mrugając oczami.

I naraz z kotłowaniny niespokojnych, niewyraźnych przeczuć wyrwało się przerażające wspomnienie, do tej pory szczelnie przed nim skryte.

Stał na tym samym podwórku osnutym delikatnymi cieniami nocy. Bezoki kamienny orzeł drgnął z chrzęstem, przesunął łysy łeb niczym żmija gotująca się do ataku, rzygacz obwiódł rozwarte usta językiem, zielonkawy posąg poruszył się z cichym zgrzytem, obracając ku niemu płaską, bezkształtną twarz. W parnym, ciężkim powietrzu furkotały nietoperze.

Stał i czekał. Nie było potrzeby ponownie oznajmiać swego imienia, był pewien, że usłyszał je dobrze.

Wreszcie drzwi, te same drzwi, drgnęły i wychynął z nich Dżaffar. Łysa czaszka odbijała blask księżyca.

-
Jeszcze nikt nigdy nie złożył mi tak szczodrej propozycji - wysyczał w tym samym, chropowatym nieco, lecz zrozumiałym langue d'oïl. - Doprawdy nie wiem, co o tym myśleć, sahib.

Gdzieś mam to, co o tym myślisz, Dżaffar - parsknął w odpowiedzi. - Drugi raz tego nie powtórzę.

-

Mam ją wziąć? - zapytał podejrzliwie czarownik. -Po prostu wziąć i włączyć do swych zbiorów? Tylko po to, by łatwiej mi było cię zabić, jeśli kiedyś tu wrócisz? Wybacz, de Baideaux, ale to się kupy nie trzyma.

-

Powtarzam, gdzieś mam to, co o tym myślisz. Bierzesz ją czy nie?

Dżaffar pokręcił głową raz jeszcze. Uniósł bezwłose brwi i raz jeszcze spojrzął na leżącą na płytach kobietę, oddychającą z trudem, lecz przytomną.

-

Niech ci będzie, Franku - powiedział. - Mam tylko nadzieję, że nie próbujesz mnie oszukać. Bo jeśli tak jest...

-

Oszczędź sobie. I obyśmy się nigdy więcej nie spotkali. Mierzysz mnie jak mało kto na tym padole.

„A więc to dlatego rozpoznałem drogę do Askalonu - pomyślał oszołomiony Gaston. - Ja tu już byłem, paktowałem z tym gadem...”

Wciąż czuł niepewność, wciąż dręczyło go przeczucie, że nie rozgryzł jeszcze jednego, niezwykle istotnego szczegółu, ale odepchnął nawał myśli, wyprostował się i ponownie przeszył

łysego czarownika wzrokiem.

-

Nie będę się przed tobą tłumaczył, niewierny psie -rzucił przez zaciśnięte zęby. - Zrobisz to, co chcę, czy wolisz, by Bernard wprzódę grzmotnął tobą kilkakrotnie o ścianę?

Olbrzym nastroszył brwi i zacisnął z chrzęstem pięści. Błede usta Dżaffara rozciągnął zły uśmiech.

-

Odpowiedź na twe pierwsze pytanie brzmi „nie”, dzielny rycerzu - oznajmił. - Na drugie zresztą też. Dżaffar Nadr ibn Jusuf nigdy nie łamie danego słowa.

Niespodziewanie odwrócił się i błyskawicznie wbiegł do swej siedziby, nie zamykając drzwi.

Na świecie istniało tyle rodzajów magii co czarodziejów. Niektórzy ze znanych Dżaffarowi magów

specjalizowali się w rzucaniu uroków, inni eksperymentowali z żywiołami bądź

metalami, bywali tacy, którzy skupiali się na tajemnicach gwiazd lub wydobywali sekrety z roślin i kwiatów. Rodzaj praktykowanej magii zależał głównie od wrodzonych predyspozycji, dopiero w drugiej kolejności od zdobytego wykształcenia. Dżaffar osobiście znał sędziwych alchemików, którzy spędzili całe swe życie na studiach nad naturą metali, a osiągnęli gorsze rezultaty od niepiśmiennych prostaków z tłumu, którzy po prostu odkryli w sobie zdolność do rozumienia świata.

Moc Dżaffara jednakowoż była wyjątkowa, gdyż wrodzony talent uzupełniał się z wykształceniem. Askaloński mag był bowiem mistrzem w odszukiwaniu i zmuszaniu do uległości bytów astralnych.

Zawdzięczał im właściwie wszystko, co miał. Anioły, z którymi zawarł sojusz, odpędzały wysłanników Azra'ila, przez co zapewniały mu wieczny żywot. Pomagały mu również przenosić się do innych światów stworzonych przez Allacha, a ujarzmione przez niego demony strzegły go podczas tych wypraw i pilnowały jego przytulnego gniazda w Askalonie. Poszukiwanie i poskramianie kolejnych, coraz to potężniejszych istot stało się pasją jego życia i największym jego celem, a potęgą demonów, które od siebie uzależnił, wystarczyłoby do obrócenia w perzynę połowy Ziemi Świętej.

Teraz jednak, gdy pędził ciemnym korytarzem i gorączkowo szukał odpowiednich butelek, zupełnie o tym nie pamiętał. Pomimo swej hardej pozy, był w tej chwili tylko przestraszonym, roztrzęsionym staruszką.

Czyjaś postać przesłoniła wejście. Dżaffar odwrócił się i odkorkował jedną z buteleczek, którą mimo strachu udało mu się rozpoznać po kształcie. Ciemność rozpedził strumień żywego, ryczącego ognia, który wystrzelił na zewnątrz, paląc nietoperze wiszące pod powałą. Ogień zgasł

równie gwałtownie jak zapłonął, a wtedy Dżaffar wyrzucił na zewnątrz kolejną butelkę.

Zaczynał powoli przytomnieć. Już wiedział, co powinien teraz począć.

- Stój! - wrzasnął przerażony Gaston. Jednym susem przypadł do Bernarda, zmierzającego w stronę ciemnego wejścia do siedziby Dżaffara i potężnym szarpnięciem odciągnął go na bok.

Upadli razem na płyty.

Ryczący język ognia wystrzelił ze środka jedno uderzenie serca później.

-

Chce, żebyśmy za nim pobiegli! - wrzasnął de Baideaux, usiłując przekrzyczeć rzenie oszalałych ze strachu koni i krzyki usiłujących je opanować rycerzy. - Nie-doczekanie jego!

Bernardzie, pamiętasz, jak polowaliśmy na króliki?

Olbrzym zamrugał oczami i potrząsnął łbem, nie rozumiejąc ani słowa.

-

Króliki! - Gaston ryknął mu prosto do ucha, podnosząc się na kolana. - Za mną!

W końcu giermek zerwał się na nogi i ruszył w ślad za swoim panem, klucząc wśród roztańczonych rumaków, tłukących wściekle kopytami płytową mozaikę. Nikt z całej piątki nawet nie zwrócił uwagi na butelkę, która zatoczyła łuk w powietrzu i uderzyła w cembrowinę fontanny.

Najważniejszym i niejako podstawowym odkryciem, którego Dżaffar dokonał w trakcie swych badań, było to, że stworzone przez Allacha światy zasiedlają takie ilości rozmaitych istot, iż nawet potężny dar Dżaffara nie zapewniał zdobycia kontroli nad większością z nich. Mag był w stanie zmusić do posłuszeństwa niektóre anioły i wiele czartów, zwłaszcza demonicznych potworów, ale innych istot, takich jak golemy, ifryty czy dziny, nie rozumiał zupełnie. I choć miał wrażenie, że z czasem rozgryzłby ich tajemnicę i osiągnął moc pozwalającą na zdobycie władzy również i nad nimi, szybko wpadł na

inny, znacznie łatwiejszy pomysł. Miast samemu zgłębiać ową wiedzę, o wiele łatwiej było mu więzić i zmuszać do posłuszeństwa tych, którzy już ją posiadli.

I tak powstało miejsce, które z upodobaniem zwykł nazywać swą biblioteką.

Dżaffar kopnął trzygłowego, nigdy niezasypiającego węża, strzegącego niestrudzenie tej części jego siedziby, i wpadł do środka, płosząc stadko drobnych, skrzydlatych demonów. Z furkotem szat biegł wzdłuż zakratowanych cel, z których wiele stało już pustych. Jedyne wypisane starannie tabliczki na drzwiach przypominały, że niegdyś gościły tu całe rozdziały ludzkiej wiedzy, a zwisające wzdłuż ścian łańcuchy zdradzały, iż przechowywano ją w formie cielesnej.

Nie było to duże miejsce, ale dziś, w tej chwili, zdyszanemu magowi wydawało się nieskończenie ogromne.

„Tajniki budowy żydowskich golemów” - półswiadomie odczytywał tabliczki na drzwiach, co rusz oglądając się, czy nie ujrzy za sobą cienia rozjuszonego, uzbrojonego po zęby Franka.

„Chińska sztuka uzdrawiania”, „Nubijski mesmeryzm”, „Italskie zielarstwo”... No, jesteście!

Z ulgą przypadł do krat i wpił wzrok w wychudzoną kobietę przykutą do ściany łańcuchami, których ogniwa były o wiele grubsze od jej nadgarstków. Starczyło jednak spojrzeć na wściekły ogień buzujący w jej oczach, by wiedzieć, że te środki ostrożności bynajmniej nie są przesadzone. Uniosła powoli głowę i spojrzała na czarodzieja z niewysłowioną, niemalże namacalną wzdrgadką, w żaden sposób nie stępną okrutną niewolą.

-

Przywołaj swych przyjaciół! - zażądał czarownik. -Każ im, by podporządkowali się wszelkim moim rozkazom!

-

Cóż to? - Kobieta uśmiechnęła się z gadzią złośliwością. - Cuchniesz strachem, Dżaffar.

Czyżby ktoś wreszcie dobrał ci się do dupy?

-

Zrób to, co powiedziałem! - wrzasnął czarownik piskliwym, łamiącym się głosem. -

Natychmiast! Przypomnieć, czym grozi nieposłuszeństwo?

Nie musiał. Doskonale o tym pamiętała.

-

Dobrze - rzekła. - Ale uwolnij mnie z łańcuchów.

Pędził ciemnym korytarzykiem, pchnął drzwi, wypadł na opustoszałą uliczkę, tuż obok przewróconego przez uciekający tłum straganu z garnkami i amforami. Sapiąc ciężko, pospiesznie rozłożył ściskany pod pachą kobierzec i usiadł, na nim, miażdżąc własnym ciężarem gliniane skorupy. Kurczowo złapał się frędzli.

-

He 'ayin, tsade! - wymówił przez ściśnięte gardło.

Gdzieś z bocznej uliczki dobiegały pospieszne, coraz

głośniejsze kroki dwóch biegnących mężczyzn. Usłyszał, jak stal zgrzyta o ścianę domu, a potem dobiegło go siarczyste frankijskie przekleństwo. Po jego grzbiecie spłynął lodowaty dreszcz.

-

He 'ayin, tsade! - powtórzył głośniej. - Kaph, yodh! Jeśli mnie zdradziłaś, suko...

Nie zdradziła. Swym szóstym zmysłem Dżaffar wyczuł, jak gdzieś blisko zatrzeszczała rzeczywistość, a potem pękła z przeciągłym jękiem, wpuszczając byt, którego istoty zrozumieć nigdy nie zdołał. Światem targnął chłodny powiew, wśród opustoszałych budynków przemknął

półmaterialny cień, ogromny, niczym chmura pożerająca słońce. Na pomarszczonej twarzy Dżaffara pojawił się uśmiech.

-

Beth! - wrzasnął, oglądając się na coraz bliższych biegnących. - Kaph, yodh, beth!

Prastare fenickie słowa targnęły światem. Półmaterialna, wszechpotężna istota skupiła się w sobie i wystrzeliła ku niemu, wynosząc kobierzec ponad dachy aska-lońskich kamienic z impetem, od którego aż tchu mu zabrakło. Oszołomiony tempem wznoszenia, ledwie był w stanie przypaść do krawędzi dywanu i wyrzeć w dół.

-
Pe 'ayinl - przekrzyczał szum wiatru. - Lameth, tsade!

Miasto oszalało.

Biegący przodem Bernard wyszczerzył zęby i nieoczekiwanie uderzył Gastona barkiem. Ten, całkiem zaskoczony, zatoczył się, huknął ramieniem o ścianę budynku, prawie wypuszczając pochodnię z ręki.

-
Ejże, co ty wyczy...

Ogromna belka ze zdruzgotanego dachu grzmotnęła w ulicę dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stał rycerz. Bernard machnął ramieniem i wskazał na niebo, nagle pomroczyńskie, jakby przesłonięte nieprzezroczystą błoną. Dach domu nad ich głowami kruszył się, osypywał, lada chwila groził całkowitym zawaleniem.

-
Na litość boską... - wyszeptał Gaston. - Chodu!

Biegli wśród spadających odłamków, kluczyli, uskakiwali, a wokół nich rozgorzało szaleństwo.

Ściany budynków pękały z trzaskiem, osypywały się, z łomotem waliły na ulice, dusząc okolicę w tumanach pyłu. Jednocześnie robiło się coraz ciemniej i zimniej. Oszołomieni krzyżowcy ledwie dostrzegali postać Dżaffara, który wzbijał się coraz wyżej na dywanie, prosto ku granatowiejącemu, złowieszczemu niebu.

-
Stój! - wrzeszczał zrozpaczony Gaston. - Stój!

Ulica pękła tuż przed ich stopami, buchnęła kłębami pary. De Baideaux zdążył przeskoczyć, Bernard nie złapał równowagi i padł prosto na siedzenie. Coś ryczało nad nimi, coś monstrualnego niszczyło miasto...

-
Pe 'ayinl - dobiegło z góry. - Lameth, tsade!

Gaston skądś znał te słowa.

-
O Boże - zrozumiał nagle i stanął jak wryty.

Stał na tym samym podwórku osnutym delikatnymi cieniami nocy. Łysa czaszka Dżaffara odbijała blask księżyca.

-

Powtarzam, gdzieś mam to, co o tym myślisz -oznajmił. - Bierzesz ją czy nie?

Dżaffar pokręcił głową raz jeszcze. Uniósł bezwłose brwi i raz jeszcze spojrzął na leżącą na płytach kobietę, oddychającą z trudem, lecz przytomną.

-

Niech ci będzie, Franku - powiedział. - Mam tylko nadzieję, że nie próbujesz mnie oszukać. Bo jeśli tak jest...

-

Oszczędź sobie. I obyśmy się nigdy więcej nie spotkali. Mierzisz mnie jak mało kto na tym padole.

- De Baideaux, ty świnió - wyszeptała Anna. - Ty skończona świnió.

Wzruszył ramionami. W tej akurat sytuacji trudno mu było protestować.

Z każdym pokonanym metrem Dżaffar czuł się coraz pewniej. Odwrócił się i przez chwilę śledził

obu Franków, wijących się wśród rozpadających się budowli, ledwie widocznych wśród kurzawy, doprawdy cudem nawet nie drażniętych. Dostrzegł, jak de Baideaux przesadza jednym susem szeroką szczelinę wyłupaną przez rozjuszonego dzina, i niespodziewanie poczuł, jak budzi się w nim chciwość.

„Przecież ten niewierny ma pierścień Salomona -przypomniał sobie ze zdumieniem. - Artefakt, którym mogę usidlić Asmodeusza, demona, który zawładnie dla mnie najpotężniejszymi z ludzi...

Tam na dole miota się skarb, a ja uciekam?"

- Beth, zayin - wyszeptał.

Dywan zawrócił i runął w dół, ku dwójce krzyżowców.

Gaston otworzył oczy.

Nie miał pojęcia, na jak długo stracił kontakt z rzeczywistością, lecz natychmiast odniósł

wrażenie, że ta uległa dalszym zmianom. Powietrze wokół niego wydawało się gęstnieć, ciemnieć, jakby owa wszechpotężna istota, obracająca w perzynę całe miasto, tym razem postanowiła skupić swą furię na samotnym krzyżowcu, otoczyć go i udusić. De Baideaux potrząsnął głową, stanął szerzej na nogach i ciął mieczem dookoła siebie.

-
Nie dostaniesz mnie! - krzyknął ochryple. - Nie dostaniesz mnie, Dżaffar!

Desperacko machnął pochodnią, jakimś cudem wciąż łopoczącą płomieniami, ale jego niepojęty, niematerialny wróg wciąż napierał. Gaston czuł zimną emana-cję, która oplata jego ciało, więzi jego dłonie, zalewa serce. Zacisnął powieki, przekonany, że zaraz usłyszy trzask własnych żeber.

I wtedy niespodziewanie wszystko ustąpiło. Olbrzymi napór znikł, świat w jednej chwili odzyskał barwy. Gaston zachwiał się na nogach, a potem aż krzyknął, gdy amulet ze słowami Koranu zapłonął na jego piersi. Bernard za jego plecami chrząknął z bólu, a potem klepnął młodzieńca w plecy.

-
Dałbyś wiarę? - stęknął oszołomiony rycerz. - Te ichnie amulety zadziałały, naprawdę zadziałały...

Wtedy Bernard trzepnął go raz jeszcze, a jego sękaty paluch wskazał pikujący dywan.

Dżaffar pędził ku nim z niebios, a jego oczy otwierały się coraz szerzej, jakby uświadamiał sobie, że dżin, który miał go chronić, gdzieś wyparował. Już szarpał za frędzle, chcąc poderwać kobierzec z powrotem ku młodym gwiazdom nocy, gdy Gaston oprzytomniał do końca.

-
Nafta! - wrzasnął i machnął pochodnią przed twarzą Bernarda. Ten natychmiast wyciągnął zakorkowaną butelkę, z której wystawała szmata nasycona naftą z Mosulu, kupioną wczesnym rankiem na targowisku w Askalonie. Starczył króciutki kontakt z płomieniem pochodni, by szmata momentalnie stanęła w ogniu. Giermek zamachnął się i rzucił.

Niszczący pocisk trafił idealnie. Płynny ogień w okamgnieniu ogarnął latający kobierzec z Medii, zamieniając go w ognisty obłok. Dżaffar zamachał rozpaczliwie ramionami, jakby miał nadzieję, że w tej najtrudniejszej chwili swego życia odnajdzie w sobie dar latania, i wyskoczył w powietrze.

Grzmotnął w ziemię ledwie kilka kroków od Bernarda, który natychmiast przygniótł go kolanem do ziemi i wykręcił mu rękę, aż zatrzeszczało. Z butelki, jaka wysunęła mu się zza pasa i rozbiła kilka kroków dalej, wychynał łeb siedmiookiej żmii, natychmiast ścięty przez Gastona.

- Bierz tę hienę! - rozkazał rycerz, brudny od pyłu, osmolony, lecz ze spojrzeniem błyszczącym jak nigdy. - Wracamy do naszych!

Jeśli eksplozja płomieni z wejścia do siedziby czarownika przeraziła rycerskie rumaki, to czarny skorpion, który wyłonił się z rozbitej buteleczki Dżaffara i błyskawicznie urósł do rozmiarów wołu, praktycznie odebrał im zmysły. Oszałały koń Jakuba pocwałował na ulicę, były szpitalnik cudem uniknął zderzenia z bokiem portalu, które zapewne zakończyłoby się zmiażdżeniem jego nogi. Anzelm zdążył nawet rąbnąć potwora toporem i wyciąć głęboką szczerbę w chitynowym pancerzu, ale jego

własny koń, również półprzymotny ze strachu, nie pozwolił mu na więcej.

Pomknął prosto na zielonkawy, kołyszący się w przejściu mosiężny posąg, który rozpostarł metalowe ramiona, usiłując go pochwycić. Anzelm zeskokczył z siodła w ostatnim momencie, stracił równowagę i przetoczył się pod ścianę z reliefami, uderzając w nią z całej siły barkiem.

Czarny skorpion wysunął odwłok ku górze, mierząc śmiertelnościami żądłem prosto w znieruchomiałego, jęczącego z bólu rycerza. Ogromne szczypce uniosły się, gotowe pochwycić bezwładne ciało.

- Mój Boże, jesteś wspaniała! - zawył Vittorio, wściekłymi szarpnięciami poskramiając opór swego konia, który walił kopytami o splekane płyty, próbując pomknąć w ślad za koniem Jakuba.

Nie wiadomo, czy zadecydowało o tym staranne szkolenie, jakie przeszedł odebrany templariuszowi rumak, czy może niepohamowana determinacja samego jeźdźcy, w każdym razie Vittorio jakimś cudem zdołał go zawrócić ku potworowi. Ścisnął go kolanami z taką furią, że koń targnął łbem i zarżał przeraźliwie, ale pokonał lęk i skoczył ku czarnemu skorpionowi w chwili, gdy ten unosił swe żądło do maksymalnej wysokości. W rękach Italczyka pojawiła się lina.

- No, ślicznotko! - wrzasnął uradowany Vittorio. - Chodź! Idziemy na spacer!

Celnie zarzucona pętla zacisnęła się na prawym odnóżu skorpiona, tuż pod szczypcami.

Zaskoczony monstrum odwróciło się ku Scoziemmu, wycelowało w niego swe żądło, ale ten zawrócił już rżącego, przerażonego konia i pędził ku bramie. W ostatniej chwili stanął w strzemionach, przerzucił linę nad portalem, przemknął obok metalowych dłoni rozkołysanego posągu i złapał ją z drugiej strony. Potem błyskawicznie zawiązał ją przy siodle, a sam zsunął się na ziemię i smagnął koński zad płazem.

-

I jak zwykle, kurwa, w pobliżu nie ma nawet najlichszego trubadura... - mruknął, waząc w dłoni długi miecz.

Zarówno wierzchowiec, jak i czarny skorpion były mniej więcej tej samej wielkości, ale rozpedzony, gnany strachem italski rumak wojenny okazał się nie do powstrzymania. Szarpnięty potężnie skorpion przewrócił się na bok, bezradnie wymachując odnóżami i pomknął po płytach dziedzińca prosto ku bramie, a potem w górę, aż zachrząścił kamienny łuk. Wiszący do góry nogami posąg, najwidoczniej uznawszy potwora za zagrożenie, pochwycił go w swe metalowe ramiona i ścisnął potężnie.

-

No, to się porobiło - stwierdził Italczyk, przyglądając się rozkołysanym, szepionym wytworom Dzaffara Nadr ibn Jusufa. Czarny skorpion nie pozostał posągowi dłużny, oplótł go odnóżami i co rusz kąsał ogromnym żądłem, które zsuwało się po metalowym pancerzu. Vittorio podskoczył bliżej, wyczekał na odpowiedni moment, a potem odciął je jednym potężnym cięciem.

Talizman ze słowami Koranu zapiekł mocniej.

-

Ciekawe - mruknął, przymierzając się do pchnięcia w podbrzusze potwora. - Nasze relikwie jakoś kiepsko działają na potwory. Muszę kiedyś poeksperymentować na Bernardzie...

Gaston i Bernard, zdyszani i brudni od pyłu, wpadli na dziedziniec w chwilę później, gdy Vittorio zdążył już odciągnąć martwego skorpiona jak najdalej od rozkołysanego posągu i pracowicie rąbał go mieczem, próbując oddzielić szczypce od monstrualnego ramienia.

Pochłonięty swym zadaniem, ledwie obrzucił dwójkę swych towarzyszy spojrzeniem.

-

Zrzuć go tutaj, Bernardzie! - wykrzyknął zasapany Gaston. - Zrzuć go tu i rozwał zawiasy! Ja go popilnuję! Anzelmie, wszystko w porządku?

-

Tak - wykrztusił z trudem rycerz z Ar-Ramli. Usiadł i potoczył wokoło oszołomionym spojrzeniem. - Niech to szlag, chyba sporo mnie ominęło.

-

Ano, sporo! - Italczyk rąbnął po raz ostatni i potworne szczypce odpadły na płyty dziedzińca, zbroczone czarną krwią syczącą cicho na kamieniach. - Jeśli chcesz wiedzieć, jak załatwiłem tego bydlaka, moja odpowiedź brzmi: sprytem! Sprytem i inteligencją! Któregoś dnia, my, Genuńczycy...

-

Nie o -to mi chodzi - Anzelm wyciągnął ramię i wskazał poparzonego na twarzy Dżaffara w osmalonym burnusie leżącego bezwładnie na ziemi. Nie wykazywał śladów życia, ale niespokojny Gaston nadal przytykał ostrze miecza do jego szyi. - Dorwaliście suczego syna?

-

Tak - rzucił z roztargnieniem Gaston. - Szybciej, Bernardzie, na litość boską...

Olbrzym wziął zamach i spuścił ostrze na zawiasy. Rozległ się ostry trzask i drzwi, broniące wstępu do siedziby czarownika, odpadły od spękanej ściany, a potem legły w pyłe. Ze środka wyfrunęło stadko przerażonych nietoperzy z bujnymi brodami.

-

Co się dzieje? - Anzelm podniósł się z trudem.

-
Nic takiego! - rzucił Gaston, zrywając się do biegu. - Pilnuj Dżaffara! Zaraz wracam!

I zniknął we wnętrzu.

-
Anno! Anno!

Niespokojne krzyki Gastona niosły się korytarzami, powracały zniekształcone echem, upiorne, nieludzkie. Rycerz wpadł do największej z komnat Dżaffara, błyskawicznie otaksował wzrokiem pomieszczenie i skrzywił z obrzydzeniem na widok starej szafy, której półki zastawione były słojami i butelkami więzącymi najrozmaitsze monstra. Kopnął homunkulusa, usiłującego dostać się do mysiej dziury obok klepsydry z białym piaskiem, przeciął skrzydlatego węża spływającego w dół rzeźbionej framugi i jeszcze raz nabrał tchu:

-
Anno! Na litość boską, gdzie jesteś?

-
Tu! - dobiegło słabe wołanie.

Drzwi obok otulonego pajęczynami kominka naraz rozwarły się, a w progu stanął zielonkawy posąg, identyczny z tym, którego Vittorio przewiesił przez portal. Uniósł ramiona, jakby chciał

porwać przybyszów i przytulić ich z całej siły do swego metalowego serca, lecz wtedy drogę zastąpił mu Bernard. Olbrzym zakręcił kijem aż zafurczało, uniknął ciosu metalowego kułaka i z całej siły rąbnął go w kostkę. Pędzący w kierunku źródła głosu Gaston usłyszał tylko przeraźliwy, metalowy łoskot.

Wpadł do biblioteki Dżaffara kilka uderzeń serca później, zdyszany, z błyszczącymi oczyma i rozwianymi włosami. Trójgłową żmiję, która ze wściekłym sykiem zastąpiła mu drogę, ściał

jednym gładkim ciosem, a potem przeskoczył nad jej drgającym ciałem i rozejrzał się z niepokojem.

-
Anno!

-
Tutaj! Weź żmiję!

-Co?

-
Weź zmiję! Trzeba zamek skropić jej jadem, inaczej nigdy nie otworzysz tej celi!

Z niemałym obrzydzeniem Gaston pochwycił zewłok i podbiegł do właściwych drzwi, a wtedy z trudem stłumił okrzyk przestachu. Widział już ją wynędzniałą i obdartą, ale w niczym nie przygotowało go to na to, co teraz ujrzał. Dłonie Italki, wychudzone i brudne, z połamanymi czarnymi paznokciami, wpijały się w zardzewiałe kraty niczym szpony istoty zza grobu. Zapadłe policzki rozświetlał niezdrowy blask oczu, a wymizerowaną twarz obrafnowały skudłone, długie włosy. Drżała, jak gdyby trawiła ją złośliwa choroba, ale mimo tego wypowiedziane przez nią słowa były głośne i wyraźne:

-
Po co wróciłeś?

-
Żeby wszystko naprawić - wyszeptał Gaston, wpychając zęby martwej żmii w odpowiednie dziurki w zamku. - By oddać ci wolność.

-
By błagać o wybaczenie?

-
Nie - zagryzł wargi. - Nie ośmieliłbym się.

-1 słusznie.

Zgrzytnęła rozwierana krata, plasnął odrzucony gadzi zewłok. Uwolniona Anna przestąpiła próg i dopiero wtedy Gaston uświadomił sobie, że w jej ruchach kryje się wiele, zbyt wiele energii. Gdy dostrzegł w jej dłoni łańcuch, było już nieco za późno.

Szczęknięty zardzewiały ogniwa, łupnęło, aż wokół poniosło się echo. Ból eksplodował mu przed oczami, a potem po raz drugi, gdy padając, wyrzwał potylicą o ścianę. Zamroczone osunął się na ziemię, upuszczony miecz brzęknął gdzieś obok jego głowy. Kątem oka dostrzegł, jak Anna zamierza się do kolejnego ciosu, lecz w ostatniej chwili jej nadgarstek złapał Bernard, na policzku którego odcisnął się krwawy ślad ludzkiej dłoni. Olbrzym z niewysłowioną delikatnością odebrał kobiecie łańcuch i odrzucił na bok. Ten zachrząścił, gdy parobek ciągnął go po posadzce.

-
Ja... - wychrypiał, odurzony falami bólu Gaston. - Nie byłem wtedy sobą...

Wiem - odparła Anna. - Miałam dość czasu, by ci się przyjrzeć. Możemy założyć, że teraz to ja nie jestem sobą.

-

Przepraszam - rzekł Gaston i wyciągnął rękę do Bernarda, który pomógł mu wstać i troskliwie rozchylił włosy, by przyjrzeć się stłuczeniu. Rycerz odgonił go niecierpliwym gestem.

- Dajmy na razie temu pokój, Anno. Pora nam się stąd wynosić...

-

To niemożliwe - zaprotestowała Italka, a w jej pod-siniaczonych oczach błysnął lęk. - Ten skurwiel więzi Usamę, Gastonie! Zagroził, że jeśli kiedykolwiek skieruję swą moc przeciwko niemu, Usama zginie! Ponoć trzyma go gdzieś w górach, w samotnej, wykutej w skale celi pełnej węży. Co świt posyła demona, by ten uspił węże na kolejny dzień i jeśli któregoś dnia zapomni...

-

Naprawdę w to uwierzyłaś? - przerwał jej Gaston. - Naprawdę wierzysz w to, że ta kanalia zadawałaby sobie tyle trudu?

Anna cofnęła się o krok.

-

Czy... - wyjąkała. - Czy on...

-

Nie wiem. - Rycerz splunął krwią. - Wiem tylko tyle, że ludzie tacy jak Dżaffar są urodzonymi kłamcami, z gatunku tych najpodlejszych. Zresztą, Dżaffar znajduje się akurat pod opieką moich towarzyszy na dziedzińcu. Możesz sama wypytać go o Usamę.

-

Co uczynię z rozkoszą. - Oczy Anny zgęstniały od mroku. - Choć ty będziesz musiał się odwrócić.

-

Czemu?

-

Jesteś mężczyzną. Masz zbyt słabe nerwy.

W głównej sali natknęli się na Vittoria, który z ogniem w oczach przetrząsał półki wielkiej szafy i

ładował do worka wszystko, co wyglądało niecodziennie lub choćby paskudnie. Z trzymanego przez niego pakunku wystawało wypreparowane ramię o kilkunastu palcach i uzbrojony w kolce, zwisający martwo ogon.

-

O, jesteś! - zawołał z uciechą. - Słuchaj, nie masz pojęcia, chłopie, co ten łysy pajac tu trzymał! Znalazłem słoiki pełne takich małych kurdupli, zupełnie... O, cholera.

Niespodziewanie znieruchomiał, uświadamiając sobie, że Gaston i Bernard nie nadchodzą sami.

Wyprostował się i zamrugał oczami, kręcąc głową z niedowierzaniem.

De Baideaux uśmiechnął się kwaśno.

-

No, dalej - zachęcił Italczyka. - Dawaj. Już dawno nie przypomniałeś mi o tym, że zadaję się z niewłaściwymi kobietami. Co gorsza, ciągle z tymi samymi.

-

Miło cię ujrzeć w dobrym zdrowiu, Vittorio -miętko powiedziała Anna. - Naprawdę.

Scozzi nabrał głęboko tchu i wypuścił powietrze ze świstem.

-

Jestem pewien, że kiedyś przestaniesz mnie zaskakiwać, Gaston - sapnął. - Choć boli mnie, że nastąpi to dopiero dobrych parę lat po twojej śmierci.

-

Wybacz mi, nie mam zamiaru umierać - skrzywił się de Baideaux. - Gdzie reszta?

-

Anzelm dalej na dziedzińcu, pilnuje tego łysego rzezańca - odparł Vittorio. - A Jakub...

Kurwa, nie wiem, gdzie jest Jakub.

Jakub był doświadczonym jeźdźcem i czuł, że nie poskromi lęku swego rumaka, nie złamie jego oporu. Miał wrażenie, że lepiej pozwolić, by lęk się w nim wypalił, by przytłumiło go zmęczenie.

Pochylony nad mokrym od potu końskim karkiem, gnał wymarłymi ulicami Aska-lonu, delikatnie powodując wodzami, pomagając koniowi przeskoczyć nad przewróconym wozem czy przemknąć obok zwałonej markizy.

I dopiął swego. Wierzchowiec powoli wytracał pęd, zwalniał, a wtedy szpitalnik zaczął ściągać wodze, z początku lekko, ale potem coraz bardziej zdecydowanie. W końcu spieniony rumak przystanął na opustoszałej uliczce i zwiesił ciężko łeb, jakby przepraszał swego jeźdźca.

Jakub odetchnął głęboko i poklepał go po karku. Jego ręka drżała, dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały szaleńczy galop miał nerwy napięte jak postronki.

-

No, przyjacielu - szepnął w swym ojczystym języku, z którym, jak sądził, żaden koń na całym świecie nie powinien mieć trudności. - Pora wracać do moich towarzyszy. Czuję, że mogą potrzebować naszej pomocy. Jesteś gotów?

Koń gwałtownie uniósł łeb i grzmotnął kopytem o bruk, a potem prychnął. Jakub odniósł wrażenie, iż zwierzę znów sztywnieje z niepokoju.

-

Spokojnie, spokojnie - szeptał, to gładząc go po napiętych mięśniach, to drapiąc za uchem. - Nic się nie dzieje...

-

Tu, niestety, mylisz się, rycerzu - odpowiedział mu inny szept, daleko bardziej powabny i zmysłowy, choć męski.

Szpitalnik wyprostował się w siodle, ale się nie odwrócił, nie musiał. Dobrze wiedział, że ledwie kilka kroków za zadem jego wierzchowca zmaterializował się ten, którego obwiniął za zepsucie w zakonie, za opętanie przyjaciela, wreszcie za wprowadzenie chaosu do własnych myśli.

Oczyma wyobraźni widział jego wyprostowaną sylwetkę, ciemne loki okalające niezwykle urodziwą twarz, głębokie, hipnotyczne spojrzenie. Nienawidził go. Nienawidził go z całego serca, ale...

Ale chciał go wysłuchać. Co więcej, wiedział, że tak właśnie musi zrobić.

-

Tak, wiem - odpowiedział niecierpliwie. Jego głos niósł się głuchym echem po opustoszałej uliczce. -Gdzieś niedaleko stąd Gaston de Baideaux przypiecze-towuje twój los.

-

Tak - rzekł po chwili, jakby z roztargnieniem As-modeusz. - Tak, Jakubie. Być może to moja ostatnia chwila, zdaję sobie z tego sprawę. Ale mimo tego nie przestaję być sobą. Nie mogę przestać nagradzać i obdarowywać... Nie wiem, czym to tłumaczyć? Może po prostu chcę być lepszy od

waszego Boga, który wydaje się w tej materii mocno wstrzemięźliwy?

-

Odejdź - powiedział, wbrew sobie szpitalnik. - Po prostu odejdź.

-

Odejdę, a jakże. Zawsze odchodzę. Pomyślałem jednak, Jakubie, że wprzódy zrealizuję twe pragnienie.

-

Nie mam żadnych pragnień! Zostaw mnie!

-

Owszem, masz. Dobrze je poznałem zeszłej nocy. Oba. I z chęcią spełnię jedno z nich, nawet jeśli zaczniesz protestować. Bo widzisz, Jakubie, jest to w moim żywotnym interesie.

Szpitalnik chciał odwrócić się, odpędzić demona boskim imieniem, ale nie zdążył. Gdzieś na skraju swej świadomości odczuł, że Asmodeusz znika, a potem doszedł go niespieszny stukot kopyt, coraz głośniejszy, w niezrozumiały sposób przerażający. Rycerz wyprostował się w siodle, pociągnął tęgi łyk z manierki, poprawił swój hełm i sprawdził, czy miecz bez przeszkód wychodzi z pochwy.

Nieposłuszne serce zabiło żywiej. Naraz zrozumiał, że właśnie nadchodzi moment, o którym marzył.

Zbliżali się wolno, złowieszczy niczym pogłoski o zarazie, mroczni jak rozpacz samobójcy.

Jadący przodem Adelard był blady, jego ongiś bujne, czarne loki wisiały w strąkach zlepionych potem i krwią. Z jego pysznej, poszarpanej teraz w kilku miejscach kolczugi sterczały ułamane strzały, ze wspaniałego płaszcza zostały tylko marne strzępy. Twarz zbrojnego po jego prawicy przypominała krwawą maskę, nie sposób było w niej dostrzec ani nosa, ani ust, ale trzymał się prosto, niewzruszenie, jakby odmawiał bólowi przystępu do ciała. Trzeci ze zbrojnych, choć również bez hełmu i z poszarpaną kolczugą, wydawał się z pozoru nietknięty, dopiero po chwili Jakub dostrzegł, że z jego pleców sterczy ułamana włócznia.

Było ich trzech. Tylko trzech. Ilu ludzi ocalało z aska-łońskiego garnizonu, który związali walką, mógł tylko zgadywać.

Jechali wolno, niespiesznie, ich chłodne, wężowe spojrzenia przeszywały postać samotnego rycerza. Wokół panowała nieprzenikniona wprost cisza, przerywana jedynie oddechami koni i bzyczeniem wielkich, czarnych much. Askalon milczał pokornie, jakby kuląc się z lęku przed starciem potęg, z istnienia których jego mieszkańcy woleli nie zdawać sobie sprawy.

- Gdzie de Baideaux? - zapytał chrapliwie Adelard, wstrzymując konia. Tchnął mrokiem i nienawiścią, zupełnie jakby krwawa przeprawa z miejskim garnizonem odarła go z wszelkich

ludzkich zachowań, w tym z pozy uprzejmego, choć stanowczego italskiego biskupa.

Spięty Jakub usiłował odnaleźć w sercu słowa modlitwy, lecz te układały się opornie, jakby Stwórca wiedział o rozmowie, jaką rycerz odbył przed momentem. W końcu potrząsnął ze wstydem głową, zmrużył oczy, już nie kryształowo błękitne, ale przesycone mrokiem, i błyskawicznie odwrócił konia.

A potem smagnął go przez zad.

Nisko pochylony nad końskim karkiem, pędził opustoszałymi uliczkami, a ściany kamienic, rozdziawione jamy bram i okien, czarne szpary zaułków i porzucone, niezgrabne stragany zlewały się w nieskończony, oszałamiający ciąg. Jakub przemykał pod rozporami, obok chwilowo bezpańskich wozów, między chylącymi się ku sobie domami i stłoczonymi straganami, wciąż słysząc za sobą tętent rumaków świty Adelarda grzmiący niczym listopadowa burza. Gnał

konia jak szalony, lecz odpędzał strach, co rusz odwracał głowę i oceniał dystans, jaki dzielił go od prześladowców. W jego krzywym uśmiechu kryło się złośliwe wyrachowanie. Uciekał, jak od początku doby krucjat uciekali muzułmanie, przyglądając się ścigającym napastnikom i czekając na chwilę, kiedy rozluźnią swój szyk, stwarzając okazję do kontrataku, do zatopienia szponów w świeżym mięsie.

I doczekał się. W pewnym momencie Adelard machnął dłonią, wojownik ze zmasakrowaną twarzą skręcił w ciemny zaułek, ani chybi chcąc przeciąć szpitalniko-wi drogę kilka uliczek dalej. Jakub znów się uśmiechnął, leciutko, lecz złowróżbnie.

Ściągnął wodze i zawrócił rumaka z furią, nie bacząc na jego dzikie rzenie ani krew ściekającą z pyska. Bez litości ponownie smagnął zad płazem i runął w kierunku obu diabłów. Pędził prosto na Adelarda, którego koń najwidoczniej był ciężiej ranny i został nieco w tyle za jego przybocznym.

Trasa jego szarzy wypadała tuż obok stoiska z glinianymi amforami. W ostatniej chwili galopujący szpitalnik przerzucił ciężar ciała na lewo i wysunął ramię zbrojne w miecz.

Rozpędzone ostrze przeorało naczynia, siejąc chmary okruchów i strugi gęstej oliwy. Przyboczny Adelarda nie zwrócił nawet na to uwagi i pędził prosto na Jakuba. Błysnął wznoszony miecz, opadł, ale trafił w próżnię - szpitalnik z niewysłowioną zręcznością przerzucił swe ciało na przeciwną stronę. Czarne oczy zaśmiały się z drwiną, gdy gdzieś za nim rozległo się przeraźliwe rzenie ślizgającego się, przewracającego się konia. Znów skupił się na Adelardzie, który gnał ku niemu spotężniały, z twarzą zniekształconą chmurą ciemności, z mieczem wzniesionym nad głową.

Zwarli się niczym dwie burze naładowane furią miast elektryczności. Miecze błysnęły niczym rozszalałe pioruny, strzeliły iskry. Rumaki, jakby udzieliła im się wściekłość jeźdźców, gryzły i kopały. Ziemia drżała, niebiosa ciemniały. Serca walczących, poczerniałe z nienawiści, zdążyły uderzyć zaledwie kilkakrotnie, gdy miecz Jakuba wyrwał strugę krwi z piersi Adelarda. Diabeł

ryknął z bólu, zakołysał się w siodle, ciął w odpowiedzi, ale szpitalnik już odskoczył, rozglądał się dookoła.

Ranny Adelard zacisnął pazurzystą dłoń na swej piersi. Jego twarz była teraz pulsującym obłokiem ciemności. Przyboczny legata podnosił się nieopodal znad dogorywającego konia, który połamał nogi na rozlanej oliwie, z pobliskiego zaułka nadjeżdżał trzeci.

Jakub roześmiał się głucho, podjechał do rumowiska, z którego sterczały dwa kikuty kolumn, i zsunął się z siodła. Ledwie to uczynił, ogromne bloki kamienne poruszyły się, jak gdyby kryła się pod nimi potężna istota, usiłująca się uwolnić.

Niespodziewanie rycerz pochylił się, poderwał z ziemi spory głaz i cisnął nim z niewyobrażalną siłą, aż świsnęło powietrze. Diabeł stojący w kałuży oliwy przewrócił się, trafiony prosto w twarz, a Jakub już biegł ku nadjeżdżającemu przeciwnikowi, śmiejąc się dziko. Nieoczekiwanie przyklęknął i wbił miecz między kamienie bruku, aż zgrzytnęło. Fasady okolicznych budowli zatrzęsły się z głuchym łoskotem, a gdy szpitalnik wyrwał miecz, w ulicy, niczym usta bestii, ze zgrzytem otworzyła się ciemna jama, buchająca parą. Rozpędzony jeździec w ostatniej chwili spiął rumaka do skoku. Zdołał przesadzić rozpadlinę, ale dopadł go szalony szpitalnik i przeorał

mieczem koński bok. Oszalały z bólu koń potknął się, lądując, i z łoskotem padł na ziemię, przygniatając jeźdźca. Jakub przypadł do uwięzionego pod końskim ciałem szamoczącego się jeźdźca, przerzucił miecz do lewej dłoni i ciął, nie patrząc. Głowa diabła, nadal bluz-gająca klątwami, potoczyła się po bruku, spadła do czarnej jamy. Obryzgany czarną krwią rycerz już mijał obie kolumny i wbiegał na szczyt dygoczącego rumowiska.

-

No? - zawołał do Adelarda. Jego czarne oczy śmiały się. - Tylko na tyle cię stać, czarciku?

-

Chcesz się dowiedzieć, na co mnie stać? - charknął Adelard, pnąc się ku górze. Gdzieś postradał miecz, wyciągał ku oszalałemu szpitalnikowi pazurzyste dłonie, ział trującymi oparami.

Ten wyszarpnął jakąś bryłę gruzu, uniósł z nadludzką siłą, cisnął w fałszywego biskupa, nie przestając się śmiać. Adelard z łatwością uniknął pocisku.

-

Tym chcesz mnie zniszczyć? - prychnął. - Tym, ty nadęty bufonie?

Szpitalnik nie odpowiedział, ale rzucił kolejnym głazem, równie niecelnie, a potem następnym.

Adelard parł ku niemu, parszając z niewysłowioną wściekłością, aż nagle, gdy od Jakuba dzieliło go zaledwie kilka kroków, uświadomił sobie, że opętanemu rycerzowi bynajmniej nie chodziło o to, by go zmiążyć. Chciał jedynie odwrócić jego uwagę.

Monstrualna dłoń, jedynie z kształtu przypominająca ludzką, przebiła się przez gruzy i zacisnęła się na łydce Adelarda. Diabeł spojrział w dół, a przez jego czarne, nienawistne oblicze niespodziewanie przemknął lęk. Potem pod ciemniejące, już rozgwieżdżone niebiosy, pomknął

jego przeraźliwy ryk, do którego dołączył głuchy pomruk gigantycznego posągu, który krzyżowcy przywalili sklepieniem jego własnej celi ledwie godzinę wcześniej.

Mrok w oczach Jakuba z wolna znów ustępował miejsca błękitowi.

Gaston uniósł głowę.

-

Jeszcze raz - powiedział głucho.

Bernard obrócił w dłoniach kij, aż zahuczało powietrze i zamierzył się do kolejnego uderzenia.

Szlochający, zakrwawiony Dzaffar, spętany niczym prosiak wieziony na targ, skulił się, podciągnął kolana pod brzuch.

-

Nie... - wyjęczał. - Nie, efendi, błagam... Nie...

Z przestraczem spojrział na niewzruszoną, całkowicie obojętną twarz Gastona, potem przeniósł

wzrok na mroczne oblicza Anzelma oraz Vittoria, który przyglądał mu się ze skrajną wzdargą, aż wreszcie odnalazł twarz Anny Giscolvi. Błada twarz Italki, wychudła, niemalże trójkątna, przypominała mu wampirzycę z bizantyjskich legend, zwłaszcza gdy oblizywała swe cienkie wargi. Nigdy dotąd, nawet podczas swych niekończących się wypraw do najdalszych światów stworzonych przez Allacha, nie wyczuwał wokół siebie tyle nienawiści.

I wtedy dotarło do niego, że jego walka jeszcze nie dobiegła końca. Przez opary strachu do jego umysłu przebiła się nowa myśl. Ci szaleni, niezwyciężeni Frankowie upokorzyli go całkiem i wyzwolili w nim strach, z istnienia którego nie zdawał sobie sprawy, ale nadal był im do czegoś potrzebny. Gdyby tak nie było, zabiliby go już dawno.

-

Usama... - wysapał. - Powiem wam, gdzie jest więziony Usama. Pod klepsydrą znajdziecie klapę w podłodze, tam go trzymam... Karmiłem go, dobrze go karmiłem! Nie znęcałem się...

-

Stul pysk! - rzucił nagle Gaston i wstał. Bernard przygwoździł leżącego końcem kija do ziemi i spojrzał tam, gdzie patrzył jego pan.

Z ciemności wynurzył się samotny jeździec. Kołysał się w siodle, jakby ze wszelkich sił bronił się przed upadkiem, jego błękitne oczy były matowe, sine dłonie ledwie trzymały uzdę.

-

Jakubie! - wykrzyknął z przestachem Anzelm. - Jesteś ranny?

-

Nic mi nie jest - wychrypiał rycerz, lecz niezdar-ność, z jaką machnął dłonią, tylko pogłębiła niepokój jego towarzyszy. - Zupełnie nic. Cieszę się... Cieszę się, że was widzę.

Witajcie, pani. - Ukłonił się lekko Annie, najwyraźniej zbyt wycieńczony, by zareagować zdziwieniem.

-

Niech Bóg strzeże Grobu Świętego - odpowiedziała Italka. - Witajcie, bracie Jakubie.

Jakub przygryzł wargę, nie odezwał się ani słowem. Z trudem odszukał wzrokiem Gastona i wtedy dopiero zmusił się do uśmiechu.

-

Biskupem Adelardem i jego sługusami nie musimy się już dłużej przejmować -

powiedział cicho. - Rób, co do ciebie należy, przyjacielu, i uciekajmy stąd. Mam już chyba dość krucjat.

-

Ja też - rzucił Gaston i zmusił się do nieudolnego, upiornego uśmiechu. - Anzelmie, Vittorio, odnajdźcie Usamę. Anno, proszę, idź z nimi. O ile dobrze pamiętam, Usama będzie gotów wyżreć serce pierwszemu człowiekowi, którego ujrzy.

-

Słusznie - odezwała się Italka i ruszyła za rycerzami do siedziby maga. Nikt spośród krzyżowców nie zwrócił uwagi na ciche drżenie w jej głosie, subtelny dźwięk zdradzający strasliwą walkę w duszy. Nikt też nie dostrzegł, że zatrzymała się przy kulącym się na ziemi Dżaffarze.

-

Karmiłeś go? - zapytała cicho, ochryple. - Nie znęcałeś się?

-

Tak, pani! - przytaknął skwapliwie Dżaffar. - Dobrze go traktowałem! Bardzo dobrze!

-

Ty skurwielu - wycharczała Anna po arabsku. Jej twarz nagle pociemniała, oczy błysnęły piekłem nienawiści. - Śmiałeś uwięzić sokoła pustyni! Śmiałeś upokorzyć rycerza, którego kocham! Choćbyś karmił go bakłazanami na złotych tacach, sparszywiała hieno, nie zasłużyłeś na nic innego prócz śmierci!

- Anno! - wrzasnął wystraszony Gaston. - Co ty robisz? On jest nam potrzebny!

Italka nie słuchała.

Skrajnie przerażony Dżaffar ujrzał błysk sztyletu w jej dłoni i wtedy zrozumiał, że się pomylił.

Jego walka dobiegła jednak końca.

Rozdział piętnasty

w którym kryje się sporo prawdy o duszy krzyżowca. prawdy tak gorzkiej, że chciałoby się za kilka z tych dusz odmówić modlitwę

Gaston wsłuchiwał się w odgłosy nocy.

Wokół ogniska, gdzie zasiadali jego towarzysze, panowała niemalże całkowita cisza, przerywana jedynie strzelaniem szczap w ogniu i stukotem naczyń, od czasu do czasu zarżał koń. Znał te odgłosy, nużyły go już i męczyły. Wolał przysłuchiwać się pustce, która zwłaszcza w nocy pobudzała zmęczoną wyobraźnię młodego rycerza, przepełniała ją fantastycznymi obrazami. Nie obawiał się już chichotu hien czy pohukiwania nocnych drapieżców, nie wzdragał się nawet przed odległym rykiem lwa. Siedział niczym ifryt zaklęty w kamień i słuchał z przymkniętymi oczyma.

Uciekał w świat marzeń. Uciekał weń z ulgą, z nadzieją, że na jak najdłużej zapomni o swoich rozczarowaniach.

Niedaleko zaszeleściły czyjeś kroki, miękkie i sprężyste, różniące się od kroków Bernarda, który od opuszczenia Askalonu co wieczór przynosił mu ciepły posiłek.

Gaston z niechęcią otworzył oczy i odwrócił głowę ku ciemnej postaci, lekko obramowanej wątlym blaskiem ogniska.

-

Anzelm? - spytał cicho.

-
Tak, to ja - odparł rycerz z Ar-Ramli. Jego zielone oczy połyskiwały dziko w mroku, ale głos był łagodny, ciepły.

-
Czego chcesz ode mnie? - spytał z wyrzutem młodzieniec. - Przecież prosiłem, byście zostawili mnie w spokoju.

-
Skoro tak chcesz, tak będzie - odrzekł Anzelm. - Zostawimy cię w spokoju, nawet i na resztę życia, jeśli będziesz sobie tego życzył. W końcu jesteśmy przyjaciółmi, usłuchamy twej woli. Póki co wciąż wędrujemy razem i dlatego czas się naradzić.

Gaston pokręcił z niechęcią głową i już otwierał usta, by go zbyć, ale ten uniósł dłoń, powstrzymując słowa towarzysza.

-
Żadnych wykrętów - powiedział Anzelm, a w jego głosie brzęknęła stal. - Musimy się naradzić, nawet jeśli miałyby to nastąpić po raz ostatni.

Pikardyjczyk odetchnął głęboko, rozładowując wzburzenie, jakie narosło w nim przez tę krótką chwilę, po czym wstał ciężko i ruszył w stronę ognia, trącając od-mieńca ramieniem. Z niechęcią wymalowaną na twarzy stanął naprzeciwko towarzyszy zebranych wokół ognia, i z chrzęstem kolczugi założył ramiona na piersi.

A potem odwrócił głowę.

Nie chciał im się przyglądać. Nie interesowało go zaniepokojone, poważne spojrzenie Adalberta i przymknięte oczy jego podopiecznej, jak zwykle przytulonej do boku księdza. Nie chciał

wiedzieć, co kryło się za ponurą, urażoną miną Vittoria, który nie przestawał badać swych obrzmiałych siniaków, ani co zwiastuje uparte milczenie Jakuba, który nie odezwał się ani słowem od chwili wyjazdu z Askalonu. Tam, gdzie siedzieli Anna z Usamą, przypominający w półmroku dwa nastroszone, złowrogie ptaki, nawet nie spojrzął.

-
Anzelm chce, żebym z wami porozmawiał - odezwał się niechętnie. - I chyba słusznie, bo godzi się, by zakończyć wszystko to, co raz zostało zaczęte. Nie ma co ukrywać, nasza walka dobiegła końca. Przegraliśmy.

Przysięgaliśmy, że... - zaczął Vittorio, ale Gaston przerwał mu z wściekłością:

-

Wiem! Wiem, dobrze pamiętam treść tej przysięgi, Vittorio! I z żalem stwierdzam, że nasza mała kruczata w niczym nie różni się od tych wielkich, które ruszały na Jerozolimę! W

niczym! Najpierw mieliśmy szalony entuzjazm, wspólne modlitwy i wielkie przysięgi, potem długą wędrówkę i krwawą walkę, a w końcu znużenie, które w końcu przeradza się w świadomość klęski. Przegraliśmy i tyle!

-

Skąd ta pewność, Gastonie? - spytał ostro Anzelm.

-

Skąd ta pewność? - Pikardyjczyk aż się zachłysnął złością. - Bo Dżaffar nie żyje! Jedyne na świecie człowiek, który wiedziałby, jak wykorzystać Pieczęć Salomona i okiełznać prawdziwe zło, nie żyje! Kogo więc prosić o pomoc, Anzelmie? Czy znasz kogoś, kto ujmie pierścień Salomona i powie: tak, wiem, jak z powrotem uwięzić Asmodeusza? Nie, nie znasz i ja także nie, nikt go nie zna! Jedyne, czego możemy być pewni, to fakt, że nasz demon upomni się teraz o nasze dusze i ciała. Wątpię, czy przydadzą mu się na wiele, ale robi to z czystej nienawiści do nas.

-

A wszystko to przez naszą, a raczej twoją przyjaciółkę, która... - zaczął złośliwie Vittorio, ale przerwała mu Anna:

-

Stul pysk! - mówiła chrapliwym, ale dobitnym szeptem. Włosy, umyte w górskim potoku i wreszcie rozczesane, upięła wysoko, co dodało jej zadziorności, lecz najbardziej przerażały jej oczy - ciemne, tchnące z trudem powstrzymywaną wściekłością. Jej chuda, niemalże widmowa dłoń kurczowo ścisnęła skraj koca. - Przeprosiłam już za to, że przedwcześnie zabiłam Dżaffara i jakoś wszyscy poza tobą pojęli, że miałam ku temu ważne powody. Wszyscy też przyznali, że powinni mi byli powiedzieć, że planowaliście go zachować przy życiu. Wszyscy, oprócz ciebie!

Skończ więc okazywać swe zadawnione żale, durniu, bo jak tak dalej pójdzie, to przypomnę sobie, jak bardzo cię nie znoszę.

Usama poruszył się i mruknął groźnie niczym dzikie zwierzę. Wynędzniały i blady, nadal zachował swą potworną wprost siłę, o czym Italczyk przekonał się kilka postojów temu, gdy po raz pierwszy nieopatrznie zarzucił Annie lekkomyślność. Bezwiednie dotknął siniaków i spuścił

wzrok, czerwieniejąc z tłumionej furii.

-
To wszystko nieważnie - machnął dłonią Gaston i pokręcił głową ze zniechęceniem. -

Mniejsza o to, kto zawinił i dlaczego. Tak się po prostu stało. Najwyraźniej Bóg w swej mądrości uznał, że chcąc wyplenić zło z rodzimych krain Jego syna, musimy się bardziej postarać. Tak się jednak składa, że ja nie mam już na to ani siły, ani sposobu, tak więc uważam naszą krucjatę za zakończoną.

Ruszajcie przed siebie, przyjaciele. Każdy z was ma jakieś miejsce, do którego może powrócić.

Vittorio, zawsze jeszcze zdążysz ukorzyć się przed markizem Montferratu, a ty, Jakubie, przed swym mistrzem zakonnym. Bernard ma swą pastereczkę w górach, a Anzelm całą wioskę zagubionych dusz. Adalbert tylko marzy o samotnej pustelni, a co ty chcesz począć, Anno, nie obchodzi mnie zupełnie.

-
A ty? - zapytał Vittorio. - A ty gdzie się udasz, co?

-
Ja? - Gaston roześmiał się gorzko. - Ja pójdę prosto w noc.

Jak powiedział, tak uczynił. Noc wabiła go, ciągnęła. Miał ochotę iść przez wieczność, wdychać zimne, krystalicznie czyste powietrze i wypatrywać gwiazd spoglądających ku niemu przez dziury wyszarpane wiatrem w chmurach. Miał ochotę siedzieć na kamieniu i przyglądać się błotnistej równinie, która w blasku księżyca zamieniała się w srebrzystą, migotliwą posadzkę, zatopić się na zawsze w tajemniczych, niezrozumiałych, ale mimo tego fascynujących odgłosach mroku. Łaknął ich tym bardziej, że wiedział, iż jeszcze parę godzin i nastanie świt, a z nim powrócą znużenie wraz z rozterkami.

Siedział na kamieniu i cieszył się każdą chwilą samotności.

-
Paniczu - szepnęła ciemność za jego plecami.

-
Nie teraz - odezwał się zduszonym głosem. - Nie teraz, Adalbercie. Jutro. Albo kiedykolwiek indziej.

-
Jutro będzie za późno.

Ciemność nabrała kształtów, stała się wychudzonym, ogorzałym duchownym w skromnej, postrzępionej szacie, który nawet na chwilę nie wypuszczał z ręki dłoni małej, wystraszonej

dziewczynki. Ogromne brązowe oczy dziecka błyszczały w mroku syryjskiej nocy niczym zapowiedź strasznego losu i Gaston poczuł, jak przeszywa go niepokorny dreszcz lęku.

-

Za późno na co? - spytał, krzywiąc się z udawaną niechęcią. - Jeśli przyszedłeś mnie wspierać na duchu, Adalbercie...

-

Nie chodzi mi o to, panie. - Adalbert wypuścił dłoń swej podopiecznej i chciwie ujął

prawicę młodego rycerza. Gaston, dobrze pamiętający dotyk pulchnych, zawsze lepkich od potu palców kapelana, nie mógł się oprzeć zdumieniu, czując ich mocny, twardy uścisk. -Bynajmniej nie o to. Powiedzcie mi... - przełknął ślinę i odwrócił głowę, jakby szykował się do wygłoszenia trudnych słów. - Powiedzcie mi czy... czy...

-

Czy co?

-

Czy Asmodeusz przejmuje pamięć człowieka, którego ciałem zawładnął? - wykrztusił

Adalbert.

Bezgranicznie zaskoczony tym pytaniem Gaston zmarszczył lekko brwi.

-

Nie - odpowiedział po chwili. - Chyba nie. W przeciwnym razie wiedziałby, gdzie Roger ukrył pierścień Salomona. Dlaczego pytasz?

-

Dlatego. - Adalbert podał mu jakiś zwitek pergaminu i cofnął się o krok, otulając dziewczynkę swą opończę.

Jak na życzenie, księżyc odnalazł szparę między skłębionymi obłokami i wypchnął spoza nich ukośną strugę swych srebrzystych promieni. Wydobył z ciemności twarz przestraszonego księdza i bladą, znużoną twarzyczkę dziewczynki wreszcie przypominającą zmęczone dziecko, a nie złowieszczą istotę utkaną z mroku, ukazał także niezgrabne litery nakreślone węglem na odwrocie starej mapy. Gaston zmrużył oczy i podniósł pergamin wyżej.

-

Na litość boską - szepnął po chwili głosem człowieka zdruzgotanego. - Skąd to masz?

-

Zauważyłem, jak dziś w południe wsuwa to w wasze juki, panie - odrzekł duchowny, próbując mówić zwykłym głosem, wolnym od wyrzutów sumienia. - Wyciągnąłem ten pergamin pod waszą nieuwagę, coco ostatnio nie jest trudne. No i przeczytałem. Od tej chwili nie mogę się doczekać, by was ostrzec.

-

Boże. - Gaston opadł na kamień i ukrył twarz w dłoniach. Niepotrzebny pergamin opadł

w błoto, ukazał księżycowi niezgrabne słowa, układające się w krótkie, złowieszcze ostrzeżenie po łacinie:

„Gastonie, on nie został odpędzony. Wiem, że czai się w pobliżu, czuję, że znów szykuje się do powrotu. Wiem też, że drugi raz go nie zmożę. Nie ufaj mi w niczym, za nic mi nie ufaj. Jakub”.

-

Kilkakrotnie dzisiaj chciał odciągnąć mnie na stronę, porozmawiać, odmawiałem, machałem ręką, mówiłem: później - szepnął, wpatrując się w gwiazdy, na powrót przesłonięte chmurami. - Teraz już wiem, co chciał mi przekazać. Boże... Najpobożniejszy z nas. Najcnotliw-szy, najwierniejszy Tobie. Dlaczego pozwoliłeś, by uległ?

-

We wszystkim kryje się część boskiego planu, paniczu - szepnął Adalbert i znów ujął dłoń rycerza. - Nie wińcie więc Go tylko dlatego, że nie rozumiecie Jego zamysłów.

-

Zaiste, nie rozumiem. - Gaston zadarł głowę ku niewidocznym już gwiazdom i pokręcił głową ze zrezygnowaniem. Przymknął oczy i Adalbert znów stał się bezcielesnym głosem.

-

Ja też nie - mówił gdzieś w mroku. - Ale próbuję odnaleźć jakieś wyjaśnienia. Jesteście rycerzem, paniczu, wojownikiem i przywódcą. Nie sądzicie, panie, że lepszy wróg bliższy, rozpoznany, niż taki, który czai się w ciemnościach?

-

Dobry Boże, Adalbercie - jęknął Gaston. - I co ja z takim wrogiem pocznę? Jak mam z nim walczyć?

Jak pokonać? No i wreszcie najważniejsze - co stanie się z nieszczęsnym Jakubem?

-

Nie wiem, paniczu, ale... Ale Dżalila pokazała mi walkę, którą stoczył w Askalonie z fałszywym biskupem Adelardem. Naprawdę go pokonał, choć tamten miał dwóch zbrojnych ze sobą. Asmodeusz jest potężny, panie, o wiele potężniejszy niż wam się zdaje.

-

Dżalila - Gaston uśmiechnął się mimo woli. - Nie wiedziałem, że twa podopieczna nosi jakiegokolwiek imię.

-

Ja też nie - głos Adalberta zadrżał. - Zdradziła mi je dzisiaj, jakby... Jakby się bała, że grozi jej niebezpieczeństwo. Paniczu, a może on - Asmodeusz - domyśla się już, jakimi mocami włada to dziecko? Nie jest przecież wszechwiedny... Gdy tylko pozna prawdę, będzie chciał ją dla siebie, a wtedy jego władza stanie się niezmierną!

-

Adalbercie, jeśli myślisz, że twój szloch doprowadzi do jakiegokolwiek rozwiązania, to jesteś w błędzie.

Gaston skrzywił się i poderwał. Nerwowym ruchem zarzucił za ucho kosmyk jasnych włosów, w tym świetle wyglądających jak siwe. - Gdybym znał sposób na unicestwienie tej bestii, wykorzystałbym go bez wahania! Nie da się go jednak po prostu pochwycić, spętać, spryskać wodą święconą i przybić do krzyża, czym z takim entuzjazmem zajmował się Poncjusz Piłat.

-

Piłat nie był okrutnikiem! - zaprotestował Adalbert. - Ba, nie był nawet szczególnie odważny! Wahał się długo, nim kazał pojmać Jezusa, nawet mimo tego że nazywał się królem żydowskim i był jego wrogiem, zwłaszcza w niespokojnej Jerozolimie. Nie spał po nocach, upijał

się winem, lecz przełamał się, podjął próbę i wypełnił swe zadanie. Nie pochwalam tego, co uczynił, paniczu, ale chcę pokazać...

-

Dość już - przerwał mu machnięciem dłoni Gaston. - Dość. Daj mi spokój, muszę nad tym pomyśleć. Do cholery, przecież musi być jakieś rozwiązanie.

Adalbert nie odpowiedział ani słowem, ciemność przyniosła jedynie oddalające się, ciche cmokanie jego sandałów w błocie oraz jeszcze cichsze kłaskanie sandałków Dżalili, nadal radosnej pomimo grozy wiszącej nad nich głowami. Gaston ponownie zacisnął powieki i wparł

pięści w skronie, usiłując się zmusić do myślenia, ale przez głowę przemykały jedynie słowa wypowiedziane przez kapelana. Jerozolima. Król żydowski. Poncjusz Piłat. Strach i wino.

-

Skąd on to wszystko wie? - mruknął pod nosem. -No tak, dziewczynka. Działila, tak?

Gdybym był duchownym i mógł spojrzeć w przeszłość, dokładnie sprawdziłbym wszystkich apostołów. Okazałoby się wtedy, czy...

I nagle zamarł z rozdziawionymi ustami. Wszelkie myśli umknęły, spłoszone blaskiem tej jednej, jedynej, zbawczej, najważniejszej.

-

Adalbercie - wychrypiał, oszołomiony własnym

odkryciem. - Adalbercie, zaczekaj!

Księżyc powtórnie ukrył się wśród chmur, jakby pragnął umknąć przed knowaniami, jakby wstydził się słuchać szeptów, które miały przynieść inny poranek. W mroku, jakim oblepił

ślótlnisty step, twarze spiskowców jaśniały niczym oblicza upiorów, blade, choć rozjaśnione gorączką.

-

Nie mogę w to uwierzyć - szeptał Vittorio. Jego głos drżał, dłonie mięły zapisany węglem list nakreślony przez Jakuba. Znow się nerwowo odwrócił, jego wzrok umknął na chwilę w kierunku ogniska, gdzie siedzieli Bernard z Usamą, w blasku gasnących płomieni potężni niczym granitowe gargulce, niespuszczający oczu ze śpiącego szpitalnika. - Czy aby na pewno...

-

Vittorio, to nie pora na twoje wieczne domysły i wątpliwości! - Głos Gastona ciął niczym damasceńska stal. - W Jakuba wstąpił diabeł, kurwa jego mać, i tylko patrzeć, jak wstanie i flaki nam powypruwa!

-

A kropidło? Egzorcyzm? - upierał się Italczyk. -Mamy tu przecież klechę jak się patrzy, ze świętymi za pan brat...

-

Gdyby się tak dało, Asmodeusz byłby już wspomnieniem! - rzucił ksiądz. Mówił

gorączkowo, drżącym głosem, nie spuszczać wzroku z Gastona. - Paniczu, trzeba nam się spieszyć!

-

Wiem! - parsknął Gaston. - Wiem! Ale co zrobić? Mamy tylko dwie opcje, z których jedyną możliwą jest ucieczka!

-

Jeśli to naprawdę czart, to nie uciekniemy przed nim konno - stwierdził Adalbert i nakrył oczy powiekami, jakby przestraszony własną wizją. - Nawet naj-śmiglejszy koń...

-

A druga opcja? - przerwał mu Italczyk.

-

Trzeba by go zabić - wykrztusił Gaston. - Wybacz mi, Boże, że mówię te słowa...

Ich szepty, nerwowe i drżące, przecinały chyłkiem nocne powietrze. Spięci przyjaciele co rusz oglądali się ku śpiącemu.

-

Macie rację. Konno się przed nim uciec nie da.

Z mroku wychynęła twarz Anny Giscolvi, trupioblada, wychudła niczym pyszczek lisa.

-

Och, doprawdy? - Vittorio wycedził przez zęby. - Tyle tęgich umysłów nie doszło...

Anzelm położył dłoń na ramieniu Italczyka, jego palce zacisnęły się mocno. Był to jego jedyny wkład w pospieszną, szeptaną rozmowę, ale znaczący, bo Vittorio zamilkł i pochylił głowę. Sam rycerz z Ar-Ramli, podobnie jak Gaston i Adalbert, omiół spojrzeniem tajemnicze, nieprzeniknione oblicze Anny, nie ośmielając się szukać w niej nadziei.

-

Co masz na myśli? - zapytał przyciszonym głosem Gaston i zerknął ku nadal śpiącemu Jakubowi, jakby obawiał się, że ten może jakimś demonim zmysłem wykryć rodzący się spisek, poderwać się i wysiec ich z łatwością, z jaką pokonał Adelarda.

-

Za długo by mówić - Anna machnęła szczupłą, niemalże trupią dłonią, a jej oczy błysnęły

zawziętością chorego, który usiłuje dopełnić do odległego osiedla. -Potrzebuję jedynie dostać się do rzeczy, które zrabował ten wyszczekany kundelek.

Nawet głową nie skinęła, lecz każdy wiedział, kogo ma na myśli. Vittorio zacisnął szczęki z taką siłą, że aż zadrgały mięśnie na policzkach, pomimo mroku widać było, jak jego twarz zalewa rumieniec.

-

Jeśli... - Gaston przełknął ślinę. - Jeśli to zadziała, Anno...

-

To proszę bardzo - odezwał się czystym, mocnym głosem Vittorio.

-

Potrzebuję kwadransa - powiedziała Anna, nie kierując słów do nikogo w szczególności.

Wyglądało na to, jakby mówiła do swego wnętrza. Jej oczy nagle straciły blask, trupie dłonie wpiły się w odzienie. Usama przy odległym ognisku poruszył się, jakby szóstym zmysłem przeczuwał, że dzieje się coś ważnego.

-

Kwadransa - powtórzyła dziewczyna, z każdą chwilą coraz bardziej nieobecna, jakby traciła swą materialność. - Spakujcie, co najważniejsze.

Nad ich głowami przemknął nietoperz, ciemny i bezgłośny niczym trujące wspomnienie.

Pchnięci tajemniczymi słowami italskiej czarodziejki, krzyżowcy rozbiegli się po obozowisku, bezszelestni niczym duchy, spłoszeni niczym nocne ptaki.

Wszyscy, prócz Gastona.

Ten stał i wpatrywał się w ciemność, w której przed chwilą szukał zapomnienia. Oddychał pełną piersią i wpatrywał się w księżyc chciwie, zachłannie, jakby spijał z niego nadzieję. Minęła chwila, nim dojrzał małą, wielkooką dziewczynkę, która stała ledwie kilka kroków od niego. Jej drobna dłoń, jeszcze przed momentem ściskająca mocno rękę Adalberta, opadła, gdy były kapelan rodu de Baideaux pobieżył wraz z innymi, aby pospiesznie spakować potrzebny ekwipunek.

Ich spojrzenia - czarne, niezgłębione Dżalili i błękitne, znów rozjarzone Gastona - spotkały się ponownie. Czas nagle wyhamował, zaczął sączyć się niczym gęsty miód, ruchy krzątających się bezgłośnie towarzyszy spowolniły, zatarły, przestały mieć znaczenie. Wysoki rycerz o ogorzalej, surowej twarzy raz jeszcze odgarnął swe włosy, zetlałe niczym stary proporzec, i uklęknął z chrzęstem kolczugi jak rycerz klęka przed swym władcą. Pochylił głowę i wyciągnął rękę, gwałtownym ruchem ściągnawszy ciężką rękawicę.

„Pamiętasz, jak opowiedziałas mi o Askalonie?” -pytały jego oczy, rozjarzone, lecz niespokojne.

„Pamiętam” - odpowiedziały oczy Dżalili, spokojne, nazbyt mądre jak na dziecko.

„Opowiesz mi jeszcze jedną historię?”

„Opowiem”. - Chude palce dziewczynki zacisnęły się na prawicy rycerza, a czas wyhamował jeszcze bardziej.

Gdy wstał z klęczek kilka minut później, puszcżając dłoń Dżalili, wiedział już wszystko.

Nad szarą, zabłoconą równiną nastał mglisty i ponury świt. Przebudzony zimnem Jakub otworzył

oczy i przewrócił się na bok, chcąc przekonać się, czy ogień nie zagał. Ułamek sekundy później stał i rozglądał się dookoła. Senność całkiem go opuściła, na jego twarzy wściekłość walczyła o lepsze z zaskoczeniem.

-

Szlag by ich wszystkich trafił - syknął przez zęby.

Napędce rozłożone obozowisko było puste. Niepod-

sycany od jakiegoś czasu ogień zagał, stłumiony wilgocią świtu, ku szaremu niebu umykała jedynie wąziutka strużka dymu. Szpitalnik widział jedynie kilka porzuconych derek, trochę jedzenia, kociołek wypełniony deszczówką, podarty worek.

-

Uciekli! - wycedził, nie mogąc opanować zaskoczenia. - Ale jak?

Konie bowiem stały tam, gdzie spętano je dnia poprzedniego. Nie brakowało żadnego.

-

Ale jak? - warknął, biegając wokół obozowiska. - Jak to możliwe?

Na ziemi, płukanej jesienną wilgocią, nie znalazł bowiem wielu śladów. Zdołał wyczytać, że kilkoro z jego towarzyszy wyszło w nocy poza krąg światła rzucanego przez ognisko, ale wrócili.

Nie było śladów wychodzących dalej, w jakimkolwiek kierunku. Wyglądało na to, że wszyscy jego towarzysze - pięciu mężczyzn, kobieta i dziecko - po prostu wyparowali.

Wściekłość wzięła w końcu górę nad zaskoczeniem. Jakub rozkopał wilgotne drwa, ciął mieczem porzucony pled, rozrąbał garnek. Pod szare niebo uderzył straszliwy okrzyk, mający więcej wspólnego z wrzaskiem padlinożercy niż ludzkim głosem. Lodowate, błękitne oczy rycerza

zakonnego zasnuł niezgłębiony mrok. Tym razem ostatecznie.

- Nadal wierzycie w to wszystko? - zapytał niespodziewanie Ryszard.

Balian z Ibelinu, od samego rana pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, uniósł lekko głowę i spojrzał na monarchę z zaskoczeniem. Anglik, który w przeciwieństwie do pułańskiego barona od rana miotał się z furją i obrzucał stekiem niewyszukanych przekleństw każdego, kto tylko się nawinął, patrzył w dal z rzadko u niego spotykaną zadumą. Jadący po jego prawicy hrabia Robert z Leicesteru chrząknął, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, ale baron uśmiechnął się kwaśno w duchu. Wiedział, że król pytał jego.

W końcu był jego świeckim spowiednikiem.

Pełnił tę trudną funkcję od owego pamiętnego wieczoru, kiedy to król wydał wielką ucztę w swym obozie na cześć zwycięstwa pod Arsufem, ucztę równie wielką co przedwcześnie. Upojony własnym sukcesem, niepomny wcześniejszych ostrzeżeń, gotów był podjąć od razu marsz na Jerozolimę. Wraz z Renaldem z Sydonu i mistrzem szpitalników podjęli wówczas kolejną próbę uświadomienia zapalczywemu Anglikowi, że nawet zdobycie Jerozolimy, mało zresztą prawdopodobne przy obecnej sytuacji geopolitycznej i wojskowej, doprowadziłoby do klęski całej wyprawy. Ryszard z trudem powstrzymał się od wybuchu furii i musiało upłynąć kilka dni, nim wreszcie uznał słusność słów swych doradców. Wezwał wówczas barona Ibelinu na kolejną naradę i wkrótce nieformalnie uczynił go swoim głównym doradcą, ku skrywanemu z trudem niezadowoleniu nobili angielskich oraz księcia Burgundii. Balian jednakże odkrył, że bardziej od jego rad o charakterze polityczno--wojskowym, Ryszardowi zależy na słowach otuchy i pokrzepienia. Nie mogąc zwierzyć się z wahań i niepokojów nikomu ze swoich sojuszników i towarzyszy broni, król angielski otworzył serce przed starym baronem Ibelinu.

A ten podjął się misji z cierpliwością godną prawdziwego krzyżowca.

-

Czy wierzę w to wszystko? - powtórzył pytanie Anglika. - Wybaczcie, Wasza Wysokość, ale nie czytam wam w myślach. Chodzi wam o powodzenie wyprawy czy ostateczne odbicie Jerozolimy? Czy sens prowadzenia naszych walk w ogóle?

Ryszard machnął dłonią w kolczej rękawicy i rzucił przez ramię do hrabiego Leicesteru.

-

Robertcie, pół godziny popasu!

-

Ależ Wasza Wysokość, dopiero co oddaliliśmy się od głównych sił! - zaprotestował

rycerz. - Nie dotarliśmy jeszcze do Blanchegarde!

-
Pół godziny popasu, powiedziałem! - Król groźnie zmarszczył brwi. - I biada ci, jeśli wyślesz za mną choć jednego człowieka eskorty!

Robert z Leicesteru zacisnął zęby i skłonił się lekko. Ściągnął nieco wodze swego rumaka, stanął w strzemionach i wykrzyknął kilka rozkazów. Rozciągnięty w długą kolumnę oddział zwiadowczy, złożony z kilkunastu rycerzy angielskich i normańskich oraz ich czeladzi, zaczął wytracać swą prędkość i rozpadać się. Skonfundowani nieco jeźdźcy patrzyli w ślad za oddalającym się monarchą, a w ich spojrzeniach troska mieszała się ze zdumieniem.

Nieświadomy owych spojrzeń Ryszard popędził konia i baron Ibelinu, rad nierad, musiał podążyć za nim. Zimny wiatr uniósł ich płaszcze, grząskie błoto przyskało spod końskich kopyt.

Jak okiem sięgnąć, ulewne jesienne deszcze zamieniły całą równinę w trzęsawisko i widoczny nieopodal zamek Blanchegarde wydawał się kamienną opoką wyrosłą pośród błot i mokradeł.

Niezrażony tym Ryszard gnał naprzód, przymykając lekko oczy, jakby upajał się pędem niczym mocnym trunkiem.

Balian spojrział przez ramię. Opuszczony tak lekkomyślnie oddział zwiadowczy był coraz mniejszy, drobne figurki jeźdźców i pieszych rozpełzły się po błotnistej równinie, całkiem bezradne bez swego wodza. Tknięty nagłym niepokojem baron popędził konia i zrównał się z monarchą..

-
Wasza Wysokość! - zawołał, usiłując przekrzyczeć huk wiatru.

Ryszard spojrział na niego półprzytomnie, jakby właśnie przebudził się z głębokiego snu. Zerknął za siebie i ściągnął wodze swego konia, zatrzymując się w środku wielkiej kałuży. Oddychał ciężko, co rusz mrugał oczami.

-
Wybaczenie, baronie - sapnął, ściągając hełm, a po nim kaptur kolczy. - Gdyby nie wy, pędziłbym tak pewnie długo. Zdawało mi się, że jestem... Nieważne.

-
Nieważne - westchnął Balian i przyjrzał się dokładnie człowiekowi, który był ostatnim wodzem wielkiej krucjaty.

Twarz Ryszarda, ongiś okrągła i nabrzmiała, zeszczupełała i zmizerniała, ociosana przez bezlitosne słońce, choroby i trudy wojny. Chłostana wichrami i promieniami słońca skóra ściemniała, ogorzała, ale nawet najmocniejsza opalenizna nie była w stanie zakryć nowych zmarszczek wokół oczu czy coraz głębszych, ciemnych dołów pod nimi. Błękitne oczy, w których tak łatwo zapalała się furia, coraz częściej przesłaniała mgła zadumy, a policzkiem wstrząsał nerwowy tik. Nawet rude kędziory, mokre teraz od potu, klejące się do czoła, wydawały się rzadsze, nie tak gniewne.

-

Co was dręczy, panie? - zapytał cicho.

-

Co mnie dręczy? - powtórzył Ryszard jak echo. - Lepiej zapytalibyście, co mnie nie dręczy. Czy w trakcie całej tej choleralnej kampanii wojennej wydarzyło się coś, z czego mógłbym być dumny?

-

Zdobyliście Akkę, rozgromiliście Salah ad-Dina pod Arsufem, daliście nam nadzieję...

-

I co mi z tego przyszło? - rzucił gorzko król, ściskając palcami nasadę nosa i marszcząc czoło, jakby walczył z ogromnym bólem głowy. - Sułtan przegrupował swe siły, ściągnął posiłki i nadal jest gotów do wojny, a moja armia słabnie! Niknie w oczach! Kogo nie zabiorą choroby czy strzały Saracenów, to się ogląda ku Jafie i Akce, gdzie w burdelach i tawernach nadal liczą zyski po moich wojakach! Sądziłem, że wszystko zakończy zdobycie Jerozolimy, ale to żeście mi, baronie, razem z zakonnikami skutecznie ze łba wybili. Tak, wiem! - Machnął dłonią, widząc, że Balian otwiera usta. - Nie musisz mi tego powtarzać! Miasto ciężko będzie zdobyć, ale jeszcze trudniej utrzymać. Wokół wrogie ziemie, niedostatek chrześcijańskich wojsk, wszystko to wiem! Tylko co dalej? Jak długo jeszcze przyjdzie mi pełznąć w błocie na czele tej bandy naiwnych niedobitków? Jak długo jeszcze będę musiał znosić skamlenie Gwidona, popisy bezczelności Konrada czy prośby posłów z Anglii, namawiających mnie do powrotu?

-

Zapewniam was, że sułtan Salah ad-Din jest równie znużony wojną jak wy, panie - odezwał się Balian, nie patrząc monarsze w oczy.

-

Tak? - Ryszard parsknął z szyderstwem. - Zatem dlaczego unika jakichkolwiek paktów?

Dlaczego posyła mi dary, medyków i wyrazy szacunku, a nie może się zdobyć na to, by się ze mną spotkać? Skoro jest zmęczony, jak powiadacie, dlaczego nie chce zakończyć tej wojny?

Obaj mamy wystarczająco problemów we własnych dominiach, by do reszty zniechęcić tę bezcelową ta-planinę!

Zgarbił się nagle i zacisnął mocno powieki, jakby uświadomił sobie, że powiedział o wiele za dużo. Podobne słowa zwątpienia zakrawały na zdradę, ale na ogorzałej, surowej twarzy barona z Ibelinu nie drgnął ani jeden mięsień.

-

To dlatego pytaliście, panie, czy jeszcze w to wszystko wierzę? - zapytał cicho. Jego brązowe oczy zaszły nagle mgłą, jakby naraz osaczyły go przykre wspomnienia. - Wasza Wysokość, urodziłem się na tej ziemi i spędziłem tu całe swe życie, nie odkrywając w niej niczego, za co warto umrzeć. Wiem doskonale, że głupcem jest ten, kto tu szuka aniołów, boskich cudów czy choćby najmniejszych nawet dowodów na to, że Wszechmogący ukochał tę krainę bardziej od innych - mówił wyprostowany, odważny, świadom tego, że jego słowa sięgają dalej niż zdrada, trąca herezją. - Wiem też, że w ludzkich sercach świętości również nie ma co szukać, bo kwitnie w nich jedynie zdrada, tchórzostwo, zniewieściałość i rozpusta. Przez całe swe życie toczyłem bitwy, które okazywały się albo niewykorzystanymi zwycięstwami, albo ogromnymi klęskami. Z większym lub mniejszym powodzeniem ścierałem się z głupotą szlachetnie urodzonych mężów, perfidią ich córek i małżonek oraz pychą zakonników.

Walczyłem dla króla, którego zabrał nam trąd i niosłem do chrztu innego, którego później zabiło złe powietrze. Przysięgałem wierność podłemu tchórzowi i poddałem muzułmanom Jerozolimę, nasze Święte Miasto. Pytacie, panie, czy w to wierzę?

Balian, niezmiernie naraz znużony, omiótł wzrokiem horyzont, zamglony deszczami. Konie z chlupotem prze-stępowały w kałuży.

- Tak, wierzę - odpowiedział sam sobie. - Bo bez tej wiary, Wasza Wysokość, nie miałbym już nic. Całe moje życie okazałoby się pozbawione sensu. Dlatego też, panie, jeśli zamyślacie już o powrocie, będę ostatnim, który spróbuje was powstrzymać. Raz, że skamleć nie potrafię, a dwa, sam zmagam się ze zwątpieniem przez całe życie, dobrze znam jego rozmiary i siłę. Nie będę was potępiał, jeśli w końcu mu ulegniecie. Ale wiedzcie, że gdy wylądujecie w Anglii, Normandii czy gdziekolwiek zawiozą was wasze okręty, ja dalej będę tu walczył, choćbym sam pozostał. Bo inaczej, psia mać, nie umiem.

Ryszard odetchnął. Wyciągnął dłoń w kolczej rękawicy, jakby chciał klepnąć barona Ibelinu w ramię i zaraz ją cofnął, oparł na udzie.

-

Pojedziecie tedy, Balianie, do sułtana - powiedział nieco zdławionym głosem. - Mam już dosyć posyłania Onufrego z Toronu, bo choć zmyślny chłopak i po arab-sku szczeka, to jakoś paktowanie z Saracenami niespo-ro mu idzie. Wy to co innego. Raz już żeście się z sułtanem układali.

-

Tak - uśmiechnął się smutno Balian. - Gdy poddawałem mu Jerozolimę.

Ryszard zamachał gwałtownie ręką, chcąc umniejszyć ponury wydźwięk słów barona.

-

I jeszcze jedno - dodał po chwili. - Wiecie dobrze, że z całego serca Gwidona de Lusignan popieram i jego najchętniej na tronie bym widział. Komu zresztą ja to mówię, przecież nieraz się o to kłóciliśmy, baronie. Niechże więc będzie po waszym, bo widzi mi się, że jestem jedynym, który nadal w Gwidona wierzy. Poprę tego waszego Konrada z Montferratu. I nie chcę już o tym rozmawiać.

Przeciął machnięciem ręki słowa Baliana. Odwrócił konia, chcąc jeszcze coś dopowiedzieć, lecz niespodziewanie znieruchomiał. Zastygła w powietrzu dłoń drgnęła i wskazała coś na niebie.

-

Balianie, czy mnie oczy nie mylą? - zapytał ze skrajnym zdumieniem. - Czy to nie latający dywan?

Baron Ibelinu również zawrócił konia i przez dłuższą chwilę lustrował zamglony widnokrąg, mrużąc oczy.

-

Nie wiem - powiedział w końcu. - Ale właśnie spojrzałem na horyzont i jestem pewien, że zbliżają się ku nam jacyś jeźdźcy. Całe mrowie, Wasza Wysokość.

Wiele mil dalej Konrad z Montferratu przebudził się w środku dnia z ciężkiego, pełnego majaków pijackiego snu.

- Dzarisho - wymamrotał.

Wtedy oprzytomniał, jakby dawno już zapomniane imię poruszyło w nim pokłady trującego kwasu. Zerwał się i usiadł na łożu, oddychając z trudem, aż w końcu wstał, założył koszulę na spocone ciało i wyszedł z komnaty, nie domykając drzwi. Serce biło mu mocno, nie wiedzieć, czy na skutek przerażających snów, czy równie przerażającej rzeczywistości, w którą postanowił się zanurzyć.

Bał się bardzo, ale rezygnować ze swego zamiaru nie chciał. Mistrz zakonu szpitalników miał

lada dzień przyjechać do Tyru, o ile, rzecz jasna, Scozzi nie zawałił sprawy. Konrad szedł coraz szybciej, mając nadzieję, że ten już jest na miejscu.

Z jeszcze większą, lecz starannie skrywaną nadzieją Starzec z Gór przesłuchiwał swych szpiegów. Zawinięty w wełniany pled siedział w ciepłe ogniska, wstrząsany falami dreszczy, i wysłuchiwał coraz to kolejnych meldunków. Kilku z jego wysłanników widziało Al-Farandż wyjeżdżających z Askalonu, ale nikt nie wiedział, dokąd zdążają. Starzec dumiał, popijając wino z bukłaka i wpatrując

się w ogień. Przeczuwał, że ci szaleni Al-Farandż powzięli sobie cel o wiele trudniejszy i bardziej tajemniczy niż ich królowie i panowie. Szósty zmysł zaś zaczynał mu szeptać, którędy tacy zmierzają.

I dokąd, prędzej czy później, dotrą.

Rozdział szesnasty

w którym gaston de baideaux walczy z saracenami, jak na dobrego rycerza przystało. i jak na dobrego pielgrzyma przystało, bierze na swe barki jeszcze więcej grzechów Od chwili rozpoczęcia ich niezwyklej podróży ogromny sługa rodu de Baideaux siedział na samym środku dywanu, skulony, zakrywając ramionami swój kudłaty łeb. Choć szaleńczo odważny podczas bitwy, nieulękły zarówno wobec ludzi, jak i bestii, teraz bał się nawet rozejrzeć dookoła. Jego prosty umysł odrzucał nowy sposób podróżowania, nie radził sobie z wymiarem, w jakim nagle się znaleźli i odgrodził się od całego świata grubym murem przerażenia.

I nikomu nawet nie przyszło do głowy, by go potępić. Ani Anzelmowi, który siedział na przedzie z nieod-gadnioną miną, ani Vittorio, którego wciąż pochłaniała pulsująca, zżerająca go nienawiść, ni Gastonowi, wciąż rozpamiętującemu dar otrzymany od Dżalili. Milczał Adalbert, milczał Usama, otaczający ramieniem półprzytomną Annę, milczała wielkooka Dżalila.

Króla dostrzegł Bernard.

Nikt też z początku nie zareagował, gdy potężny giermek poderwał głowę jak oparzony i zniemacka przypadł do krawędzi dywanu. A potem trącił zamyślnego Gastona i wskazał wielkim palcem wydarzenia rozgrywające się na dalekiej ziemi. De Baideaux, przebudzony z głębokiego snu, zamrugał oczami i potrząsnął głową.

-

O co chodzi? - wykrzyknął, zagłuszony szumem wiatru.

Bernard przytknął wielki palec do skroni i wykonał ruch, jakby rysował w powietrzu niewidzialną koronę. Jednocześnie jego wzrok zdradził coś nowego i niezrozumiałego, ale boleśnie istotnego.

Dywan ugiął się w kilku miejscach, gdy de Baideaux położył się i wyjrzał poza krawędź. Jego oczy zwęziły się, zwilgotniałe od naporu wiatru, a potem błysnęły stałą, gdy w sercu zapadła nagła decyzja.

-

Ładuj! - wykrzyknął chrapliwie.

Anna przebudziła się, uniosła lekko, spojrzała pytająco na Pikardyjczyka. Vittorio również obrócił się, wyjrzał na chwilę z kotłowaniny mściwych wyobrażeń.

-

Co takiego? - zawołał, usiłując przekrzyczeć wiatr.

-

To król! - krzyknął Gaston, blady, z dłonią zaciśniętą na mieczu.

-

Jaki znowu król? Co ci się uroiło? - Vittorio zerknął za krawędź, a potem spojrział na Gastona z pytaniem w oczach. - Mieliśmy lecieć prosto do...

-

To król! - powtórzył uparcie Gaston. - Wiem, gdzie mieliśmy lecieć. Wiem, że zeszłej nocy szydziłem z naszej krucjaty, ale...

Rozpędzony dywan zakołysał się, gdy do krawędzi przypadli Adalbert z Anzelmem. W oczach wspierającego Annę Usamy pojawiły się złe błyski, ale i on zerknął na zewnątrz. Teraz prawie wszyscy śledzili saraceński podjazd, rozpadający się na podobieństwo atakującego ula, ogarniającego szerokimi ramionami dwóch samotnych jeźdźców, z desperacją zawracających konie. Świst wiatru przebił tętent dziesiątek kopyt i krzyki z dziesiątek piersi.

-

Gaston, to szaleństwo! - krzyknęła rozbudzona, wystraszona Anna. - Nie wydolicie przeciwko tej ćmie, to...

-

Oszalałeś! - nieoczekiwanie poparł ją Vittorio, pobladły z niepokoju. - Już zapomniałeś, co sam wymyśliłeś zeszłej nocy? Zapomniałeś, gdzie lecimy i po co? Znowu sobie zamarzyłeś, by zostać bohaterem, ty...

-

Ładuj! - wrzasnął Gaston, patrząc tylko na Annę. W jego oczach buzował wściekły, nieopanowany ogień. -Ładuj, na wszystko, co święte!

Ryszard odetchnął i uniósł włócznię, pochylając ją ku nadciągającym błyskawicznie wrogom.

Jego rumak zwiesił łeb i prychnął, jakby już czuł rozpacz beznadziejnej walki, ból dziesiątek ran, a po nim zimno śmierci. Znużoną twarz jego jeźdźca niespodziewanie uszlachetniło uniesienie, patrzył ku Saracenom niemalże z uśmiechem.

-

Zdaje się, że nie zdążymy dopaść naszych - powiedział prawie z nadzieją.

-
Wasza Wysokość, musimy spróbować! - wrzasnął Balian i sięgnął dłonią ku uździe królewskiego konia. -Hrabia Leicesteru jest...

- Eee, nie damy rady - mruknął Ryszard i wbił ostrogi w końskie boki.

Szarża w błocie nie ma w sobie nic wzniosłego. Zarówno ciemne bryzgi strzelające spod kopyt, czy płaszcz, brudny i ociekający wodą oraz pokryta zabłoconymi plamami tarcza odbierają takiemu atakowi wszelkie piękno, zamieniają go w bezlitosne, brutalne natarcie. Być może właśnie z tego powodu Saraceni w pierwszej chwili zwątpili, niektórzy nawet powściągnęli konie, zbici z tropu samobójczym atakiem rudobrodego olbrzyma. Gdzieś na dnie ich zabobonnych dusz odżył lęk przed straszliwymi Al-Farandż, którzy przybyli do Syrii za życia ich dziadków, by zwyciężyć, palić i mordować.

A Ryszard galopował, wreszcie uwolniony od wszelkich rozterek, roześmiany.

Wbił się w szereg oniemiałych Saracenów z siłą topora wgrzyzającego się w pień drzewa. Ostrze jego włóczni uderzyło tuż pod spinkę hełmu dowódcę muzułmanów - młodziutkiego syna bejowego, który jeszcze sekundę temu wpatrywał się szeroko rozwartymi oczyma w szarżę szalonego Franka. Bulgot śmiertelnie rannego chłopca oraz trzask pękającej włóczni zlał się z krzykami przerażonych muzułmanów, ale ponad wszystko, niczym krzyk sokoła ponad krakanie wron, wzniósł się śmiech Ryszarda.

Oszalały król Anglii wyrwał ze zgrzytem miecz i powodując koniem żelazną ręką, parł w głąb saraceńskiego hufca. Rumak, grubokościsty, muskularny destrier z italskich pastwisk, z oczami nabiegłymi krwią, rzucał dziko łbem i grzmocił kopytami saraceńskie konie, a wyżej błyskał

miecz Ryszardowy, odbijając blade, niewyraźne słońce jesieni. Starczyły dwa, trzy ciosy, a lśniącą klingę pokryła krew, zaś do saraceńskich krzyków dołączył ryk bólu.

To otrzeźwiło oszołomionych muzułmanów, opadli nacierającego króla niczym psy gończe rozpędzonego odyńca. Ten, nie przestając się śmiać, odcinał się z wprawą. Jakby zesła na niego moc dawnych bohaterów, bezbłędnie wychwytywał wrogie ciosy na swą tarczę, sam zaś kasał z precyzją. Ciężkie ostrze nigdy nie chybiało, rąbało kolczugi, rozbijało hełmy, przecinało ludzkie żywota z łatwością właściwą tylko temu, kto przestał dbać o własne.

Lecz oto cienkie saraceńskie ostrze przeszło między ogniwami królewskiej kolczugi. Przez twarz Ryszarda przebiegł grymas bólu, walczące ramię nagle straciło swój impet, kolejny cios odbił się od wrogiego hełmu. Któryś z przeciwników ciął zakrzywionym mieczem po plecach, inny zadrasnął bok królewskiego rumaka. Oczy Ryszarda zalała krew

- Al-malik! Al-malik! - krzyczał gdzieś Balian z Ibe-linu.

Uniósł miecz, uderzył, nie wiedział, czy trafił. Śmiech zamarł na spierzchniętych nagle wargach, broń zdawała się coraz cięższa, przeciwnicy zaś niczym ciemne zjawy mnożyli się dookoła, dwoili i troili.

Strach pochwyił Ryszarda za gardło, nierycerski, niekrólewski, ale całkiem zwyczajny ludzki strach rozlał się po jego ciele, nakazał mu otworzyć usta i krzyknąć o pomoc, lecz z jego gardła wydostał się tylko ochrypły skrzek.

Rumak kwiczał i bił kopytami, raniony po raz kolejny. Piekło cięcie przez ramię. Miecz trafił w coś płazem, odskoczył.

Świat zalał na chwilę jakiś cień.

Saraceni zaczęli wrzeszczeć, tym razem z przerażenia. Otaczające króla, napierające nań zjawy nagle znikły, a w ich miejsce pojawiły się rozszalałe, miotające się dziko sylwetki wojowników.

Każde uderzenie ich świetlistych mieczy zdawało się odpędzać osaczającą go śmierć, przydawać strachu krzykom saraceńskim.

I naraz zadrzała ziemia od kopyt uciekających napastników. Ryszard zacisnął mocno powieki, starając się uspokoić rozpędzone, bijące mocno serce. Drżącą, niepewną ręką wsunął miecz do pochwy, a potem wyprostował się, nabrał tchu i otworzył oczy.

Znał tego młodego rycerza z jasnymi, nieco zetlałymi od słońca - bądź zgryzoty - włosami, wysmykującymi się spod kaptura kolczugi. Znał doskonale jego błękitne, śmiałe i wyzywające spojrzenie, choć tym razem zabrakło w nim owego mrocznego pierwiastka, który sprawiał, że nigdy nie czuł się przy nim swobodnie.

-

Gaston - westchnął i odkaslnął. Instynkt wojownika nakazał mu stanąć w strzemionach i spojrzeć w ślad za uciekającym wrogiem, a potem obejrzeć się ku nadjeżdżającemu w pośpiechu hufcowi Roberta z Leicesteru. Baron Ibelinu, który również nie oszczędzał się w krótkiej walce, siedział w siodle ponury niczym sęp. - Wiedziałem, że cię jeszcze kiedyś spotkam.

-

Panie - uklonił się de Baideaux, wspierając dłonie na zakrwawionym mieczu.

-

W samą porę, de Baideaux, w samą porę. - Ryszard szybko odzyskiwał swą królewską pozę. - Kim są twoi towarzysze?

Skinął przy tych słowach na mężczyzn stojących za plecami Gastona - wysokiego, ciemnowłosego Italczyka o ponurym, kapryśnym obliczu, przysadzistego, zielonookiego pulana o obojętnej, spokojnej twarzy i ogromnego wprost, brodatego męża z ciężkim toporem. Nieco dłużej spojrzenie zatrzymał na wychudłym mamelu-ku w skórzanym kaftanie, który najwyraźniej walczył u boku rycerzy, na co wskazywała pozioma, ociekająca krwią szrama na policzku, a potem spojrział dalej, gdzie dostrzegł chudego, ogorzałego księdza o zawziętym spojrzeniu, trzymającego za rękę małą dziewczynkę oraz odzianą w zgrzebne szaty kobietę o ciemnych, wysoko upiętych włosach. Nawet potargana fryzura i

nędzny strój nie maskował wspaniałej, zjawiskowej wprost urody, którą, jako koneser płci przeciwnej, wykrył od razu. Ledwie też słuchał prezentacji Gastona.

-

To dobrzy rycerze: Vittorio Scozzi i Anzelm de Fidou, a także mój giermek Bernard -

powiedział sucho Gaston i potrząsnął głową, jakby przypomniawszy sobie coś, czego pamiętać nie chciał.

-I jeszcze Usama - zerknął przy tych słowach na wychudłego mameluka.

-

A owa piękna dama? - zapytał król, jakby już zapomniawszy o strasznych chwilach, które dopiero co minęły.

-

To Anna Giscolvi - uciął krótko Gaston. - I kapelan mego rodu, ojciec Adalbert.

Ksiądz pokłonił się nisko, a Anna ograniczyła się do zdawkowego, całkiem nieprzystojnego skinienia głową.

Od razu podeszła do zdyszanego Usamy i ujęła jego dłoń, jakby chciała jasno wytyczyć swą pozycję. Król skupił swą uwagę na Gastonie, lecz jego spojrzenie co rusz umykało ku Annie.

-

Wiedziałem, że się jeszcze spotkamy! - wykrzyknął z udawaną rubaszością. - Nie sądziłem jednak, że w takich okolicznościach. Zaiste żeś mi z nieba spadł, he, he! I to przywiodąc tak zacną kompanię! U boku króla angielskiego zawsze znajdzie się miejsce dla dzielnych zuchów i... pięknych kobiet.

Anna wypuściła skrwawioną dłoń Usamy i zrobiła krok naprzód. Stała przed królem prosto, z wyzywająco uniesioną głową, jakby nigdy nie słyszała o przynależnym jego osobie szacunku, jakby stała ponad zasadami, które wytyczały życie dworu i pozycję władcy. Jej ciemne oczy nabrzmiały gniewem.

-

Jestem czarownicą, panie - syknęła. - Za moją to sprawą ten namiot - jej palec, wykrzywiony, podobny szponowi, wskazał wielką tkaninę zrabowaną Dżaffaro-wi, leżącą nieopodal w błocie - wznosił się w powietrze wraz z nami wszystkimi. Zalibyś, panie, rzeczywiście miał miejsce dla takowych u swego boku?

-

Zaiste przygarniacie księży-cudzołożników? -skrzywił się lekko Adalbert.

-

I wilkołaki? - wyszczerzył zęby Anzelm.

-

I Genuńczyków? - wziął się pod boki Vittorio.

Usama nie odezwał się ani słowem. Nie musiał.

Ryszard wodził wzrokiem od jednego do drugiego,

ale wszędzie napotykał to samo spojrzenie, zuchwałe i skrzące, spojrzenie śmiałka, który oddał

swemu władcy największą na świecie przysługę i przez tę krótką, błogosławioną chwilę nie obowiązują go żadne prawa. Pokręcił z niedowierzaniem głową i spojrzął na Gastona, którego wzrok był zamglony, jakby rycerz nagle utracił kontakt z rzeczywistością.

- A niech to wszystko piekło pochłonie! - wykrzyknął z udawaną wesołością. - Miło cię ujrzeć, de Baide-aux, diable wcielony! Raz żeś pokazał Salah ad-Dinowi, że nie wolno mi grać na nosie, teraz zrobiłeś to ponownie! Pójdźże w me ramiona!

Gaston ani drgnął. Rozszerzonymi, niewidzącymi oczyma patrzył w przeszłość, która nieoczekiwanie odsłoniła mu kolejne podwoje.

Każdy, kto zajrzałby teraz do namiotu, wybiegłby chyłkiem z wieścią, że król szaleje z gniewu.

W istocie, marszczył on czoło i brwi, mrużył wściekle oczy i zaciskał pięści, a na jego obliczu malowały się koszmarnie grymasy, co zapewne wystraszyłoby niejednego. On jednakże wiedział, że to jedynie pusta błazenada, bo Ryszardem targa nie gniew, ale niezdecydowanie. Przez moment korciło go nawet, by zwrócić mu na to uwagę, ale postanowił zachować tę wiedzę dla siebie.

W końcu był królem, a ten ma prawo do wszystkiego.

Ryszard porwał srebrny pucharek z winem i wychylił go łapczywym haustem. Strużki wina popłynęły po tunice, aż po rękawy podbite białym gronostajem, po oprawionym w złoto turkusie zawieszonym na szyi, po haftowanej w krzyżyki purpurze, ale władca nie zwrócił na to uwagi.

Otarł wściekle wargi i ze stukotem odstawił naczynie na ławę. Skinął na Bernarda, a ogromny pacholek bezszelestnie nappełnił królewskie naczynie. Na rycerza, któremu służył, nawet nie spojrzął.

„Zaczynasz coś wyczuwać, prawda? - pomyślał tamten z drwiną. - Chyba już wiesz, że popełniłeś błąd, przybywając tu z gór, by mi służyć. Już chyba wiesz, że niepotrzebnie tęskniłeś.

Powinieneś być zostać przy tej swojej pasteczce, Bernardzie".

Na moment całkiem zapomniał o królu, który nie przestawał ciskać przekleństw.

-

Nie chce ze mną rozmawiać! - powtórzył po raz setny. - Nie chce, unika rozmów, wykręca się, jakbym był byle watażką plemiennym, a nie królem!

-

Nie boi się was należycie, panie - odpowiedział, nie patrząc na władcę.

Ten wybałuszył oczy.

-

Jakże to? - warknął. - Nie zdobyłem Akki? Nie cofnął przede mną swych sił?

-

To mało. Zdobywanie twierdz czy manewry wojsk to normalna rzecz na wojnie, nie uczy niczego prócz zwyczajów przeciwnika. Jesteście rycerskim władcą i dzielnym wodzem, przeto Salah ad-Din będzie was szanował, ale lękać się was nie będzie. Nie uczyni tego, dopóki będzie władcą na swoich ziemiach, z tysiącami wojowników na swe skinienie, a wy tylko przyjezdnym królem ze szczupłym hufcem. Musicie Salah ad-Dina przerazić, pokazać, że powinien się was bać jak najgorszego koszmaru.

-

Ale co?

„Doskonale - pomyślał. - Idzie jak po maśle”.

-

Zabijcie jeńców, jakich wzięliście w Akce. Wszystkich. Całe dwa tysiące i siedem setek.

-

Co takiego? - Ryszard aż pobladł. - Chyba rozum postradałeś...

-

Za jednym zamachem pozbędziecie się dwóch tysięcy-cy pogańskich gąb do wyżywienia, a przy okazji przerazicie Salah ad-Dina. To człowiek łagodny i pobożny, nie spodziewa się po was takiego czynu. Wstrząśnięcie nim do głębi. Będzie was nienawidził, będzie wami gardził, ale podejmie rozmowy, bo zrozumie, żeście niepoczytalnym szaleńcem, którego trzeba za wszelką cenę powstrzymać.

-
Ale... Ale to nie po rycersku! Nie po chrześcijańsku!

-
Czy w wojnie, którą toczycie o odzyskanie władania nad Ziemią Świętą, cokolwiek może być niechrześcijańskie? - zapytał z uśmiechem. - Czy cel nie uświęca środków? Czy Bóg i aniołowie zesłali karę na Gotfryda, Rajmunda i innych dzielnych hrabiów, którzy sto lat temu utopili Jerozolimę we krwi?

Ryszard milczał, miał w dłoniach znów pusty kubek, przygryzał wargi. W końcu prasnął nim o ziemię i poderwał się, rozpromieniony.

-
A niech ich wszystkich szlag trafi! - buchnął. - Niech ich piekło pochłonie! Masz rację, de Baideaux, pokażemy temu łajdakowi, że nie wolno mi grać na nosie!

Wyszedł z namiotu królewskiego w noc, nie zwracając uwagi na stróżujących rycerzy. Szedł, a oczy jego płonęły dziwnym światłem, mroczną, wrogą radością.

-
Piękną ofiarę mi złożyłeś, de Baideaux - szeptał. -Piękną... Jak ja ci się odplacę?-

I śmiał się cicho, poklepując sam siebie po policzkach niczym wzgardliwy władca poklepujący wiernego sługę. Idący za nim bezszelestnie Bernard marszczył brwi i zaciskał dłonie na swym kiju, aż chrzęszczało.

Syryjska jesień, brudna i deszczowa, odarła zagajnik palmowy z wszelkiego piękna.

Wystrzępione, ciężkie od wilgoci pióropusze liści zwisały nisko ku ziemi, czasami kołysały się niczym mokre koce trącone podmuchem zimnego wiatru. Tam właśnie, na pniu najstarszego z drzew obalonego impetem dawno zapomnianej burzy, usiadł Gaston de Baideaux. Zakrywszy dłonią uszy, by oddzielić się od zacieklej kłótni Ryszarda z hrabią Robertem, wnikał w odślonięte świeżo wspomnienia, rozpamiętywał je na nowo, wyciągał wnioski.

-
Boże - patrzył na ciężkie obłoki płynące majestatycznie po niebie, powoli, niczym żywot skazańca. - Boże, czy to możliwe?

Bóg nie odpowiadał, do czego Gaston zdążył się przyzwyczać.

Między pniami pojawił się idący bezszelestnie Bernard. Ogromny sługa patrzył na swego pana z powagą i zrozumieniem, do czego de Baideaux też powinien się już przyzwyczać.

Na moment znów przywołał wspomnienie stosów ciał ludzkich i końskich, spowitych kłębamii tłustego dymu, rozbrzmiewającego krakaniem nieba i kilku ponurych grabarzy wrzucających zwłoki do ognia. Pierwszy widok, jaki ujrzał po wybiegnięciu z bram Akki.

-

A ja się dziwiłem, czemu mnie odrzuciłeś - wyszeptał na widok olbrzyma. -

Zastanawiałem się, cóż takiego straszego mogłem uczynić, byś nawet ty, najwierniejszy z giermków, odwrócił się do mnie plecami. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że te setki trupów, że śmierć wszystkich tych saraceńskich jeńców, których wrzuciłeś później do ognia, to moja sprawka.

Bernard przysiadł na pniu obok Gastona i nakrył jego dłoń własną. De Baideaux uściśnął twarde łapsko swego giermka i otarł nieposłuszną łzę. Czuł na sobie ciepłe, współczujące spojrzenie Bernarda i wiedział, że jeśli podniesie głowę i spojrzy mu w oczy, rozplacze się niczym dziecko.

-

To moja sprawka - powtórzył. - To, że moimi ruchami sterował ten parszywy demon, nikogo nie będzie obchodzić. To ja poddałem pomysł wymordowania jeńców Ryszardowi, na moim sumieniu spoczywa życie ponad dwóch tysięcy bezbronnych ludzi. To ja - głos mu zadrżał

- złożyłem największą ofiarę Asmodeuszo-wi, większą bodaj niż templariusze i szpitalnicy razem wzięci. Nie dziwię się - spojrzał na Bernarda i pokręcił głową. - Nie dziwię się, że Asmodeusz z taką łatwością opanował Jakuba. Dzięki tej ofierze pod Akką demon zgromadził o wiele większą moc, niż nam się wydaje. Jest teraz zdolny do niesamowitych czynów.

Bernard-pokiwał kudłatą głową i pociągnął lekko dłoń Gastona, jakby ponaglał go do powstania.

-

Tak, wiem - Gaston pokręcił głową z roztargnieniem. - Czas ruszać. Musimy...

Zamarł. Ktoś szedł wśród zeschniętych, zabłoconych liści, ktoś, kto nawet nie próbował zachowywać ciszy. Ciężkie kroki, sapanie, szcęk oręża.

-

Baronie? - poderwał się de Baideaux.

Balian z Ibelinu stał przygarbiony i oddychał ciężko, jakby przejście tych kilkudziesięciu metrów sprawiło mu wielką trudność. Długi miecz włókł się za nim, kreśląc nierówną linię obok głębokich, zapadłych śladów, twarz, zwykle zacięta i szlachetna, teraz wydawała się chora i zmęczona. Wyglądał, jak gdyby postarzał się od ich ostatniego spotkania.

Od ostatniego spotkania?

-
Oszczędzę ci wysiłku - powiedział z trudem i przymknął oczy, jakby bronił się przed nawracającą słabością. - Akka, tuż przed wymordowaniem jeńców. Główna nawa katedry.

W pamięci Gastona z hukiem otworzyła się kolejna brama. Chłód nawy, płomienie świec, ostry ton barona Ibelinu, zdumione spojrzenia wiernych, w końcu oskarżenie. I błysk wyszarpywanego miecza.

„Stałeś się zmiją, de Baideaux! Podłą zmiją!”

-
Nazwaliście mnie zmiją - wykrztusił Gaston.

-
Nazywałem cię na wiele sposobów - skrzywił się baron. - Nazywałem cię równie wymyślnie co bezcelowo.

-
Bezcelowo?

-
Tak, Gastonie. Bo mam wątpliwy zaszczyt być tym, który jako pierwszy dostrzegł zło, jakie narosło wokół ciebie. Wiedziałem, że opętał cię diabeł i powinienem być świadom, że nie zdołam przemówić ci do rozsądku. Niestety, jestem człowiekiem starej daty. Nie mogłem znieść tego, że młody rycerz z tak szlachetnego rodu włóczy się w towarzystwie łajdaków takich jak Cedryk z Rochester i dla zabawy morduje młodych służących. No i zostałem pokarany.

Na ogorzałej twarzy barona po raz pierwszy wykwitł uśmiech, lewa dłoń pomasowała prawe przedramię.

-
Nieźle mnie rąbnałeś - dodał.

-
Baronie - tym razem to Gaston przymknął powieki - jeśli chcecie, żebym przyznał się do winy, uczynię to. Jeśli chcecie, bym was błagał o wybaczenie, zrobię to tym chętniej. Jeśli jednak chcecie, bym szczerze pożałował swych grzechów, będę musiał was rozczarować. Mam ich bowiem na sumieniu tyle, że życia na odpokutowanie mi nie starczy i...

Nie - uciał stary rycerz. - Na żałowanie grzechów przyjdzie czas po wojnie, jeśli ten kiedykolwiek nastąpi. Coś innego mnie do ciebie przywiodło. Powiedz mi, czy... czy on... Ów demon, zły duch...

-

Nie, baronie - odparł krótko Gaston. - Jeszcze nie. Ale opuścił moje ciało i to chyba na swą zgubę, bo wreszcie znalazłem sposób, by go zniszczyć.

-

A zatem - odetchnął baron Ibelinu. - A zatem biskup Werony wypełnił swoje zadanie...

Gaston zamarł. Gdzieś wśród ciężkich cielsk chmur zagrzmiało przeciągłe, powietrze stężało.

-

Co takiego? - wykrztusił po dłuższej chwili.

-

Biskup Adelard, jego świątobliwość legat papieski -powiedział Balian, jakby ze skruchą. -

Tak, Gastonie, za moją to sprawą pojawił się w Akce. Pisałem listy do Rzymu, do samego Ojca Świętego, by ten zesłał nam człowieka godnego i wielkiej wiary. Czulem bowiem, że muszę przyczynić się do walki z owym demonem, który...

-

Z demonem? - uśmiechnął się złośliwie Gaston i powstał. Wzrostem dorównywał niemal Balianowi, a bijące z oczu zdecydowanie czyniło go od niego większym i potężniejszym. -

Niestety, baronie, z bólem stwierdzam, że legat papieski, choć zapewne bardzo się starał, nie dał

rady owego demona zmóc. Sam wam o tym, niestety, nie opowie, bo wy po śmierci traficie niechybnie do nieba, a nie do piekła, skąd wylazł tamten.

-

Nie... nie rozumiem... - Balian patrzył na młodszego rycerza z osłupieniem.

-

Jego świątobliwość legat papieski był diabłem -rzekł beztrósco Gaston. - Prawdziwym czartem, podobnie zresztą jak jego świta. Wyrzygało ich najczarniejsze piekło, lecz ku wielkiemu żalowi mojego druha Vittoria, od pewnego czasu kolekcjonera magikaliów, rogi mieli starannie przycięte.

Lunał deszcz. Krople wody spływały po pobrużdżo-nej twarzy starego rycerza niczym rodzące się z

deszczu rzeki, wypełniające wyschnięte koryta.

-

Ale nie żywię do was urazy - machnął ręką Gaston. - Jedyne prośbę mam. Czy zgodzilibyście się wziąć pod swą opiekę pewnego księdza i małą dziewczynkę?

Ciemne strugi deszczu przesłoniły horyzont, oddzielając krzyżowców od groźby ponownego natarcia Saracenów i zamieniając odległy zamek Blanchegarde w rozmazaną plamę. Wyłumiły też ogień kłótni króla z hrabią Robertem; przemoczeni do suchej nitki rycerze angielscy bez entuzjazmu wsiadali na konie i zawracali. Przez szum deszczu przebijały się ich zniechęcone przekleństwa oraz ciamkanie końskich kopyt w coraz bardziej grząskim błocie.

Dla Gastona i Adalberta ów deszcz mógłby jednak nie istnieć.

-

Nawet nie mieliśmy okazji, by usiąść i porozmawiać, paniczu - powiedział dawny kapelan rodu de Ba-ideaux, teraz zahartowany, nieustępliwy pielgrzym.

-

Ten czas się jeszcze znajdzie - odpowiedział Gaston. Zimne krople deszczu studziły rumieniec na jego policzkach, wiedział bowiem, że kłamie. - Opowiesz mi wtedy o wszystkim. A ja tobie.

-

Chciałbym udać się z wami - wybuchnął nagle ksiądz. - To również i moja krucjata, chciałbym uczestniczyć w niej do końca, ale...

Jego wzrok odnalazł małą dziewczynkę wczepioną w fałdę szaty, wielkimi czarnymi oczami spoglądającą na jasnowłosego rycerza.

-

Ale masz inną misję, równie wielką - uśmiechnął się Gaston. - Rozmawiałem z baronem Ibelinu, zaopiekuje się wami. Mała będzie bezpieczna.

-

Będzie bezpieczna dopóty, dopóki nikt się nie dowie o jej talencie - pokręcił głową ksiądz. - A jak tego uniknąć wśród nobili? Starczy, że padnie na nią wzrok markiza z Montferratu, który przecież żyje z baronem Balianem w wielkiej komitywie, a...

-

Coś wymyślimy - przerwał mu Gaston. - Najdalej jutro będzie po wszystkim, a wtedy się

zastanowimy.

-

Obiecacie mi to, paniczu - prosił żarliwie Adalbert. - Dajcie rycerskie słowo. Dżalila nie będzie bezpieczna wśród naszych, a gotów jestem pójść z nią choćby na skraj piekieł, gdybym wiedział, że tam nikt jej nie odkryje.

-

Masz moje rycerskie słowo - powiedział Gaston i wyciągnął do Adalberta dłoń, a ten uścisnął ją mocno.

Następnie de Baideaux nachylił się i przytulił dziewczynkę o wielkim, niebezpiecznym talencie, a potem przeżegnał ich, odwrócił się i ruszył tam, gdzie wśród strug deszczu oczekiwali go Bernard, Vittorio, Anzelm, Anna i Usama. Otarł oczy z wilgoci - sam nie wiedział, czy to deszcz, czy może łzy - i nabrał tchu.

Rozpoczął się ostatni etap ich krucjaty.

Zmierzali do Jerozolimy.

Rozdział siedemnasty

w którym każdy popełnia jakiś błąd, a bóg, choć wydaje się, że pozostaje głuchy na wszelkie prośby, krzyżowców nie opuszcza

Jerozolima drzemała.

Nie była to złowieszcza cisza przed burzą ani milczenie wywołane żałobą, nie był to też sen, w jakim pogrążają się miejsca zapomniane. Jerozolima żyła, jak najbardziej. Wysokich murów pilnowali żołnierze suł-tańscy, w domach, zamieszkałych głównie przez Żydów, Ormian i Arabów, nadal kwitło życie, nad placami targowymi i głównymi ulicami unosił się gwar. Czegoś w tym wszystkim brakowało, jakby samo miasto, święte dla trzech religii i stanowiące centrum świata wedle jednej z nich, całkiem zapomniało o swej wadze, o tym, że stanowi przedmiot niekończącej się wojny. Nad uliczkami i markizami, nad dachami kamienic i świątyń, nad placami i blankami murów snuł się leniwy, obojętny spokój, a blada w jesiennym słońcu Kopuła na Skale zdawała się spać, niczym znużony stary lew w cieniu drzewa, obojętny na walkę o jakiegokolwiek przywództwo.

Senna Jerozolima trwała poza światem, niewzruszona, wyłączona z jego dzikich namiętności.

Bazary i tawerny co rusz ożywały kolejnymi plotkami. Niektórzy twierdzili, że ponoć sułtańscy jeźdźcy samego króla Al-Farandż opadli, lecz cudem im się wymknął. Inni, że Salah ad-Din znów siły zbiera, chcąc ostatecznie zmiażdżyć zuchwałych krzyżowców, na to drudzy wypominali, że Ryszard w Bajt Nubie stoi, ledwie kilkanaście mil od bram miasta. Jeszcze inni odpowiadali na to, że w Galilei ponoć znów mór się zaczął, że w dolinie Bekka zbiory mizerne.

Ktoś gadał, że latający dywan widział. Plotki pojawiały się i nikły, gasły jak iskry opadające na tafle wody. Ich miejsce zajmowały inne, ważniejsze wieści. Podwyżka podatków. Kolejna burda wśród pielgrzymów. Świętokradczy rabunek w jakimś kościele.

Jerozolima spała - obojętna, niechętna.

Przeszli przez Bramę Jafską, skrytą w cieniu ponurej Cytadeli Dawidowej, strzegącej najbardziej narażonego na atak odcinka murów. W bramie kręciło się wielu uzbrojonych po zęby strażników

- widomy znak bliskości wojsk krzyżowych - ale mimo to przedostali się przez nią niemalże niezauważeni. Prowadzący ich Usama, taszczący pod pachą zwinięty, zabłocony kobierzec, rzucił coś po arabsku do ospałych strażników, a ci nawet nie zareagowali, przyglądając się rozzłoszczonemu, wychudłemu Ormianinowi, smagającemu trzcina osła, który zapał się kilka kroków przed bramą i rżał dziko, nie

chcąc zrobić ani kroku. Na ich twarzach malowało się znudzenie, oczy, na ogół dzikie i drapieżne, były mętne.

Idący tuż za Usamą Gaston podświadomie przyspieszył kroku, a potem, gdy znaleźli się już za murami miasta, odwrócił się do Anny.

- Nie musisz tego robić - szepnął. - Twoja rola skończyła się z chwilą, gdy zsiadliśmy z tego cholernego dywanu.

-

Nie będziesz mi dyktował, co mam robić, a czego mi nie wolno, Gastonie - odpowiedziała równie cichym szeptem, lecz wymowę jej słów wzmógł błysk oczu w cieniu kaptura. - Nikomu na to nie pozwolę.

-

Chodzi o to... - Młody rycerz przełknął ślinę, jego gardło całkiem wyschło. - Chodzi o to, że zasłużyliście wreszcie na spokój. Ty i Usama.

-

Wiem. Nie mam jednak zamiaru oddawać losów świata w ręce romantycznych partaczy.

Gaston już zmarszczył brwi, ale wtedy dostrzegł, że oczy Anny błysnęły w sposób szczególny, a jej wychudzona dłoń musnęła jego własną. W tym prostym geście kryło się mnóstwo emocji -

wybaczenie, wsparcie, przyjaźń, wreszcie głęboka wiara - i Pikardyjczyk nie mógł opanować uśmiechu.

Idący gdzieś z przodu Usama, wyższy o pół głowy od okalającego go tłumu, odwrócił się, jakby dzięki swemu szóstemu zmysłowi usłyszał toczącą się półgłosem rozmowę i skrzywił się ze wzgardą.

„Chyba nie sądzisz, byśmy mogli żyć w spokoju po tym, czego doświadczyliśmy - mówił wyraz jego twarzy. - Chyba nie sądzisz, byśmy byli tak podli i pozbawieni honoru”.

Gaston posłusznie spuścił spojrzenie, uznając milczącą argumentację mameluka.

-
Hej - syknął z niecierpliwością Anzelm, który stał kilka kroków dalej i czekał. - Chodźcie wreszcie!

Prowadzący Usama zniknął już w tłumie ludzi, Bernard i Vittorio, nie oglądając się, zmierzali za nim. Gwar miasta otaczał ich, oblepiał, wchłaniał.

-
Idziemy - szepnął Gaston i ruszył w ślad za towarzyszami.

Sześcioro krzyżowców dało się porwać ludzkiej rzece. Odziani w brudnawe burnusy i postrzępione dzła-bije szli, postukując kosturami pielgrzymów, w niczym nie wyróżniając się z nieprzeliczonych tłumów. Usama patrzył dookoła z hardością, jakby samym spojrzeniem chciał

przebić mizerny strój i poszarpaną kolczugę, unaocznic swe męstwo w walce w imię Proroka.

Niknący w jego cieniu Gaston pochylał nisko głowę i wspierał się na obwieszonym muszelkami kijku, Anzelm brzdąkał wesoło na cytrze i obdarzał mijających go ludzi próżnym uśmiechem, odziany w łachmany Vittorio utykał i co rusz odgarniał zasłaniające mu twarz włosy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi, strojny w zgrzebną szatę i sandały Bernard co kilka kroków poprawiał worek na plecach, Anna przemykała niedostrzeżona. Ze wszelkich sił zwalczali pokusę, by choć raz zerknąć ku wieży kościoła Grobu Świętego czy katedry Świętego Jakuba, by wypatrzeć między dachami górę Syjon, bądź skrócić ku Drodze Krzyżowej, ale, choć serca im krwawiły, nikt nie podniósł nawet głowy. Szli nieugięci naprzód, z dala od siebie, tak by nikt nie zwrócił na nich uwagi. Łączyła ich jednak wspólna myśl.

Wspólne zadanie. Wspólna krucjata.

„Oby minąć kościół Świętej Marii i dostać się w okolice Świątyni - myślał Gaston. - Potem już wszystko jakoś się potoczy. Zakończę to, co ty zacząłeś, bracie. Przysięgam. Na honor rycerski”.

Rękę wsunął nieświadomie pod szatę, namacał wsunięty do sakiewki pierścień Salomona i raz jeszcze przywołał wizję użyczoną mu przez małą Dżalilę.

Gdzieś wysoko nad dachami Jerozolimy krakały kruki.

Hugo de Payns był zakochany.

Podróż do Ziemi Świętej trwała wiele tygodni i pochłonięła większość jego majątku, ale wreszcie tu dotarł, przemierzył krainę znaną ze Starego Testamentu i szedł teraz po ulicach miasta wreszcie wyzwolonego z rąk niewiernych, przynależnego rycerzom Chrystusa. Żałował co prawda, że nie

urodził się wcześniej, że nie przyszło mu szturmować jej bram wraz z ludźmi Gotfryda lotaryńskiego czy Rajmunda z Tuluzy owego pamiętnego lata Roku Pańskiego 1099, ale ów żal szybko mijał, gdy tylko przypominał sobie opowieści o krwawych ofiarach, jakie ponieśli chrześcijanie i o trudach, które przyszło im znosić. O wiele bardziej wolał wjechać do Jerozolimy bez przeszkód, na własnym rumaku, spokojny o swe złoto i życie.

Tym bardziej, że ponoć wielu rycerzy, wspierających swym ramieniem i zbrojnymi pocztami wielkich krzyżowców, wróciło już do Europy, uznając swe zadanie za zakończone. W istocie, niewielu ludzi na ulicach Jerozolimy przypominało Franków i młody Hugo radował się w duchu.

Tym łatwiej będzie mu, młodemu, ambitnemu rycerzowi z Szampanii, wyróżnić się i okryć sławą.

Ach, jakże był zakochany! Zakochany w sławie rycerskiej, w pieśniach o walecznych czynach i miłosnych podbojach, w czystości wiary i żelaznej niewzruszoności honoru. Zakochany w wizjach zwycięstw i łopocie proporców, w blasku mieczy i jeszcze piękniejszym blasku złota, które, w co nie wątpił, czekało na każdego bohatera.

Oby tylko stać się nim szybko. I w miarę bez wysiłku.

Kopuła na Skale płonęła w blasku zachodzącego słońca, powietrze studził chłód wieczoru, ludzki gwar dookoła upajał niczym zapachy ogrodów. Hugo de Payns przystanął i rozejrzał się niepewnie. Ludzie dookoła - najemnicy o ogorzałych twarzach, rycerze, bogaci kupcy, kapłani, a nawet biednie ubrani, zahukani wieśniacy - gnali gdzieś w sobie tylko znanym kierunku, nie dostrzegali go, nie zauważali. Widoczny stąd pałac królewski wsparty o Świątynię Salomona był

równie nieosiągalny jak w rodzinnej Szampanii.

Jak stać się bohaterem?

-

Jak stać się bohaterem? - powiedział półgłosem, lecz nikt go nie usłyszał. Odziany w długą szatę handlarz oliwy łajał swego służącego, konny sierżant pokrzykiwał na swych ludzi, gdzieś ryczał osioł. Po rdzewiejącym niebie przetoczył się grzmot dzwonów z wieży kościoła Grobu Pańskiego, odpowiedział mu ten z pobliskiego kościoła Świętego Piotra, równie dumny i głośny, a potem inne, z kościoła Świętej Anny, Świętego Jakuba i pozostałych.

-

Marzysz? - spytał jakiś cichy, kobiecy głos.

Wystraszony Hugo aż podskoczył. Odruchowo rozejrzał się dookoła, choć był przekonany, że nie przemówił doń nikt z otaczających go ludzi. Głos, choć było to niemożliwe, wydawał się dobiegać z wnętrza jego umysłu. Rozglądał się jednak nadal, z uporem, i wtedy ją dostrzegł.

Stała pod drzwiami niewielkiej piekarni, nie zwracając uwagi na tłustego piekarza z wysiłkiem wtaczającego do środka ciężką beczkę. Ubrana w suknię niebieską niczym niebo, z dekoltem

obramowanym rzędem drobnych pereł, wyglądała wprost zjawiskowo, choć nie dostrzegał jej ani piekarz, ani dwóch łuczników w barwach króla Baldwina, ani kilku chłopców usiłujących coś wyłowić z rynsztoka. Życie ulicy toczyło się bez przeszkód, lecz dla Hugona, zapatrzonego w piękną kobietę, zatrzymało się w miejscu. Spogląda na jej bujne, bezwstydnie rozpuszczone włosy, na czarne, gorące oczy i usta nietknięte karminem, a mimo to czerwone niczym krew. Ona patrzyła na niego i uśmiechała się.

-

Marzysz? - zapytała znów.

Słyszał ją wyraźnie, choć dzieliło ich kilkadziesiąt kroków.

-

Marzę - odpowiedział. - Dżarisho.

Nie miał pojęcia, skąd zna jej imię. Wiedział jednak, że powinien za nią podążać, choćby zapragnęła dotrzeć na koniec świata bądź na sarno dno piekieł. Gdy zerwała się do biegu, nie wahał się ani chwili. Biegła niczym elf, niemalże unosząc się nad brudnym, powalonym nieczystościami brukiem, piękna jak sen, a on gnał za nią, roztrącając ludzi.

Pędziła kilka kroków przed nim, aż przypadła do drzwi niewielkiej kamieniczki o ścianie krytej bluszczem.

Szydł nad jej głową wskazywał na kantor winiarza, lecz zabite deskami okno mówiło, że interes już dawno zmarł. Uśmiechnęła się doń tak ponętnie, że nie odnalazł w sobie siły, by ciągnąć dalsze rozważania. Pchnęła drzwi i wślizgnęła się do środka, a on wskoczył za nią.

Nigdy nie był tak bardzo zakochany.

Po szyldzie została tylko drewniana, ułamana żerdź, bluszcz zetlał i usechł, lecz bez wątplenia były to te same drzwi, w tej samej kamieniczce. Gaston poczuł, że serce bije mu jeszcze mocniej, a dłonie zaczynają się pocić. Porozumiał się wzrokiem z Anzelmem, równie zaniepokojonym jak on sam.

Ulica była niemalże pusta. Ocieniona kilkoma rozporami, opadała nieco w dół i kończyła się kramem, w którym mikry Żyd o trzęsących się rękach bez końca przekładał bale taniego płótna, jakby myślał, że w ten sposób zwiększy ich atrakcyjność. Mniej więcej w połowie długości, na szerokim kamiennym progu, siedziało kilku starych Beduinów o twarzach zasuszonych niczym rzeźby z piaskowca i milczało. Z ciemnej plamy bocznej uliczki co rusz wychodził obdarty żebrak i, mrucząc do siebie, szukał czegoś między kamieniami bruku.

Gaston znów westchnął. Nie miał prawa oczekiwać, że uliczka będzie pusta - znajdowała się na skraju ruchliwej dzielnicy żydowskiej, niedaleko słynnej Świątyni Salomona, więc powinien być przygotowany na to, że ich pojawienie się przyciągnie czyjaś uwagę, ale nie umiał temu zaradzić.

Gdy wdzierali się do Askalonu, chcąc złapać i przywieść tu Dżaffara, plan przygotowali bardzo

dokładnie. Dzięki wizjom Dżalili poznali pułapki podstępного czarodzieja, przez co działali pewnie i niemalże bezbłędnie. Jerozolima jednakże, obca i wyniosła, nie dawała się przewidzieć, jej tajemnice były skrzętnie skrywane. Nie było tu też jednego przeciwnika, przeciwko któremu mogliby stanąć.

Nie mieli planu, a jedynie pomysł. Misję. Krucjatę.

„To strasznie mało - myślał Gaston, nerwowo mnąc sakiewkę z pierścieniem. - Strasznie...”

Raz jeszcze spojrzął na Anzelma, który przykucnął przy dolnym rogu uliczki i trącił struny cytry.

Bernard przeszedł obok, obojętny, jakby nigdy wcześniej nie widział żadnego z nich i zniknął w cieniu zaułka. Usama zrzucił kobierzec na ulicę, przystanął przy kramie z jedwabiami i ignorując nieskładne rekomendacje żydowskiego handlarza, ze wzgardliwą miną zaczął przebierać wśród płócien. Anna znikła, jakby się pod ziemię zapadła.

Tylko tyle mogli ustalić. Pozostawało pokładać wiarę w Bogu, że uda się wypełnić zadanie jak najszybciej, nim ich obecność przyciągnie uwagę żołnierzy sułtańskich. Nie było więc czasu do stracenia. Usiłując sobie wmówić, że Beduini patrzą na nich bez zainteresowania i wkrótce o nich zapomną, Gaston podszedł do drzwi obok zwiędłego bluszczu i pchnął je do środka.

Wślizgnął się do wnętrza i odstawił kij z muszelkami do kąta. Ciemna komnata, ledwie oświetlona promykami mętnego światła wślizgującymi się przez szczeliny w deskach, cuchnęła wilgocią i kwaskowym, ledwie już wyczuwalnym zapachem wina. Gaston odrzucił szatę, by mieć lepszy dostęp do miecza i przypadł do klapy w podłodze. W tej samej chwili do wnętrza wpadł Vittorio i zamknął lekko drzwi. Był poważny, aż nadto poważny jak na siebie.

-

Pomóż mi to podźwignąć - szepnął do przyjaciela.

Ten zerwał łańcuchy i nachylił się nad klapą. Złapał

za mosiężny uchwyt, ale zawahał się.

-

Słuchaj - powiedział cicho, nie patrząc Gastonowi w oczy. - To, co mówiłeś nam w drodze do Jerozolimy...

O ofierze, jaką złożyłeś Asmodeuszowi w Akce... Co to tak naprawdę oznacza?

-

Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami de Baideaux. - Tyle, że demon ma o wiele większą moc, niż zakładaliśmy. Nie wiem, jakie ma możliwości. Może być, że w międzyczasie zawładnął jeszcze kimś prócz Jakuba i zakonników. Boję się, że kimś znacznym.

-
Nie królem Ryszardem?

-
Nie, jeśli już, to kimś innym. Kimś potężnym, kto w jego imieniu będzie dalej przelewał

krw, a moc demona będzie rosła. Tym bardziej trzeba nam się pospieszyć. Aha - Gaston wyprostował się nagle - dziękuję, że postanowiłeś mi towarzyszyć. Dobrze mieć przyjaciela u boku w takiej chwili.

-
Nie ma sprawy - wymamrotał Vittorio i spuścił wzrok, niby po to, by skupić się na dźwignięciu uchwytu, lecz w gruncie rzeczy po to, by uniknąć spojrzenia Gastona. Podejrzanie narastające w jego duszy zamieniło się w całkowitą pewność.

Kłapa uniosła się ze zgrzytem zawiasów. Ze środka buchnął chłód podziemi.

-
Po co schodzimy? - zapytał Hugo, patrząc w dół na Dżarishę, która stała na kamiennej podłodze i wpatrywała się w niego z tajemniczym uśmiechem.

-
Marzysz? - odpowiedziała pytaniem i odrzuciła na ramię pyszne, mieniące się loki. Młody rycerz gotów byłby przysiąc, że pachną mocniej od rajskich ogrodów.

-
Tak, marzę - odpowiedział, zeskoczywszy na ziemię. Wyciągnął ramiona, chcąc pochwycić ją i przytulić, lecz Dżarisha zrobiła krok w tył i wybuchła perlistym śmiechem.

-
A o czym? - zapytała, nie spuszczając zeń gorącego, niepokojącego spojrzenia.

-
Marzę o tym, by cię objąć i przygarnąć, a potem całować twe usta aż padnę z wyczerpania!

-
Kłamiesz - szepnęła, ale ujęła go za dłoń. Jej ręka, choć drobnay okazała się zaskakująco silna. Była też ciepła i rycerz za nic w świecie nie chciał jej puścić. - Kłamiesz. Marzysz o czymś większym niż

ja, o czymś o wiele wspanialszym! Chodź!

I pobięła ciemnymi korytarzami niczym senne widziadło, zbyt urokliwe, by można je wypuścić.

Hugo zaś pędził za nią, wciąż trzymając jej dłoń, a z każdym krokiem jego pragnienie narastało, aż przerodziło się w żądzę.

Ich drogę przegrodziły ciężkie dębowe drzwi. Hugo ledwie rzucił na nie okiem, a natychmiast rozpoznał ich moc, prawidłowo też ją zlokalizował. Kryła się bowiem nie w solidnych żelaznych zawiasach czy w masywnym zamku, lecz w rzędach nieznanym mu, złowieszczo wyglądających liter. Nie poświęcił im jednak ani chwili, oślepiony swym pragnieniem szarpnął Dżarishę za rękę, obrócił ją ku sobie i przemocą oparł o ścianę. Wpił się w jej usta, odurzony jej zapachem, rozjuszony jej miękkością. Nieznajoma przez moment oddawała pocałunek, aż wreszcie odepchnęła go. •

-
Co zrobisz, by wypełnić swe pragnienia? - wyszeptała ochryple.

-
Wszystko - wydyszał i na powrót usiłował zmiążyć jej wargi, lecz wyslizgnęła się.

-
Naprawdę wszystko? Wyprzesz się swego Pana?

-
Wyprę się, Dżarisho... Przysięgam... Nie wymykaj się, twoja szyja, twe piersi...

-
Wstrzymaj się - znów go odepchnęła, tym razem mocniej. Jej głos zabrzmiał stanowczo. -

Jeszcze nie zasłużyłeś na nagrodę. Najpierw będziesz musiał udowodnić, że naprawdę jej pragniesz.

W dłoni pięknej nieznajomej błysnął nóż.

-
Banalnie proste - szepnął Gaston, przyglądając się tajemniczym, złowieszczym literom, zapewne wyrytym w drewnie ręką samego króla Salomona. - Drzwi otworzą się tylko przed tym, kto naprawdę pragnie zobaczyć się z Asmodeuszem i udowodni to, spryskując je własną krwią.

Bo niby ktośby chciał to uczynić?

Poza samym Salomonem, który pewnie wielokrotnie z usług sułtana korzystał, pewnie niewielu - parsknął Vittorio i rozejrzał się nerwowo po ciemnym, wilgotnym korytarzu. -

Aż dziw, że postanowił go zamknąć w takim ci oto korytarzyku w samym środku miasta.

Wedle wizji Dżalili jego świątynia sięgała aż tutaj - odparł Gaston. - W nadziemnej części pewnie też istniały jakieś zabezpieczenia. Po prostu nikt nie przewidział, że któregoś dnia całą świątynię może cholera wziąć.

Pochodnia trzymana przez Vittoria trzeszczała i skwierczała, lecz światła dawała niewiele. Miast tego, zalewała chropowate, wilgotne ściany plamami poruszających się cieni.

Co teraz? - zapytał, choć znał odpowiedź.

Teraz najważniejsza część zabawy - odparł ochryple Gaston, po czym wyszarpnął nóż i krzywiąc się z bólu, przejechał klingą po nadgarstku. W całkowitej, niczym niezakłóconej ciszy podziemnego przejścia kapnięcia ciężkich kropel krwi odezwały się niemalże echem. De Baideaux pospiesznym ruchem maznął nią po literach i cofnął się o krok, jakby wystraszony swoim czynem. ,

Drzwi rozwarły się same.

Ciemne, nabrzmiałe chmury, które zdawały się ocierać o dachy jerozolimskich świątyń, rzygnęły wreszcie deszczem. Bernard, kryjący się za rogiem cuchnącego nieczystościami zaułka, zaklął w duchu. Przywykł do deszczu, zarówno w rodzinnej Pikardii, jak i na syryjskich wyżynach, gdzie przez krótki, lecz najszcześniejszy w swym życiu okres pasł stadko kóz, lecz w chwili takiej jak ta deszcz był złą nowiną. Parobek przygotował się na najgorsze, z ewentualnością stawienia czoła połowie garnizonu jerozolimskiego włącznie, a deszcz utrudniał walkę nawet najlepszym wojownikom. Bruk stawał się śliski, przez co trudniej było zachować równowagę i wymierzyć celny cios, a skradający się przeciwnik stawał się mniej uchwytny.

Poza tym, to nic przyjemnego, gdy przemoczona, zimna kapota lepi się do pleców.

Jedyną korzyścią było to, że trójka Beduinów znikła ze schodów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a Żyd pospiesznie zabrał się za zwijanie swego kramu, pomagając sobie siarczystymi przekleństwami. Myszkujący wśród kamieni bruku żebrak spojrzął ku niebu, jakby nie dowierzał, że ulewa jest prawdziwa, i nasunąwszy na oczy wystrzępiony kapelusz, przygarbiony, jął się przekradać wśród murów.

Bernard zaklął w duchu, a potem jeszcze raz, gdy odezwało się w nim przeświadczenie, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

Po plecach spłynął mu dreszcz, w gardle natychmiast zaschło. Ów szósty zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem, jak dotąd, okazywał się nieomylny i olbrzym nie potrafił go zlekceważyć, zwłaszcza w takiej chwili. Mocniej uchwycił swój kij i ostrożnie wyjrzał zza rogu.

W dole uliczki, na wysokości likwidowanego w pośpiechu kramu z płótnem, pojawiła dwukółka zaprzęzona w muła, pchana przez czterech przemoczonych do suchej nitki sułtańskich żołnierzy.

Bernard zacisnął powieki i odmówił w myślach najzarliwszą modlitwę w swoim życiu. Gdy ponownie otworzył oczy, okazało się, że Bóg jej nie wysłuchał. Wózek kierował się pod górę.

W ich stronę.

W strugach deszczu dostrzegł Anzelma, który udawał, iż zbiera się do odejścia, jednak spod nasiąkniętego deszczem kaptura nie spuszczał muzułmanów z oczu. Usama stał nieco dalej, niemalże niewidoczny na tle ściany kamienicy, również spięty i czujny. Pokaszający ochryple żebrak wszedł w zaułek, potknął się i parsknął ze złością.

Wózek toczył się pod górę. Arabowie klęli. Anzelm przyklęknął, pod cytrą chował krótki miecz.

Żebrak ka-słał. Po Beduinach, a także - co gorsza - po Annie ślad zaginął. Zbliżało się przecucie bliskiego niebezpieczeństwa.

Coś zgrzytnęło i trzasnęło. Wózek znieruchomiał jakieś dziesięć kroków przed drzwiami do zapomnianej winnicy, gdzie przed chwilą znikli jego pan wraz z rycerzem Scozzi. Któryś z sułtańskich żołnierzy, otyły dziesiętnik w kolczudze, jedyny, który nie pomagał w pchaniu, strzelił z bicia, by ponaglić muła. Pozostali naparli na wózek, lecz bez rezultatu.

Bernard przymknął oczy. Jeszcze jako parobek starego barona de Baideaux powoził

wystarczająco często, by wiedzieć, że taki trzask może wydać tylko pękająca oś. Sułtański konwój utknął tuż przed drzwiami, z których lada chwila mógł wyjść jego pan.

- Fatalna sytuacja - oznajmił żebrak w langue d'oïl z silnym arabskim akcentem i jakby od niechcenia przytknął do pleców Bernarda coś ostrego.

Giermek wyprężył się, zacisnął potężne dłonie na kiju. Starczyłby jeden cios do tyłu, pod ramieniem...

-

Stój spokojnie - polecił nieznajomy. Jego głos był cichy, melodyjny, nedorzecznie wprost kojący. - Ani się rusz. Wystarczy, że krzyknę, a będzie po tobie. I po twoim efendim, jak sądzę.

Znał skądś ten głos. Poruszał jakieś mroczne, nie-sprecyzowane wspomnienie, coś, o czym Bernard wolałby zapomnieć.

-

Poza tym, niekoniecznie jesteście wrogami - ciągnął tamten łagodnie. - Nie żyjemy do was wrogości, póki co. Właściwie to nie widzę powodu, byśmy nie połączyli sił. Musisz mi tylko obiecać, że zostanę za to wynagrodzony. Tak, wiem, nie możesz decydować za swego pana, ale coś mi mówi, że bez naszej pomocy nie przeżyje on następnego kwadransa. To co, zgadzasz się?

Dopilnujesz, byśmy dostali to, czego pragniemy?

Bernard kiwnął łbem, aż woda ściekająca po jego kudłach strzeliła naokoło.

-

Doskonale.

Dopiero wtedy przypomniał sobie, gdzie słyszał ów głos i do kogo należał. Przypomniał sobie namiot, w którym usługiwał baronowi Ibelinu, hrabiemu Montferratu oraz ich dziwnemu gościowi.

Za jego plecami stał Starzec z Gór.

Anzelm również skrzywił się, gdy zaczęło padać. Z powodów, których wspominać nie lubił, odczuwał zapachy o wiele wyraźniej niż większość śmiertelników, a mokre ludzkie ciała wydzielały woń o wiele intensywniejszą, niż mógł to znieść. Na widok czterech żołnierzy pchających wózek z trudem powstrzymał nieprzyjemne warknięcie i trącił struny, wydając nieprzyjemny dźwięk.

Dopiero po chwili dotarło do niego, iż zmierzają oni w kierunku kamieniczki, w której zniknęli Gaston z Vittorio.

Błyskawicznie wsunął cytrę do sakwy, podniósł się sprężysto, chwytając rękojęć dobrze schowanego miecza. Jego wzrok, mroczny, wilczy, macał mozolących się muzułmanów po karkach, wyszukiwał ich najsłabsze punkty, a umysł analizował je z chłodem.

Trzej sułtańscy żołnierze napierali teraz na zaklinowany wózek, próbując go poruszyć z miejsca.

Byli do niego odwróceny tyłem, podobnie jak dowódca, ów wymachujący biczem grubas w kolczudze, stojący za wózkiem. Tego miał najbliżej. Przy odrobinie szczęścia ściałby go od razu, nim pozostali zdążyliby się odwrócić. Nagła śmierć dowódcy, nawet znieawidzonego, zawsze wywołuje wstrząs u podwładnych, a zatem pewnie zdołałby to wykorzystać i ściać jeszcze jednego, może dwóch. Wątpił, czy widząc taką masakrę, czwarty z żołnierzy odważyłby się stawić mu czoło. Przypuszczał, że rzuciłby się z krzykiem do ucieczki...

Co było jeszcze gorsze.

Wiedział, że atakując miejscowych, wbije kij w mrowisko, ale czuł, że może nie mieć wyboru.

Istniała spora szansa, iż Gaston i Vittorio wyjdą przez drzwi niezauważeni, ale nie przywiązywał

się do tej myśli. Na twarzy grubasa widoczna była buta, zakładał więc, że pewnie każe obu Frankom pomóc w pchaniu wózka. To zaś oznaczało większe ryzyko dekonspiracji.

„Twoja pierwsza wroga reakcja będzie jednocześnie twoją ostatnią” - pomyślał, nie spuszczać oczu z tłustej, wylewającej się znad kołnierza szyi żołnierza.

O tym, czym sam ryzykuje, nie zapomniał ani przez chwilę.

Bywały dni, gdy naprawdę wierzył, że dręcząca go od wielu lat ormiańska klątwa wreszcie odeszła. Morderczy, wilkołaczy szal, który mijał dopiero po odebraniu komuś życia, nie pojawiał

się od dawna. Z drugiej strony, przez kilka miesięcy spędzonych na wsi oraz przez cały czas, jaki spędził w towarzystwie Gastona, właściwie unikał walki, która mogłaby go wyzwolić. Toczył co prawda bój ze skorpionem na dziedzińcu Dżaffara i nie poniósł go szal, ale być może jego klątwa zawężyła się jedynie do ludzi. Co więcej, nadal irytował go ścisk i tłum, nadal miał wyczulony węch i doskonały, nadludzki słuch, nadal też dobrze widział w ciemnościach.

Bestia, która zamieszkała w jego sercu za sprawą czarów Tigrany, nie opuściła go. Czuł, że wciąż w nim drzemie i czeka tylko na właściwy moment, by się przebudzić.

Atak na żołnierzy sułtańskich bez wątpienia owym momentem był.

- Hej! - Mroczne myśli Anzelma rozwiął nagle ostry głos dowódcy muzułmanów, podkreślony strzałem z bata. - Ty! Chodź! Pomożesz!

W pierwszym odruchu Anzelm był przekonany, że Arabowi chodzi o niego. Dopiero po chwili zauważył, jak z ocienionego zaułka wyłania się Bernard. Szedł sztywno po ociekającym strugami deszczu bruku, a gdy odwrócił głowę ku rycerzowi z Ar-Ramli, ten dostrzegł na jego mokrej twarzy ostrzeżenie. Bernard, zwykle niewzruszony i spokojny, był blady, wyglądał, jakby właśnie zobaczył ducha.

-

Co się stało, staruszkę? - wyszeptał poruszony Anzelm.

Jego zastanowienie przerwał jednak narastający, przybliżający się tętent kopyt. Zza rogu wypadł

jakiś jeździec i wrył rumaka tuż obok opuszczonego już kramu. Powściągnięty gwałtownie koń poślizgnął się na mokrym bruku, niemalże wywrócił, ale jeździec opanował go bez wysiłku.

-

De Baideaux! - warknął ochryple, choć znajomym głosem. - Gdzie jest de Baideaux?

Anzelm nabrał tchu i przymknął oczy. Nigdy w życiu nie był tak bardzo blisko omdlenia jak teraz.

W siodle siedział Jakub.

Płomień pochodni wydobył z mroku niewyraźny, na pierwszy rzut oka wykonany z wypolerowanej miedzi sarkofag, ułożony na kamiennym postumencie. Blask ognia w mig rozpełzł się po całej jego

długości, komnata rozjarzyła się, twarze obu przyjaciół wynurzyły się z ciemności.

-

I co teraz mamy zrobić? - zapytał niespokojnie Vit-torio.

-

Wygląda na to, że bardzo niewiele - odrzekł nieco drżącym głosem Gaston i nonszalancko podrzucił trzymaną w rękę sakiewkę, jakby swobodą i beztruską chciał pokryć napięcie. -

Poświęć tu, proszę.

Vittorio podszedł bliżej. Blaskowi syczącego płomienia odpowiedziały lśnieniem zatopione w ścianie, niewielkie złote litery, podobne nieco do tych, które widzieli chwilę wcześniej na ścianie.

W jednym tylko miejscu zamiast błyszczącej litery dojrzelili ciemną obwódkę.

-

Widzisz? - zapytał Gaston. Zupełnie nie zauważył, że wokół jego ust pojawił się kłębek pary.

-

Co takiego?

-

Spójrz - rzekł Pikardyjczyk i sięgnął dłonią do sakiewki.

-

Chodź! - szepnął Hugo i szarpnął za dekolot sukni. Rozległ się trzask dartej tkaniny, zakołysała się dojrzała, ciemna pierś z drobnym sutkiem. Dzarisha oparła się o ścianę i rozrzuciła ramiona, a potem spojrziała na rycerza z namiętnością wykraczającą poza wszystko, na co był

przygotowany.

Nie pamiętał już ani o swoim zdumieniu, ani o bólu rozciętego przedramienia. Jego całym światem były teraz płonące oczy Dzarishy, jej rozchylone usta i rozkołysana pierś. Wparł się w nią, zmiądzzył jej usta pocałunkiem, namacał jędrny pośladek pod podniecająco śliską tkaniną sukni. Kobieta przez moment oddawała pocałunek, po czym nagle cofnęła głowę.

-

Zrób coś dla mnie - szepnęła ochryple.

-

Co zechcesz - odparł, szarpiąc się z wiązaniami swych spodni.

-

Daj mi ten pierścień...

-

Pierścień? - osłupiał na moment, aż wreszcie spojrział tam, gdzie mur gładziły jej smukłe, długie palce. Zmarszczył brwi i dostrzegł jakiś pozłacany napis, w tym drobną literę w kształcie małego kółka. - Dobrze, zaraz go wydłubię, tylko... tylko...

Wężowym unikiem wyzwoliła się z jego objęć, cofnęła o krok i z oszalamiającym uśmiechem szarpnęła za dekolt, odsłaniając drugą pierś.

-

Daj mi go... - szepnęła. - Jak rycerz swej damie...

Hugo stłumił przekleństwo i czując, jak pożądanie nadal w nim płonie, wyszarpnął nóż, przypadł

do ściany, wsunął go w szczelinę i podważył ostrzem. Cienki, złoty krążek wyskoczył niczym obdarzony życiem, z brzękiem spadł na kamienną podłogę i potoczył się pod nogi rycerza.

Błysnęła misternie grawerowana sześcioramienna gwiazda. Hugo uniósł go szybko i odwrócił się ku Dzarishy.

Kąt, w którym stała, był pusty.

-

Dzarisho? - zapytał zaskoczony. - Czy to jakieś żarty? Jakiś figielek? Chcesz mnie wystraszyć, tak?

-

To nie żart - odezwał się czyjś głos. - Daj spokój Dzarishy, Hugonie. Przecież ona nie ma dla ciebie znaczenia.

-

Jak to nie? - zawołał przestraszony rycerz.

-

To zwykły sukub, w którego czasem się przeistaczam. Nie bez przyjemności, dodam..

-

Kim jesteś? In nomine Patris...

-

Przestań - w głosie dało się usłyszeć rozbawienie. -Daj spokój z tymi klechdami. Nie kochasz Dzarishy, kochasz tylko siebie. Sławę, honor, zwycięstwo. Kochasz to, prawda?

Zaskoczony i jednocześnie przerażony Hugo miał wrażenie, że w kącie ciemnieje kontur jakiejś postaci, smukłej, ale męskiej, choć z długimi, kręconymi włosami. Nie mógł też się oprzeć wrażeniu, że elektryzuje go jakiś niewysłowo-wiony pociąg tej postaci, odmienny jednak od tego, jaki mężczyzna czuje do kobiety. Ścisnął mocniej ów pierścień i przełknął ślinę.

- Tak, trzymaj go mocno, Hugonie de Payns - szepnął głos. - Póki go masz, ja jestem wolny. A póki ja jestem wolny, ty będziesz wielki. Och, będziesz wielki, Hugonie, obiecuję ci to.

-

Gdzie jest de Baideaux?

Głos Jakuba przetoczył się po ulicy niczym grzmot, a jego oczy, absolutnie czarne, były blaskiem jaśniejszym od błyskawic. Przerażony rumak drobił w miejscu, z wędzidła ściekały krople krwi.

-

Gdzie jest de Baideaux?

I Anzelm nagle zrozumiał, że musi stanąć mu naprzeciw, że musi zatrzymać uosobionego demona, który posłał z powrotem do piekła fałszywego biskupa Adelar-da i dwóch jego kompanów. Bo nikt inny nie był w stanie tego uczynić.

Zwierzęcy szął, uśpiony gdzieś w odmętach jego podświadomości, lecz wciąż zauważalny, nadal pulsujący życiem, drgnął niczym wszechpotężna ośmiornica trącona tępym końcem włóczni.

Zafalował wzburzony, jakby dawał swemu gospodarzowi ostatnią szansę, jakby przypominał mu o konsekwencjach utraty kontroli, ten jednak nie miał już nic przeciwko. Uwolnił tamę.

Szał buchnął niczym rozkopane ognisko.

W jednej sekundzie demoniczna figura opętanego szpitalnika skurczyła się, straciła swe złowieszcze odium, a Anzelm na powrót stał się niezwykły. Słyszał, jak trzeszczy i wreszcie pęka skórzany kaftan, który nosił pod burnusem, widział, jak wierzchy jego dłoni ciemnieją włosiem i strzelają z nich pazury, czuł, jak na jego policzki wypełza sierść, oczy zwężają się i żółcieją. Nim jego serce uderzyło po raz trzeci, pędził ku Jakubowi już nie jako rycerz, krzyżowiec i przyjaciel, ale jako bestia.

Owładnięty szalem nie widział, jak mrok w oczach Jakuba wzbiera i gęstnieje, aż wreszcie bucha na zewnątrz, tworząc ledwie widoczną postać mężczyzny z długimi, kręconymi włosami. Nie widział,

jak postać ta zawisa na ułamek sekundy tuż przed oszołomionym Jakubem, a potem z bezgłośnym wrzaskiem niczym banshee z mgieł Erinu przenika rozpedzonego wilkołaka i wsiąka w ścianę kamienicy. Nie widział, że do oczu Jakuba powrócił zwykły, zimny błękit.

-

O Boże - zdążył powiedzieć szpitalnik słabym, cichutkim głosem.

Niestety, Bóg nie słuchał.

-

To rzeczywiście proste - powiedział Vittorio i powoli, z przeciągłym zgrzytem wyciągnął

miecz. - Kto by pomyślał...

-

Broń ci nie będzie potrzebna - mruknął Gaston, obchodząc miedziany sarkofag i stając przed napisem. - Wygląda na to, że wystarczy wcisnąć brakującą literę na miejsce, a uzupełni się pieczęć nałożoną przez króla Salomona.

-

Mylisz się.

-

To akurat zobaczyłem w wizji Dżalili. - De Baideaux ze skupieniem wydobyl pierścień z sakiewki, a ten błysnął mdłym światłem. Sześcioramienna gwiazda zdawała się mrugać.

-

Mylisz się co do broni.

Sarkofag nie był szczególnie szeroki, a kamienny podest, na którym go ułożono, był węższy od dwóch kroków dorosłego mężczyzny. I krótszy od męskiego ramienia trzymającego długi miecz.

Gaston ze skrajnym zdumieniem spojrział na czubek miecza, niemalże dotykający jego grdyki.

Spojrzał, lecz pytanie zamarło mu na ustach.

W swej lewej ręce Vittorio nadal dzierzył pochodnię, celowo trzymając ją na takiej wysokości, by oświetlała jego twarz. Skupioną, niewzruszoną, bez śladów wesołości. Z oczami, w których zwykły brąz zastąpił bezdenny mrok.

-

Zdaje się, że w jednym przerosłeś swego nieszczęsnego brata, de Baideaux - odezwał się zniewalającym, syczącym szeptem, identycznym z tym, który Gaston usłyszał w celi Christiana de Fitlegard. - Jesteś równie zawzięty jak on, równie waleczny jak on i w tym samym stopniu natrętny. Przerosłeś go jednak, jeśli chodzi o pomysłowość. Nie wiem, jak wpadłeś na pomysł

dotarcia aż tutaj, do tej nieszczęsnej krypty, w której był łaskaw ka

-

Broń ci nie będzie potrzebna - mruknął Gaston, obchodząc miedziany sarkofag i stając przed napisem. - Wygląda na to, że wystarczy wcisnąć brakującą literę na miejsce, a uzupełni się pieczęć nałożoną przez króla Salomona.

-

Mylisz się.

-

To akurat zobaczyłem w wizji Dżalili. - De Baideaux ze skupieniem wydobyl pierścień z sakiewki, a ten błysnął mdłym światłem. Sześcioramienna gwiazda zdawała się mrugać.

-

Mylisz się co do broni.

Sarkofag nie był szczególnie szeroki, a kamienny podest, na którym go ułożono, był węższy od dwóch kroków dorosłego mężczyzny. I krótszy od męskiego ramienia trzymającego długi miecz.

Gaston ze skrajnym zdumieniem spojrział na czubek miecza, niemalże dotykający jego grdyki.

Spojrzął, lecz pytanie zamarło mu na ustach.

W swej lewej ręce Vittorio nadal dzierzył pochodnię, celowo trzymając ją na takiej wysokości, by oświetlała jego twarz. Skupioną, niewzruszoną, bez śladów wesołości. Z oczami, w których zwykły brąz zastąpił bezdenny mrok.

-

Zdaje się, że w jednym przerosłeś swego nieszczęsnego brata, de Baideaux - odezwał się zniewalającym, syczącym szeptem, identycznym z tym, który Gaston usłyszał w celi Christiana de Fitlegard. - Jesteś równie zawzięty jak on, równie waleczny jak on i w tym samym stopniu natrętny. Przerosłeś go jednak, jeśli chodzi o pomysłowość. Nie wiem, jak wpadłeś na pomysł

dotarcia aż tutaj, do tej nieszczęsnej krypty, w której był łaskaw mnie zamknąć sam król Salomon, ale ten sekret umrze wraz z tobą.

Gaston przełknął ślinę. Sciskał pierścień między palcami, nie śmiać spojrzeć na ścianę i ciemną obwódkę, w którą miał go wsunąć. Przez myśl przeszła mu desperacka myśl: „Zaryzykuj!

Wyciągnij nagle ramię i po prostu wepchnij go w ścianę, zakończ to wszystko raz na zawsze!".

Koniec miecza Vittoria, ociekający blaskiem pochodni, przesunął się w kierunku ramienia trzymającego pierścień, zupełnie jakby Asmodeusz potrafił odczytać jego myśli. Co zresztą w tej sytuacji wcale nie było trudne.

-

Położ go na sarkofag - syknął raz jeszcze. Czerń w jego oczach zdawała się gęstnieć i rozlewać po komnacie, miał wrażenie, że płomień pochodni staje się coraz węższy.

-

Po co? - wychrypiął zdumiony własną śmiałością. - Nie chciałbyś odebrać go osobiście? A tak w ogóle to dlaczego przejąłeś ciało Vittoria? - Szalona, niezrozumiała śmiałość podsuwała mu kolejne pytania. - Przecież stajesz się coraz potężniejszy? Nie mógłbyś wskoczyć we mnie, jak już raz to uczyniłeś? Co, czarciku?

I nagle zrozumiał. Jego dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej. Jakby w odpowiedzi, mrok w oczach Vittoria znów zgęstniał, stał się niemalże materialny. Przypominały teraz obsydianowe perły, ślepią posągu boga odwiecznego zła.

„Nie możesz go dotknąć - pomyślał. - Potrzebujesz kogoś innego, by zrobił to za ciebie".

Między następnym uderzeniem serca a kolejnym wydarzyło się wiele, zbyt wiele. Gaston błyskawicznie cofnął się poza zasięg miecza Italczyka. Ten, zgodnie z jego oczekiwaniami, nadludzkim susem przesadził sarkofag i ciało, aż jęknęło powietrze. De Baideaux zdołał się uchylić, a potem cisnął pierścieniem Salomona prosto w pierś Vittoria. Opętany przez demona Vittorio odskoczył z sykiem żmii, ciało mieczem powietrze, jakby się omiatał od płomieni, wpadł

w kąt między ścianą a sarkofagiem. Brzęknął upadający miecz, pierścień potoczył się po kamiennej podłodze, wciąż widoczny w blasku gasnącej, również porzuconej pochodni.

Jednym zwinnym ruchem Gaston złapał toczący się przedmiot i wskoczył na sarkofag. Jedna stopa ześlizgnęła się, a rycerz uderzył kolanem o miedziany kształt, ale nawet tego nie poczuł.

Wyciągnął rękę z pierścieniem ku ciemnej, jakże bliskiej obwódce...

Twarz Vittoria, wykrzywiona niczym oblicze upiora, wyrosła tuż przed jego własną.

Grzmotnął Gastona czołem w ciemność, aż go zamroczyło. Spadł z sarkofagu, nie wypuszczając pierścienia z dłoni, boleśnie rąbnął potylicą o podłogę, ale już się zrywał, gotów do dalszej walki, gotów tym razem nie odpuścić.

Zahuczało powietrze rozcinane ogniem. Poderwana z ziemi pochodnia na nowo buchnęła żywym płomieniem. Opromieniony jej blaskiem Vittorio zeskoczył z sarkofagu niczym monstrualny nietoperz i z całej siły rąbnął nią Gastona w twarz.

Dziki, niemożliwy do opanowania wrzask poparzonego rycerza pomknął korytarzem, tłukąc się echem niczym spłoszony nietoperz.

Czterej muzułmańscy żołnierze zapomnieli zarówno o utkniętym wózku, jak i rześistym deszczu czy pilnych rozkazach. Stali jak wryci i z twarzami popielatymi ze strachu patrzyli na włochatą, ryczącą bestię, która niewyobrażalnym susem wpadła na siedzącego w siodle frankijskiego rycerza i ściągnęła na ziemię, by tłuc i masakrować jego bezwładne ciało. Między nierównymi kamieniami bruku, wraz z błotem popłynęła krew.

„Boże” - pomyślał przerażony Bernard.

Bóg, od dawna przyzwyczajony do wezwań przerażonych, rannych bądź umierających, nie zareagował i tym razem.

Niespodziewanie szósty zmysł Bernarda, który narodził się w nim w miejscu umiejętności mówienia, wychwycił ledwie słyszalny wrzask torturowanego człowieka. I natychmiast go rozpoznał.

Pierwszy stojący mu na drodze Saracen uderzył o ścianę, krwawiąc z rozbitego nosa, drugi wylądował na dwukółce z ręką wykręconą pod nienaturalnym kątem, trzeci, który zdołał

wyszarpnąć miecz i wykonać nieudolne cięcie, znieruchomiał z ostrzem Bernardowego noża wyrastającym między łopatkami. Z niemalże nadprzyrodzoną gracją olbrzym przemknął obok unieruchomionego wózka i ryczącego muła, po czym zniknął w drzwiach, które kiedyś prowadziły do winnicy.

Starzec z Gór siedział skulony na skraju wezbranego rynsztoka. Jego szare, przemoczone łachmany, dzięki którym tak dobrze udawał żebraka jeszcze chwilę temu, teraz idealnie wtopiły się w tło. Był praktycznie niedostrzegalny, ale mimo to przez kilka długich sekund modlił się żarliwie, by za sprawą łaski boskiej mógł znaleźć się gdzieś indziej.

Żył na tym świecie długo i wiele okropności już widział, ale nic nie przeraziło go tak bardzo, jak szalejąca po ulicy bestia, ani chybi zrodzona przez Iblisa. Nagle wydało mu się, że cały świat stanął na krawędzi zagłady, a jego wysiłki mające na celu odnalezienie dziecka--wyroczeni, niemalże zakończone powodzeniem, okażą się jednak próżne. Bo coś straszliwego, coś, czego nigdy nie widział i z czym nie umiał walczyć, mordowało Al-Farandż, którzy mogli go doprowadzić do dziecka--wyroczeni.

Nagle kątem oka dojrzał coś jeszcze, jakieś zamieszanie wokół wózka, gwałtowne ruchy, roztrącane ciała. Ciężkie od deszczu powietrze przeciął stłumiony wrzask bólu żołnierza, który zakrywał dłońmi twarz. Po jego ramionach ściekały strużki krwi, a kudłaty olbrzym przebijał się ku otwartym drzwiom, w których kilka chwil wcześniej zniknął de Baideaux.

Czwarty ocalały żołnierz pędził w górę ulicy, aż pogubił chodaki. Jego wrzask przebił się nawet ponad ryk przerażonego muła.

I Starzec z Gór zrozumiał, że bez względu na obecność owej szalejącej, włochatej istoty, miejsce to lada chwila zaroi się od straży miejskiej.

Bez wahania uniósł do ust drobną, osobliwie wyglądającą świstawkę i dmuchnął.

W przeciwieństwie do Starca z Gór, Anna Giscolvi widziała rzeczy daleko okropniejsze od szalejącego wilkołaka. Była też przekonana, że mroczne doświadczenia i niewola u Dżaffara zabiły w niej wszystkie uczucia poza miłością do Usamy, lecz myliła się. Widząc strącanego z siodła Jakuba, jego głowę uderzającą o bruk, toczący się, zakrwawiony hełm i pazurzastą łapę rozdzierającą ogniwa kolczugi, po prostu wyskoczyła z kryjówki.

-

Stój! - wrzasnęła głosem przeszywającym do szpiku kości.

Żółtooka włochata bestia, która jeszcze chwilę temu była ich przyjacielem Anzelmem, uniosła łeb i warknęła głucho. Oczy Anny zwęziły się, rysy twarzy stężały.

-

Groźysz mi? - szepnęła. - Kaph, yodh, beth!

Jeśli niewola u Dżaffara nauczyła ją czegokolwiek, to z pewnością była to umiejętność wyszukiwania różnic między dzinami. Wiązała swymi zaklęciami jedynie najslabsze z nich, gdyż ich moc zazwyczaj i tak przerastała wszelkie wyobrażenia zwykłego śmiertelnika, a ona sama miała większe szanse wyjść z opresji cało. Ten, którego złowiła przed wejściem do Jerozolimy, wcale do najslabszych nie należał.

-

He, zayin!

Z nieba spadła ze świstem moc przypominająca niewidzialnego, wszechpotężnego ptaka.

Niewidzialne szpony porwały wilkołaka i cisnęły nim o ścianę najbliższej kamienicy. Po murze rozbiegły się ciemne szczeliny, kilka kamieni spadło z pluskiem w błoto. Ciało Anzelma osunęło się bezwładnie i znieruchomiało.

Anna stała w błocie, przemoczona, z mokrymi włosami klejącymi się do policzków i czoła. Z

błyszczącymi oczyma, falującą piersią i wyszczerzonymi zębami wyglądała strasznie, niczym uosobienie bogini zemsty i zniszczenia. Dłoń, która wskazywała nieprzytomnego teraz Anzelma, z wolna opadała, aż wreszcie dotknęła fałdów mokrej szaty. Jej spojrzenie, już wyprane z gniewu, omiotło nieruchomego, zakrwawionego Jakuba, ale nagle znów stężało, skamieniało.

Na opustoszałej uliczce pozostał jedynie wózek zaprzężony w ryczącego przeraźliwie muła oraz dwóch wyjących z bólu Saracenów, jeden ze zmiażdżoną twarzą, drugi ze złamaną ręką. Poza Usamą, klęczącym z dobytym mieczem przy pustym kramie, nie widziała nikogo.

„Ten cholerny Vittorio wszedł do środka wraz z Gastonem - pomyślała. - Anzelmem sama się zajęłam. Ale gdzie jest ten wielki giermek-niemowa?”

I wtedy dostrzegła między dachami jakąś zakaptu-rzoną postać z łukiem. A potem następną.

Wystarczyło kilka dobrze wymierzonych kopniaków, by poparzony, ciskający się po podłodze Gaston ostatecznie znieruchomiał. Asmodeusz, wciąż w ciele Vittoria, odetchnął ciężko, ujął w jedną rękę miecz, a w drugą pochodnię i czekał.

Wystarczyła chwila, by na jego twarzy rozlał się złośliwy uśmiech. Jak zwykle plany układane pod wpływem impulsu okazywały się najlepsze. Po korytarzu niesło się coraz bliższe echo ciężkich kroków biegnącego człowieka. Wiedział, kogo za chwilę ujrzy.

-
Stój! - huknął.

Rozpędzony, zdyszany Bernard z trudem wyhamował. Starczył mu rzut oka na nieprzytomnego Gastona i ostrze miecza przytknięte do jego szyi, by wiedział, że nie on panuje nad sytuacją.

Wystarczyło mu też zerknąć na twarz Vittoria, by zrozumieć, iż nie jest to również Italczyk.

-
A teraz, Bernardzie - wycedził demon w ludzkiej skórze - jeśli naprawdę kochasz swego pana, podniesiesz ten oto pierścień i wsuniesz go sobie za pazuchę, a jutro w południe pójdziemy razem na targowisko. Na moich oczach zapłacisz nim za cokolwiek, co tam będzie ci się podobało, a ja wówczas uwolnię twego pana. Zrozumiałeś?

Bernard przełknął głośno ślinę i kiwnął głową, aż mokre kudły spadły mu na czoło. Następnie schylił się po porzucony pierścień antycznego króla.

Pomysł Asmodeusza, zważywszy na spontaniczność, z jaką powstawał, nie miał słabych punktów. Jediną okolicznością, jakiej nie przewidział demon, była długość kija, który giermek de Baideaux z rzadka wypuszczał z rąk. Ani też diabła zręczność, z którą nim władał.

Drewniany kij przeciął powietrze, mierząc ku gardłu Vittoria. Ten odskoczył w tył, ale o to właśnie Bernardowi chodziło - nieprzytomny Gaston znalazł się poza zasięgiem italskiego miecza. Asmodeusz ciął wściekle, ale Bernard, już stojąc, wykonał piruet i zakreślił kijem łuk, mierząc w głowę przeciwnika. Asmodeusz w ciele italskiego rycerza nachylił się instynktownie, ale giermek w ostatniej chwili zmienił tor uderzenia i trafił go w biodro. Italczyk zwałił się na podłogę z jękiem, a wtedy Bernard zakręcił kijem raz jeszcze i pojedynczym, celnym uderzeniem w skroń odebrał mu przytomność.

Kij potoczył się po podłodze. Bernard rymnął na kolana przy bezwładnym, nieprzytomnym Gastonie i ułożył sobie jego głowę na kolanach, a potem z zaskakującą delikatnością pogładził

policzek swego pan'a. Musiał natrafić na jakieś poparzone miejsce, gdyż z ust nieprzytomnego rycerza wydobyło się głucho jęknięcie.

Ktoś poruszył się za jego plecami.

Mężczyzna z łukiem, przyczajony niczym dziki kot. Obok niego kolejny, chyba z kuszą.

Następny po przeciwnej stronie uliczki, również na dachu. I jeszcze dwóch nadbiegających ulicą, których mokre płaszcze i ostre noże upodabniały do drapieżnych ptaków.

Anna westchnęła i spojrzała na Usamę. Starczyło wejrzeć w jego oczy, gorące niczym chamsin i równie dzikie, a jej serce od razu zaczęło bić szybciej.

„Boże, nie pozwól, by go skrzywdzono - pomyślała, przymknąwszy oczy. - Nie pozwól na to...

Nie po tym wszystkim, co przeszliśmy, by wreszcie być razem”.

Bóg nie odpowiedział, do czego już dawno zdążyła się przyzwyczaić. W niewoli u Dżaffara wypróbowała jego cierpliwość tysiącrotnie i tyleż razy bez skutku.

„Lecz w końcu mnie wysłuchałeś. Uratowano nas, a ja dokonałam swej pomsty. Błagam, nie pozwól teraz, by nasze ocalenie okazało się jedynie gorzkim kaprysem losu”.

Skinęła na mameluka i wskazała dachy, a potem uliczkę z mułem i dwukółką. Usama skinął

głową i z pytającym spojrzeniem skinął w kierunku nieprzytomnego Anzelma. Italka wzruszyła tylko ramionami.

Niespodziewanie złożyła dłonie i krzyknęła:

-

Kaph, yodh, beth!

Niewidzialna siła, ta sama, która chwilę wcześniej niemalże rozbiła ścianę ciałem rycerza de Fidou, przedarła się przez strugi rześistego deszczu ku dachom.

-

Beth - szepnęła Anna z mroczną twarzą.

Łucznik nagle wzbił się w powietrze, obrócił się, gubiąc swą broń i runął z krzykiem ku ziemi.

Jego towarzysz eksplodował od środka, obryzgując dachy i kominy krwią, natychmiast splukaną

przez ulewę. Dwóch zbrojnych pędzących ulicą wyhamowało i nagle rzuciło się do ucieczki, a za nimi pomknęły kawałki bruku, wyrwane i ciśnięte przez niewidzialną siłę.

-

Biegnij! - krzyknęła czarownica, wskazując drzwi winiarni niedomknięte, kołyszące się na wietrze. - He ayin! Beth!

Mameluk ruszył biegiem.

Nad płukanymi rześnym deszczem ulicami rozpętał się spektakl, przy którym atak wilkołaka wydawał się teraz błahostką. Starzec z Gór patrzył rozszerzonymi, przekrwionymi oczami, jak jego najlepsi ludzie, wraz z którymi przedostał się do Jerozolimy śladem szalonych Al-Farandż, by ich ochraniać, umierają teraz jeden po drugim, rozszarpywani przez niewidzialną, straszliwą siłę.

- Dżin - szepnął drżącym głosem.

I odwrócił się, by uciec Iz nawiedzonego miasta, o które walczyły trzy religie, a ostatecznie opanował Iblis.

Biegnący Usama uskoczył przed bezgłowym ciałem, które spadło z dachu, rozbryzgując wodę, i przypadł do drzwi, skąd lada chwila mieli wypaść Gaston, Vittorio i Bernard. Pomimo ryku muła i łomotu deszczu, pomimo świstu wiatru i wrzasków mordowanych przez dżina ludzi nie zatracił

swego instynktu wojownika - poruszał się pewnie, nie wykonując prawie żadnych zbędnych ruchów, a umysł miał wyciszony i spokojny.

To pewnie dlatego nawet nie skrzywił się na widok uzbrojonego po zęby oddziału straży miejskiej, który wypadł zza rogu. Opanowany, z chłodnym umysłem ruszył naprzeciw - samotny wojownik z długim mieczem kontra kilkunastu żołnierzy w kolczugach, zbrojnych w halabardy, miecze i tarcze. Starczyło mu ujrzeć pierwszych z brzegu, by zorientować się, że ostatni ocalały z czwórki pchających wózek powiedział o wiele za dużo. Żaden z nich nie kwapił się do wejścia w uliczkę, gdzie jeszcze przed momentem szalał wilkołak do spółki z dzikimi Al-Farandż.

Usama wcale im się nie dziwił, lecz nie omieszkał tego wykorzystać. Uniósł miecz i runął do ataku.

Krzyki ludzkie i brzęk ścierającej się stali przebiły się przez wściekły szum ulewy.

-

O Boże! - wykrzyknęła Anna, na moment zapominając o rozszalałym dżinie.

Usama w biegu machnął mieczem, jednym cięciem rozcinając sznury troczące muła do dyszla.

Oszalałe ze strachu zwierzę rzuciło się naprzód, nie zważając na Sa-racenów, którzy pospiesznie usunęli mu się z drogi.

Mameluk wskoczył w powstałą lukę i rozpoczął straszną kośbę.

Anna mogła tylko stać i patrzeć. Żaden, nawet najsłabszy, najlepiej sterowany dzin nie potrafiłby się wmieszać w uliczne starcie tak, by zabijać tylko wrogów. Pozostawało mieć nadzieję w Bogu.

*

-

Włóż mu pierścień do ręki - wyrzęził półprzytomny Gaston. - A potem uciekaj. Proszę.

Bernard nie zastanawiał się ani chwili. Chciwie porwał pierścień z podłogi i wcisnął go Italczykowi do dłoni. Mrok, gęstniejący w oczach Vittoria, natychmiast zrzedniał, lecz rozlał się po pomieszczeniu, czyniąc je jeszcze mroczniejszym. Wciąż jednak widać było jasną szczelinę tam, gdzie Gaston nie domknął drzwi. Bernard potknął się o własny kij, ale zdołał utrzymać równowagę, wypchnąć drzwi na zewnątrz i popędzić co sił w nogach ku winiarni i ulicy.

-

Na co czekasz, Vittorio? - szepnął Gaston, próbując się podnieść.

Pomieszczenie przeszył krzyk tak straszliwy, że idącego ku sarkofagowi Genuńczyka aż zarzuciło. Nijak się jednak miał do kolejnego, jeszcze ostrzejszego i głośniejszego.

-

A wiesz, że ja z tobą też mam porachunki? - wymamrotał Vittorio, macając ścianę w poszukiwaniu miejsca na pierścień. - Za moją sprawą o mały włos nie usidliłeś markiza Montferratu, skurwielu..

Westchnął, z ulgą namacawszy obwódkę. I % furią wcisnął tam pierścień.

Trzeci przeszywający krzyk urwał się równie gwałtownie, jak się zaczął.

W niespodzianej ciszy, która zalała pomieszczenie, usłyszeli odległe odgłosy walki.

Usama bił się tak, jak żył - z godnością, spokojem i niewzruszoną pewnością siebie.

Natarł na strażników rozpedzonych przez uciekającego muła niczym orzeł spadający na stado wilków, choć gorzej uzbrojony i samotny, to jednak szybszy, silniejszy i waleczniejszy od każdego z nich z osobna. W jego ruchach znać było niemożliwą do ugaszenia furię bojową, choć twarz pozostawała kamienna, nieporuszona najdrobniejszymi nawet emocjami.

Pierwszego z nich ciął po frankijsku, bez finezji, z całej siły, dla postrachu. Kuty w Damaszku hełm pękł niczym gliniany garnek, ciemnoskórą twarz zalała krew, lecz nim pod umierającym ugięły się nogi, Usama wtargnął już dalej. Odbił przypadkowy cios któregoś z żołnierzy, nachylił

się nad kolejnym, nie patrząc, wbił miecz pod zbyt wysoko trzymaną tarczę i odwrócił się ku

kolejnym, zostawiając za sobą przeraźliwy wrzask bólu.

Saraceni okrzepli, jakby zrozumieli, że tym razem stanęli do walki z przeciwnikiem z krwi i kości. Dwóch następnych opadło Usamę z obu stron. Mameluk zasłonił się młyńcem, po czym rąbnął we wzmacniany metalową opaską brzeg tarczy Saracena z prawej strony. Ten odtoczył się, zaskoczony siłą ciosu, a Usama uchylił się przed uderzeniem drugiego i chlasnął go po nadgarstku.

Krzyk, struga krwi na ścianie domu, błysk miecza wypadającego z dłoni, a Usama znów wirował, niczym tancerz upojony swym płasem. I gdyby ktoś teraz na niego spojrział, dojrzałby lekki uśmiech drżący w kąciku mocno zaciśniętych ust.

Żołnierz, którego odtrącił uderzeniem w tarczę, nagle z dzikim wrzaskiem wzleciał ku górze, porwany przez dzina Anny, i z potwornym impetem uderzył w ścianę którejś z kamienic na wysokości drugiego piętra. Zwłoki spadły za plecami strażników, a przed nimi padł kolejny śmiałek, który wyskoczył na Usamę z halabardą.

Uśmiech pogłębił się jeszcze bardziej.

Saraceni odskoczyli, cofnęli się, ich dowódca wykrzyknął coś łamiącym się z przerażenia głosem. Trzech, może czterech żołnierzy muzułmańskich porwało za łuki.

Uśmiech Usamy zgasł.

- Kaph... - zaczęła Anna, ale natychmiast ugryzła się w język.

Drzwi do winiarni trzasnęły o ścianę, krusząc resztki zwiędłego bluszczu. Ze środka wypadł

Bernard i zakręcił kijem, aż zahuczało.

Pierwszy ze strażników padł na plecy, rżąc i trzymając się za gardło. Pod kolejnym uderzenie kija załamało kolana, a nim padł na zabłocony bruk, drugi koniec wyrznął go w potylicę i pozbawił przytomności. Trzeci stracił większość zębów, ale utrzymał równowagę. Rozjuszony Bernard ujrzał, jak wokół niego wyrastają sara-ceńskie ostrza, ale jego gwałtowna szarża odniosła swój skutek - strażnicy porzucili łuki.

Usama i Bernard, jeden milczący z przyzwyczajenia, drugi z urodzenia, obaj walczący w nie swojej wojnie, znów wbili się w tłum nieprzyjaciół.

Anzelm otworzył oczy.

Deszcz spływał mu po twarzy, kawałki kamieni uwierały pod plecami, z tyłu głowy łupało tak, że przez dłuższą chwilę nie mógł utworzyć nawet najprostszej myśli. Przymknął oczy i zacisnął

dłoń na leżącym najbliżej kamieniu, czym niespodziewanie uwolnił ciąg wspomnień.

Poderwał się i spojrział na dłoń. Zwykła, ludzka. Poraniona, brudna od błota, z połamanymi paznokciami, najzwyklejsza na świecie dłoń wojownika i wędrowca. Ludzka.

Wrócił do swej zwykłej postaci. Klątwa cofnęła się. Zatem zabił.

Półprzytomnym wzrokiem odnalazł ciało Jakuba leżące w błocie pośród różowej kałuży.

-

Nie - szepnął chrapliwie. - Boże, nie...

I chwycił za miecz, którego nawet nie zdążył wyciągnąć z pochwy.

-

Szybciej - wychrypiał Gaston. - Szybciej, oni tam giną!

-

Gdyby Bernard umiał czytać - wysapał Vittorio -i wiedział, że pierścień to litera, już byśmy...

-

Cicho bądź! Szybciej...

Podpierając się nawzajem, potykając i zataczając, obaj rycerze parli naprzód korytarzem w kierunku drzwi, przez które weszli. Twarz Gastona piekła straszliwie, co rusz ocierał łzy z oczu, poruszał jednakże przy tym podrażnioną skórę, co wywoływało kolejne eksplozje bólu. Vittorio z kolei walczył ze straszliwymi nudnościami, a świat tańczył mu przed oczyma. Nieustępliwie brnęli jednak naprzód, a przybliżające się odgłosy walki sprawiały, że serca pompowały coraz większe ilości krwi. Przyspieszali, ich ruchy nabierały pewności, a dłonie siły. Ostatnich kilka metrów przemierzili biegiem.

Wypadli na zewnątrz w chwili, gdy miotający się dziko Bernard zatoczył się, raniony w udo, i w tejże samej chwili zarobił cięcie przez plecy, a Usama odbił słabnącym ramieniem cios, który mógłby mu rozszczępić czaszkę. Gaston ciał przez brzuch najbliższego przeciwnika, Vittorio podciął nogi innemu, wbił w niego miecz, wyrwał i zamierzył się ponownie. Broń obróciła się w jego dłoni; grzmotnął Saracena płazem, aż cofnął się od impetu własnego ciosu.

Ten zatoczył się, lecz nagle bluzgnął z ust krwią, gdy od tyłu zaatakował go śmiertelnie blady, płaczący bezgłośnie Anzelm.

-

Al-Farandż! Al-Farandż! - poniosło się wśród wystraszonych, przetrzebionych strażników, co niektórzy brali już nogi za pas.

Szałę zwycięstwa przeważyla Anna, która wykrzyczała kilka starofenickich komend, a jej podwładny za-ryczał niczym burza piaskowa w sercu pustyni. Ostatni z saraceńskich napastników rzucili się do ucieczki, porzucając broń, hełmy i rannych towarzyszy.

I nagle zapadła cisza.

-

Nie ma czasu do stracenia! - wychrypiał Gaston i uniósł głowę ku nabrzmiałemu chmurami niebu, pozwalając deszczowi, by obmył zakrwawioną twarz, purpurową od oparzeń.

-

Nie ma czasu do stracenia! - powtórzył. - Uciekajmy stąd!

Bernard, choć sam ranny, złapał go pod ramię, przerażona, pobladła Anna ujęła Usamę, półprzytomny Vit-torio człapał naprzód wsparty o miecz jak o laskę. I wtedy ujrzeli Anzelma, który klęczał przy Jakubie i ścisnął go za rękę, nie kryjąc łez.

Gaston poczuł, jak serce ścisną mu bezlitosna, lodowata dłoń.

-

Nie... - szepnął oszołomiony, w mig zapominając o bólu czy ucieczce. Odbił się od Bernarda i uklęknął przy zakrwawionym ciele Jakuba, nie zważając na to, że tłucze sobie kolana o bruk. - Nie, tylko nie to... Boże...

Pobladła twarz szpitalnika wydawała się lśnić jakimś wewnętrznym, anielskim światłem. Choć brudna od krwi i błota, wyglądała jednocześnie niebywale szlachetnie, niemalże posągowo. Dłoń, którą porwał, by przycisnąć do serca, była jednak przerażająco lekka.

-

Boże - płakał Gaston. - Nie rób nam tego, nie zabieraj nam go...

-

Gastonie - odezwała się Anna zduszonym głosem, łykając łzy. - Nie wolno nam zwlekać.

Za chwilę sultani-scy wrócą, a wtedy...

Machnęła ręką. Pobladły, plujący krwią Usama rozwijał już na ulicy utyłany niemożebnie kobierzec, oglądając się na Franków. Śmiertelnie poważny Vittorio zacisnął dłoń na ramieniu Gastona.

-

Chodźmy - szepnął. - Trzeba go zanieść na dywan. Pora na nas.

I zanieśli Jakuba. Nikt im już nie przeszkadzał.

Tegoż wieczoru, w rozstawionym daleko stąd, sieczonym strugami deszczu namiocie, oddanym im

przez barona Baliana, Adalbert przeżegnał się drżącą ręką i wypuścił wreszcie dłoń Dżalili.

- Udało im się - szepnął.

Epilog

W którym kwitną róże

Starzy ludzie powiadają, że latem Roku Pańskiego 1192 róże zakwitły szczególnie pięknie.

Wzbijały się ku niebu, odwracały ku słońcu nabrzmiąle czerwienią, buchające zapachami, tętniące dzikim pięknem. Mówiono, że rosły tak dzięki rozlanej krwi.

Najpiękniejszy z różanych krzaków zakwitł zaś na niewielkiej, bezimiennej mogile w samym środku gaju akacji, zieleniącego się z początkiem wiosny. Rozrastał się z dumą, a czerwone jak krew główki kwiatów obracały się ku niebu Orientu to przepojonemu różem świtu, to rozpalonemu błękitem południa, to podpalonemu zachodem słońca. Rosły tak pięknie, tak szeroko, że mało kto spostrzegłby w owym gąszczu rękojeść i głownię prostego, chrześcijańskiego miecza, kilkakrotnie obwiedzonego przez kolczastą łodygę.

Trwał i rósł, coraz gęściej zasłaniając zaciną broń, aż któregoś dnia, gdy niebo spąsowiało już blaskiem nadciągającego wieczoru, w gaju pojawił się gość. Samotny, jasnowłosy rycerz zsunął

się z siodła, poklepał kark strudzonego konia, aż wzbiła się chmura kurzu, a potem powolnym krokiem podszedł do krzewu. Tam uklęknął i przeżegnał się powoli, a na jego ogorzałej, wciąż młodej twarzy pojawił się smutny uśmiech.

-

Witaj, Jakubie - powiedział cicho Gaston, ściągając hełm i dżelabiję. Jasne włosy, spłowiałe od słońca, rozsypały się po brudnym od pyłu płaszczu. Przez chwilę znieruchomiał, jakby spodziewał się usłyszeć odpowiedź, a potem znów uśmiechnął się.

-

Wybacz, że odwiedzam cię dopiero teraz, przyjacielu - szeptał. - Sporo się najeździłem ostatnimi czasy... Wiesz, sądziłem, że z odejściem Asmodeusza wszystko się uspokoi, a tymczasem mieliśmy jeszcze sporo spraw do załatwienia. Choćby ta z Dżalilą... Dałem Adalbertowi słowo, że zapewnię im bezpieczeństwo. Nigdy byś nie zgadł, gdzie oboje znaleźli schronienie.

-

Czy myśmy aby na pewno dobrze zrozumieli tego wielkiego barana? - zapytał po raz tysięczny Vittorio.

Gaston westchnął również po raz tysięczny i nie odpowiedział. Rozbili obozowisko pod murami komandorii Aigle de la Montaigne trzy dni temu i podobne pytania tylko pogłębiały jego frustrację.

Liczył na to, że Starzec z Gór przybędzie na spotkanie na czas, tymczasem wyglądało na to, że coś mu w tym przeszkodziło lub dopatrywał się w ich niecodziennej propozycji jakiegoś frankijskiego podstępu.

De Baideaux westchnął po raz kolejny i spojrzął na Bernarda, który siedział oparty o blok skruszałej skały i z zacięciem rzeźbił w poskręcany fantastycznie korzeniu, jakby się spieszył.

Nie, na pewno zrozumieli go dobrze, choć z początku rzeczywiście wydawało się, że giermek postradał zmysły. Dopiero po kilku godzinach gorączkowego gestykulowania Bernarda i pełnych niedowierzania pytań ze strony Gastona, Vittoria i Anzelma wyłonił się pełen obraz tego, co olbrzym przeżył w Jerozolimie.

-

Obiecałeś Starcowi z Gór wynagrodzenie za pomoc? - Vittorio otworzył wówczas szeroko oczy. - Ale za jaką pomoc? Widzieliście chociaż jednego asasyna w Jerozolimie? Kogokolwiek, kto stanąłby po naszej stronie?

-

Nie zdążyli - powiedziała cicho Anna. - Ci ludzie na dachach... Ci, których zniszczył mój dzin... To byli asasyni.

Vittorio pokręcił głową i splunął siarczyście.

-

No i dobrze. A nawet bardzo dobrze. A wiecie, czego ten cholerny szaman chciał?

W wymowny sposób spojrzął na bawiącą się nieopodal Dżalilę.

Gaston zaś zerknął wówczas na Adalberta i głęboko się zamyślił.

Przekonanie wszystkich do pomysłu, który narodził się w trakcie jego rozmyślań, trwało o wiele dłużej niż rekonstrukcja wydarzeń, jakie przypadły w udziale Bernardowi. Wszelkie sprzeciwy umilkły jednakże dopiero wtedy, gdy szaloną zdawałoby się myśl Gastona po dłuższej chwili milczenia poparł sam Adalbert. Anna wysłała wówczas dzina do Masjafu z propozycją spotkania, a gdy ten przywiózł zgodę przywódcy nizarytów, krzyżowcy wyruszyli w ostatnią wspólną podróż do opuszczonej komandorii Aigle de la Montaigne, naznaczonej jako punkt spotkania.

Z tym że do samego spotkania jakoś nie doszło.

Gaston wstał i z niechęcią zmierzył wzrokiem mlecz-nobiałe kłęby mgły, od początku snujące się sennie wśród skał okalających komandorię i po raz kolejny pożałował, że nie posłuchał Vittoria, który chciał zamknąć się w twierdzy, i wydał rozkaz rozbicia obozu na zewnątrz murów, by okazać asasynom dobrą wolę. Niepokoiła go ta mgła, martwiło spóźnienie Starca z Gór oraz fakt przebywania na otwartej przestrzeni, ale skrywał to wszystko pod maską niewzruszoności.

Uśmiechnął się do Anny, zmieniającej opatrunki Usamie, klepnął w ramię zadumanego Anzelma i podszedł do Adalberta, który kreślił litery na piasku i objaśniał coś wiercącej się niecierpliwie Dżalili, bynajmniej nie z zainteresowania.

Usiadł ciężko tuż przy nich i uśmiechnął się niepewnie.

-

Starca coś nie widać - zagaił.

Adalbert przerwał naukę i spojrzał zatroskany na młodego rycerza.

-

Dajmy mu jeszcze trochę czasu - powiedział. -Wiem, że chciałbyś już wyruszyć i szukać Sary, ale... Proszę, poczekajmy.

Żaden z nich nie wiedział, kiedy zapomnieli o poddaństwie i zaczęli zwracać się do siebie po imieniu, ale obaj czuli żal, że nastąpiło to tak późno.

-

Poczekamy - uspokoił go Gaston. - Nie bój się, dałem słowo. I... Wybacz, że o to pytam, ale... Ale czy ty naprawdę chcesz z nim odejść?

-

A któż nas znajdzie w Masjańe czy Al-Kadmus? -Oczy Adalberta zapłonęły. - Znikniemy zarówno dla frankijskich baronów, jak i arabskich bejów. Będziemy bezpieczni, a tylko o to mi chodzi. Jeśli Starzec z Gór przysięgnie, że będzie nas traktował z szacunkiem, tedy...

-

Przysięgnę - powiedział ktoś w langue d'oïl z chropowatym arabskim akcentem. Jego głos był cichy i łagodny.

Gaston drgnął i odruchowo chwycił za miecz, z sąsiedniego kamienia poderwał się zaalarmowany Vittorio. Obaj spojrzeli na Bernarda, który uniósł jedynie spojrzenie i dalej strugał

swój korzeń. Nieco rozluźnieni rozejrzeli się dookoła i zrozumieli, że to, co do tej pory brali za skałę, jest w istocie postacią przygarbionego mężczyzny w szarej szacie i równie szarym turbanie. Tenże wstał i uklonił się lekko, nie spuszczać z Franków oczu.

-

Przysięgnę - powtórzył. - Bo nie masz ci na tym świecie kogoś, na kim zależy mi bardziej, ni kogoś, kto jest ważniejszy dla przetrwania sekty synów Nizara.

-
Myśleliśmy, że... - zawahał się Gaston, niechętnie wypuszczając rękojeść miecza. - Że...

-
Że nie przybędę? Że mnie coś zatrzymało? Cóż, młody sokole, wiedz tedy, iż byłem tu pierwszy, długo przed wami, i przyglądałem wam się przez cały ten czas bacznie, chcąc mieć pewność, że szalony Iblis nie pod-szepnął wam trujących myśli do głowy.

Gaston zerknął na Vittoria, który zmełł kilka soczystych przekleństw.

-
Jeśli więc jesteś tu od początku, efendi, wiesz pewnie, o czym rozprawialiśmy -
wykrztusił. - Jeśli urażiliśmy w czymś was lub...

-
Nie urażiliście - przerwał mu Starzec z Gór. - Nie boli mnie miano starego przechery i cuchnącego kozła -spojrzał na Vittoria - bo moi wrogowie wierni sułtanowi zwykli używać wobec mnie o wiele soczystszych wyrażań. I wymyślniejszych. Nie boli mnie również oskarżenie o to, że wam nie pomógł w Jerozolimie, bo to nieprawda. Synowie Nizara zatrzymali i wybili kilka innych oddziałów straży, które ku wam zmierzały.

Scozzi odwrócił wzrok i zaklął raz jeszcze.

-
Nie boli mnie też wasza nieufność, bo świadczy o tym, że dobrze pracowałem na swe imię.

- Starzec z Gór uniósł głowę nieco wyżej i spojrzał na Annę i Usamę, który wolno odkładał

kindżał obok swego posłania. - Nie boli oskarżenie o chęć zemsty za moich ludzi, zabitych przez dzina, bo bym ich pomścił, to pewne. Macie jednak coś, czego pragnę, a to wymazuje wasze wszelkie winy.

Z tymi słowami wzrok jego padł na Adalberta, który przełknął ślinę, jakby dopiero teraz zrozumiał doniosłość swej decyzji. W oczach Starca z Gór, miast wrogości czy okrucieństwa, dojrzał życzliwość i ulgę.

-
Pójdziemy z wami, efendi - powiedział ochryplym głosem. - O ile przysięgniecie...

Już przysięgłem.

Pożegnanie nie trwało długo. Adalbert uściskał prawicę Vittoria, który nadal z uporem kręcił głową, jakby wciąż nie wierzył w decyzję byłego kapelana rodu de Baideaux, skinął nieobecnemu duchem Anzelmowi, przeżegnał wzruszoną Annę, a potem po kolei uściskał

Bernarda i Gastona. Młody rycerz cofnął się o krok i otarł ukradkiem wilgoć z kącika oka, a Bernard nachylił się i gestem przywołał do siebie Dżalilę. Niema prorokini podbiegła do niego z beztroskim uśmiechem, a wtedy giermek wsunął jej do rączki drewnianą lalkę, którą rzeźbił z takim zapalem. Wstał, a za nim Starzec z Gór.

-

Niech was Bóg prowadzi - wyszeptał Adalbert drżącym głosem i ujął dziewczynkę za rękę.

-

I ciebie, przyjacielu - odpowiedział cicho Gaston.

-

I jeszcze jedno - rzekł zduszonym głosem Vittorio, patrząc wprost na Adalberta. - Nie zapominaj, klecho, że jest tylko jeden człowiek, który wie o istnieniu twojej podopiecznej i tylko on jest w stanie odnaleźć w sobie tyle desperacji, by szukać jej wśród asasynów.

-

Konrad z Montferratu - szepnął Adalbert.

-

Nie martw się niczym - uśmiechnął się krzywo Starzec z Gór. - Absolutnie niczym.

Bywajcie, szaleni Al-Farandż.

Gaston długo jeszcze stał i wpatrywał się w wirujące kłęby mgły, jakie skryły jego towarzysza z kraju lat dziecinnych, człowieka, który przyprowadził go do Ziemi Świętej na spotkanie przeznaczenia. Stał, wspierając się na ramieniu Bernarda, aż mlecznobiałą mgłą przeszły promienie słoneczne. Wtedy westchnął po raz ostatni, uśmiechnął się smutno i rzucił:

-

Siodłaj konie. Ruszamy z powrotem.

Olbrzym aż się rozpromienił i ruszył ku wierzchowcom, lecz zatrzymał go okrzyk Vittoria:

-
Hej, chodźcie tu tylko!

Italczyk jako pierwszy znużył się ciszą, jaka powstała po odejściu Adalberta i Dżalili, i zaczął myszkować po dziedzińcu komandorii, do tej pory skrytym przez mgłę. Teraz stał jak wryty i wpatrywał się w coś jaskra-woczerwonego.

-
To był krzew dzikich róż oplatający wbity w ziemię miecz - opowiadał Gaston. Wśród gałęzi akacji nadal uwijały się ptaki i ćwierkały z przejęciem, jakby niepomne nadchodzącego wieczoru. - Przysięgłbym, że wyrósł dokładnie tam, gdzie padł komandor Wilhelm du Triere, jedyny spośród templariuszy, który oparł się As-modeuszowi.

De Baideaux przez moment wpatrywał się w wieczorne niebo, płonące coraz intensywniejszą czerwienią.

-
Na następnym noclegu pożegnałem się z Anną i Usamą - powiedział. - Tak, to też była smutna chwila. A wiesz, co było w tym wszystkim najdziwniejsze?

Najdziwniejsze było to, że Anna Giscolvi, italska czarodziejka, intrygantka i uwodzicielka, dumna kobieta władająca mocą dzinów, wyglądała jak zwykła, nieco nieśmiała dziewczyna. Jej oczy błyszczały niczym u gorącej kobiety, która przerwała namiętny pocałunek, a wiatr bawił się kosmykiem włosów, który wyslizgnął się z zawiązanego byle jak końskiego ogona. Co chwila zacierała nerwowo ręce, choć żar bijący od ognia był intensywny i barwił policzki rumieńcem.

-
Odjeżdżacie - powtórzył Gaston, zapatrzonego w płomienie. - Cóż, spodziewałem się tego. I tak byłem zdziwiony, że towarzyszyliście nam aż tak długo.

-
Ja też jestem tym zdziwiona - uśmiechnęła się lekko Anna. - Powinnam cię nienawidzić.

Za Dżaffara.

-
Ja ciebie też. Za Krak des Chevaliers.

Wygląda na to, że jesteśmy kwita! - Anna dmuchnięciem odrzuciła kosmyk z czoła, co było bardzo dziewczęcym gestem, zgoła niepasującym do potężnej czarodziejki. - Ty przebywałeś w mocy demona, ja w mocy miłości. Obie te siły sprawiają, że człowiek staje się całkowicie nieobliczalny i nieprzewidywalny.

-

Tak - pokiwał głową Gaston. - Prawdziwe to szczęście, że z obu kontrolujących nas mocy moja szczepła, zaś twoja wydaje się jeszcze silniejsza.

Spojrzał przy tym na posłanie, na którym spał Usama, napojony leczniczymi wywarami. Anna przechwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się ciepło.

-

Tak - powiedziała cicho. - Nie wiem, jak wyjdą na tej krucjacie królowie i baronowie, ale myśm zwyciężyli, Gastonie. Cieszę się, że byłam z wami w Jerozolimie, choć o mały włos nie utraciłabym Usamy. Cieszę się, że wybrałam się z wami, by pożegnać Adalberta. Przeżyję resztę mych dni w przeświadczeniu, iż uczestniczyłam w czymś wielkim.

-

Dokąd się udacie?

-

Tam, gdzie ty! - roześmiała się, patrząc w gwiazdy, wspaniałomyślnie odsłonięte przez pierzaste chmury. - Tam, gdzie o prawdziwych krucjatach nikt nigdy nie słyszał!

-

Są jeszcze takie miejsca? - uniósł brwi Gaston.

-

Nie wiem. - Anna wzruszyła chudymi ramionami. - Ale mam latający dywan i całą bandę dżinów na swe usługi, a na dodatek mameluka do ochrony. Znajdę je.

Niespodziewanie nachyliła się i ucałowała Gastona w nieogolony policzek.

-

Nigdy cię nie zapomnę - powiedziała cicho. Błyszczące tafle jej oczu zadrżały, gotowe uwolnić łzy.

-

Ja ciebie też, Anno - odparł, z trudem panując nad swym głosem, po czym nagle wstał. -

Wyśpij się porządnie. Czeka was długa podróż.

Przełknął ślinę raz i drugi, próbując zdusić włochatą kulę wzruszenia w gardle. Długimi krokami szedł przez obozowisko, odprowadzany prychnięciami koni i cichym trzaskiem ognia. Jego świat pustoszał, a on sam, choć był na to przygotowany, nie mógł się oprzeć poczuciu straty. Dotarł

wreszcie do skały, o którą opierał się Vittorio, trzymając bukłaczek taniego winaw objęciach.

-

Anna i Usama opuszczą nas przed świtem - oznajmił, siadając ciężko obok Italczyka. Ten bez słowa wręczył mu bukłak.

-

Wiem - burknął i błysnął pierścieniem, ongiś należącym do Vivienne. - Podśluchiwałem.

-

Pewnie zdążyłeś już wypić kilka toastów z tej okazji? - zapytał gorzko Gaston i pociągnął tęgi łyk trunku. Aż się wzdrygnął, nie oczekiwał aż tak cierpkiego smaku.

-

Nie. To byłoby wbrew moim zasadom - czknął Italczyk. - Ja pijam tylko za czyjeś zdrowie. Ostatnich kilka toastów zadedykowałem wszystkim dziewczętom, które mi przyjdzie niebawem tulić.

-

A za co chcesz je tulić? - zapytał Gaston i pociągnął raz jeszcze trunku, który smakował już nieco lepiej.

-

Nie martw się - beztrosko machnął ręką Italczyk, ale jego oczy błysnęły. - Mam pomysł na inwestycję.

-

Cóż to takiego tym razem?

-

Nie powiem ci. - Italczyk wyciągnął mu bukłaczek, potrząsnął nim i zmarszczył brwi ze zgorzaniem.

Patrz, prawie wszystko wychlaliśmy. Nie powiem ci, bo rozmyślałem długo i doszedłem do wniosku, że rozprowadanie o pomysłach na interes przynosi pecha. Teraz najpierw zrobię, co trzeba, a potem ci opowiem.

-

Dokąd się udasz?

-

Musiałbym na chwilę wrócić do... - zaczął Vittorio, ale w porę ugryzł się w język. - Ha, nie podpuścisz mnie w tak nikczemny sposób. Nie powiem ci i już.

-

Nieistotne - uśmiechnął się Gaston i wzniosł wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu. - Ważne jest to, że wkrótce i my się rozstaniemy. Dziwnie tak jakoś, prawda?

-

Fakt, dziwnie - spoważniał nagle Scozzi. - Sporo razem przeszliśmy.

-

Aż za dużo. Razem otrzymaliśmy pasy rycerskie, walczyliśmy przeciwko zakonom rycerskim, asasynom, Saracenom, demonom i Bóg wie przeciw komu jeszcze, razem zjechaliśmy Ziemię Świętą wszerz i wzdłuż, wreszcie razem doprowadziliśmy naszą krucjatę do końca. Nie udałoby się to wszystko, gdyby nie ty.

-

Głupoty wygadujesz - zachnął się Vittorio. - To ty nas prowadziłeś. Twoje pomysły i odwaga sprawiły, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

-

Ale twój sarkazm sprowadzał mnie na ziemię, a to, że ciągle ze mną jechałeś, utwierdzało mnie w przekonaniu, iż jeszcze nie oszalałem do reszty.

-

Powinieneś zatem zakwestionować moją równowagę - prychnął Vittorio, lecz widać było, że słowa Gastona sprawiły mu przyjemność. - Tak czy owak, dobrze, że już po wszystkim.

Wrócisz do boju? Zarówno król Ryszard, jak i baron Ibelinu z chęcią powitaliby cię w swych pocztach.

-
Nie, nie wrócę. - Gaston patrzył niewidzącym spojrzeniem. - Prawdziwa krucjata została zakończona. To, co trwa na naszych oczach, to jedynie nużące wrywanie sobie skrawków ziemi, połączone z łupieniem na wielką skalę. Gdzieś to mam, Vittorio. Wiedz, że gdy się pożegnamy, zaszyję się tak głęboko, iż nikt mnie nie znajdzie ani o mnie nie usłyszy.

-
O, to ja założyłem coś przeciwnego - uradował się Vittorio. - Usłyszysz o mnie na pewno, choćbyś nie wiadomo gdzie się schował.

Nadciągał wieczór, ptaki milkły jakby wystraszone, czerwone smugi na niebie rozciągały się coraz dalej niczym pasma niebiańskiej krwi. Powietrze ochładzało się błyskawicznie, wokół ust jasnowłosego rycerza utworzyły się obłoczki pary.

-
I rzeczywiście, usłyszałem - uśmiechnął się wesoło. - I to w ledwie kilka tygodni po tym, jak się rozstaliśmy. Po upływie dokładnie tylu dni, ile zabrałoby dotarcie do Askalonu, splądrowanie zapasów pewnego nieżyjącego czarodzieja, przewiezienie do Akki wszystkiego, co da się unieść i rozpuszczenie wśród gawiedzi plotek o obwoźnym cyrku, który ponoć pokazuje odcięte łby prawdziwych diabłów, amńsbeny w słojach ze spirytusem, homunkulusy w klatkach, skrzydlate psy i Bóg jeden raczy wiedzieć co jeszcze.

Pokręcił głową i wybuchnął śmiechem.

-
Wyobrażasz sobie naszego przyjaciela Vittoria, który nawołuje gawieź do oglądania dziwów nie z tego świata? - zapytał. - Bo ja tak. Natrafił wreszcie na swą wymarzoną inwestycję i przyznam ci, że bardzo mnie to uradowało. Później dowiedziałem się od barona Ibelinu, że to nie koniec jego inwencji...

-
Szpieg? - zdumiał się Gaston. - A to ci dopiero. Fakt, że sprytu nikt mu odmówić nie może ani też woli przetrwania, jednakowoż brak mu cierpliwości.

Balian z Ibelinu nabrał pełną garść oliwek i z głuchym stęknieniem rozparł się na ławie, jednocześnie nakazując Ernoulowi, by dorzucił dREW do kominka. Płomienie buchnęły wyżej i zatroskany Gaston dostrzegł, że bruzdy na ogorzałej twarzy starego rycerza pogłębiły się, zaś pod przymkniętymi, zażawionymi lekko oczami czają się czarne doły znużenia.

-
Nie o takie szpiegowanie chodzi - machnął dłonią Balian. - Ponoć ma jakowyś magiczny artefakt,

dzięki któremu głosy z dala słyszy. Dobrze w moment trafił. Genuńczycy drą koty z Pizańczykami, Konrad znowu odmawia wsparcia Ryszarda, ten na próżno próbuje dogadać się z Salah ad-Dinem, a ponoć w Anglii zaczął się jakiś hyr. Gwidon na nowo próbuje budować stronnictwo, szpitalnicy i templariusze jakoś przycichli, nie wiadomo teraz, stracili impet czy coś knują... Nieźle się porobiło. To dobre czasy dla obrotnych ludzi lub skończonych drani, a rzeczony rycerz Scozzi, widzi mi się, jest gdzieś między jednym a drugim. A tak na marginesie, to, że zakony położyły po sobie uszy, to nie przypadek, prawda?

-

Prawda - odpowiedział Gaston i upił łyk wina. Nie patrzył na barona, ale dostrzegł w jego oczach błysk jakby radości czy satysfakcji.

-

Aha - powiedział Balian i przełknął ślinę, usiłując opanować drżenie głosu. - Mówią, że Konrad zadarł ze szpitalnikami. Przyjechał do niego niejaki brat Bald-win, rzekomo z jakimś darem, ale chyba nie przypadł on markizowi do gustu, bo darł się jak opętany, cały Tyr go słyszał. Coś o rozczarowaniu wrzeszczał, o wielkim zawodzie, o czyjejś głupocie, a matki dzielnych rycerzy świętego Jana oczerniał przy tym na wiele sposobów. To też nie przypadek, prawda?

,

-

Prawda.

-

Ech, jest więc za co wypić. Nalej no, Ernoul. Suto nalej, niecnoto.

Czerwone wino korzenne zafalowało między brzegami złożonych naczyń, oczy starego barona błyszczały. Gdy giermek Baliana odwrócił się, by sięgnąć po kolejny gaśior, ten złapał Gastona za dłoń i ojcowskim gestem przyciągnął ją do swego serca.

„Jestem z ciebie dumny, de Baideaux” - mówiło jego spojrzenie.

Gaston spuścił wzrok.

-

A słyszałeś, jak skończyła ta dziwka de Grenier? -zapytał ni z tego, ni z owego Balian.

Nad głową zamyślnego Gastona przemknęła sowa, bezszelestnie niczym senne marzenie. Niebo zaciągało się granatowymi chmurami.

-

Prawda - odpowiedział Gaston i upił łyk wina. Nie patrzył na barona, ale dostrzegł w jego oczach błysk jakby radości czy satysfakcji.

-

Aha - powiedział Balian i przełknął ślinę, usiłując opanować drżenie głosu. - Mówią, że Konrad zadarł ze szpitalnikami. Przyjechał do niego niejaki brat Baldwin, rzekomo z jakimś darem, ale chyba nie przypadł on markizowi do gustu, bo darł się jak opętany, cały Tyr go słyszał. Coś o rozczarowaniu wrzeszczał, o wielkim zawodzie, o czyjejs głupocie, a matki dzielnych rycerzy świętego Jana oczerniał przy tym na wiele sposobów. To też nie przypadek, prawda?

,

-

Prawda.

-

Ech, jest więc za co wypić. Nalej no, Ernoul. Suto nalej, niecnoto.

Czerwone wino korzenne zafalowało między brzegami złoconych naczyń, oczy starego barona błyszcząły. Gdy giermek Baliana odwrócił się, by sięgnąć po kolejny gaşior, ten złapał Gastona za dłoń i ojcowskim gestem przyciągnął ją do swego serca.

„Jestem z ciebie dumny, de Baideaux” - mówiło jego spojrzenie.

Gaston spuścił wzrok.

-

A słyszałeś, jak skończyła ta dziwka de Grenier? -zapytał ni z tego, ni z owego Balian.

Nad głową zamyślnego Gastona przemknęła sowa, bezszelestnie niczym senne marzenie. Niebo zaciągało się granatowymi chmurami.

-

I tak oto dowiedziałem się, dokąd udał się Anzelm -rzekł w końcu. - Opuścił nas bez słowa, w środku nocy, porzucając rumaka, miecz, wszystko co posiadał. Byłem już gotów posądzić siły nieczyste, gdy Bernard odnalazł ledwie wyraźny wilczy trop, oddalający się od obozowiska.

Zamilkł na chwilę.

-

Wiesz, on bardzo przeżył twą śmierć. Z nikim nie rozmawiał, nie rozpaczał, nie modlił

się, po prostu siedział i patrzył w dal. Nie ten człowiek, co kiedyś... Znikł rozważny, łagodny przyjaciel, a w jego miejsce pojawiło się milczące widmo. Aż ciarki brały, gdy się na niego patrzyło. No i zniknął. Wiem, dokąd się udał, wiem, po co, ale nie wiem dlaczego. I chyba już nigdy się tego nie dowiem.

Czuł ślady Vivienne, woń jej pachnideł, smak marzeń. Czołgał się między namiotami rycerzy i najemników a dogasającymi ogniskami, odprowadzany niespokojnymi parsknięciami koni i koszmarami śpiących, bezszelestny, skupiony na jednej tylko myśli.

Zemsta.

Wiedział, że to mroczne uczucie, sprzeczne z chrześcijańską wiarą i zasadami, które wyznawał

jako człowiek, ale teraz, gdy znalazł się w wilczej skórze i patrzył na świat wilczymi ślepiami, świadomość ta nie przeszkadzała mu wcale. Niewiele z ludzkich zachowań zresztą zabrał ze sobą. Bardzo niewiele.

Pamiętał pewną niewielką wioskę u stóp góry, bezbronną wioskę pełną kobiet i dzieci, wioskę, w której planował kiedyś pielęgnować sad i ogród.

Pamiętał swego przyjaciela, z którym tropili demona. I innego, który mu uległ, tego, którego później zabił.

Pamiętał słowo, które ten wyszeptał ostatnim tchem na zabłoconym bruku Jerozolimy, gdy objął

jego umierające, poranione ciało. Słowo, które zrozumiał dopiero po dłuższym czasie. Słowo, które go tu przywiodło.

Vivienne.

„To w ten sposób pochwycił cię Asmodeusz, Jakubie! - wykrzyknęła zaskakująco ludzka myśl. -

Zakochałeś się w tej suce, jak każdy, kto się o nią choćby otarł! Pragnąłeś jej, a demon wychwycił to pragnienie i przyobiegał ci jego spełnienie!"

Czerwone, wilcze ślepie przeniknęły ściankę namiotu, gdzie Vivienne spała w objęciach Gwidona de Lusignan w myśl ostatniego testamentu Adelarda z Werony. Przeistoczony pod wpływem ormiańskiej klątwy, podsyconej rozpaczą i wściekłością, Anzelm de Fidou szykował

się do swego ostatniego ataku w tej wojnie.

Na niebie rozlał się już świetlisty kobierzec gwiazd. Gaston otulił się płaszczem.

- Pora na mnie - powiedział cicho. - Bernard pewnie wrócił już z gór i przyprowadził

mieszkańców naszej wioski. Sara z małym Rogerem są już pewnie w naszej chacie, może już siedzą na przyzbie i czekają. Tak, dość już czasu zmarnotrawiłem. Będę się modlił o spokój twej duszy,

przyjacielu. Przyjadę na wiosnę, opowiem ci, co się wydarzyło.

Uśmiechnął się raz jeszcze i odwrócił, na zawsze porzucając świat rozdierany wściekłymi, krwawymi namiętnościami, gdzie jedynymi ostojami prawdziwego spokoju były krzewy róż, okalające wyszczerbione, zardzewiałe miecze. Rosły to tu, to tam, znacząc groby tych, którzy zginęli, walcząc w cichej, niezauważonej krucjacie o prawdziwą wiarę. Wyrastały na zaginionym grobie rycerza-ascety Gerarda de Reinee, oplatały mogiłę wąsatego Hiszpana, którego zwano Zielonym Rycerzem, kwitły na grobach Rogera de Baideaux, komandora templariuszy Wilhelma du Triere i brata Jakuba, rycerza zakonu świętego Jana. Rosły i czerwieniały na przekór pustym żądom i równie pustym ambicjom.

Krucjata Gastona de Baideaux dobiegła końca.

Koniec

Przed momentem odczytałem mojej Żonie ostatni akapit epilogu, z trudem opanowując coraz większą, coraz bardziej natarczywą włochatą kulę w gardle. Bo oto uświadomiłem sobie, że również i moja krucjata dobiegła końca.

Tu i ówdzie rozповідаłem, że Miecz i kwiaty jest książką mojego życia. Bynajmniej nie miałem na myśli autoreklamy, a chciałem raczej podkreślić, jak bardzo osobista jest ta powieść. I też nie chodzi tu o utożsamienie się z Gastonem, Vittoriem, Jakubem czy którymkolwiek z bohaterów. Pisząc Miecz i kwiaty, miałem na celu podzielenie się pasją, odmalowanie mitu, który opętał mnie już dawno i trzyma wciąż mocno. Zaprzagnąłem stanąć skromnie w cieniu pomnika Zofii Kossak--Szczuckiej i opowiedzieć o krucjacie po swojemu.

Tak naprawdę nie potrafię sprecyzować, co konkretnie zafascynowało mnie w owej epoce, która

- jak to zwykle w ludzkich dziejach bywa - zawarła w sobie okrutny, odpychający kontrast. Z

właściwą sobie drapieżnością i egoizmem świat chrześcijański sięgnął po Jerozolimę i przez niecałe dwa stulecia toczył o nią zaciekle boje. Ludzie wielu religii, bez względu na to, czy potrafili

Posłowie 439

chwycić za broń, czy też nie, ginęli w niezliczonych bitwach, napadach i masakrach ad gloriam Dei i nic, nawet wielkie ożywienie gospodarcze w rejonie Morza Śródziemnego nie usprawiedliwi takiej ilości zbytecznych ofiar. Być może to daleko idący wniosek, ale wierzę, że w jakimś stopniu nienawiść bojowników Al-Kaidy do świata Zachodu jest echem średniowiecznych krucjat.

Lecz krucjaty mają jeszcze inne oblicze, które lubię najbardziej. Lubię przyglądać się wyprawom krzyżowym jako szalonej, napędzanej po równi głęboką wiarą, żądzą łatwego zarobku i niezgłębioną durnotą inicjatywie kilku zapalczywców (pomijam tu papieży), która doprowadziła do tego, iż garść zahartowanych niedobitków wyrąbała sobie kilka udzielnych państw daleko na terytorium wroga, a następnie tych państw z różnym skutkiem broniła. Patrząc na krucjaty jako na niesamowity spektakl militarno-awanturniczy, który odsłonił dziesiątki najrozmaitszych charakterów, od skończonych

łajdaków po rycerzy bez skazy, a następnie przydzielił im role w nieskończonej ilości bitew, pościgów, romansów i zwykłych awantur. Widzę w krucjatach niezgłębiony tygiel charakterów, postaw i stereotypów, widzę krzyże rycerzy zakonnych, przesłonięte twarze nomadów, ogorzałe oblicza asasynów, barwne chusty italskich żeglarzy, rycerskie herby i proporce z wersetami Koranu. Widzę warkocze pyłu, spłowiałe żagle i ponure zamczyska. Dostrzegam w tym miłość i brawurę, tchórzostwo i głupotę, szaleństwo i rozpacz.

Kocham krucjaty.

Nie wiem, czy jest jakaś inna epoka, która zrodziła tyle przedziwnych karier, przypominających wręcz baśnie lub współczesne opowieści z cyklu fantasy. Wystarczy spojrzeć na życie Beomunda z Tarentu czy króla Baldwina I, templariuszy Hugona de Payns czy Gerarda de Riderfort, krzyżowców Baliana z Ibelinu czy Konrada z Montferratu, by zrozumieć, że w Ziemi Świętej obserwujemy niezwykle zagęszczenie jednostek wybitnych. Bez względu na to, czy byli łajdakami, politykami, zdrajcami czy wojownikami, byli w swej domenie wybitni.

Odkąd pisuję, zawsze marzyłem o tym, by do tej niezwyklej opowieści skreślonej przez historię dorzucić jeszcze kilka postaci. I tak powstał zacytowany Gaston ze swoim wiernym giermkim Bernardem, Vittorio, Anzelm, Jakub, Anna i inni, którzy tańczą w korowodzie postaci historycznych, jakich w tej powieści pojawia się spora gromada. Rzecz jasna są to królowie Ryszard Lwie Serce oraz Gwidon de Lusignan, mistrz templariuszy Robert de Sabie i szpitalników Garnier z Nablusu, wielcy baronowie Konrad z Montferratu, Balian z Ibelinu i Renald z Sydonu, Maria Komnena, Starzec z Gór, Adelard z Werony i jeszcze kilkoro innych.

Odmalowując ich, starałem się trzymać pilnie ram wytyczonych przez historyków i biografów, niemniej w kilku miejscach własna wyobraźnia oraz potrzeby fabuły skłoniły mnie do błogosławionego grzechu koloryzowania. I tak oto nigdzie nie natknąłem się na informację, by templariusze zamykali swych braci-grzeszników w celach pokutnych, a Starzec z Gór nadużywał

trunków, o proweniencji biskupa Adelarda już nie mówiąc. W innych miejscach dopuściłem się świadomego podeptania faktów historycznych i oto zapraszam do publicznego samosmagania.

Uważny czytelnik na pewno zwrócił uwagę, że poprzestawiałem kolejność mistrzów templariuszy. W chwili, gdy Gaston de Baideaux przybywa do Ziemi Świętej, funkcję tę nadal sprawował zwolniony z sara-ceńskiej niewoli Gerard de Ridefort, co miało miejsce do jego śmierci podczas pierwszej bitwy pod Akką, tej samej, w której Konrad przychodzi z pomocą Gwidonowi de Lusignan. Robert de Sabie, który był przyjacielem króla Ryszarda, został

mistrzem templariuszy dopiero po przybyciu tegoż do Ziemi Świętej.

Renald z Sydonu, wierny towarzysz Baliana, w rzeczywistości nie mógł w tych opisywanych wydarzeniach brać udziału, gdyż w trakcie oblężenia Akki bronił własnego zamku Beaufort. Co do samego Baliana, spodziewam się głosów krytyki ze względu na jego kryształowo czyste przedstawienie, zgoła nienaturalne jak na owe czasy. Wszelką krytykę mężnie zdzierzę, bowiem przestudiowałem życiorys barona Ibelinu we wszystkie strony i nie doszukałem się w jego życiu żadnych ciemnych plam. Co więcej, zafascynowała mnie ta postać, w której upatruję syryjskiego

odpowiednika naszego Zawiszy -zahartowanego, nieprzejednanego, lojalnego rycerza, niemającego zgoła nic wspólnego z mydłkiem z Królestwa niebieskiego Scotta.

W jego przedstawieniu dopuściłem się pewnej konfabulacji. Otóż w rzeczy samej prowadził on wraz z Renal-dem z Sydonu tajne rozmowy z Saracenami, ale z ramienia Konrada. Nie ma źródeł, które mówiłyby o podobnej jego działalności na rzecz Ryszarda ani o szczególnej z tym monarchą zażyłości. Nie ma również dowodów, jakoby Konrad wspierał militarnie Ryszarda - w trzecim tomie wysłał mu poczet rycerzy z Vittoriem na czele -ani też by do tego stopnia angażował się w budowanie siatek wywiadowczych.

Kolejną nieścistością jest również rewolucja w łonie sekty asasynów, która wedle drugiego tomu trylogii miała nastąpić niedługo przed opisywanymi w nim wydarzeniami. W rzeczy samej miała miejsce o wiele wcześniej i Starzec z Gór wraz ze wszystkimi jej członkami odłamu syryjskiego w rzeczywistości zdołałby się do niej przygotować.

Przestawione w powieści miejsca historyczne - Tyr, Akkę, Baalbek, Askalon czy wreszcie Jerozolimę - starałem się odmalowywać możliwie najdokładniej, w oparciu o wszelkie dostępne mi źródła, podobnie jak wydarzenia historyczne. Byłem więc w rozpacz, kiedy już po ukazaniu się pierwszego tomu natknąłem się na dzieło kronikarza Vinisaufa, przedstawiającego bitwę pod Akką w sposób o wiele dokładniejszy i różniący się w wielu szczegółach od mojego. Podczas bitwy pod Arsufem Salah ad-Din w pierwszej kolejności pchnął na Franków piechotę beduińską i nubijską, dopiero później jazdę, co ja przedstawiłem odwrotnie, znów kierując się względami fabuły. Również w opisie Jerozolimy jest jedno potknięcie - na zbudowanie Bramy Jafskiej, przez którą bohaterowie wjeżdżają do Świętego Miasta, w rzeczywistości trzeba by jeszcze czekać kilka stuleci. Grzmoćę się w pierś i o wybaczenie żebrzę.

Podobnych rozbieżności jest zapewne wiele, a większości z nich, niecelowych, uniknąłem dzięki pomocy Ewy Leśniewskiej, której zawdzięczam wnikliwą korektę historyczną. Wraz z Marcinem Wrońskim, redaktorem językowym, człowiekiem, którego troskę o poprawność tekstu przebić może tylko cierpliwość, z jaką przekonuje do lepszych rozwiązań, stanowili dla mnie wielkie wsparcie podczas końcowych prac nad tekstem, a pomagali zwłaszcza w chwilach, gdy przestawałem w niego wierzyć.

Nastrój wielkiej przygody pomogli utrzymać również moi starzy przyjaciele, którzy zjechali się ze wszystkich stron kraju, by uczestniczyć w nagraniu dwóch krucjatowych słuchowisk, pilotujących trylogię: Memento finis oraz Al-Markish. Wydarzenia te miały miejsce w studiu nagrań Black Cat Studio Artura Lutyńskiego, który wziął również na siebie rolę reżysera dźwiękowego i stworzył obu słuchowiskom niezwykle klimat. W poszczególne role wcielali się Dawid Paul (niezniszczalny jako narrator), Filip Kopczyński, Marcin Lachowicz, Piotr Janka, Jakub Rutkowski, Adam Ossess, Michał Brywczyński oraz Adam i Anna Budzyńscy. Sam wziąłem na siebie jedynie zadanie napisania scenariuszy (nie licząc małej rólki w Memento finis

- nie cenię wysoko swego głosu), lecz przy zaangażowaniu całej paczki mój wkład wydaje się mizerny. Trudno mi bowiem opisać słowami entuzjazm, jaki widziałem podczas nagrywania, i zachwyty, z jakim odtwarzałem wspomniane słuchowiska po raz pierwszy. Dziękuję wam wszystkim za zaangażowanie.

Trudno mi uwierzyć, że to już koniec. Trylogia Miecz i kwiaty zabrała mi ponad półtora roku życia, kształtowała przez ten czas moje rozmyślania i marzenia, wyznaczała tryb życia i całkiem przegnała nudę. Schowana w plikach w moim wysłużonym laptopie wędrowała wraz ze mną po Polsce i świecie. Dojrzewała w zimo-we wieczory w zaśnieżonych Sudetach i na smaganych deszczem Kaszubach, na londyńskim lotnisku i w islandzkich hotelach, w pociągach InterCity i warszawskich knajpkach, na „okienkach” w szkole i w pokoiku mojego Synka. Żyła ze mną i we mnie, puchła rozdział za rozdziałem, tom za tomem, zaraziła mnie miłością do Loreeny McKennitt, mszy Gianluigiego da Palestriny i muzyki z Królestwa niebieskiego, wbiła we mnie marzenie dotarcia do Akki i Krak des Chevaliers, aż tu nagle się skończyła. Tak po prostu.

Najpiękniejsza przygoda literacka mojego życia kończy się tu i teraz, tymi właśnie słowami. I mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że odnalazłeś na kartach Miecza i kwiatów choć cząstkę tego, o czym piszę. Jeśli tak, moje zadanie zostało wypełnione.

Dziękuję. ¡Marcin Mortka

Książki Marcina Mortki wydane

nakładem naszego wydawnictwa

1.

Ragnarok 1940 -

- tom 1

2.

Ragnarok 1940 -

- tom 2

3.

Miecz i kwiaty -

tom 1

4.

Miecz i kwiaty -

tom 2

5.

Miecz i kwiaty -

tom 3

Table of Contents

[Rozpoczni](#)